

**Grzegorz Drukarczyk**

**Bogowie są śmiertelni**

W powieści wykorzystano fragmenty *Hymnów Rigwedy* w tłum. Franciszka Michalskiego, Ossolineum, 1972.

*Dedykuję tym wszystkim,  
którzy wciąż jeszcze sięgają po książki*

## PROLOG

### Eltenera - planeta bliźniacza w układzie Ti-Dejaniry

Od strony Wielkiej Pustyni Sar-deh-Endżam, przez żółte piaski rozpalone żarem Ti-Dejaniry, kroczyło niespiesznie dwóch wędrowców. W bezmiarze pustki, gdzie ginęły całe karawany znakomicie przystosowane do walki ze spiekotą, gdzie oddziały zbrojnych rozwiewały się niczym puch płaskórki zdmuchnięty wiatrem, dwaj mężczyźni szli spokojnie, jakby ich stopy dotykały poszycia ingrowego gaju.

Starszy z wędrowców, wysokiej postury, wyglądał na przewodzącego. Twarde spojrzenie czarnych oczu, ostro zarysowane kontury twarzy, lekko wzgardliwie uniesione kąciki suchych ust: to wszystko nadawało mu wygląd pewnego siebie człowieka, który wiele w życiu przeszedł. Drugi z wędrowców był zaledwie młodzieńcem. Na rumianym, pełnym obliczu delikatny czarny meszek zarostu wyglądał, jakby chłopak siedząc zbyt blisko ognia, oprószył się sadzą.

Szli znikąd, bo tylko Pan Porządku Rzeczy mógł przeniknąć nieodgadnione twarze, tylko wiatr zacierający ślady odcisnięte w piasku wiedział, skąd one wiodą, tylko Ti-Dejanira, spoglądająca z wysokości nieba, знаła początek drogi wędrowców.

Kiedy w dali ukazały się majaczące w rozedrganym powietrzu mury Armedonu, grodu strzegącego granicy Wielkiej Pustyni i Ingrid Marie - zielonej równiny u zbiegu rzek Ingados i Mar-del-Platta - dwaj wędrowcy po raz pierwszy przerwali marsz.

- Pamiętaj, Terminujący - odezwał się starszy głosem chrapliwym od kurzu wypełniającego gardło - jesteśmy Donosicielami Kongregacji Białego Oficjum, ale biada ci, jeśli choć słowo o naszej profesji wymknie się z twych ust. Dopóki ci nie zezwolę, zachowaj całkowite milczenie...

Młodzieniec pokiwał głową na znak, że zrozumiał. Ruszyli w stronę murów, kierując się do jednej z czterech bram. Przy rzeźbionych w kamieniu wizerunkach twarzy Pana Porządku Rzeczy oczekiwali strażnicy.

- Niech będzie pozdrowiony Wszechwiedzący, którego dobroć opromienia ten wspaniały gród - powiedział starszy z Donosicieli, pochylając z szacunkiem głowę. - Niech wszelka pomyślność towarzyszy Layalowi tak mądrze władającemu w Armedonie, niech jego syn Mayal rośnie ku przyszłej chwale, niech nici losu będą zawsze korzystnie splecione dla Yeomenów zamieszkujących tę dostatnią krainę - zakończył formułę powitalną.

- Niech i wam przychylność losu towarzyszy - odpowiedział strażnik z dystynkcjami setnika. - Co sprowadza was na urodzajną ziemię niziny Ingrid Marie? - zapytał, poprawiając zabijak łokciowy.

- Jesteśmy wysłannikami kupców z Gór Pumeksowych. - Donosiciel wyciągnął z rękawa zwinięty aragus gęsto pokryty pismem.

- Jutro święto przesilenia, wielu kupców z różnych krain zjechało. - Setnik odstąpił, otwierając przybyszom drogę.

Dwaj mężczyźni przekroczyli bramę i wyszli na duży dziedziniec.

- Dobrze gród Armedon jest strzeżony... - Starszy z Donosicieli dobył czysty skrawek aragusa i jął notować. - Choć zbyt pobieżne kontrole przy bramach są dokonywane. Mury znać, że umacniane każdego roku. - Przerwał pisanie i spojrzał na ucznia. - Widzisz, młodzieńcze, każdy szczegół naszemu panu, Rodrygowi Ort de Saintre, może być przydatny. Zawsze miej oczy szeroko otwarte, słuchaj, co inni do ciebie mówią, a pytania zadawaj tak, by twa dociekliwość nie została zauważona.

Za bramą rozciągało się miasto. Wzdłuż wąskich ulic rosły kamienice wysokie na pięć kondygnacji. Nawet w środku dnia nie docierał tu blask Ti-Dejaniry, więc brukowane onyksem uliczki rozjaśniało światło latarni oliwnych porozwieszanych na murach.

Donosiciele szli powoli, bacznie obserwując wszystko wokół. A to woziwodę, który na ośle objuczonym bukłakami nawoływał mieszkańców kamienic do kupienia krystalicznie czystej i wyśmienitej w smaku wody z rzeki Mar-del-Platta, grupę kobiet nierządnej profesji, dwóch starszych Yeomenów grających w kości na drobne monety.

- Możesz już pytać, Terminujący - odezwał się starszy z mężczyzn - ale nigdy w obecności innych ludzi.

Uczeń pokiwał głową ze zrozumieniem, choć na ustach nie zakwitło mu jeszcze pytanie.

- Pójdziemy teraz na targowisko - ciągnął nauczyciel - gdzie najłatwiej o informacje.

- Mistrzu - przerwał młodzieniec tonem pełnym szacunku - jakich wieści nasz pan oczekuje najbardziej? Czemu dać ucha, a co jak niepotrzebny śmieć odrzucić?

- Wszystko, chłopcze, prowadzi do ważnych odpowiedzi, każde pytanie, każda nawet najdrobniejsza informacja, każdy szczegół zauważony przez ciebie i mądrze dopasowany do całości... - Przystanął na chwilę i położył kościstą dłoń na ramieniu chłopaka. - Cóżes dotąd dostrzegł, co w tobie pytania rodzi?

- Nieuwagę strażników.

- Nie patrz tylko na to, co widzisz, nie słuchaj tylko tego, co słyszysz. - Starzec nachylił

się nad uczniem, spojrzeniem zimnych oczu lustrując jego zarumienione oblicze. - Zawsze próbuj wyjść poza naturę prostych spraw. Strażnicy byli nieuważni, albowiem w ostatnich dniach bardzo wielu kupców, rzemieślników, cyrkuśników, wędrowców i ciekawskich do Armedonu przybyło. Ale dlaczego tyłu kupców chce tu sprzedać swoje towary? Handlujesz tam, gdzie trud się opłaci... Ile łaźni na tej ulicy minęliśmy?

- Nie wiem...

- Cztery! w oknach wiszą maty filcowe, a to niezwykle kosztowny materiał. Domy mają po pięć kondygnacji, gliniane ściany dobrze utrzymane, wręcz zamożne. Widziałeś starców grających w kości na drobne monety? Obok nich stały puchary z rubinowym winem, które może pochodzić tylko zza Wielkiego Rowu Tektonicznego. Starcy siedzący na ulicy i tak drogi napój? A kobiety nierządne? To były Yeomenki, ubrane w najdroższe tkaniny barwione terrą. Ile muszą płacić klienci, by kobiety było stać na takie stroje? Strażnicy mieli zabijaki łokciowe, a tuż za murami stały kartacznice. To niezwykle kosztowna i ciężka do zdobycia broń. A teraz, chłopcze, powiedz mi, co z tego wszystkiego wynika.

- To, że Armedon jest bardzo zamożnym grodem.

- Ale takie stwierdzenie rodzi kolejne pytanie. Potrafisz je zadać?

Młodzieniec przez chwilę tarł w zamyśleniu policzek, po czym z lekkim ociąganiem, jakby nie do końca wierząc w sens wypowiedzianych słów, rzucił:

- Skąd miasto leżące na granicy Wielkiej Pustyni, na obrzeżach niziny Ingrid Marie, czerpie bogactwo, które widać u jego mieszkańców?

- Bardzo dobrze. - Starszy pozwolił sobie na krzywy uśmiech. - Mentorzy nie popełnili błędu, wybierając cię na Donosiciela, zadajesz właściwe pytania. - Odwrócił się i spojrzał w kierunku wylotu uliczki. - Nie było cię ze mną na płaskowyżu Teoktilan i w Krainie Uschniętych Drzew. Spotkałem tam podobne do Armedonu miasta, bardzo bogate, mimo że nic za tym nie przemawiało. Dlatego powiem ci teraz, chłopcze, co szczególnie powinno przykuwać twoją uwagę...

- Tak, mistrzu?

- Kwiaty Pamięci...

- Czy to możliwe, że Przemysłowcy z Garbusa dotarli i tutaj?... - Na twarzy młodzieńca pojawił się wyraz niedowierzania.

- To jedno z pytań, na które nasz pan pragnie uzyskać odpowiedź. Chodźmy, widzę jakieś poruszenie na placu zgromadzeń.

Na samym środku stał kamienny posąg Boga, do niedawna jedyne, o którym zaczynano coraz częściej mówić: „Stary Bóg”.

- Powiadam wam, bójcie się gniewu Pana Porządku Rzeczy! - grzmiał z tarasu głos kapłana Muni. - Jest tylko jedna Klarowna Reguła i jeden Wszchemogący władający na Eltenerze! - Donosiciele wmieszali się w tłum. - Bluźniercy głoszą plotki o nowym bogu, którego imię brzmi Woorg! Niewierni szerzą opowieści o jego objawieniach i wielkiej mocy! - Kapłan odwrócił się i ukląkł przed posągiem. Wzniósł rozpostarte dłonie ku skalnemu obliczu patrzącemu pustymi oczodołami ponad głowami gapiów. - Panie, wybacz im, okaż miłosierdzie i odpuść winy w Święto Przesilenia, gdy Źrenice Kurlemu łączą nasz świat śmiertelnych z twoim światem wiecznym...

- Chodźmy! - Starszy z Donosicieli pociągnął ucznia za rękaw.

Wyszli z tłumu, który zaczynał intonować świętą pieśń przeistoczenia. Jeszcze chwilę goniły ich rytualne słowa:

*...Tę ofiarę przodkowie złożyli w ołtarzach...*

*...Jako pierwsze spośród świętych prawd...*

- Mistrzu - zagadnął młodzieniec, starając się nadażyć za długimi krokami nauczyciela - czy kapłan Muni potępiał nowego boga? Przecież dekretem Kongregacji Białego Oficjum teraz Woorg ma być Jedynym Bogiem.

- To też mamy rozeznaczyć. Donosiciele ze wszystkich krain Eltenery znoszą wieści, że nowy bóg, którego przybycie zwiastowała Laromma i którego przyjął nasz pan oraz wszyscy decyzerzy, nie jest czczony na równi z Panem Porządku Rzeczy, a w wielu namiestnictwach całkowicie się go odrzuca...

- Wielka jest niepokora poddanych Rodryga Ort de Saintre.

Pomiędzy kruzgankami otaczającymi plac zgromadzeń i dalej drogą z pni tekowych, która ciągnęła się wzdłuż akweduktu zasilającego dzielnicę możnych, Donosiciele dotarli na wzgórze pałacowe. W dole rozciągały się ogrody władającego miastem Layala Ojca. Obaj mężczyźni przystanęli, podziwiając wspaniały widok. Wśród zieleni mienił się rtęciowy staw, wokół którego stało kilkadziesiąt palmowców o koronach przyciętych w fantazyjne kształty i pniach wyłożonych masą perłową. Nieduża wyspa pośród srebrzystego, płynnego metalu uformowana była z szylkretowych skorup żółwiaków, a na jej jedynym szczycie wyrastało drzewo z antymonu. Na gałęziach powiewały misterne listki ze złota, pośród których siedziały srebrne ptaki.

- Niezwykłe... - wyszeptał młodszy z Donosicieli.

- I jakie kosztowne - dodał starszy. - Ciekawe, skąd Layal Ojciec, który jest zaledwie namiestnikiem, czerpie wystarczający dochód, by założyć ogrody pyszniejsze niż w Zamku Purpurowego Rogu. Kongregacja Białego Oficjum nigdy nie dostała raportów o jakimś

szczególnym wydarzeniu, które mogłoby przynieść Armedonowi takie bogactwo.

Pod bramami pałacu kolorowy tłum przelewał się między dziesiątkami straganów, kupieckich wozów, drewnianych podestów, na których o drobne monety rywalizowali ze sobą śpiewacy, bajarze, kuglarze i zapaśnicy. W załomie straceń przeprowadzano egzekucję złodzieja. Oddział Yeomenów otaczał platformę kaźni szczelnym kordonem, mimo że grupka przypadkowych gapiów nie przejawiała wrogich zamiarów. Na drewnianym podwyższeniu płaskonosy z wyżyny Teoktilan krzychał przeraźliwie, próbując się wyrwać czterem zwalistym oprawcom odzianym w skóry muflonów. Obie dłonie miał już obcięte, z kikutów tryskała krew, barwiąc podest na czerwono.

Donosiciele podeszli do grupki ludzi przyglądających się kaźni. Niski z Krainy Uschniętych Drzew z wypiekami na kwadratowej, zdeformowanej genetycznie twarzy wykrzykiwał w podnieceniu:

- Zabić złodzieja! Zabić! Zabić!

- Przyjacielu - starszy Donosiciel zagadnął Niskiego - coś zrobił ten płaskonosy, że taka kara go spotyka?

Niski spojrzał niechętnie, lecz zobaczywszy misternie tkane szaty rozmówcy, zdobył się na skrzywienie ust symbolizujące uśmiech.

- To złodziej, kradł!

- Ale za zwykłą kradzież karze się odjęciem jednej dłoni, za zuchwałą i wymierzoną w możnych obu, dlaczego zatem ten nieszczęśnik straci jeszcze stopy?

- Dopuścił się kradzieży i zdrady! - Niski stracił zainteresowanie egzekucją. - Na Polu Zmarłych ukradł Kwiaty Pamięci krewnych namiestnika Layala! Ponoć sprzedał je... - ściszył głos i rozejrzał się wokoło - Skórnikom Escobara...

- Doprawdy? - Donosiciel udął obojętność. - To można tu spotkać Skórników Escobara?

- Ja tam nic nie wiem. - Niski nieoczekiwanie się przestraszył. - Jak chcecie usłyszeć więcej, pytajcie kupców z płaskowyżu Teoktilan, ja tylko przyjechałem sprzedać swoje muflony... - Odszedł tak szybko, że nawet zwyczajowe życzenia z okazji święta Zigmuk nie zdążyły wyjść z jego ust.

- Mistrzu, czyli prawdą jest, że Przemysłowcy Escobara i tutaj dotarli po Kwiaty Pamięci... - Młodzieniec umilkł, oczekując pochwały.

- Wyciągaj wnioski, lecz nie czyn tego pochopnie. - Starszy mężczyzna gładził szpakowatą brodę. - Skórnicy kupują Kwiaty Pamięci wszędzie, nawet na dworze Rodryga Ort de Saintre, ale czy je sprzedają Escobarowi i jego Przemysłowcom za plecami Kongregacji Białego Oficjum, musimy się dopiero wywiedzieć. Na całej Eltenerze imię Escobara budzi



przerażenie, ludzie czasem przypisują mu czyny, których nigdy nie popełnił... A Donosiciel musi poznać prawdę, nim przekaże ją uszom swego pana. Chodźmy dalej, do kupców, ci zawsze wiedzą najwięcej.

Grupka wędrownych aktorów rozpoczęła opowieść cieni. Stojący z przodu pieśniarz uderzył w struny drimbu, intonując pieśń, która by zainteresowała przechodniów.

- Zza chmur, gdzie czas płynie inaczej, nowy bóg przybył w ogromnym rydwanie... - Już pierwsze słowa osadziły w miejscu starszego z Donosicieli.

- Daj im kilka srebrnych monet - zwrócił się do młodzieńca. - Chcę posłuchać tej opowieści... - Z zastanowieniem patrzył, jak za białym płótnem aktorzy naśladują decyzerów Białego Oficjum kłękających przed Woorgiem.

- By wiecznym życie zabierać, a potem dawać nowe... - Słowa były ilustrowane przez walczące z sobą cienie, odtwarzające śmierć i zmartwychwstanie. - Okrutny Escobar śmiertelne brał żniwo, a z jego ręki poległ najwspanialszy z Kongregacji Białego Oficjum, pierwszy przed pierwszymi: Rodryg Ort de Saintre... - płynęła pieśń uzupełniana grą aktorów. - A gdy dni minęło dwanaście, nowy bóg Woorg na nowo powołał do życia Rodryga. Ten z grobu powstawszy, jeszcze wspanialszy i potężniejszy, na powrót zasiadł na tronie Białego Oficjum. Podówczas koniec zgody nastąpił pośród tych, co zza chmur z Garbusa przybyli. - Za płachtą pojawił się cień kobiety. - Przemysł głów naszych odejść musiał z komnat wspaniałych, Kongregardów i Larommy gniewem ścigany.

- Mistrzu - młodzieniec nachylił się do ucha starszego Donosiciela - czy oni przedstawiają historię zmartwychwstania Rodryga?

- Nie teraz, chłopcze, cierpliwości.

- Odchodzi Bóg stary, nowemu teraz znoszą dary - pieśniarz przybrał ton rozpaczony - niech więc zabrzmie w waszych uszach, że zło przyszło z Garbusa...

Starszy Donosiciel odwrócił się błyskawicznie i chwycił za kark niewysokiego chłopaka, który sięgał za pazuchę zasłuchanemu Terminującemu. Silnym żyłastym ramieniem przygiął złodziejaska do ziemi, tak że tamten upadł na kolana i podparł się zdeformowaną ręką, chroniąc twarz przed uderzeniem o kamienny bruk.

- Panie, oszczędź go! - dał się słyszeć błagalny głos pieśniarza, w momencie gdy pięść mistrza uderzyła złodzieja w twarz. - On nie chciał zrobić nic złego!

Donosiciel powstrzymał kolejny cios, ale nie puścił chłopaka. Ludzie kręcący się przy straganach nieopodal zaciekawieni podeszli bliżej. Zza załomu muru wyszło dwóch strażników i pośpiesznie ruszyło w kierunku zbiegowiska.

- Panie - pieśniarz ukląkł - to Dogon z błędem kodu genetycznego, przygarnęliśmy go

na płaskowyżu, uratowaliśmy od śmierci głodowej, daruj mu, on nawet nie wie, co czyni... - Patrzył z pokorą na Donosiciela.

- Jak brzmi dalej opowieść, której przed chwilą słuchaliśmy?

- Nijak, panie. - Pieśniarz ze zdziwienia aż uniół brwi. - To już koniec.

- A gdzie zasłyszeliście to wszystko? - Głos mistrza był surowy, ostry.

- Tutaj, w Armedonie, wszyscy tak gadają... My tu, panie, dopiero od dwóch dni, zasłyszeliśmy, to i śpiewamy...

Strażnicy stanęli nad uwięzionym w uścisku chłopakiem.

- Kradł?! - Widocznie było to na tyle powszechne, że uzbrojony Yeomen nawet nie szukał przyczyny zamieszania. - Zabieramy go ze sobą, a wy udacie się do setnika, by złożyć zeznania.

- Trzymam go - starszy Donosiciel uśmiechnął się do żołnierzy przyjaźnie - bo nieczęsto widuję takie dziwo. - Pokazał na zdeformowane ramię chłopaka, zrośnięty bark z biodrem, i twarz z oczami tak blisko siebie, że wyglądały jak jedno. - Właśnie pytałem pieśniarza, czyby mi go nie sprzedał. Ale odmawia... - Puścił złodzieja, a ten z niemym szlochem uciekł za białą kurtynę. - Ot i wszystko - rozłożył ramiona - a teraz zezwólcie, byśmy z mym krewniakiem poszli z kupcami nasze sprawy załatwić.

Strażnicy przez chwilę się zastanawiali, ale widząc, że gapiów już nie ma, sprawca skrył się, a dwóch zamożnie wyglądających przybyszy chce ruszyć w swoją stronę, dali za wygraną, odchodząc w kierunku niskiej kamiennej, krytej gontem baszty.

Donosiciele odnaleźli Skórników siedzących wokół wiszącego nad ogniem kotła. Aromatyczny zapach mięsa mile drażnił nozdrza, a placki z płaskórki pieczone na rozgrzanych kamieniach otaczających palenisko miały już lekko brązowy odcień.

- Bądźcie pozdrowieni, wy, którzy w poszukiwaniu Kwiatów Pamięci przemierzacie bezkresne przestrzenie Eltenery - z unizonym pokłonem rozpoczął Donosiciel. - Niech w każdej głowie zakwitnie kielich wspomnień, niech każda głowa trafi w wasze ręce, niech za każdą głowę cenę wysoką zapłacą...

- Czego? - Mężczyzna odziany w uplecioną z metalowych oczek kurtkę ledwie zerknął w ich stronę.

- Przybywamy z Gór Pumeksowych jako przedstawiciele tamtejszych kupców...

- I co z tego? - Skórnik łakomie wpatrywał się w parujący kocioł. - Skupujemy tylko Kwiaty Pamięci, macie je? - Sięgnął po placek i odgryzł spory kawałek.

- Dzisiaj niewiele, ale nim cykl przeminie, będzie ich więcej niż ziaren płaskórki w waszych plackach... - Donosiciel zawiesił głos.

Pozostali, dotąd obojętni na przebieg toczącej się dyskusji, z zaciekawieniem odwrócili głowy.

- Siadajcie z nami. - Ten, który prowadził rozmowę i wyglądał na najstarszego, zaprosił Donosicieli, wskazując miejsca obok siebie. - Mosar, przynieś z wozu dwie czary - polecił. - Zjecie z nami.

- Zaszczyt to dla nas niezmierny. - Donosiciele dołączyli do kręgu. - Długą drogę przebyliśmy.

Jeden ze Skórników zdjął kocioł z trójnogu i drewnianą chochlą napelniał podane naczynia. Kiedy pierwszy głód został zaspokojony na tyle, by placki z płaskórki nie ginęły w ustach rozerwane dwoma kęsami, najstarszy z grona zagadnął Donosicieli.

- Po co przebyliście tak długą drogę? Czyż nie bywają w waszych stronach wysłannicy Białego Oficjum, którzy jak my skupują Kwiaty Pamięci dla Larommy?

Uczeń spojrział na mistrza z niepokojem. Pytanie było chytre, w słowach pułapka, a ton głosu wielce podejrzliwy.

- Nie jesteśmy bogatą krainą... - Donosiciel rozpoczął ze skargą w głosie. - A decyzerzy Kongregacji tak niewiele dają w zamian. Nie jest łatwo przeżyć w Górach Pumeksowych, gdy przychodzi pora chłodna. Daninę płacimy wysoką. Żyjemy też dłużej niż inni, co sprawia, że pola zmarłych niewielki plon dają... - Urwał płaczliwie i wbił zaszkłone łzami oczy w płomienie.

- Zatem cóż chcecie zaoferować? - zapytał Skórnik jeszcze ostrożnie, ale już wietrząc dobrą okazję.

- Dwa cykle temu nasi wysłannicy kupili od przemytników Escobara puchary z zaklętą w nich zarazą... - Donosiciel ważył każde słowo, dbając, by nie odrywać spojrzenia od paleniska. - Kiedy wyruszaliśmy w drogę, właśnie złe moce wydostały się na wolność... Trzy miasta nawiedził duch śmierci. Zaczęli umierać nawet możni.

- Czy ktoś powiadomił Białe Oficjum? - Stary podjął grę, ale w jego głosie nie było prawdziwego zainteresowania.

- A na cóż niepokoić decyzerów, skoro w tym cyklu zapłaciliśmy całą daninę? Oddaliśmy wszystkie najlepsze Kwiaty Pamięci i nikt nie oczekuje, że martwych głów przybędzie...

- Skoro nie chcecie ich sprzedać Larommi, nie rozumiem, ku czemu zmierza twa myśl. - Powoli w głosie Skórnika ginęła ostrożność.

- Wiele miast wzbogaciło się tak nieoczekiwanie... - Donosiciel czuł, że ziarno trafiło na podatny grunt. - Wieści dziwne słyszeliśmy, że Escobar płaci za Kwiaty Pamięci trzykroć

więcej.

Zapadła cisza. Skórnik patykiem trzymany w dłoniach dłużył w spoinie między kamieniami. Tylko trzask dopalających się bierwion odliczał mijające chwile. Kiedy uczeń pomyślał, że tym razem jego mistrz przesadził, padły słowa, które przełamały wzajemną nieufność.

- Jeśli umrą znaczne osoby, zapłata będzie jeszcze większa. Czy wiesz, jakiego wyposażenia wojennego wam trzeba? - Najstarszy Skórnik podniósł się z ziemi i wskazał stojące pod murem wozy. - Możesz obejrzeć wszystko i jeśli taka twoja wola, wybrać, z czym mamy przybyć w Góry Pumeksowe.

Donosiciel wstał, ruchem ręki nakazując uczniowi pozostanie na miejscu.

- Potrzebujemy wszystkiego... Kartacznic, drasserów, tantronowych miotaczy, osłon, ripperów, lanc wibracyjnych, ładunków kumulacyjnych i każdego uzbrojenia, które kupią od nas namiestnicy grodów. - Ujął Skórnik pod ramię i powędrowali w stronę wozów.

- No, trzeba to uczcić. - Mężczyzna nazwany Mosarem sięgnął po leżący obok bukłak. - Jak cię zwa, młodzieńcze?

- Kira, syn Bary z kotliny Wernon w Górach Pumeksowych. - Terminujący wyrecytował jednym tchem.

- Zatem twoje zdrowie, Kiro, synu Bary z kotliny Wernon w Górach Pumeksowych. - Mosar podał mu dzban wypełniony winem. - Za dobre spotkanie, za dobrą umowę, za nas i za ciebie, za puste oczodoły Pana Porządku Rzeczy, oby nigdy nie widziały czynów naszych - roześmiał się głośno.

Młody Donosiciel podniósł naczynie do ust i przechylił. Krąg siedzących z zadowoleniem obserwował, jak podskakuje mu grdyka przy każdym hańsacie. Nikt się nie domyślił, że przyuczony do udawania młodzieniec wpuścił do żołądka zaledwie parę kropli i dzban prawie nietknięty oddał sąsiadowi, po czym otarł usta wierzchem dłoni.

- Zdrowie, oby nici losu zawsze plotły się ku waszej pomyślności.

Zanim dzban trzy razy okrążył dogasający ogień, wrócił stary Skórnik z mistrzem. Jeszcze raz przypieczętowali umowę, dotykając dłońmi piersi.

- Zatem za dwa miesiące będziemy oczekiwać w Sondorrze waszej karawany z towarami. My przygotowujemy Kwiaty Pamięci.

Donosiciele ruszyli w kierunku mieszkalnej części miasta, odprowadzani przez radosne okrzyki Skórników. Szli w całkowitym milczeniu, dopóki nie minęli bramy. Dopiero wówczas nauczyciel pozwolił sobie na szeroki uśmiech.

- Nasz pan, Rodryg Ort de Saintre, będzie bardzo zadowolony - zatarł dłoń. - Mamy

więcej, niż oczekiwał... Wiemy już z niezbitą pewnością, że bogactwo Armedonu i wielu innych miast pochodzi ze sprzedaży Kwiatów Pamięci przemytnikom Escobara - mówił podniecony. - Wiemy, jaką drogą przylatują z Garbusa i gdzie się odbywa wymiana ze Skórnikami... I na Woorga, za dwa miesiące przyjdą prosto do Sondorry! Młodzieńcze - poklepał ucznia po plecach - tak sówitej nagrody, jaka nam przypadnie w udziale, jeszcze nikt nie widział!

- Mistrzu... - Uczeń z szacunkiem pochylił głowę.

- Jutro skoro świt ruszamy w drogę powrotną do Zamku Purpurowego Rogu.

**Trzydzieści lat później czasu Eltenery,**

**trzy lata później czasu Ziemi i Garbusa - planety bliźniaczej w układzie Ti-Dejaniry**

Ciężki chrapliwy oddech odrywał z płuc kawały spopielalej tkanki. Plułem krwią wymieszaną ze śluzem. Strużka gęstej śliny spływała pomiędzy obwisłych warg, a ja nie miałem siły ani powodu, by ją zetrzeć. Przez zażawione, zaropiałe oczy starałem się ujrzeć świat, ale rozmazane białe plamy nie pozwalały stwierdzić, czy świat wciąż istnieje. Rozdygotane nogi z trudem utrzymywały ciało w pozycji pionowej. Zapadnięte piersi małymi łykami chwytaly powietrze.

Była wiosna.

Wyciągnąłem dłonie. Głowa kiwała mi się na boki. Nie pamiętałem już o niczym poza jednym - jak przepuścić przez wypaloną krtań codzienną dawkę prochu. Myśl o nim wywołała nowy atak kaszlu. Trzewia wyły ściskane głodem - innym głodem. Już pora.

Gdzieś śpiewał skrzydłak.

Ostrożnie ściskałem w palcach ampułkę. Wiedziałem, co zawiera - z czasów, gdy moja klepsydra wciąż była cała. Przezrocyste migoczące kryształki. Zaproszenie od boga na wystawny posiłek, po którym wracałem jeszcze bardziej głodny. Wysuszona skóra szeleściła przy każdym oddechu. Ciało zadygotało konwulsyjnie. Pragnąłem tylko jednego - upaść na ziemię, wetknąć w usta szklaną fiolkę, zgryźć rozchybotanymi próchniejącymi zębami... Dać szerniałemu językowi smakować niepowtarzalną gorycz wlotu. Rozdygotany, pokonując mdłości - wciąż stałem...

To było pierwsze zwycięstwo.

Palce wolno obracały ampułkę. Ubrałem decyzję w myśl, zamieniłem w rozkaz, przekazałem. Nic. Dłoń pozostała nieruchoma. Nie wykonała polecenia. Z ust pociekła mi brudnoczerwona ślina. Podjąłem wysiłek ponownie. Palce skruszyły delikatną szklaną osłonkę, przezrocyste kryształki uciekły pociętym opuszkom, ginąc na zawsze u moich stóp.

To było drugie zwycięstwo.

Trzecie zwycięstwo nadeszło, gdy postąpiłem krok do przodu. Ziemia chciała mi uciec spod stóp. Czulem, że od huku krwi pękają mi bębni, że z nosa cieknie czerwona strużka. Oczy płakały ropnymi łzami. Powinienem zwalić się na piach... Nie, wciąż stałem. Bóg patrzył z niedowierzaniem.

Świeciła Ti-Dejanira.

Wolno zacząłem zginać nogi. Chrzęściły stawy, jęczały wyschnięte ścięgna. Opuszczałem się coraz niżej. Charkotliwy oddech ginał głuszony przez łomot serca. Zimny

pot rosił czoło. Umysł zawodził: *dość! dość! dość!* - dopóki nie zrobiłem pełnego przysiadu. Wtedy coś pękło. Upadłem twarzą w wilgotny piach. Tak dobiegł końca pierwszy dzień.

Następnego ranka przejrzałem. Rzeczywiście była wiosna. Padał deszcz. Dobre krople splukiwały z oczu ropne narośle, obmywały pozlepiane cienkie włosy, ściekały po zgarbionych plecach. Wciąż plułem śluzem wymieszonym z krwią. Zrobiłem krok i w tej samej sekundzie nogi złamały się w kolanach, a ja runąłem na ziemię. Trochę trwało, zanim dźwignąłem się do pozycji pionowej. Nie było łatwo, czułem, jakbym tracił... Nie, nie życie, umarłem dawno temu. Podjąłem wysiłek raz jeszcze, ale już bez głupiej wiary. Krok. Odpoczynek. Przysiad. Odpoczynek. I tak aż do omdlenia - dzisiaj.

Minęło siedem skruszonych ampułek.

Nauczyłem się chodzić. Tydzień walki przypomniawszy ciału, jak wygląda ruch. Potrafiłem przejść od mojej nory do skalnego zbocza - blisko trzysta metrów. Przysiady, skłony, stukrotne dźwiganie kamieni, a wszystko do wtóru pękających ampułek. Dzień po dniu, aż do skutku.

Przyszło lato.

Raz, dwa - wdech - trzy, cztery - wydech - raz, dwa - wdech - trzy, cztery - wydech - raz, dwa... Płuca pracowały jak miechy, czasami tylko stęknęły charkotliwą nutą i na powrót wracał czysty oddech. Biegłem leśną przecinką. Drzewa zlewały się w brunatny mur. Stopy lekko dotykały ziemi, niczym sprężyny podbijały ciało do długich skoków. Rozkoszowałem się wracającą siłą.

Był upalny dzień.

Dobiegłem do skalnej ściany. Miała kilkaset metrów wysokości. Jeśli istniały w niej szczeliny, rysy czy pęknięcia, to z miejsca, w którym stałem, nie mogłem ich dostrzec. Podeszedłbym bliżej, gdyby nie blokujący ścieżkę szary, wrośnięty w trawę gład. Wziąłem kilka głębokich oddechów. Zrobiłem parę skłonów rozluźniających. Dłonie przylepiły się do rozgrzanego kamienia, szukając miejsc dla zaczepienia palców. Chwyty były pewny i mocny. Chwilę trwałem w bezruchu, szykując się do próby. Wiał lekki ciepły wiatr.

Szarpnąłem. Ściągną wyprężyli się jak struny, zbrylone mięśnie wypchnęły tuż pod skórę rozświetnione krwią żyły, zajęczał kręgosłup, a stopy z wolna zaczęły wbijać się w ziemię. Trwało to nie dłużej niż sekundę, dwie, ale wystarczyło, bym zrozumiał, że nie dam rady. Puściłem. Jeszcze nie czas.

Zaczęły żółknąć liście.

Trawa wokół głazu zamieniła się w ubite klepisko. Każdego dnia promienie zachodzącej Ti-Dejaniry spotykały mnie pochylonego nad skalną bryłą i zawsze widziały, jak

odchodzę, a głaz zostaje. Pojedynek trwał aż do końca jesieni. Nadszedł dzień, który musiał nadejść - doskonalili się tylko jeden z przeciwników. Stałem nad głazem jak wczoraj, jak tydzień temu, miesiąc, jak zawsze... Dmuchał chłodny wiatr. Z drzew leciały wyschnięte liście.

Ti-Dejanira w purpurowej aureoli chyliła się ku zachodowi.

Dłonie same odnalazły dogodny chwyt, stopy pewnie wsparły się na ubitej ziemi. Od ramion poprzez wyprężony grzbiet aż do lekko przygiętych nóg przebiegł dreszcz trwożliwego oczekiwania. Spojrzałem na czerwono rozjarzoną kulę. W jej blasku odnalazłem drwinę, ironiczne przekonanie, że i tym razem odejdę pokonany. Tak śmiała się kiedyś ona...

Równie spokojny, jak oczekujący głaz, wydałem mięśniom polecenie. Odpowiedziały z siłą, która mnie zadziwiła. Dźwigar kręgosłupa zakołysał się, ale tylko przez chwilę potrzebną na znalezienie dogodnej pozycji. Czułem się tak, jakby ścięgnię rozrywały mi skórę, jakby kruszyły się zaciśnięte zęby, od potwornego wysiłku dygotały uda i już nie pot, a krew spływała po skroniach, gdy płuca zalewały fale ukropu, łomocące serce rozrywało klatkę żeber...

Głaz drgnął...

Z krtani uchodziło charkotliwe rżenie. Z potwornym wysiłkiem zepchnąłem ten cholerny kamień w rozpadlinę.

Zapadł zmierzch.

Pod skalne urwisko wróciłem nazajutrz rano. Stałem przy pionowej ścianie. Wahanie czy niepewność miałem za sobą. Nie umiałem już cierpliwie czekać, a czas uciekał bardzo szybko. Wzrokiem wyszukałem pierwszą szczelinę, palce znalazły w niej oparcie. Podciągnąłem się. Prawa stopa złapała minimalną wypukłość, wystarczającą, by podnieść mnie kilka centymetrów wyżej. Druga ręka sunęła po gładkiej ścianie tak długo, aż odnalazła drobną rysę. I znów znalazłem się o kawałek bliżej nieba. Oczy zamieniły się w mechanizm wyszukujący szczeliny, kontrolujący ich głębokość, szacujący wytrzymałość. Byłem teraz doskonałą maszyną do pełzania po skalnej ścianie. I pełzałem, do diabła, wbijałem w skałę pokaleczone palce, stopami odnajdowałem nierówności, na których nie mogłyby się wesprzeć nawet źdźbła trawy.

Zaczęło się w połowie ściany. Od lewej dłoni przestały docierać sygnały bólu. Kolejne chwile zupełnie pozbawiły mnie czucia nie tylko w ręce, ale w całej lewej stronie ciała. Nie miałem ramienia, barku, biodra, nogi... Myśli panicznie szukały drogi ratunku, ale nie istniała inna niż dwustumetrowa przepaść.

Bąłem się.



Pamiętałem podobne ataki jeszcze z czasu szklanych ampulek. To mogło potrwać kilka sekund albo kilka godzin. Nie miałem szans, nawet gdyby potrwało kilka minut.

Cholerne słońce śmiało się do rozpuku. Wisiałem na prawej ręce, przeklinając bezwład wlokący mnie w dół. Za chwilę przyjdą wizje, za chwilę umrę naprawdę - myślałem, powoli rezygnując z kurczowego chwytu...

Bezwład minął równie szybko, jak się pojawił. Dokleilem do skały lewą stroną ciała, dając chciwym palcom oparcie. Wiedziałem, że paraliż wróci. I będą mu towarzyszyły urojenia, ale to dopiero nazajutrz.

Podjąłem wspinaczkę.

Po kilkunastu metrach trafiłem na wypłukany przez wodę żleb. Dostyc szybko i łatwo - zważywszy na poprzedni trud - dotarłem do szczytu. Kiedy ciało pokonało krawędź, nie chciało zrobić już ani ruchu więcej. Leżałem na skraju płaskowyżu, patrząc bezmyślnie w niebo. Nie było tak wysoko, dotykałem go czołem - i to bez krystalicznego proszku.

Wiatr niósł po równinie tumany pyłu.

Zimno i głód sprowadziły mnie na ziemię. Wstałem z żalem, że nie jestem już bogiem. Jako człowiek poczłapałem w stronę ogromnego suchego, widniejącego w oddali drzewa. Z ironicznym skrzywieniem ust pomyślałem, że można je nazwać Drzewem Dobrej Nadziei. Wielki pień wspierał się na wpół odsłoniętych korzeniach. Wokół rozciągał się bezmiar płaskowyżu. Nic tylko pył okrywający równinę. I drzewo, które tkwiło tu niczym chory majak.

Schylony wszedłem pod kopułę korzeni. Tutaj zaczynał się świat. Tutaj ona zostawiła bilet powrotny. Tutaj rozbiła się klepsydra z krystalicznym proszkiem. Tutaj miała rozpocząć się krucjata. Tutaj było miejsce, o którym marzyłem i którego tak się bałem. Tutaj...

Pokaleczone dłonie nerwowo odgarniały rdzawy pył, ryjąc w spękanej ziemi przejście do innego świata. Nie trwało to dłużej niż trwożliwa myśl - nim zagościła w świadomości, już palce trafiły na uchwyt w pokrywie kobaltowego pojemnika. Wyrwałem go spomiędzy zaskorupiałej ziemi jednym gwałtownym ruchem. Dla ramion pamiętających gład był to tylko drobny wysiłek niewart wspomnienia. Starłem pył z bocznej klapy identyfikatora. Wyglądał na nieuszkodzony. Położyłem dłoń w dopasowanym do niej wgłębieniu.

Drobiny rozmiatanego wiatrem pyłu okryły niebo ciężkim woalem.

Skądś przypalał się strach. Bałem się... Bałem się, że nie rozpozna mojego dotyku. Trzy lata, ponad tysiąc szklanych ampulek. Zakląłbym, gdyby to mogło cokolwiek zmienić. Czysty ton właściwej identyfikacji zabrzmiał jak surmy zwycięstwa. Odkoczyło wieko skrzynki, odsłaniając płytę kodową, sygnał piskliwym jazgotem domagał się hasła. Znałem je.

Imię... Musiałem wiedzieć, komu zawdzięczam powrót. Wtłukłem litery z siłą, od której popękała osłona klawiatury.

Ti-Dejanira utonęła w zakurzonym horyzoncie.

Zza burej mgły dobiegł szum scoptera. Nie musiałem odwracać głowy, by rozpoznać charakterystyczny dźwięk. Boczny stabilizator gubił powietrze - po ostatnim awaryjnym lądowaniu w Górach Pumeksowych. Trzy i pół roku temu. Przed śmiercią. Diabelnie dawno. A teraz ze zdziwieniem patrzyłem na czarny kształt schodzący do lądowania, czując radość na widok tego grata. Stateczniki zaryły się w ziemię, a obłok pyłu wzbudzony odrzutem dysz na moment przysłonił kadłub. Wstałem i bez pośpiechu ruszyłem w kierunku maszyny.

Ciemność rozdarły ostrza reflektorów.

Ze zgrzytem zworników zjechał właz. Jasny owal zapraszał do środka. Nie musiał - wszedłbym, nawet gdyby był ciemniejszy od czeluści piekielnych. Korytarzem dotarłem na poziom załogowy. Dwie kajuty, sterownia, zbrojownia, magazyn - właściwie tylko tyle albo aż tyle... Drzwi do magazynu odsunęły się dopiero po kopniaku w pneumatyczne zawiasy. Cholerny pył był wszędzie. Z szafki aprowizacyjnej wyjąłem butelkę. Nie musiałem szukać - nie było tam nic poza szeregami wystających z gąbki szyjek. Scotch Egberts - trzy czwarte litra płynu do reinkarnacji ducha. Przełknąłem ślinę, starając się przywołać na pamięć ten smak. Koja, choć pokryta pyłem, zachowała odcisk mojego ciała. Martwe przedmioty zatrzymały wspomnienie kogoś, kto dawno umarł. Z narożnika sanitarnego przytargałem metalową taflę, która po przetarciu wyczarowała odbicie kompana do butelki. Ułożony na pryczy wzniosłem flaszkę w niemym toaście, kompan odpowiedział identycznym ruchem. Wypiliśmy. Żar zagościł w żołądku. Nie zwlekając, zaproponowałem nową kolejkę, odbicie nie protestowało. Trzecia poszła jeszcze szybciej. Poczułem się lekki. Jak zawsze po pierwszych trzech... Następne trzy - też jak zawsze - przyniosły rozluźnienie i poczucie rosnącej siły. Kolejne najpierw euforię, a potem rozgoryczenie. Tuż przed denkiem - oczywiście jak zawsze - przyszła myśl: „Ja wam jeszcze, kurwa, pokażę”...

*Kochany.*

*Leżę w pustym łóżku, próbując przypomnieć sobie Twój zapach, dotyk, pieśczołę... Wącham rzeczy, które zostawiłeś, szukając namiastki, która pozwoli uspokoić myśli i sprowadzić sen. Nie mogę, nie potrafię pokonać tęsknoty. Ona boli, kulę się, chcąc oszukać cierpienie, ale ono żyje we mnie pulsującymi falami mdłości. Mój kochany, nie wiem, jak wytrzymam, skoro już pierwszej nocy pragnę do szaleństwa mieć Cię z powrotem obok siebie. Bez Ciebie nie istnieję, bez Ciebie duszę się, bo jesteś moim powietrzem, bez Ciebie nie widzę, nie słyszę, nie chcę jutro wstawać... Wracaj, kochany, wracaj do mnie...*

*Twoja Lara.*

Z metalowej tafli patrzyła na mnie zarośnięta małpa. Cisnąłem butelką w jej głupio uśmiechnięty ryj. Flaszka roztrzaskała się na drobne kawałki.

Powietrze w kajucie było gęste jak syrop.

Wstałem i nieco chwiejnie powlokłem się do zbrojowni. Ze stojaków przy ścianie wybrałem właściwą na tę okazję broń. Zatrzasnąłem na przedramieniu klamry phobosa, sprawdziłem ładowność komór, przyjrzałem się prowadnicy - wszystko mechanicznie, bez udziału świadomości.

Wykolebałem się na zewnątrz. Zimny powiew wiatru przywrócił mnie do rzeczywistości. Kiedy z powrotem dotarłem nad krawędź urwiska, kontrolowałem równowagę na tyle, by nie spaść. U moich stóp leżała zielona dolina. Idiotyczny kaprys natury. Żywy wrzód na martwej planecie. Na skraju drzew, pięćset metrów od skalnego urwiska, stał kontener mieszkalny. Codzienna porcja prochów, żarcia i witamin. Codzienny datek na rzecz bolesnej i długiej śmierci.

Za horyzontem kryła się Ti-Dejanira, a wschodziła Eltenera.

Przerzuciłem celowniki phobosa na podczerwień. Ustawiłem wiązkę na rażenie ciągłe. Spokojnie, płynnym ruchem uniosłem broń na wysokość oczu, bez trudu odnalazłem czerwoną plamę zasobnika energetycznego - na przecięciu nitek celowniczych. Nacisnąłem spust. Dom na skraju lasu rozgorzał oślepiającym blaskiem. Biały płomień już bez mojego udziału przeskoczył na najbliższe drzewa i przy akompaniamencie trzasku pękających pni pognał w głąb kotliny. Pozory życia ginęły w ognistej pożodze. Rdzawy pył radośnie tańczył wokół mnie. Wracała równowaga. Martwe to martwe - bez niedomowień.

Zawróciłem w stronę scoptera.

\*\*\*

*...A jeśli przyjdzie taka chwila, że będziesz musiał umrzeć? A jeśli taka chwila przyjdzie?...*

\*\*\*

Niedobitki buntowniczych wojsk w sennym marszu pokonywały ciasne uliczki Anteniwy. Kierując się na zachód, przeszły przez Byczy Targ, most na rzece Soar i dalej traktem omijającym bagna pociągnęły w stronę majaczących na horyzoncie Gór Pumeksowych.

Awangardę Armii Sprzymierzonych tworzyła Legia Bojowników. Kiedyś niepokonani w walce, teraz - jak i ich dowódca Dunbar - obdarci, wymizerowani, z twarzami, na których nawet gruba warstwa kurzu nie mogła ukryć grymasu gorczy. Obok wlokły się niedobitki

oddziałów Eoli z Krainy Uschniętych Drzew. Plemię dumne, wręcz butne, dzisiaj wlokąc się ze zwieszonymi głowami, zapomniało o strachu, jaki zawsze towarzyszył ich wrogom. Trzonem ponurego pochodu straceńców była dywizja Dwana Deboraha Keene - wodza Armii Sprzymierzonych, banity ściganego przez panów Eltenery. Pochód zamykał Sargon - ten, który poderwał północną grań - i dwóch Yeomenów: Mayal Ojciec i Nayal Syn. Wiedli za sobą Niskich Ludzi dosiadających wciąż jeszcze nienasyconych krwią muflonów.

Szli na ostatnią walkę, ale próżno by szukać w ich twarzach uniesienia. Nie wyglądali nawet na przekonanych o słuszności sprawy. Wolno, ze złowieszczą determinacją wlekli wychudzone ciała na miejsce ostatniej potyczki. Nieubłaganie dążyli na miejsce spoczynku...

Dwan Deborah Keene w pełnym rynsztunku bojowym jechał z twarzą spokojną i pełną smutku. Zmęczonym ruchem ocierał pot z czoła, z trudem pokonywał bezwład opadających powiek, oddychał ciężko. Próbował zwilżyć językiem spieczone wargi.

Po trzech kwadrach szpice przedniej straży Dunbara dotarły do rozwidlenia traktu. Północna odnoga skręcała ku górze w stronę ruin osady Detmold, południowa zaś łagodnie opadała, przechodząc w zielone łąki niziny Redmore. W dole widać było rozłożony w zakolu rzeki obóz Kongregarda Umberta elPassy - jednego z trzech panów Białego Oficjum. Dwan Deborah Keene pragnął wyminąć pozycje Umberta i dotrzeć do wyżej położonego miejsca zwanego Górą Czarownic. Na miejscu musiał jednak zostawić część swoich wojsk, by ubezpieczały tyły.

Lee Harper podszedł do Dwana. Spieczonymi ustami poprosił:

- Dasz znać, jak będzie z wami koniec. Nie chcę jako jedyny przeżyć tej bitwy...

Uzyskawszy potwierdzenie, odwrócił się i chrapliwie wydając komendy, zaczął przygotowywać stanowiska do walki.

Było południe, może nawet później. Zwiadowcy donieśli, że główne siły Białego Oficjum zeszły już z traktu na Terrę i teraz zmierzają przez Bramy Sępów ku równinie Redmore. Dwaj Kongregardzi na czele armii liczącej dwanaście tysięcy głów szybkim marszem zmierzali na spotkanie dwutysięcznej garstki buntowników. Nim Ti-Dejanira przebyła dwunastą część nieboskłonu, Mayal Ojciec dostrzegł ich na wschodnich krańcach Wydmowych Piargów. Wojska, zboczywszy nieco z drogi do Góry Czarownic, znalazły dogodne miejsce na rozbiście obozu.

Okolica, gdzie stanęły obie armie, była sfalowana, pocięta wstęgami starych traktów i prawie zupełnie ogołocona z drzew. Wokół rozsznanych jak piegi pagórków rozpościerały się trzęsawiska Itaru. Najwyższym, a zarazem centralnym punktem terenu była Góra Czarownic. Północny stok kończył się u podnóża szerokim pasem mokradeł. Jedyłą drogą na szczyt,

gdzie okopywała się już Armia Sprzymierzonych, pozostawała łagodnie opadająca na wschód płaszczyzna - dokładnie na wprost obozu Białego Oficjum.

Legia Bojowników rozpoczęła przygotowania do bitwy. Dunbar uformował szyk, którym niczym wielki łuk drzewcem skierowany był na wschód. Z ostatnich tarcz energetycznych utworzono osłony.

Dwan Deborah Keene wydawał rozkazy suchym, świszczącym głosem. Próbował zmęczone oblicze przybrać w uśmiech, pokrzepiać swoich ludzi, klepiąc ich po plecach, okazać troskę choćby drobnym gestem. Niepotrzebnie. Wiedzieli, że nadchodzi śmierć. Dla wszystkich. Ufali Dwanowi, chyba nawet na swój sposób kochali go. Nikt nie miał żalu. W świadomości, przywalone brudem, zmęczeniem i rezygnacją, tkwiło zadowolenie, że oto nareszcie umrą. Śmierć oznaczała wolność.

\*\*\*

- Dokowanie kwadrat C dwa, zachodni sektor.

Pierwszy głos od trzech lat - żywy. Chciałem odpowiedzieć jakoś uroczyście, ale zamiast tego wykrztusiłem tylko:

- Okay, dobry człowieku...

Nie wiem, czemu użyłem tych dwóch wyrazów. Przekora? Na Garbusie, w osadach Zalden-Nori, nikt nigdy nie był dobry. A człowieczeństwo... Roześmiałem się, chociaż wcale nie było mi wesoło. Updown bez mojej pomocy posadził scopter w oznaczonym kwadracie. Uszkodzony statecznik dawał boczne wychylenie, więc zdrowo uderzyłem w betonową płytę. Zdziwiająco, że pomyślałem o konieczności naprawy - normalnie, konkretnie, jak wiele lat temu. Nie spodobało mi się to.

Kłapa wjazdu odpadła ze zgrzytem. Na kilka sekund oślepnę, nim oczy przywykły do widoku lądowiska, hangarów, kilku przydokowanych maszyn i... biegnącego w moją stronę mężczyzny.

- Wynocha! - usłyszałem wrzask, nim zdążył wyhamować.

Zeskoczyłem z trapu. Wyciągnąłem dłoń. Trzeba było się przywitać.

- Zabieraj tego rupiecia i spierdalaj! - Stał zasapany. - Won! I to już!

Wyciągniętą dłonią zdusiłem mu krtań, przerywając dalszą część powitania. Przez chwilę miotał się rozpaczliwie, a później już tylko coraz bardziej wytrzeszczał oczy. Dziwnie, nie wyglądałem chyba aż tak źle.

- Zajmiesz się remontem tej maszyny - nie musiałem mu pokazywać, której - natychmiast. Zrozumiałeś?

Histerycznie pokonując wiotczące mięśnie, pokiwał głową na znak zgody.

Rozluźniłem dłoń, pozwalając mu złapać haust powietrza. Należał chyba do tego gatunku ludzi, którzy każdy oddech zamieniają na słowa.

- Ale ten kwadrat należy do wielbego Ibira Mustafy Kali... - Przynajmniej ton wypowiedzi się zmienił. - Zaraz powinien tu być, więc gdyby pan zwolnił miejsce, to ja zaraz w następnej kolejności...

Jakby na potwierdzenie w blasku Ti-Dejaniry zamigotała sylwetka luksusowego chopera. Opuszczał się na płytę lądowiska niczym pajak po niewidzialnej nici. Obserwując to cudo wykonujące przyziemienie bez najmniejszego hałasu, mogłem zrozumieć gniew dobrego człowieka. Mój scoper przypominał ropuchę, która choćby diabli wiedzą ile razy całowana, nie miała szansy zamienić się w takie księżęce cacuszko.

- Pan Mustafa - dobry człowiek użył imienia jak zaklęcia, które miało przypomnieć mi o hierarchii - to naczelnik klanu Kali... - Obserwował wyraz mojej twarzy.

Ja obserwowałem małego pękatego właściciela chopera idącego w naszą stronę. Poruszał się z ociężałością właściwą grubasom, choć starał się wyglądać dostojnie. Twarz o nisko zwieszonych krzaczastych brwiach, skryte pod nimi małe zimne oczy, policzki niczym u buldoga - to oblicze znamionowało okrucieństwo.

- Bądź pozdrowiony, czcigodny Mustafo. - Dobry człowiek zgiął się w pokornym ukłonie.

- C dwa jest zajęty. - Wnosząc z głosu, naczelnik Kali był eunuchem.

Krótką kwestia wystarczyła, żeby zarządca doków odzyskał odwagę i wiarę w obowiązujący ład.

- Ten żebrak - nie zadał sobie trudu wskazania mnie ręką - zajął go bez pozwolenia i chce natychmiastowego remontu!

Wzrok naczelnika niechętnie przesunął się po mojej twarzy.

- Wiesz, kim jestem? - nie silił się nawet na podniesienie głosu.

- Wiem - odparłem, odpinając od uda phobosa. Kciukiem wrzuciłem wiązkę kompensacyjną i strzeliłem z biodra. Piękny choper pięknie wystrzelił w powietrze przy akompaniamencie pięknego huku i pięknych płomieni. Szlag trafił księcia, a na płycie pozostała tylko pozbawiona marzeń żaba. - Gościem, który może sobie wyremontować co najwyżej jaja.

Pulchne łapy ruszyły na spotkanie mojej szyi, ale nie poczułem ich lepkiego dotyku. Poznał... i zadygotał niczym galareta, nie wiedząc, co począć z wyciągniętymi rękami.

- Tak, Mustafa, zmartwychwstałem - odpowiedziałem na pytanie rybich oczu. - A nasz rachunek jest wciąż nieuregulowany...

Właściciel doków stał niczym posąg, nie rozumiejąc, dlaczego naczelnik klanu Kali trzęsie się ze strachu przed obszarpanym przybłądą.

- Dwa dni - przypomniałem mu, odwracając się i ruszając w stronę osady.

\*\*\*

Była druga po południu czasu europejskiego. Nad Paryżem niebo zasnuły bure chmury, z których padał mokry szary śnieg. W dzielnicy biznesowej hulał wiatr, bijąc o betonowo-szklane ściany zjonizowanym pyłem. Temperatura skakała, a lokalne zmiany ciśnienia rodziły gwałtowne zawirowania. Jak na początek grudnia pogoda była całkiem znośna.

Od placu Tivoli mknął komfortowy vagon. Wyminął podobne do górskich kryształów budynki Union Banku, przeskoczył nad żaglami biurowców King's Power i mijając leżącą głęboko w dole wieżę Eiffla, zaparkował na jednej z kondygnacji wysokościowca Korporacji Handlu.

Kolejna błyskawica uderzyła w pochłaniacz. Nagły poryw powietrza wściekle zaatakował przezroczystą ścianę, jakby chciał dostać się do ciepłego, przytulnego wnętrza.

Właśnie z cichym tchnieniem rozchyliły się drzwi wagonu. Z obitego skórą wnętrza wyszło czterech członków zarządu Korporacji.

Zza ażurowego biurka podniosła się młoda kobieta i kołysząc biodrami, podeszła do obitych mahoniem drzwi windy. Szybkim spojrzeniem zlustrowała szczegóły swojego ubioru, obciągnęła spódniczkę, dłonią odrzuciła falę blond włosów i z twarzą przybraną w zawodowy szeroki uśmiech czekała na przybycie mocodawców.

Magnetyczny mechanizm bezgłośnie rozsunał płyty lśniącego drewna, a na poziom konferencyjny wkroczyli dyskutujący mężczyźni.

- Witam panów... - Jej słowa przerwały rozmowę. - Sala jest przygotowana, komplet materiałów na biurku, zimny bufet i napoje czekają, czy podać coś gorącego? - wyrecytowała jednym tchem, nie przestając się uśmiechać.

- Dziękuję, Vivian - odpowiedział starszy łysiejący jegomość o dobrotliwym wyrazie twarzy. - Czy nasz klient już przybył?

- Tak, jest w salonie, podałam mu wszystko, czego sobie życzył.

- Doskonale, moja droga, doskonale... - Starszy mężczyzna pocierał brodę. - Czy puściłaś mu optogram z ofertą?

- Oczywiście.

- Jesteś niezastąpiona, Vivian, daj nam pięć minut i przyślij go do sali konferencyjnej.

Nie czekając na odpowiedź, ruszyli korytarzem, odgłos ich kroków utonął w puszystym dywanie. Kobieta chwilę porządkowała biurko, na którym i tak panował wzorowy ład, a

potem ruszyła w przeciwną stronę.

- Panowie - powiedział łysiejący mężczyzna, zamykając drzwi sali konferencyjnej. - Nasz dzisiejszy klient jest przedstawicielem Izby Reprezentantów Areopagu Starych Kontynentów. To bardzo wpływowy polityk, dlatego, Borys - odwrócił się do blondyna, który właśnie sięgał po butelkę - chciałbym, żebyś za bardzo nie windował ceny...

- Jak zawsze przesadzasz. - Borys nalał sobie solidną porcję. - Zostało nam kilka atrakcyjnych propozycji, a ty byś najchętniej rozdawał je za darmo. Nie wiem, czy Laromma pochwała taki punkt widzenia. Mam rację, Delbort?

- Zostawcie sprzeczki. - Wysoki dobrze zbudowany mężczyzna rozsiadł się w fotelu. - Na Eltenerze za chwilę będzie po buncie, więc nie sądzę, żebyśmy mieli problemy ze świeżym towarem... Myślę nawet, że kilka ofert będzie najwyższej klasy, ale nie przesadzaj z ceną, to rzeczywiście wpływowy człowiek. Co chcesz mu zaproponować?

- Myślałem nad namiestnikiem Wielkiego Rowu Tektonicznego. - Borys przypalił cygaretkę i zaciągając się aromatycznym dymem, dokończył: - Dwa dni temu został stracony na rozkaz Rodryga Ort de Saintre. Do następnego rejsu Olimpu powinien już mieć Kwiat Pamięci... Ale mam na namiestnika tak bogatego kupca, że zapłaci każdą cenę, nie chcę oddawać go za darmo!

- Jedno drugiemu nie przeszkadza - wtrącił niski pękaty jegomość. - Nasz klient chce być na Eltenerze nie dłużej niż trzy miesiące, czyli przy zmianie czasu... będziesz miał go za...

- Za dziewięć dni - zniecierpliwiony Borys wpadł mu w słowo. - Andrew, naucz się wreszcie liczyć, dzielenie przez dziesięć nie jest takie trudne!

- No właśnie. - Niski człowieczek wcale się nie spieszył. - Plus czas, by Kwiat Pamięci zakwitł w głowie namiestnika. To daje dwa tygodnie, przesuń swojego klienta.

- Już dwa razy to robiłem. - Blondyn zgasił cygaretkę w porcelanowej popielniczce. - Chciał lecieć w poprzedniej wyprawie, ale oczywiście ważniejszy był minister. Coraz mniej przypomina to interes, a coraz więcej biuro podróży dla polityków!

Rozległo się pukanie do drzwi. Po chwili otwarły się ciężkie skrzydła i sekretarka zaanonsowała przedstawiciela Izby Reprezentantów.

\*\*\*

Dzielnica Sankt Juli nie zmieniła się przez te trzy lata. Ten sam kompleks obskurnych nor wtopiony w okrytą pyłem kotlinę, te same podjazdy, po których spacerowały półnagie kobiety ściągnięte z Eltenery, te same zwyczaje. Nie odpowiedziałem na żaden z prowokujących uśmiechów, ale dwóch ciemnoskórych osiłków postanowiło nakłonić mnie do



głębszego zastanowienia. Powitałem ich uniesioną dłonią i hasłem, które zawsze tutaj respektowano: - w interesach.

Dziewczyny pogasiły uśmiechy, a chłopcy z filozoficznym spokojem wrócili do podpierania muru. Dla nich był to marny początek nocy, dla mnie informacja, że wszystko w Zal-den-Nori toczy się po staremu.

U Maxa było tłoczno. W dusznym ciemnym pomieszczeniu każdego wieczoru zbierała się cała kartoteka Trybunału Wigilii. Kiedyś lubiłem tu bywać. Nigdzie tak szybko nie znajdowało się kandydatów do parszywej roboty. Wystarczyło trochę wódki, jedna dobra bijatyka i już miało się najemników.

Wymijając oblepione hałaśliwym towarzystwem stoliki, przepchnąłem się do baru. Gdzieś dostrzegałem znajome twarze. Reagowały zdziwieniem graniczącym wręcz ze strachem. Nigdy nie cieszyłem się dobrą opinią, a teraz jeszcze wracałem z zaświatów.

Któryś z bardziej lękliwych gości zwolnił mi stołek przy barze. Usiadłem. Wzrok z rozkoszą skakał po etykietach butelek. Przywołałem barmankę.

- Co? - zapytała.

- Scotch Egberts - podtrzymałem konwersację.

- Ile? - była równie uprzejma.

- Butelkę.

Odwrociła się i sięgnęła na górną półkę. Minispódniczka bardzo wdzięcznie podjechała do góry, odsłaniając skąpe majtki, pełne pośladki i pas do pończoch.

- Sześć pięćdziesiąt.

- Jeszcze nie skończyłem. - Musiałem ją złapać za ramię, bo ruszała już dalej. - Chciałbym pogadać z Maxem.

Obrzuciła mnie nieufnym spojrzeniem.

- A bo co? - nie starała się ukryć niechęci.

- A bo Esco wrócił, księżniczko.

Dziewczyna uśmiechnęła się sztywno. Pewnie zastanawiała się, w której kieszeni mam emblemat Wigilii.

- Nie ma - ucięła rozmowę. - I nie wiadomo, kiedy będzie!

- Dobrze. - Ścisnąłem pulchne ramię nieco mocniej. - Ale skontaktuj się z nim i powtórz moje słowa.

Udając, że niewiele ją to obeszło, dalej kręciła się za barem. Nie przejmowałem się - takie były zwyczaje w Sankt Juli. Trzeba czekać. Nalałem scotcha. Ambrozja. Szklankę do ust, przechylić głowę, przełknąć, wydech - czynności powtarzać do osiągnięcia błogostanu.

Po drugiej kolejce hałas w knajpie już tak nie drażnił. Zapite gęby też.

- Melon jestem. - Kompan z boku wyciągnął łapę.

Jeszcze chwilę wcześniej nie dałbym mu szansy.

- Esco.

- Może byśmy się napili - zaproponował.

- Może byśmy.

Nalał aż po brzegi i nie czekając, jednym haustem opróżnił swoje naczynie. Poszedłem za jego przykładem. Na chwilę odebrało mi dech. Spojrzałem na etykietę butelki - pił stronga. Mało kto dawał radę temu parszywstwu.

- No to jeszcze po jednym - bąknął i równie szybko napelnił i opróżnił szklankę.

Hałas na sali wzmógł się. Odwróciłem głowę, żeby zlokalizować przyczynę. Narkowitz, facet o mięśniach troglodyty i mózgu kury. Nie lubiłem go, mimo że kilka razy pracował dla mnie. Zawsze miał za długi ozór. Mielił nim bez udziału nielicznych szarych komórek. Szykował się dym - tego byłem pewny.

Tymczasem dziewczyna zza baru trafiła wreszcie do niszy łącznikowej. Wnosząc z tajemniczej miny, rozmawiała z Maxem. Uśmiechnąłem się do własnych myśli. Palcem dotknąłem blizny rozcinającej policzek od oka aż do żuchwy. Dziewczyna odwróciła się i obrzuciła mnie uważnym spojrzeniem.

- Tak, tak - kiwała głową.

Pocziwy Max był ostrożny. Wiadomość nie należała do wiarygodnych. Dobrze, że na twarzy nosiłem identyfikator. Dziewczyna skończywszy połączenie, ruszyła w moją stronę. Jej mina wyrażała: „Ach, nie wiedziałam, ale serce drgnęło mi już w pierwszej chwili...”.

- Ach, nie wiedziałam... - zaczęła i umilkła zdziwiona moim śmiechem.

- Dobrze, księżniczko, znam resztę. Kiedy będzie?

- Za pół godziny. - Patrzyła na mnie tak, że zacząłem się zastanawiać, co Max jej nagadał. - Jeśli czegoś potrzeba, jestem gotowa... - zawiesiła głos obiecująco.

- Zapamiętam, teraz podaj butelkę.

- Jesteś ustawiony - z melancholią skwitował Melon. - Goszczę tu od niedawna, nie miałem przyjemności...

- Lepiej dla ciebie. Polej.

- Skoro cię znają - napelnił szklanki - musisz być niezłym sukinsynem. - Wypiłem w oczekiwaniu puenty. - Nie miałbyś dla mnie pracy?

- Szukam ludzi, Melon, ale ciesz się, że nie ciebie... I na przyszłość uważaj, co mówisz. Taka rada gratis.

- Rozumiem - pokiwał głową, ale wyraz jego twarzy przeczył słowom.

Był świeży, to się czuło od razu. Czas spędzony na Garbusie zmienia jak więzienie - można określić, ile dokładnie ktoś już tu siedzi. A Melon nie poznał jeszcze nawet zasad odsiadki. W pustych wylupiastych, wyglądających niczym owoce renklody oczach trudno było znaleźć ślady uczuć, ale ton głosu i ruch zdradzały obecność robala. Musiał gryźć faceta cholernie mocno.

- Co porabiasz w tych stronach? - Właściwie gównu obchodziła mnie odpowiedź, ale do przyjścia Maxa było trochę czasu. - Interesy, przygoda, prawo czy podróż zdrowotna?

- Słyszałem, że na Garbusie umiera się najszybciej...

- I co?

- Spokojna planetka - smutno pokręcił głową.

- Ano spokojna - zgodziłem się.

Narkowicz rozpoczął przedstawienie. Miało skończyć się bójką. Potrzebny był tylko chętny. Wiedziałem, że zacznie obrażać wszystkich. Wiedziałem, że znajdzie się idiota, który go nie zna. Wiedziałem, że ten idiota zaryzykuje walkę. Dziwiłem się tylko, że Narkowicz wciąż żyje.

- Niech szlag trafi was wszystkich! - darł się ochryple. - Jesteście śmierdzące gnojki! Zastrachane sukinsyny! Uduście się we własnym gównie i nikt nawet nie splunie na wasze groby! - Stał chwiejnie, tocząc po sali wściekłym spojrzeniem. - Tchórze! Na Ziemi wasze kobiety rzną się z prawdziwymi facetami!

Dotąd nigdy nie tykał kobiet. Taki durny temat tabu. Mógł obrażać każdego, mógł nawet pluć i rzucać gównem, ale kobiety...

Melon drgnął. Przez moment chciałem go powstrzymać. No cóż, każdy dźwiga własny krzyż. Wylupiaste oczy nie były już puste, z całą pewnością nie... Leniwie szedł w kierunku stolika Narkowicza. Mocno stawiał stopy, rozglądał się, spokojnie kontrolując otoczenie, nieznacznie kołysał rękami. Jego ciałem sterował wewnętrzny nakaz o takiej sile, że tylko śmierć mogłaby przerwać rytm wolno odmierzanych kroków.

Gdyby nie te kobiety... Mało mnie interesował wybór Melona, choć na mój gust mierzył za wysoko. Czułem, jak rozżarzony pręt wkłuwają się w mózg słowami: wasze kobiety rzną się z prawdziwymi facetami, wasze kobiety rzną się, rzną się, rzną się...

*Kochany.*

*Przerażające są minuty, tykanie sekundnika. Cisza. Psychiczny ból, fizyczny niebyt... Nie mogę, nie umiem, nie znajdę spokoju. Coraz mocniej pragnę... zapomnieć... Gdybym nie kochała... Tak pragnę, tak potrzebuję. Umieram pod ciężarem wspomnień... Poświęcę*

*cokolwiek, oddam wszystko, żebyś już był ze mną.*

*Kocham.*

*Twoja Lara.*

Melon stanął przed Narkowiczem. Sięgał mu zaledwie do ramienia, był też węższy w barach. Gwar ucichł. Znalazł się idiota. Żałowano tylko, że walka będzie krótka, a jej wynik z góry przesądzony. Nie ma po co nawet robić zakładów, bo nikt nie postawi na durnia, który na przeciwnika musi patrzeć z dołu.

- Myślę, że taki impotent jak ty nie ma pojęcia o kobietach - padł tekst, a absolutna cisza była świadectwem niedowierzania.

- Co? - Narkowicz myślał wyjątkowo wolno.

- Mówię - spokojnie rozwinął Melon - że żadna kobieta nie rozchyłała dla ciebie nóg, bo nie było po co.

No to się zacznij. Szkoda gadać. Lepiej wziąć głęboki oddech, przygotować mięśnie, zaplanować uderzenie. Bez zbędnych gestów, bez emocji, bez nerwów. Gdyby nie te kobiety... Przygotowałem się do skoku. Starannie wybrałem obiekt. Kompan Narkowicza - wielkie chłopisko z byczym karkiem - nieznacznie przesunął się za plecy Melona. Przylepiłem wzrok do odsłoniętej krtani osiłka.

Narkowicz skoczył z potężnym impetem. Sierpowy o cal minął twarz Melona. W absolutnej ciszy wyraźnie dało się słyszeć świst rozcinanego powietrza. Zrobiłem pierwszy ruch, ale było to tylko drgnięcie... Nic więcej. Koniec.

Sięgnąłem po butelkę, nalałem, wypłem duszkiem. A potem wróciłem spojrzeniem do sceny, która wciąż trwała, choć była już przeszłością. Patrzyli wszyscy. Obaj przeciwnicy stali naprzeciwko siebie niczym kamienne figury. W brzuchu Narkowicza niknęła ręka Melona. Koszula wokół niej zakwitła czerwienią. Sekundy nie mijały.

Ktoś zaczął rzygać. Melon cofnął dłoń, czerwoną dłoń... Narkowicz zwałił się na ziemię, łamiąc stół i przewracając krzesła. Już nie nazwie naszych kobiet dziwkami. Przeholował. Cholernie przeholował. Po raz ostatni.

- A teraz?! - Melon krzyknął w moją stronę. - Znajdziesz dla mnie robotę?

- Nie szukam pracowników - wzruszyłem ramionami.

Pokiwał głową, odtrącił stojącego przy drzwiach mężczyznę i wyszedł przez nikogo nie zatrzymywany. Jeszcze jeden szalenięc w Zal-den-Nori. Poczułem pragnienie. Odwróciłem się, by przywołać barmankę, ale mój wzrok napotkał uśmiechnięte oblicze Maxa.

- Witaj w domu, Esco.

- Znasz tego człowieka? - Ruchem głowy wskazałem wrota, za którymi zniknął Melon.

- Od niedawna u nas. Nazywają go Zbawicielem Kotów. - Gestem przywołał dwóch mężczyzn. - Uprzątnijcie Narkowitza - polecił i wracając do mnie spojrzeniem, wyszeptał: - Esco, człowieku, co się z tobą działo? Musimy pogadać, Jezu, myśleliśmy, że Ditlev cię dopadł i od dawna gryziesz ziemię. Chodź na zaplecze, mam tyle ważnych informacji.

\*\*\*

Przedstawiciel Izby Reprezentantów - niewysoki chudy mężczyzna o szklanym spojrzeniu krótkowidza - siedział na skraju fotela, jakby wrodzona skromność nie pozwalała mu wygodnie utonąć w siedzisku, i niewidzącym spojrzeniem błędził po twarzach członków zarządu Korporacji Handlu.

- Kilku rzeczy w państwa ofercie nie rozumiem - wydukał speszonym głosem. - Mam dostać w Rezerwacie ciało po jakimś nieboszczyku?... - Urwał, jakby wstydząc się swojej ignorancji.

- To nie do końca tak... - Delbort uśmiechnął się jowialnie. - Borys, wytłumacz naszemu gościowi proces tworzenia Łazarzy.

- Gdy w Rezerwacie na Eltenerze ginie któryś z humanoidów, zaczyna się proces obumierania jego mózgu. Po jakichś dziesięciu dniach tamtejszego czasu powstaje Kwiat Pamięci, który jest czymś na kształt formy przejściowej między życiem a całkowitą śmiercią. - Borys zrobił pauzę sprawdzając, czy przedstawiciel Izby Reprezentantów nadąża za jego wywodem. Tamten bezradnie wzruszył ramionami.

- Jakoś tego nie rozumiem...

- Jeżeli umrze pan na Ziemi, to jeszcze jakiś czas potem będą panu rosły paznokcie i włosy - Borys wyglądał na zniecierpliwionego - mimo że jest już pan całkowicie martwy! No więc na Eltenerze coś takiego dzieje się z mózgiem.

- Aha - wystękał chudzielec.

- W warunkach Rezerwatu taki Kwiat Pamięci utrzymuje się nawet do stu lat, oczywiście licząc według czasu Eltenery. - Borys przypalił sobie cygaretkę. - Są w nim zmagazynowane doświadczenia z całego życia nieboszczyka. O ile mi wiadomo, próbował już pan nektaru z Kwiatów Pamięci?

- Tak, wspaniale przeżycie - potwierdził gorliwie klient. - Jakby się było tą osobą...

- No właśnie - podchwycił skwapliwie Borys. - Teraz proszę sobie wyobrazić, że z tego Kwiatu Pamięci bierzemy kod genetyczny, hodujemy klona i całą pamięć z nektaru, który pan zażył, razem z pańską świadomością transferujemy w ciało tak ożywionego humanoida z Rezerwatu... Jest pan teraz nim, z całym bagażem wspomnień jego życia, z jego ciałem z dnia śmierci i ze swoją świadomością. Czy to jest zrozumiałe?

- Ale klonowanie jest zabronione, to niestabilny proces, następuje niekontrolowane starzenie się... - Przedstawiciel Izby Reprezentantów wydukał prawie przepaszająco.

Delbort widząc zdenerwowanie Borysa, uznał za stosowne wytłumaczyć resztę.

- Zabroniono go tylko na Ziemi, to po pierwsze. Po drugie, sklonowane ciało starzeje się gwałtownie do momentu śmierci, później ten proces przebiega już zgodnie z zegarem biologicznym. Dlatego zaczyna pan żyć w Rezerwacie od chwili śmierci pańskiego dawcy. Klonowanie odbywa się na naszym statku w układzie Ti-Dejaniry, zatem nie łamiemy ziemskich zakazów. Jedyne, co jest nielegalne, to naruszenie strefy Rezerwatu i dlatego nasza umowa całą odpowiedzialność w razie ujawnienia transferu przerzuca na Korporację Handlu. Powrót z wakacji następuje w chwili, kiedy zginie pan na Eltenerze. Ciało humanoida zostaje tam, a pańska świadomość wraca do ciała pozostawionego na Ziemi. Proste, czyste i bezpieczne. Jeszcze jakieś pytania?

- Na Eltenerze czas płynie dziesięć razy szybciej niż tu?

- Tak. - Borys uspokoił się już na tyle, by na powrót podjąć się roli wykładowcy. - Jeśli wykupi pan wakacje na rok, to w tym czasie w Rezerwacie przeżyje pan dziesięć lat. Oczywiście jeśli da się pan tam zabić wcześniej, świadomość wróci do ciała niemal w tej samej chwili, pański wypoczynek będzie krótszy, a my nie przyjmujemy reklamacji. Wszystkie szczegóły zostały zawarte w kontrakcie. Zainteresowany?

- Naturalnie! - Chudzielec poderwał się z fotela. - Gdzie mam podpisać?

- Formalności dopełni pan w sekretariacie - uśmiechnął się Delbort, wskazując drzwi.

Trzymając klamkę, przedstawiciel Izby Reprezentantów odwrócił się w stronę członków zarządu i lekko drżącym głosem zapytał:

- Jeszcze tylko jedno... Co wolno mi robić w Rezerwacie?...

- Wszystko! - odpowiedział zdecydowanie Delbort.

Kiedy za gościem zamknęły się drzwi, Borys ciężko opadł na fotel.

- Co za palant - wysapał.

- Wpływowy i zamożny palant - dodał milcząco dotąd Delaney. - A od dzisiaj klient Korporacji Handlu.

- Cyrograf podpisany, panowie, można już swobodnie zionąć siarką - roześmiał się Borys, sięgając po kolejną cygaretkę.

\*\*\*

*...Niebył nie istniał wtedy...*

*...Ani był nie istniał...*

Srebrny krąg Ti-Dejaniry rósł i potężniał, by wreszcie, muśnięty ostatnim pocałunkiem

oceanu, ruszyć w mozolną drogę po ciemnogrnatowej materii nieba. Szmerliwe fale uderzyły w brzeg i jakby przestraszone dotykem piasku na powrót schroniły się w toni. Wilgotny ślad morza sunął coraz dalej, płasające krople padały na piasek, sięgając aż do stóp kamiennego monumentu. Jakby broniąc granicy żywiołów, trwał tutaj posąg wyniesiony ponad otoczenie, obojętny na pieśń fal i szum drzew. Stał tu od tak dawna, że wiatr, deszcz i ocean nadkruszyły szarą bryłę, poznały siatką pęknięć doskonały kształt, zatarły dumne rysy twarzy.

Fragment ramienia odpadł od posągu i ciężko upadł w wilgotny piach.

Efram - stroiciel Woorga - oderwał wzrok od pulpity kontroli obrazu. Przez moment pozwolił dłoniom zsuwać się bezwładnie po gładzi konsoli. Na pociągłej twarzy stroiciela wykwitł chłopiący uśmiech.

- Aido - wyszeptał ze śpiewnym akcentem. - Chcę, byś zatańczyła dla mnie promienny sen Eltenery...

Chwilę siedział w absolutnym milczeniu.

- Zatańcz, Aido - wolno podciągnął potencjometry blend.

Wnętrze kabiny zalały potoki srebrzystego blasku. Na tle wschodzącej Ti-Dejaniry, skąpana w oleście lśniących falach, pojawiła się kobieta. We włosach splecionych mgiełką wilgoci igrały promienie gasnących gwiazd. Patrzyła na Eframa, a rozchylone usta zdawały się mówić: chodź, dotknij mnie, będziemy wirowali razem...

Kiedy obraz kobiety rozplątał się w martwej szklanej tafli, stroiciel z pasją uderzył w głowicę czytnika. Niestety ekran pozostał czarny, więc bił w niego zaciśniętymi do bólu pięściami, krzycząc histerycznie:

- Dlaczego nie zatrzymujesz jej obrazu?! Znowu brak zapisu! Musisz to widzieć tak, jak ja widzę! Niech cię szlag!

Wściekle szarpnął dźwignią alarmu i nie czekając na rozpoczęcie procedury bezpieczeństwa, wyrwał się z łupiny fotela. W drodze do wyjścia rzucił ostatnie spojrzenie na szklaną płytę, ale tafla odbiła tylko jego wykrzywione złością oblicze.

Platforma wezwana suchym rozkazem cicho zatrzymała się i równie cicho ruszyła w głąb szybu. Efram zjeżdżał na poziom seneleptorów, gdzie w chitynowych kokonach oczekiwali Łazarze: uczestnicy programu Eltenera.

Nienawidził tego miejsca. Nie cierpiał mdłosłodkiego odoru pleśni obrastającej ściany i posadzkę, nie znosił oparów fermentujących drożdży, wilgoci tamującej oddech, półmroku zabarwionego jedynie zieloną poświatą organicznej brei, w której kołysały się skorupy seneleptorów. A nade wszystko nienawidził świadomości, że pomieszczenie żyje w symbiozie z ludźmi zamkniętymi w pływających kokonach. To było odrażające - ciała

rosnące w tak szybkim tempie, organizmy wytwarzające tkankę z wszechobecnego grzyba, twarze wygrzebane z niebytu po to, by młodość gościła na nich tylko przez chwilę...

Drąc butami puszysty dywan pleśni, Efram podszedł do krawędzi basenu. Tłuste bąble właśnie pękały wokół chitynowych skorup. Rozpoczął się proces witalizacji. Półprzezroczyste trumny wolno wypływały na powierzchnię kleistej mazi, a strzelające z głuchym młasnieniem pęcherze uwalniały powietrze skażone smrodem siarkowodoru.

- Pora wstawać! - Efram zaśmiał się bez cienia radości. - Ty z prawej - czule zwrócił się do jednej ze skorup - ty wrócisz...

Przez chitynowy kokon widać było zarys postaci śpiącego mężczyzny. Stroiciel niemalże z namaszczeniem wycelował zabijak. Krótki trzask wiązki niszczącej utonął w kozuchach pleśni. Nie było nawet błysku - owalna trumna przekrzywiwszy się na bok, opadła na dno basenu.

\*\*\*

*Kochany, nigdy nie myślałam, że będzie mi tak ciężko bez Ciebie. Najgorsze są noce, bezsenne, kiedy boję się i tak pragnę mieć Cię obok, słuchać bicia Twojego serca. Wracaj, kochany, proszę... Przepraszam, znam przecież warunki kontraktu: trzy lata. Przedwczoraj znowu byłam u Carla Fuentesy, tego przyjaciela Pauli, który umiera... Pomimo całego bogactwa, całej władzy nie może wygrać z chorobą... Kochany, ja wiem, że nie wolno Ci pisać, ale rozumiesz, jak ja się boję? Wiem, jak Ci ciężko. Spotkałam człowieka, który odbył trzyletni kontrakt w Wigilii. Nawet nie chciał słyszeć nazwy waszej jednostki...*

*Czekam, kochany - Lara.*

\*\*\*

Noc była ładna.

- Noc jest cholernie ładna! - wrzeszczał Ditlev, stojąc przed szeregiem. - Ale wy jesteście cholernie brzydcy! Powtórzyc!

- Noc jest cholernie ładna, ale my jesteśmy cholernie brzydcy! - odpowiedział chór zmęczonych głosów.

- Źle, jeszcze raz!

- Noc jest cholernie ładna, ale my jesteśmy cholernie brzydcy!

- Jeszcze raz!

- Noc jest...

- Będziecie to powtarzać! Aż będzie dobrze! Albo padniecie! Jutro tak samo! Bez jedzenia! Bez snu! Aż do skutku! Noc jest cholernie ładna! Powtórzyc!

- Noc jest cholernie ładna! Ale my jesteśmy cholernie brzydcy!



- Jeszcze raz!

- Odwal się!!!

Sanchez. Dwutygodniowy rekrut. Trup. Dla niego noc przestała być cholernie ładna, zgasły gwiazdy, a podmuch wiatru zmroził do szpiku kości. Co za różnica? Miał już wyrok śmierci. Nikt się nie zdziwił, bo Sanchez nie był pierwszy, nikt nie odetchnął z ulgą, bo nie był ostatni.

- Wystąp, durniu!

- Wypchaj się!

Biedny Sanchez dygotał jak w febrze, kurczowo zaciśnięte palce wyglądały niczym szpony drapieżnego ptaka, z kącika ust ciekła strużka śliny.

Dwaj żołnierze z szeregu chwycili go za ramiona i pchnęli pod nogi uśmiechniętego sierżanta.

- Wy dwaj - rzucił Ditlev - w nagrodę godzina snu. Odmaszerować! Reszta ćwiczy dalej! A ty, chłopcze - ściszył głos do złowróbnego szeptu - zawiodłeś mnie już drugi raz... Zmarnowałeś pieniądze podatników, jesteś bezużytecznym buble. Smutna wieść dla Areopagu, smutna dla mnie, ale najsmutniejsza dla ciebie...

- Wypchaj się!

- Spróbujemy trochę tych zmarnowanych pieniędzy odzyskać... - ciągnął cicho z tym samym złośliwym uśmiechem. - Znam nawet Wigili, którzy ci pomogą...

Cicho zakląłem. To mogło oznaczać tylko jedno: pościg za lisem. Znaleźć, osaczyć, zlikwidować. Ulubione ćwiczenie sierżanta. Polowanie na jakiegoś dzieciaka, który był na tyle głupi, że podpisał kontrakt, i na tyle słaby, że nie dotrzymał jego warunków. Z jednym magazynkiem, sam przeciwko sforcie uzbrojonych po zęby żołnierzy, jego niedawnych kumpli, takich samych durni, którzy się sprzedali.

- Zostały mi tylko trzy miesiące, nie podlegam szkoleniu - odpowiedziałem na nieme pytanie Ditleva i prawie w tej samej sekundzie zrozumiałem, że nie o pościg za lisem chodzi.

- A kto, Esco, mówi o szkoleniu? - Był górą, więc słowa padały w tonacji ojcowskich pouczeń. - Ja też znam regulamin, dlatego dla ukochanego dziecka wymyśliłem lepszą zabawę, dużo lepszą...

Poczułem mrowienie w palcach. Omal się na niego nie rzuciłem.

- Noc jest cholernie ładna! - radośnie rozkrzyczał się Ditlev. - Ale my jesteśmy cholernie brzydcy! Powtórzyć!

- Noc jest cholernie ładna, ale my jesteśmy cholernie brzydcy!

- Jeszcze raz!

Głos sierżanta cichł, łamał się, zmieniał w szmer słów ulatujących z wielu krtani...

Chór kornie zgiętych braminów powtarzał słowa niezrozumiałej pieśni.

*...Niebyt nie istniał wtedy ani byt nie istniał*

*...Nie było też przestrzeni i nieba u góry...*

Z ponurego kręgu podniosła się wiotka postać i jakby pchnięta tchnieniem innych osiadła przed obliczem wiekowego starca.

- Aido, czy przyniosłaś owoc drzewa nugrowego? - Bezzębne usta rozchyliły się na tyle, by mogły ulecieć z nich słowa.

- Przyniosłam, Panie.

- Rozłam go.

- Rozłamałam, Panie.

- Co widzisz?

- Małeńkie ziarenko, Panie.

- Rozkrusz je.

- Rozkruszyłam, Panie.

- Co teraz widzisz?

- Nic, Panie.

- Córkmo moja - padały słowa, choć usta starca były nieruchome - to, czego nie dostrzegasz, jest właśnie istotą i w tej istocie tkwi byt potężnego drzewa nugrowego.

- Dziękuję, Panie.

- Co z tobą?

*...Niebyt nie istniał wtedy ani byt nie istniał*

*...Nie było też przestrzeni i nieba u góry...*

- Co z tobą?!

*...Niebyt nie istniał...*

- Co z tobą, Escó?! Obudź się!

Poczułem szarpnięcie za ramię. Uniosłem powieki. Z wolna, niczym podczas przełomu dnia i nocy, obraz braminów bladł, a jego miejsce zajął pochylony nade mną mężczyzna. Słyszałem jego głos dziwnie słabo, jakby dochodził z za grubej kotary.

- Escó, zasłabłeś?!

Spróbowałem poruszyć zdrętwiałą ręką. Cholerny paraliż wrócił - razem z urojeniami. Wziąłem kilka głębokich oddechów, a potem wbiłem zęby w nadgarstek. Ból był prawdziwy.

- To nic, Max, taka pamiątka, wspomnienia - wykrztusiłem, pokonując bezwład lewej strony twarzy.

- Niedobrze, chłopie, całkiem niedobrze - miał zatroskaną minę. - Myślałem, że przynajmniej tobie się udało.

Bezwład minął, gniew nie.

- Jeszcze się nie żegnam ze światem - wycedziłem ze złością.

- Jasne, Esco, tylko że długo cię nie było... Od tego czasu szaleństwo spod Sondorry stało się śmiertelne. Nikt nie ginie tak szybko jak ci, którzy tam byli. I tak efektownie... - Ostatnie słowa zabrzmiały niepokojąco.

- Bert? - zapytałem.

- Nikt nie wie.

- Stary Lou?

- Nie żyje.

- Mystery?

- Nie żyje.

- Tobacco Ptasznik?

- Różne są wersje.

- Skiddy Frank, Emerson, Szybki?

- Nie miałem żadnych wieści, ale mówi się, że nie żyją. - Pokiwał smutno głową. - I wielu innych, Esco, wielu innych...

- Kto jest na górze? - Spodziewałem się odpowiedzi, ale musiałem zadać to pytanie.

- Laromma - patrzył uważnie, szukając na mojej twarzy śladów emocji. - Teraz to już jest Korporacja. Kiedy zniknąłeś, przejęła twoje udziały i zdobyła całkowitą kontrolę nad handlem Kwiatami Pamięci. Nikt bez jej zgody nie ma wstępu na Eltenerę, a opornych Wigilia likwiduje szybko i skutecznie. Polowania ostatnio stały się bardzo popularne. Aha, teraz na czele Wigilii stoi Kurt Ditlev, Laromma wyniosła go na stanowisko Kap Don Andera.

- Pamiętam Ditleva. - Staralem się nadać słowom swobodne brzmienie, ale fałszywe nuty słyszałem aż nazbyt wyraźnie. - Wciąż za kurtynami czasowymi?

- Jest coś dziwnego... - Max bębnił palcami po stole, starając się zyskać czas do namysłu. - Ludzie gadają, że już nie chodzi o same Kwiaty Pamięci... Podobno na Eltenerze martwi... zmartwychwstają... - wykrztusił ostatnie słowa, jakby nie wierząc w to, co mówi.

Ja wierzyłem. Pamiętałem słowa Larommy: „Eltenera jest miejscem, w którym można kupić nieśmiertelność - za pieniądze, jakich nie jesteś sobie w stanie wyobrazić. Słodkich snów, Esco, twój czas minął...”.

Z trudem zapanowałem nad konwulsyjnym grymasem twarzy.

- Widzę, Esco, że wciąż cię trzyma - rzucił Max ojcowiskim tonem. - Uważaj, Larommy boją się tu bardziej niż ciebie.

- Max, nie wróciłem, by zmienić miejsce wiecznego spoczynku! - Słowa zabrzmiały nienaturalnie ostro. - Znasz jakieś szczegóły tych zmartwychwstań?

- Mogę tylko powtórzyć to, o czym szepczą ludzie przy barze. - Max wzruszył ramionami. - Ponoć za ogromne pieniądze można kupić sobie już nie tylko Kwiat Pamięci, ale też ciało... Łazarze powstają na statku Korporacji Handlu, ludzie mówią, że martwi z Rezerwatu na Eltenerze odradzają się, tylko że w ich ciałach jest już ktoś inny... Powstał też nowy bóg... Woorg... On pilnuje nowego ładu na Eltenerze i opiekuje się Łazarzami. - Uśmiechnął się przepaszająco. - Nie traktowałbym tego serio, wiesz, jakie bzdury gadają czasem goście po wódce.

Ja traktowałem to serio. Zbyt dobrze pamiętałem Sondorrę, zbyt dobrze pamiętałem Rodryga Ort de Saintre, zbyt dobrze pamiętałem ironiczny uśmiech Larommy.

- Jak teraz wygląda handel Kwiatami Pamięci?

- Kongregacja Białego Oficjum zawarła pakt z Larommą. Nie ma już wolnych przemytników. Jak któryś próbuje, ginie albo na Eltenerze, albo tutaj...

- Nie powiedziałaś, co z Sanchezem...

- Nie pytałeś... - Max splunął pod nogi, dłuższą chwilę myślał ze zwieszoną głową, a kiedy ją podniósł, miał spojrzenie starego, zmęczonego człowieka. - Sanchez jest w Zal-den-Nori. Powiedz mi tylko, dlaczego włączysz znowu w to gówno? Raz nie wystarczy?

- Sam mówiłeś, że szaleństwo spod Sondorry stało się śmiertelne, więc co za różnica?

- Esco, tobie chodzi o nią, prawda? Nie odpuszczisz...

- Nie, Max, nie odpuszczę! - Nie chciałem go oszukiwać. - Znasz mnie... Gdzie znajdę Sancheza?

- Proponowałem ci kiedyś wspólne prowadzenie tej budy, oferta jest aktualna. - Max chyba nie wierzył, że jego słowa przyniosą efekt. - Gdybyś widział odchodzącego Skiddy'ego Franka. Śmiech pusty brał. Pieprzył o misji, że jest ostatni, że nie zdążyłeś ani ty, ani Bert, ani nikt inny. Gadał tak przez godzinę, a później zachwycony własną przemową wziął trochę zarcia, broń i poleciał na Eltenerę. Do dzisiaj nie mam od niego żadnej wiadomości... Esco, proszę, zostaw Larommę, może i ona zostawi ciebie...

- Gdzie znajdę Sancheza? - powtórzyłem z uporem.

- Głupi sukinsyn jesteś - poddał się Max. - Ukrywa się na Mont Endzie, próbuj we wschodniej ścianie dziurowców. Rozpytaj o gminę Czycieli Jaźni.

- Czy Sanchez?...

- Sam zobaczysz, ale wątpię, żeby ci się do czegokolwiek przydał. Ma na karku polowanie, a poza tym... - zawiesił głos.

- Max - położyłem mu dłoń na ramieniu - ja muszę go znaleźć.

- Ostrzegałem... Sanchez przywłókł zarazę spod Sondorry, jak wy wszyscy... U niego jednak przebiega inaczej, nie panuje już nad sobą. Nie, nie... - żywo zaprzeczył. - To nie takie proste. Robi dziwne rzeczy, ale jest normalny. Cholera! Tego nie można opowiedzieć. Sam zobaczysz, jak go znajdziesz.

- Muszę, Max.

- Więc nie rozstawaj się z phobosem. Nigdy!

\*\*\*

- Tu Olimp. Rozpoczęta rewitalizacja uczestników programu Eltenera. Cornelia Manecke: stan fizyczny w normie. Stan psychiczny: silne pobudzenie erotyczne, dominujące dążenie do zaspokojenia popędu seksualnego. Wskazania: opóźnienie programu, seans modyfikacyjny.

- Żadnych odstępstw od programu. Włócz w jej świadomość, ile trzeba, ale żadnych zmian w czasie.

- Zrozumiałem. Umberto Rossi: w normie. Wielebny Alhier Theodor... Stan fizyczny: przerwana witalizacja, śmierć kliniczna. Stan psychiczny: proces przeniesienia świadomości zakończony. Test wykazuje pełną gotowość.

- Co powiedziałaś, Olimp?! Alhier nie żyje?!

- Jest w stanie śmierci klinicznej.

- A co na to stroiciel Efram?!

- Słucha muzyki.

- Olimp, melduj szczegółowo!

- Wymontował z pionu rekreacyjnego blok foniczny i zwał z komputerem sterowni. Uszkodził awaryjne kodery, odciął automatykę grodzi, dwa rotrony przestroił na taniec.

- Powtórz!

- Dwa rotrony tańczą „Jezioro łabędzie” według wskazówek stroiciela Eframa. W tej chwili mam podgląd na obraz zalotów.

- Zablokuj systemy funkcyjne sterowni! Odizoluj od reszty pomieszczeń. Natychmiast!

- Niewykonalne. Zerwane połączenie z procesorem tej strefy.

- Olimp, wyłącz zasilanie sektora!

- Niewykonalne. Przy procedurze alarmowej konieczność przerwania programu Eltenera.

- Niech to szlag trafi! Poślij roboty i niech go wywloką ze sterowni!
- Niewykonalne. Całe przedpole strefy zaminowane. Straciłem cztery maszyny.
- Skurwysyn! Olimp, przygotuj się na przyjęcie nowego człowieka. Nie wciągaj go do ewidencji.
- Przyjęto.

\*\*\*

Wybuch mnemotycznego jaja rozerwał część wzgórza. Płaty darni leniwie się uniosły, a później brunatnym gradem runęły na głowy Niskich Ludzi. Tumany pyłu przysłoniły widok najbliższej okolicy. Bitwa została rozpoczęta.

Dwan przygięty ruszył w stronę okopanych polowych ripperów. Stalowe maszyny otaczali Bojownicy. Dwa szrapnele, jeden po drugim, uderzyły w martwe pole wizyjne. Symulatory działały bez zarzutu.

Dwieście metrów niżej liczba pocisków była tak duża, że doszło do osiągnięcia masy krytycznej. Rąbnięto jak wszyscy diabli. Z dziury w stoku podciśnienie ssało piach i rozdmuchiwało go w szalony wir. Z trąby powietrznej bluznęły błyskawice.

Nie zwracając uwagi na poparzoną skórę, Dwan Deborah Keene wychylił się zza pancerza rippera i szybkim spojrzeniem zlustrował pozycje swoich wojsk. Na prawym skrzydle, gdzie uderzyło mnemotyczne jajo, fala zapomnienia obezwładniła Niskich Ludzi z zewnętrznego okopu. W oddali za pierwszy szereg Kongregardów wypełzły larwy i zaczęły wkopywać się w ziemię.

- Dunbar! - krzyknął Dwan do fonika. - Puścili robale! Zaraz pošlę do ciebie kogoś z lokalizatorem ich pozycji!

Powiódł wzrokiem po leżących w okopie ludziach. Słyszeli rozmowę. Żaden nie wyglądał na zachwyconego perspektywą bieganina po odsłoniętym terenie, ale też żaden nie unikał wzroku dowódcy. Czekali.

- Trzeba pójść, więc może ja... - Z ziemi podniósł się olbrzym Bert: kiedyś przemytnik Escobara, teraz najemnik buntowniczej armii. Przez strzępy kombinezonu przebijały zwały mięśni obleczonych posiniaczoną skórą.

- Więc może ty... - powtórzył Dwan w zamyśleniu, po czym szybko, jakby w obawie o trwałość decyzji Berta, zaczął tłumaczyć: - Pójdiesz wzdłuż tych muld - wskazał kilkunastocentymetrowe garby - aż do stanowiska Mayala Ojca. Jakies pięćdziesiąt metrów na lewo, prawie przy samych tarczach, stoi za szańcem transporter. Powiesz obsłudze, że przysyłam cię po lokalizator robali. Zapamiętasz? Lokalizator...

- Wystarczy - przerwał Bert. - Nie mam zamiaru wracać z pytaniem o tę cholerną

nazwę.

- Później będzie najtrudniejszy odcinek, całkowicie odsłonięty. Tam jest największy ostrzał - jakby na potwierdzenie tych słów dał się słyszeć huk tantronowych szyszek. - Jeśli uda ci się dotrzeć do rowu łącznikowego, będziesz bezpieczny. Odszukasz Dunbara i dasz mu lokalizator. Nie musisz wracać, możesz zostać z Bojownikami. Wszystko jasne?

- Całkowicie.

- Powodzenia.

Bert nieśpiesznie odłożył lancę wibracyjną, odpiął klamry zabijaka, pieczołowicie zawinął w brudną szmatę i ułożył na ziemi swój drasser. Przeciągnąwszy się, aż mu zatrzeszczało w stawach, bezwiednym ruchem przygładził krótkie włosy.

Kiedy zniknął za grzbietem obwałowania, jego towarzysze podczołgali się do krawędzi okopu. Bert - schylony tak, że dłońmi prawie dotykał ziemi - biegł długimi susami. Przypominał zwierzę, które klucząc, stara się uniknąć pogoni. Kiedy przenikliwy gwizd zwiastował nadlatujące pociski, padał w niewielkie bruzdy, szukając wśród nich osłony. Nie upłynęła chwila, jak zniknął za szanćcem opasującym stanowisko transportera. Jęk ulgi przetoczył się po okopie.

Dwan Deborah Keene przeniósł spojrzenie na pozycje Białego Oficjum. Tam, gdzie nizina Redmore przechodziła w garby pierwszych wzniesień, Kongregard Uttu Uttugen przegrupowywał swój Gwiazdzisty Korpus, posuwając się ostrożnie w kierunku Góry Czarownic. Drugi z Kongregardów - Rodryg Ort de Saintre - na czele Hufca Herbowego trwał na dawnym miejscu, odcinając buntowników od drogi na wschód.

W okopie podniosła się wrzawa. Keene spojrzał poza obwałowanie. Bert skulony szykował się do biegu. Z tej odległości lokalizator zawieszony na jego plecach wyglądał jak garb. Chwila była odpowiednia. Kanonada trochę przycichła.

Bert wyskoczył zza nasypu i pognął w stronę rowu łącznikowego. Nawet nie próbował się schylać, całą siłę wkładając w szaleńczy bieg. Odcinek nie był długi, zaledwie kilkadziesiąt metrów, ale dla Berta - aż kilkadziesiąt metrów. Wszyscy buntownicy widzieli, jak dopadł rowu; odetchnęli, rozluźnili napięte mięśnie. Ale Bert nie skoczył w głąb otworu. Odwrócił się do nich i z uśmiechem na pokrytej kurzem twarzy wyciągnął kciuk w geście zwycięstwa. Patrzyli zachłannie, czuli się dumni...

Niezapowiedziany ostrzegawczym świstem szrapnel eksplodował kilkanaście metrów obok niego. Zwykły pocisk, zwykły wybuch, zwykły gejzer ziemi - nic specjalnie groźnego. Dlatego nie rozumieli, czemu Bert osuwa się na ziemię, a ręka z wyciągniętym kciukiem wolno opada wzdłuż ciała.

Bert miał rozszarpaną klatkę piersiową. Odłamek szrapnela zerwał skórę, ściał mięśnie, połamał żebra, odsłonił wciąż unoszone oddechem sinoszare płuca. Krew barwiła jasną czerwienią strzępy kombinezonu, spływała, wsiąkając w spieczoną ziemię. Bert wciąż żył. Przy każdym oddechu na ustach osiadała mu czerwona piana. Szeroko otwartymi oczami patrzył na krąg Ti-Dejaniry.

Uderzenie niemal zakolebało ziemię. Chwilę później oślepiająco jaskrawy blask zalał całe wzniesienie. Ogromna termiczna węzownica rozplatała się niczym nierealna zjawka utkana z płomieni. Osłona pękła jak bańka mydlana i tylko strzępy uwolnionej energii jeszcze przez moment wirowały w obłądnych skrętach. Od strony węzownicy nadciągnął przenikliwy gwizd.

Dwan odruchowo zasłonił uszy. Zmusił się do odblokowania wjazdu rippera i wyjścia na zewnątrz.

- Próźniowce! Odpalcie próźniowce!

Za wszelką cenę próbował pokonać opór drętwiejącego ciała.

- Dwan, nie mamy próźniowców... - Nie od razu zwrócił uwagę na głos. - Co robić?! Nie mamy próźniowców! Odezwij się!

Z trudem obrócił głowę. Za nim, nie dalej jak metr, klęczał człowiek.

- Nie mamy próźniowców, Dwan, nie mamy...

- Tuleje paliwowe - prawie załkał Keene. - Trzeba zebrać z ripperów tuleje...

Szara sylwetka podczołgała się do maszyny, przy której leżał. Ręka wskazała na zasobniki paliwowe.

- Tak, tuleje... - Keene dopiero teraz rozpoznał Tobacco Ptasznika.

Na czworakach obeszli pancierz rippera. W kieszenie kombinezonów upchali wypełnione paliwem walce i poczołgali się na krawędź wykopu. Dwan rozdał Bojownikom tuleje.

- Rzucajcie jak najbliżej splotów! - starał się przekrzyczeć huk rosnącej węzownicy.

Jasność stawała się nie do zniesienia. Prześwietlała na wylot, wypalała im siatkówki. Każdy haust powietrza wlewał w płuca rozżarzony płynny ołów.

Resztkami sił Dwan rzucił walec w stronę szalejącego blasku. Zanim tuleja dotknęła ziemi, Tobacco złożył się do strzału i odpalił lancę wibracyjną. W tej samej sekundzie eksplozja paliwa na moment wytworzyła próżnię, która zmusiła gorejące sploty do gwałtownego cofnięcia się. Inni Bojownicy poszli za przykładem dowódcy. Poleciały kolejne walce, a wzdłuż krawędzi okopu rozgorzała kanonada. Płomienne ramiona węzownicy pozbawione tlenu gasły jak zdmuchiwane świece.



Od wschodu ze złowieszczym gwizdem nadleciały kartacznice. Mordercza kawalkada, nie napotkawszy osłony, uderzyła w szańce. Płaty ziemi uniosły się jakby uwolnione od praw ciężenia. Wybuchy gruchotały nasypy obronne. Wokoło padał rześisty deszcz odłamków.

- No, pora na mnie... - wyszeptał Ptasznik, z zastanowieniem patrząc na swoje dłonie.

Nikt go nie usłyszał. Ciche słowa zginęły w huku eksplozji, trzasku repetowanej broni, w zgiełku.

Szedł wolno i swobodnie, niczym po bezpiecznej łące. Żadnym gestem nie okazał strachu, choć zewsząd padały kartacznice, tantronowe szyszki, pociski kumulacyjne. Wichura stalowych odłamków mierzwiła mu włosy, targała strzępami kombinezonu, ale Ptasznik kroczył obojętny, jakby już na zawsze uwolniony od obaw przed śmiercią...

Dwan bez trudu odgadł cel, ku któremu zmierzał żołnierz. Nad brzegiem rowu komunikacyjnego leżał Bert. Odslonięte płuca wciąż jeszcze falowały, wciąż jeszcze patrzył na zachodzącą Ti-Dejanirę. Mimo potopu ognia i stali, wciąż jeszcze żył...

Aż wreszcie stanął nad nim ten, którego zawsze nazywał przyjacielem - mały Tobacco Ptasznik. Wyciągnąwszy spod pleców Berta lokalizator, ułożył olbrzyma wygodnie. Przez chwilę szeptał do konającego, uspokajająco gładząc jego czoło. Potem podniósł się z klęczek i wolno odpiął drasser. Z namaszczeniem przyłożył wylot lufy do skroni przyjaciela i nacisnął spust. Ciałem Berta targnął raptowny skurcz, a później był już tylko spokój człowieka, któremu nareszcie udało się uciec...

Ptasznik dźwignął z ziemi lokalizator i nie oglądając się, zeskoczył do rowu.

Gorejąca węzownica dokonała żywota. Dwan pognał do rippera, by zawiadomić Dunbara o gotowości do odbudowania osłony. Kiedy dopadł fonika, musiał najpierw wysłuchać ochryplego wrzasku.

- Jest tam ktoś?! Zgłoście się, do diabła! Pieprzyć to wszystko! Co mówisz, Nayal?! Gdzie? Siódmy okop?! Weź kilku Niskich i skocz tam od razu. Wiem, że cholerne mnemotyczne jajo jeszcze nie przycichło! Musisz! Zakoduj im atak! Piekielny fonik! Wzywam kogokolwiek, cholera!

Keene wyczekawszy, aż Sargon umilknie dla zaczerpnięcia oddechu, wpadł mu w słowo.

- Czego potrzebujesz? Krótko!

- Nareszcie! Krótko? Krótko, a nawet bardzo krótko, to my tu pożyjemy! Gdzie, do diabła, są kurtyny osłonowe?! Człowieku, tutaj kartacznice walą w leje po poprzednich, bo nie ma skrawka całej ziemi!

- Zaraz będzie osłona. Coś jeszcze?

- Połowa mojej kohorty nie wie, jak się nazywa! Totalna amnezja, a jajo wciąż na chodzie! Ganiamy i kodujemy atak, więc chcieliby już mordować Kongregardów. Muflony dostały szału. Istne piekło! Nie dam rady utrzymać w ryzach zwariowanych zwierząt, ogłupiałych Niskich, pieprzonych Yeomenów. Jeżeli nie ruszymy wkrótce, to nie ruszymy nigdy!

- Czekaj na rozkazy! - Dwan był zbyt zmęczony nawet na ostry ton.

- Do diabła!

Obok niego stał Tobacco. Wrócił. Oprócz kilku zadrapań nie miał żadnych śladów, jakby właśnie nie przeszedł przez sam środek piekła.

- Jak tam u nich?

- Jeszcze gorzej niż u nas... Strasznie. Za pół godziny, jeżeli nic się nie zmieni, pozycje Legii Bojowników przestaną istnieć. Mają tak zjonizowane powietrze, że zabijają się nawzajem iskrami z własnych ciał. Pociski kumulacyjne dojdą do masy krytycznej lada moment, poziom puchu wzrósł do metra, więc nie ma ratunku dla tych, którzy omdleją. Tam są tylko żywi albo martwi. Ani jednego rannego... - Dwan wywołał Dunbara. - Ile jeszcze wytrzymasz?

- Do śmierci - padła spokojna odpowiedź - oczywiście jeśli będę musiał dalej siedzieć w tych norach. Na co czekamy?...

- Na ruch Kongregardów! Inaczej nie przejdziemy przez ich zapory.

- Rozumiem, choć już od kilkunastu sekund obserwuję pochód Hufca Herbowego Rodryga Ort de Saintre...

Dwan skoczył do wizjera.

Zaczęło się...

\*\*\*

Wystarczył dzień, bym wpadł na ślad Czycieli Jaźni i Sancheza. Rzeczywiście, musiała go dopaść zaraza spod Sondorry, inaczej by nie siedział w tych wszawych dziurowcach. Miał dosyć kasy, od biedy mógł nawet próbować wrócić na Ziemię. Wybrał Czycieli - czyli zgłupiał.

Zaraz za kurtyną wejściową trafiłem na niewielki przedsionek, z którego jedne schody prowadziły do kondygnacji nadziemnych, a drugie - metalowe - biegły w dół na poziomy gospodarcze. Chwilę kombinowałem, gdzie Sanchez się ukrył. Podziemia tworzyły fantastyczny labirynt. Kilkadziesiąt łączników, wyjść awaryjnych, szybów wentylacyjnych i ciśnieniowych dawało prawie nieograniczone możliwości ucieczki. Ruszyłem w dół, ale zatrzymałem się po kilku stopniach. Jeśli Sanchez był w dziurowcu, to miejscem, gdzie

należało szukać, była najwyższa kondygnacja. Z czasów kiedy pracował w kopalni, został mu uraz, ponoć tylko cud uratował go z zawału. Potem unikał miejsc, gdzie coś mu wisiało nad głową...

W połowie drogi przystanąłem na jednym ze spoczników. „Nie rozstawaj się z phobosem” - wspomniałem słowa Maxa. Klamry na przedramieniu trzymały dobrze, magazynek był pełny, automatyka zdawała się bez zarzutu. Ustawiłem broń na słabą wiązkę. Nie chciałem zabijać... Na razie.

Na przedostatniej kondygnacji z wolniłem kroku. Z góry dobiegał kobiecy głos. Ostrożnie pokonywałem każdy stopień, próbując poprzez szum tętniącej krwi wychwycić sens słów.

*...Niebył nie istniał wtedy ani byt nie istniał...*

*...Gdy wszystko było jednym bez cech oceanem...*

Kolbą phobosa zawadziłem o pręty barierki. Po pustym korytarzu poniosło się metaliczne echo. Pobiegłem do wrót na ostatni poziom. Gnałem popędzany świadomością, że na miejscu mogę już nikogo nie zastać. Minąłem najwyższy spocznik i uderzywszy ramieniem na wpół przymknięte drzwi, wpadłem do środka.

W pierwszej chwili pomyślałem, że oślepiłem. W pomieszczeniu panowały nieprzeniknione ciemności. Poczułem się całkowicie bezbronny. Wytężałem wzrok. Daremnie. Upływały sekundy, a ja czekałem na atak. Nie nadszedł. Wolno, po omacku ruszyłem przed siebie. Lewa dłoń napotkała ścianę. Po jakimś czasie czerń straciła swoją idealną głębię, a ja mogłem oderwać się od chropowatego betonu. Po paru metrach stanąłem w progu sali przypominającej wnętrze grobowca. Do diabła, na środku naprawdę była trumna otoczona płonącymi świecami, a dookoła niej stało kilkanaście krzyży, na których wisiały nagie ciała...

Wszystko było martwe, milczące. Tylko upiorne cienie figur wiszących na krzyżach tańczyły na ścianach w rytm muzyki płonących świec. Zrobiło mi się duszno. Krzyknąłem, by zagłuszyć wewnętrzny niepokój.

- Sanchez, gnoju, przyszedłem po ciebie!

- Przyszedłem po ciebie! - Echo przyniosło odpowiedź i rozbawione moją głupotą odpowiadało dalej: - Po ciebie, ciebie, ciebie...

Poczułem wściekłość. Wspaniale tłumila ponurą atmosferę. Byłem znowu sobą. Sobą?... Esco, stałeś się sobą?... Kim jesteś?...

- Kim jesteś?...

Przedemną stała dziewczyna. Miałem wrażenie, że spotkałem ją już kiedyś...

- Kim jesteś? - powtórzyła, a głos nie wzbudził echa.

Jej rysy nie przypominały żadnej z ras Eltenery, a jednocześnie wykluczały ziemskie pochodzenie. Krótkie granatowoczarne włosy opadały na skronie, idealnie proste brwi odcinały wysokie czoło od dużych ciemnych oczu. Pełne zmysłowe usta jeszcze raz powtórzyły:

- Kim jesteś?

Chciałem ją ominąć, podejść do trumny. Kobieta zastąpiła mi drogę i rozłożywszy ramiona, poprosiła:

- Nie podchodź...

Zerknąłem jednak, by sprawdzić, kto spoczywa w trumnie. Znałem umarlaka doskonale, to był Sanchez.

- Ani kroku! - Dziewczyna zareagowała na mój ruch.

Uderzyłem ją w skroń. Upadła niczym podcięty kwiat - cicho i miękko. Przeszedłem nad leżącą i stanąłem u wezłowia trumny. Któraś z rozpiętych na krzyżach postaci wydała bolesny jęk. Nie minęła chwila, gdy podobną skargę przyniosło z przeciwka. Następne sekundy rodziły kolejne zawodzące głosy, tworząc złowieszczy, ponury chór.

- Nie wznos modlitw, ciemności się nie rozjaśnią - za plecami usłyszałem głos, ale równie dobrze mógł być wytworem mojej wyobraźni. - Daremnie czekasz odpowiedzi od ciszy, bo przemówić nie może. Wyzwolenia szukaj w samym sobie, łaski od bogów nie wyprosisz.

Odwróciłem się bardzo powoli. Byłem pewien, że niczym nie ryzykuję. Te słowa nie brzmiały wrogo.

Patrzyłem na człowieka wyglądającego jak żebrak z dzielnicy Idem. Patrzyłem, nie wierząc w to, co widzę. Nie miał oczu... Włosy spływające z czoła srebrnymi splotami przysłaniały puste oczodoły. Ta twarz przypominała kamienne oblicza boga Eltenery.

- Niech promienie czasu oplotą twoje skronie, wysłanniku przeznaczenia, niech cień nocy ustąpi przed blaskiem dnia, a myśli odnajdą drogę do ciszy, z której wyrasta kamienny monument twojego losu.

Półmrok nieuchwytnie pulsował płomieniami świec, a zda się solidne mury jęły falować i giąć się niczym przedłużenie pełgających cieni. Równocześnie powietrze zamieniało się w lepki, ciężki opar tamujący oddech. Gdzieś - określenie miejsca było niemożliwe - krystalizowały się ulotne kontury owalu. W nieuchwytny sposób, a jednak coraz pełniej, formował się kształt twarzy. Jeszcze umykający zmysłom zarys już odsłaniał pierwsze szczegóły. Pełne oblicze otoczone potokami złotych włosów, łuki brwiowe wypchnięte przed

niskie czoło tak daleko, że nieomal równały się z orlim nosem, puste ciemne oczodoły, mięsiste usta.

- Panie Porządku Rzeczy, Kalu-Czas sprowadził tego, którego szukałeś w gąszczach losu. Stało się, jak chciałeś. Ja, Muni, odchodzę, pod twoją opiekę oddając tego, którego szukałeś.... - rozbrzmiewały słowa ślepcy.

Usłyszałem płacz. Tłumione bezradne łkanie. Znow się odwróciłem. Płakała dziewczyna, na jej skroni siniało wspomnienie mojej pięści.

- Panie, czy ziarno padło na ziemię urodzajną? - zapytała zduszonym, przerywanym przez płacz głosem. - Czy jażń potężnego drzewa ingrowego powstanie z niebytu, by zrodzić owoc?

Spojrzałem na Sancheza. Leżał w trumnie obojętny na wszystko. Nagie postacie na krzyżach nie przestawały zawodzić, dziewczyna płakała, starzec miał zatroskane oblicze... Było kurewsko ponuro. Odpiąłem phobosa i celując w podstawę najbliższego krzyża, strzeliłem wiązką laserową. Nie było huku, promień równo odciął pień, który jeszcze chwilę trzymał równowagę, po czym poleciał na spotkanie betonowej posadzki.

- Neeee! - Krzyk dziewczyny wybrzmiał na sekundę przed upadkiem krzyża.

Zanim opadł pył, strzeliłem do następnego, a potem przestawiłem broń na ładunek paralizujący... Jak należało przypuszczać, dziewczyna rzuciła się na mnie. Nie chciałem kaleczyć ładnego ciała, wiązka obezwładniająca uśpiła ją w połowie skoku. Zawodzenie postaci przestało brzmieć jak wspólna pieśń, zgubiło melodię. Kątem oka dostrzegłem, jak twarz starca traci ostrość konturów, kruszy się i z wolna zaczyna osypywać niczym zwietrzała skała. Jeszcze dwa krzyże posłałem na ziemię, nim oblicze roztopiło się w półmroku pomieszczenia. Pozostały tylko porozpinane na palach sylwetki - ale ich skarga nie niosła już złowieszczej wizji - i pozostał umarłak...

Uniosłem stojącą obok trumny świecę. Powoli przekrzywiłem ją nad twarzą Sancheza i patrzyłem, jak krople wosku kapią mu na czoło. W drugiej ręce trzymałem phobosa, tak na wypadek zmartwychwstania. Kiedy wosk spłynął na opuszczoną powiekę...

Sanchez okazał się niezwykle szybkim trupem. O mały włos przegapiłbym ruch ręki, która jednym płynnym pociągnięciem wyrwała spod całunu drasser. Phobos wbity w oko zatrzymał dłoń w połowie drogi do mojej głowy.

- Sanchez, witamy wśród żywych - roześmiałem się.

- Ty sukinsynu - wycodził mało przyjaźnie.

- Wyrzuć to żelastwo - zaproponowałem - bo twoje zmartwychwstanie będzie bardzo krótkie. - Dla podkreślenia słów mocniej docisnąłem phobosa.

Jęknął z bólu, ale zrozumiał przesłanie. Drasser spadł na podłogę. Pozwoliłem Sanchezowi zetrzeć wosk z czoła i usiąść. Nie wyglądał najlepiej. Wychudzona twarz, skóra jak pergamin, tylko oczy żywe - ogromne, rozbiegane, wypełnione szaleństwem. Zrozumiałem słowa Maxa: zaraza zżerała mózg Sancheza i żadna siła nie mogła już zawrócić go z drogi samozagłady.

- Miałem nadzieję, że nie żyjesz, Esco - sękaty palec nerwowo mięły róg całunu - że nigdy więcej nie będę musiał oglądać twojej wrednej gęby.

- Widzisz, Sanchez, ja natomiast miałem nadzieję, że ty żyjesz... I chyba nie muszę tłumaczyć, dlaczego...

- Nie, nie musisz. Tobie zawsze chodzi tylko o jedno, o pieniądze... - Przez chwilę pogardliwie lustrował moją twarz. - Twoją część przechowuje Stary Lou.

Kolbą phobosa uderzyłem go w kolano. Trzask pękającej rzepki było słychać wyraźnie mimo lamentów wiszących na krzyżach pokutników. Sanchez zawył z bólu. Z oczu popłynęły mu łzy.

- Stary Lou nie żyje - wyszeptałem. - Nie igraj ze mną. Zmieniłem się na gorsze.

- Ty bydlaku! - zaszlochał, trzymając się za kolano. - Ty pierdolony pomyleńcu! Lou nie żyje, ale kasą opiekuje się przełożona jego burdelu, Gloria! Od niej odbierzesz pieniądze! Możesz wziąć nawet moje, draniu, ja ich nie dotknę! Oni tam w Rezerwacie nawet umrzeć nie mogą teraz porządnie! To wszystko przez nas! Przez ciebie, sukinsynu!

Typowe objawy zarazy spod Sondorry - skrupuły. Durny Sanchez wierzył w odkupienie, uznał, że wystarczy tylko wyprzeć się pieniędzy, a miłosierny bóg przyknie oko na wszystkie trupy, wystarczy medytować w trumnie, by wymazać zawartość zapełnionych własnymi rękami innych trumien... Idiota. Czekala go długa agonia, w to nie wątpiłem. I mało prawdopodobne, by na końcu znalazł spokój.

- Wiesz na pewno czy tylko gadasz to, co wszyscy? - Wątpiłem, żeby Sanchez miał lepsze informacje niż Max.

- Pan Porządku Rzeczy władający Jaźnią natchnął mnie wizją - wzniosł rozanielone oblicze.

Rzeczywiście, popierdoliło go kompletnie, ale jeszcze jedna ważna sprawa wymagała wyjaśnienia.

- Sanchez, Żrenice Kurlemu...

- Ja ich nie mam! - odpowiedział bez namysłu.

Spodziewałem się tego. Zanim przebrzmiało echo słów, uderzyłem go w drugie kolano. Tym razem zdążył się lekko odsunąć, ale i tak cios był na tyle bolesny, że wyrwał mu z krtani

ochryply krzyk.

- Żrenice Kurlemu, nie żartuję - jakoś nie współczułem Sanchezowi. Za dobrze pamiętałem Sondorrę, zbyt wyraźnie widziałem go podającego Umbertowi elPassie pozycję naszej kryjówki, zbytnio lubiłem tych, którzy tam wtedy zginęli.

- Nie wiem, co się z nimi stało - płakał. - Ja niosłem pieniądze, a Żrenice Bethold. Miał się przedzierać na płaskowyż Azenhoorn, ja chciałem wracać przez Góry Pumeksowe. Jak mnie złapali Kongregardzi, straciłem z Betholdem kontakt. Nie mam pojęcia, co zrobił ze Żrenicami! - zapewniał żarliwie, ale ja już dawno przestałem wierzyć w szczerze wyznania.

- Sanchez, jeżeli będę musiał, to cię zabiję - tłumaczyłem łagodnie, jakby był upośledzonym dzieckiem. - A wcześniej przejdziesz przez piekło. Znasz mnie, jestem zdolny do wszystkiego. Zastanów się, czy chcesz już teraz połączyć się ze swoją Jaźnią?

- Pocałuj mnie w dupę! - w szalonych oczach dostrzegłem błysk decyzji. Chciał zostać męczennikiem. Dureń.

Zacząłem strzelać do pozostałych krzyży. Krzyk ludzi, huk walących się pali, trzask łamanych kości - to wszystko zlało się w jeden łoskot, który zagłuszył wrzask Sancheza. Udawałem, że nie obchodzi mnie jego otwarte szeroko usta, płuca unoszące się konwulsyjnie, dłonie drące żalobną szatę. Strzelałem, pozwalając mu zrozumieć, że za każdą złą decyzję jest kara.

- Przestań! Esco, sukinsynu, oni są niewinni! Przestań!

Opuściłem broń.

- Zapytam znowu: gdzie są Żrenice Kurlemu?

- Nie wiem, przysięgam - łkał, wznosząc złożone jak do modlitwy dłonie. - Bethold mówił, że ukrył je u płaskonosych, na płaskowyżu Azenhoorn, między Mar-del-Platta a osadą Ingrid Marie. To wszystko, nic więcej nie wiem. Przysięgam!

Za plecami wyczułem ruch. W oczach Sancheza na moment pojawiła się nadzieja - natychmiast ukryta pod opuszczonymi powiekami. Wykonałem błyskawiczny skłon, a ręka z bronią była o ułamek sekundy wolniejsza od wzroku... Na szczęście. Za mną stała dziewczyna, która już dwukrotnie dzisiaj nie miała szczęścia. Dobrze, że trzymałem palec na spuście, nie była uzbrojona, a jej ślamazarne ruchy świadczyły, że jeszcze nie doszła do siebie po wiązce paraliżującej. Złapałem ją za włosy, phobos miękko wsparł się na kształtnej skroni.

- Wiesz, Sanchez, jeszcze jeden trup nie zrobi mi różnicy... - Patrzyłem, jak zmienia się jego twarz. Ta dziewczyna musiała być dla niego kimś ważnym, bo w szalonych oczach pojawiło się coś więcej niż zdziwienie.

- Nie rób jej krzywdy - tym razem prosił, a w głosie wyraźnie słyszałem strach. - Ona o

niczym nie wie...

- Ale ty wiesz, nie każ mi więc czekać!

Zapomniał nawet o bólu. Wpatrywał się we mnie hipnotycznie. Miałem nadzieję, że nie jest na tyle szalony, by z potrzaskanymi kolanami spróbować ataku... Wtedy zabrałby tajemnicę Żrenic Kurlemu do grobu.

- Powiedz mu prawdę. - Spokojny głos dziewczyny zaskoczył mnie, nie rozumiałem, dlaczego w obliczu zagrożenia nie jest ani trochę zdenerwowana. - Jego wybrał Pan Porządku Rzeczy na narzędzie swoje...

Zupełnie nie pojmowałem sensu słów, ale skoro otwierały nowe możliwości...

- Widzisz, Sanchez, jestem wybrańcem - roześmiałem się. - Wykrztuś wreszcie prawdę. - Lufą phobosa uderzyłem dziewczynę w skroń, przywołując na ładne usta bolesny grymas. - Nawet wybrańcy mają ograniczoną cierpliwość.

- Dobrze, Esco, ale odejdziesz i zostawisz nas w spokoju? - Sanchez oklapł, jakby zesza z niego cała złość, nienawiść i wola walki.

- Zależy, co usłyszę...

- Mówiłem już, że Bethold zabrał Żrenice Kurlemu ze sobą...

- Mówiłeś! - ponagliłem go, by nie dać mu czasu na przemyślenie ewentualnych kłamstw.

- Ukrył je tam, gdzie powiedziałem, na płaskowyżu Azenhoorn, pomiędzy Mar-del-Platta a osadą Ingrid Marie.

- Konkrety!

- Nie wiem... - Widząc mój grymas, pośpiesznie dodał: - Nawet Bethold nie znał miejsca ukrycia Żrenic, ale można je odnaleźć...

- Sanchez, przeciągasz strunę! - Zastanawiałem się, jaką bujną próbę mi wcisnąć.

- Bethold bał się, że może wpaść w ręce Kongregardów i że wtedy, na torturach, wyciągną z niego wszystko, wiesz, jakie mają metody...

- Wiem. Do rzeczy.

- No więc wynajął płaskonosego, żeby ukrył je w sobie tylko wiadomym miejscu, a kiedy ten wrócił po zapłatę, zabił go i pochował na Polu Cieni w Ingrid Marie.

Uśmiechnąłem się, to było podobne do Betholda. Nawet gdyby Kongregardzi grzebali mu w świadomości, na pytanie o miejsce ukrycia Żrenic mógł odpowiedzieć tylko: nie wiem. A przecież nikt nie zapyta o grób płaskonosego... Teraz należało odnaleźć nieboszczyka, wydłubać mu z czaszki Kwiat Pamięci i zafundować sobie odlot w jego wspomnienia. Piekielnie cwane rozwiązanie.



- Jak rozpoznać grób?

- Na płycie jest wyryta żmija, taka sama, jaką Bethold miał wytatuowaną na ramieniu.

Dobrze pamiętałem, jak pijany Skiddy Frank bagnetem wykłuwał ją równie zalanemu Betholdowi. Co prawda rysunek przypominał pozwijaną linę, a nie żmiję, ale obaj byli niezwykle dumni ze wspólnego dzieła.

- Jeszcze jedna rzecz, Sanchez. - To pytanie nie dawało mi spokoju. - Dlaczego opowiadasz o Betholdzie w czasie przeszłym?

- Dopadła go Wigilia Ditleva. Podobno na ulicy została z niego tylko plama krwi i strzępy ubrania. Wpadł w zasadzkę...

- A ty zostałeś jedynym żywym powiernikiem tajemnicy Żrenic...

Bał się, ale raczej o dziewczynę niż o konsekwencje wynikające z mojego stwierdzenia.

- Ja nie... Bethold był moim przyjacielem, Escó, ja nawet nie chciałem po nie wracać, nie odebrałem swoich pieniędzy... Zmieniłem się, muszę odpokutować grzechy, nigdy bym...

- Umilkł przygnieciony brzemieniem swojej niewinności.

Pozostawało mi jeszcze tylko sprawdzić dobre intencje nawróconego grzesznika. Dyskretnym ruchem kciuka zmieniłem ustawienie phobosa.

- No cóż, Sanchez, to by było na tyle - powiedziałem wolno, a potem strzeliłem dziewczynie prosto w głowę. Upadła bezgłośnie.

- Ty morderco! - w życiu nie słyszałem takiego wrzasku. - Skurwysynu! Dlaczego?! Przecież powiedziałem prawdę, ty morderco! Zabiję cię!

Naprawdę próbował poderwać się z trumny. Uderzyłem go w pierś, przedramieniem zdusiłem szyję. Miotał się konwulsyjnie, próbując paznokciami sięgnąć mojej twarzy.

- Sanchez, ona żyje, to była wiązka paraliżująca! - krzyknąłem. - Nic jej nie jest, za parę chwil wstanie! Ona żyje, Sanchez!

Sens moich słów zaczął doń docierać - im bardziej je rozumiał, tym bardziej chciał usłyszeć jeszcze raz.

- Ona żyje - powtórzyłem. - Ciebie bym może zabił, bo wciąż pamiętam Sondorrę, ale ona żyje...

Uspokoił się. Patrzył na mnie, teraz już pustym wzrokiem, pragnąc zrozumieć, co się stało.

- Dlaczego do niej strzeliłeś?... - Wyglądał jak bezradne dziecko.

Wykrzywiłem wargi, udając uśmiech.

- W gniewie, Sanchez, ludzie mówią prawdę. Właśnie kupiłeś życie sobie i tej dziewczynie.

\*\*\*

W Paryżu była osiemnasta trzydzieści. Od dwóch godzin Delaney pocił się mocniej niż zazwyczaj. Członek zarządu Korporacji Handlu był poruszony.

- Czy Jean-Claude już się kontaktował? - Po raz kolejny zadał sekretarce to samo pytanie.

- Jeszcze nie - odpowiedziała cierpliwie jak dziecku. - Próbowałam kilka razy, ale ma wyłączony komunikator. Jak tylko pojawi się w zasięgu...

- Dobrze, przygotuj połączenie konferencyjne z Laromną. - Delaney potarł dłonią podbródek i odwracając się do pozostałych członków zarządu, zapytał: - Czy Ditlev powinien uczestniczyć w rozmowie?

Wysoki szpakowaty brunet przecząco pokręcił głową.

- Nie sądzę - powiedział szorstkim zdecydowanym tonem. - Im mniej wie, tym lepiej, płacimy mu dość, żeby robił, co każemy.

- Masz rację, Delbort. Zatem tylko Laromma - uśmiechnął się do sekretarki. - Panowie, zapraszam do sali. - Pierwszy ruszył korytarzem.

Kiedy za mężczyznami zamknęły się drzwi pokoju konferencyjnego, sekretarka wróciła do biurka, ale nie usiadła. Chwilę nasłuchiwała, czy któryś z przełożonych nie wróci, a gdy kontrolki wskazały, że sala została odizolowana, uruchomiła osobisty komunikator.

Ścisząc głos do konspiracyjnego szeptu, rozpoczęła rozmowę.

- Vivian... Czterech członków zarządu jest już na miejscu. Tak, na pewno. Zakodowali salę jak zwykle. Nie jestem w stanie niczego podsłuchać... Tak, będzie wideokonferencja z Laromną, ale to się robi zbyt ryzykowne. - Mimowolnie przygryzła pełne wargi. - System ochronny zarejestruje nagranie! Każde dotknięcie konsoli sekretariatu jest zapisywane, Jean, kiedyś ktoś sprawdzi raporty! - Na chwilę podniosła głos, lecz następne słowa wypowiedziała znowu szeptem. - Wiem, nie musisz mi tego powtarzać... Ale to ja ryzykuję... Jeżeli będą mieli choćby cień podejrzenia... Dobrze, zrobię to, ale pamiętaj o gwarancjach. Nie, dopiero jak stąd wyjdę, wieczorem u mnie... - Zakończyła połączenie.

\*\*\*

Na horyzoncie formowały się zastępy Hufca Herbowego. Osłony obronne rozchyłyły się przed nimi, odsłaniając szpice wojsk Rodryga Ort de Saintre sunące w kierunku Góry Czarownic. Tysiące pik przyozdobionych proporcami tworzyło wielobarwny las. Jednostki ciągnęły się aż do miejsca, gdzie zieleń równiny Redmore przechodziła w brunatne trzęsawiska Itaru.

Zaprzęgi z artylerią gorączkowo rozjeżdżały się na boki. Drugi z decyzerów Białego

Oficjum, Uttu Uttugen, z Gwiazdzystym Korpusem zwinawszy baterie miotaczy, rozpoczął marsz mający odciąć buntownikom drogę do Gór Pumeksowych.

Tysiące hełmów, tarcz, dziurytów, pancerzy otaczało z wolna Górę Czarownic, jak ocean oblewający samotną wyspę, na której garstka buntowników szykowała się na śmierć.

\*\*\*

- Panowie - Andrew rozpoczął spotkanie - mamy poważny kłopot. - Podeszedł do ściany naprzeciwko obitych skórą drzwi. - Ostatni raport Olimpu! - Suchy rozkaz obudził głos i obraz połączenia.

Wszyscy z uwagą wsłuchiwali się w słowa koordynatora i odpowiedź Olimpu. Wraz z upływem czasu na ich twarzach pojawiało się zdziwienie, a im bardziej nieprawdopodobna stawała się dla nich treść zapisu, tym wyraźniej do niedowierzania dołączał strach.

- Wielebny Alhier nie żyje? - Przysadzisty mężczyzna nerwowo poprawił kołnierz ciasno opasujący nabrzmiały czerwony kark. - To kto teraz sprawuje pieczę duchową nad Woorgiem? I co się dzieje z tym pieprzonym stroicielem?!

- Johann, bez nerwów, krzykiem niczego nie załatwimy. - Szpakowaty uspokajająco uniósł otwarte dłonie. Odwrócił się i panując nad głosem na tyle, by zabrzmiał spokojnie, zapytał: - Andrew, jakie szanse ma nasz człowiek, by przejąć Olimp?

- Coraz mniejsze - przez dobrotliwe oblicze przemknął grymas złości. - Ten cholerny Efram oszalał, a jeśli w jego szaleństwie jest metoda... - Zawiesił głos na chwilę. - To, co usłyszeliście, to nie wszystko. Mam jeszcze sprawozdanie sprzed pół godziny. Olimp wylądował na Eltenerze, oto jest przekaz z pokładu...

Czterej mężczyźni w całkowitym milczeniu słuchali suchych komunikatów.

Jeszcze chwilę po zakończeniu nagrania w sali panowała cisza. Pierwszy otrząsnął się Borys.

- Przede wszystkim trzeba zabezpieczyć Olimp - przemówił z lekkim wschodnim akcentem. - Wiem, że bunt na Eltenerze dogasa, ale musimy być pewni... Czy Larommie uda się to załatwić z Kongregardami od razu?

- Masz rację, Borys, trzeba bezzwłocznie powiadomić Larommę. Garbus właśnie wychodzi ze strefy cienia Eltenery, więc najdalej za kwadrans powinniśmy mieć łączność.

- Następnie chciałbym się zapoznać z kartoteką Eframa i tego nowego człowieka, którego posyłamy na Olimp. - Sięgnął po teczkę leżącą przed nim na biurku. - To są wszystkie informacje, jakie mamy.

Zebrani pograżyli się w lekturze. Johann, który pierwszy skończył czytać, odłożył dokumenty i ruszył do barku.

- Muszę się napić - oświadczył, nalewając sobie solidną porcję wódki. - Jeżeli ten pieprzony Efram zwariował i chce wysadzić się razem z Olimpem, to jesteśmy na granicy bankructwa. - Wypił duszkiem i odsapnąwszy jak po wypłynięciu spod wody, jęknął: - Jezu, przecież tam jest prezydent... - Umilkł z twarzą tak czerwoną, jakby zaraz miała eksplodować krwią.

- Nie tylko. - Borys ze złotej papierośnicy wyciągnął jasnobrązową cygaretkę z kościanym inkrustowanym ustnikiem. - Pół biedy, jak uda się cofnąć ich świadomość, ale jeśli...

- Nawet tak nie myśl - przerwał mu szorstko szpakowaty. - Zrobimy co w naszej mocy, by do tego nie dopuścić!

- Z tego, co przeczytałem, wynika, że ten cholerny Efram jest geniuszem nieomal w każdej dziedzinie. - Johann nalał sobie kolejnego drinka. - Jedna rzecz natomiast bardzo mnie zaniepokoiła... Nie miał robionych badań medycznych, i to już od pół roku. Kto jest odpowiedzialny za nadzór nad załogą Olimpu?

- Jean-Claude. Wszystkie raporty końcowe trafiają do niego. Nie mam pojęcia, dlaczego coś tak ważnego umknęło jego uwadze.

- Będzie musiał się z tego wytłumaczyć! - Johann szarpał kołnierz koszuli, jakby się dusił. Wreszcie oderwał guzik i odetchnął głęboko. - Dlaczego nie ma go jeszcze z nami?!

- Od wczoraj jest poza zasięgiem. - Andrew wiercił się na krześle. - w domu nic nie wiedzą, nie zjawił się w stoczni w Karolinie Północnej, żaden z naszych oddziałów nie odnotował jego obecności w ostatnich dniach.

- Rozpłynął się, do cholery?!

- Sekcja kontroli wewnętrznej informowała mnie, że Jean-Claude najprawdopodobniej ma kochankę. Nie interweniowałem, bo to prywatna sprawa. Myślę, że po prostu spędza miło czas i nie pragnie żadnego kontaktu ze światem.

- Boże, czy on się kiedyś zmieni? Cholerny Jean jak zawsze się bawi, a my musimy po nim sprzątać!

- Borys? Na jak długo mamy zakontraktowany ten przerzut?

- Od sześciu do trzydziestu dni, przy czym najkrótszy czas dotyczy prezydenta. Nie chciałbym się dowiedzieć, co robi Gwardia Bezpieczeństwa, jeśli za sześć dni nie wybudzimy go z letargu albo wybudzimy, ale jako roślinę... - Borys wykrzywił usta w ironicznym uśmiechu.

Sygnal inicjacji połączenia przerwał kłopotliwą ciszę.

- Laromma. - Andrew wymienił jej imię, jakby była panaceum na wszystkie problemy. -

Nareszcie jest łączność.

Ekran ożył, ukazując obraz pięknej kobiety. Trudno było powiedzieć, ile ma lat - nie przesądzały tego ani doskonale uformowane policzki, ani jędrne usta, ani rozrzucone w puszystą falę kasztanowe włosy. Wiek kobiety zdradzały tylko oczy... w ich brązowej głębi kryła się siła płynąca z doświadczenia.

- Co się dzieje? - Głos miała miękki, lecz pozbawiony ciepła. - Jestem dosyć zajęta, wynikły pewne problemy... - Krótki opis sytuacji zupełnie jej wystarczył. - Jesteście pewni tego nowego człowieka? Będzie miał w rękach oba klucze do zestrojenia mózgu Woorga.

- Ufamy mu - odpowiedział Andrew. - Zastanawiamy się tylko, czy zlikwiduje Eframa bez nieodwracalnych dla programu strat.

- To akurat nie stanowi problemu - Laromma lekceważąco machnęła wysmukłą dłonią - jeśli wasz człowiek zaraz po wejściu na pokład otworzy grodzie ładunkowe. Poślę Uttu Uttugena z oddziałami do pilnowania statku. W ostateczności odizolują stroiciela, żeby program nie ucierpiał.

- To bardzo ważne - wtrącił Delbort. - Mamy na pokładzie prezydenta. Jeśli coś pójdzie źle, za sześć dni Korporacja przestanie istnieć.

- Grozisz? - uśmiechnęła się złośliwie. - Już zapomniałeś, kto tutaj rządzi? Jeżeli coś pójdzie źle, bójcie się mnie, a nie służb bezpieczeństwa... - w sali konferencyjnej jakby powiało chłodem. - Przez kilka dni nie będzie dostaw Kwiatów Pamięci - zmieniła temat tak szybko, że nie zdążyli zareagować. - Esco wrócił...

- Co?! - wykrztusił Johann.

- Jak to możliwe? - Borys wyciągnął kolejną cygaretkę, wetknął w usta, ale z wrażenia zapomniał przypalić.

- Zmartwychwstał, skurwieli. Sama jestem zdziwiona, okazał się silniejszy, niż myślałam... Dlatego bezpieczniej będzie nie wysyłać Kwiatów Pamięci.

- Ale mamy tyle ważnych zamówień! - Starszy mężczyzna spojrzał na innych. - Właściwie już obiecaliśmy...

- Głupi jesteś, Andrew. - Laromma straciła cierpliwość. - Jeśli historia z Łazarzami ujrzy światło dzienne, nasi klienci wyeliminują nas szybciej niż ława przysięgłych. I nie dyskutuj ze mną, tylko rób, co mówię! Postarajcie się nie spieprzyć przejęcia Olimpu!

- Kiedy wyślesz Kongregardów? - zdążył jeszcze zapytać Delbort.

Gasnący ekran na sekundę ożył przy odpowiedzi:

- Natychmiast!

\*\*\*

Dwan Deborah Keene dał znak. Zabrział sygnał do natarcia. Jego dźwięk obudził pogrążoną w oczekiwaniu Górę Czarownic. Spod ziemi - niczym zastępy martwych powstających z grobów - formowały się oddziały buntowników. Okopy ożyły gorączkowym ruchem; ciszę, jaka nastąpiła wraz z przerwaniem ostrzału artyleryjskiego, wypełniły okrzyki komend. Od krańca do krańca wzniesienia ustawiały się szeregi Armii Sprzymierzonej - armii cieni bez insygniów i strojnych zbroi; armii, która naprzeciw oceanu sił Białego Oficjum była tylko kruchą łupiną szykującą się do walki z potężnym żywiołem.

Wokół ripperów zgromadzili się dowódcy oddziałów. Keene pośpiesznie przekazywał szczegóły uderzenia.

- Sargon, z Niskimi uformujesz lewą flankę - przemawiał zdecydowanie, z wiarą w słowa, które za parę chwil miały zamienić się w zgiełk bitewny. - Mayal Ojciec i Nayal Syn, z Eolami z Krainy Uschniętych Drzew pójście przodem. Trzymajcie się załamania stoku po prawej stronie. Kiedy dotrzecie do podnóża, nie atakujcie Hufca Herbowego, tylko zejście z niziny w bagna tak daleko, jak tylko można. Jeżeli ich pancerna formacja ruszy za wami choćby kawałek, to odsłoni flankę. Wtedy ruszymy z Bojownikami. - Mayal Ojciec uśmiechnął się, a jego pociągłą twarz okryło zadowolenie. Pokiwał głową, że zrozumiał swoją rolę i cieszy się ze słów pozwalających mu umrzeć. - Selim, weźmiesz maszyny transportowe, kilkunastu Wyspiarzy i wszystkich, którzy nie nadają się do walki... - Blade policzki Dwana barwił rumieniec. - Utworzysz formację, która ma wyglądać jak sprawne wojsko. Zaraz po Yeomenach ruszycie w przeciwną stronę, jakbyście uciekali albo chcieli dołączyć do Lee Harpera. Wiem, że traficie na ciężkozbrojnych Dogonów Umberta, ale twoja w tym głowa, żebyś pociągnął ich za sobą. Zrozumiałeś? - Chłopak o złotej barwie skóry oparł na skroniach bezpalce dłonie. Zaraz potem ruszył w stronę tyłów buntowniczego zgrupowania, by już za moment wydawać rozkazy przenikliwym tonem. - Dunbar, ty z Bojownikami idziesz tuż za ripperami. Trzymasz się blisko i osłaniasz boki. Dopóki nie przebijemy się na tyły Kongregardów, oszczędzaj swoich ludzi, cały ciężar walki zostaw mnie... - Dwan gestem powstrzymał gniewną reakcję Dunbara. - Nie bój się, twój czas nadejdzie. Wtedy Bojownicy będą musieli pokazać, czego są warci. Jeśli przejdziemy...

- A jeśli nie...

- Sam wiesz. Zginiemy wcześniej. Nie zabijemy tylu wrogów. - Keene zdobył się na ironiczny uśmiech i przenosząc wzrok na Sargona, dodał: - Idziesz z Niskimi na lewym skrzydle, tuż obok nas. Na mój znak odbijasz w dół stoku i uderzasz w Gwiazdzisty Korpus.

- To szaleństwo. - Sargon nigdy nie potrafił zachować spokoju. - Połowa kohorty się połamie, ta pochyłość jest prawie pionowa!

- Druga połowa wystarczy. Właśnie tego się nie spodziewają. Najważniejsze, żeby muflony doszły! - Dwan przerwał i podążając wzrokiem za wyciągniętą ręką Dunbara, spojrział w dół: na wolno zmierzające w stronę wzniesienia wojska Białego Oficjum.

Nagle idealne dotąd szeregi Hufca Herbowego zaczęły zmieniać szyk, jakby próbowały przegrupować siły. Nic nie wskazywało przyczyny zamieszania w szeregach Kongregardów.

Prawe skrzydło Aryzejczyków Rodryga Ort de Saintre oddzieliło się od pozostałych formacji i ruszyło szybkim marszem na tyły buntowniczych wojsk - tam, gdzie dotąd trwali na wyznaczonych pozycjach ciężkozbrojni Dogoni. Uttu Uttugen z całym Gwiazdzistym Korpusem pośpiesznie formował kolumnę pochodu idącego do Bram Sępów. Wszystko wskazywało na to, że albo wycofują się do odwodów, albo pragną opuścić nizinę Redmore bez udziału w bitwie.

- Ruszamy! - Keene nie czekał dłużej. - Mayal, zaczynaj!

Eeole z Krainy Uschniętych Drzew ruszyli zrazu wolno, ociężale, jak lawina nabierająca pędu i mocy z upływem każdego metra. Na krzyk Nayala odpowiedzieli ochryplym wrzaskiem setek gardzieli:

- Woda! Wiatr! Ogień! - Uniosły się dłonie zbrojne w dziryty.

Selim, naprędce sformowawszy swoje wojsko, ruszył po przeciwległym zboczach na spotkanie zwróconych teraz do niego tyłem wojsk Umberta elPassy.

Rippery uniosły się na wysokość bojową, a huk odrzutu wzrósł do poziomu gotowości.

Bojownicy zdążyli już sformować szeregi, tworząc razem z maszynami Dwana ostry klin - zbrojny ostrzem ripperów i ubezpieczony na bokach tarczami energetycznymi. Sargon z Niskimi Ludźmi też był gotów. Muflony czując zbliżającą się walkę, wyły chrapliwie. Nadchodził czas szaleństwa.

Keene obserwował Eoli i wojska Białego Oficjum gwałtownie próbujące wypełnić lukę powstałą przez rozdzielenie oddziałów Hufca Herbowego. Właśnie procarze Kongregardów wypuścili pierwszą salwę. Wybuchy szrapneli sięgnęły zbocza Góry Czarownic, ale Yeomeni z oddziałami Krainy Uschniętych Drzew, skryci za załamaniem stoku, nie zostali nawet tknięci podmuchem eksplozji.

- Dunbar! - krzyknął Keene, odwracając się w stronę dowódcy Bojowników. - Obserwuj Gwiazdzisty Korpus! Jeśli Dogoni ruszą za Selimem, daj natychmiast znać! - Wrócił spojrzeniem do podnóża góry.

Drugie uderzenie szrapneli przeszło nad głowami pędzących w dół stoku buntowników i nie czyniąc żadnej szkody, ugrzęzło w bagnach Itaru.

Na jednym z pagórków Dwan dostrzegł mieniący się złotem, otoczony gwardią

przyboczną orszak samego Rodryga Ort de Saintre. Widział, jak dumny Kongregard wymachuje buzdyganem, a lotni gońcy przekazują rozkazy wyznaczonym formacjom. Właśnie procarze szybkim marszem ruszyli ku granicy zielonych łąk i burego bagna. To był błąd. Dwan doskonale wiedział, że nie stworzą szyku na tyle mocnego, by powstrzymać Eoli. Obserwował, jak doborowe jednostki Białego Oficjum próbują się sformować, dowódcy zaś nie są w stanie zapanować nad bezładem w szeregach.

Zaledwie jedna naprędce przygotowana salwa sięgnęła biegnących buntowników i już rozpędzony klin wojowników Krainy Uschniętych Drzew uderzył w rozproszone oddziały procarzy. Niczym burza buntownicy zmiotli pierwszy szereg, potem kolejne i odeszli na bagna Itaru, łukiem omijając ubezpieczającą flankę Kongregardów oddziały Żelaznej Brygady.

- Dwan! Dogoni ruszyli! - Krzyk Dunbara zagłuszył nawet wycie muflonów.

- Jeszcze czekamy! - Dwan Deborah Keene nie odrywał wzroku od akcji rozgrywającej się w dole.

Przenikliwe dźwięki sygnałówek Yeomenów zawróciły Eoli z bagien. Nie tracąc pędu, jednostki z Krainy Uschniętych Drzew przeformowały szyki i utworzywszy czworobok, ruszyły w gotowości bojowej, godząc w bok Żelaznej Brygady. Doborowe dziesięciokrotnie liczniejsze oddziały poczęły robić zwrot w kierunku garstki buntowników.

Na ten moment czekał Keene. Uniósł rękę i wskazał na rozkołysaną w dole armię Białego Oficjum. Ryknęły dysze ripperów, a pył wzbudzony ich odrzutem na moment przysłonił wzgórze.

Jednostka Dwana runęła impetem wanadowych rydwanów w dół zbocza - na spotkanie Kongregardów. Bojownicy wpleceni w pole siłowe zdążyli tuż za nią - ani na krok nie odstając w szaleńczym pędzie.

Na lewym skrzydle prowadzeni przez Sargona Niscy Ludzie mknęli na rozjuszonych muflonach. Zwierzęta z rozdętymi chrapami, odsłaniając ociekające pianą kły, galopowały, trąc o ziemię skołunioną sierścią brzuchów. Niscy, wczepieni w rozwiane grzywy, obrastali na skórzanych zbrojach kolcami wypełnionymi trującym jadem.

Wiatr gwizdał wokół głów, znikająca przestrzeń, kurcząc się i zamieniając masyw wojsk w poszczególne oddziały, oddziały w sylwetki, sylwetki w twarze...

Dwan kątem oka kontrolując ciągnące w dole formacje Gwiazdzistego Korpusu, dostrzegł wreszcie przewężenie w jednolicie zwartym cielsku jednostek. Wzniósł się na wieżycze tiperra, by widzieć Sargona. Kiedy ich spojrzenia skrzyżowały się, machnął ręką, wskazując kierunek i krzycząc na całe gardło:



- Teraz! Uderzaj!

Na znak dany przez Sargona Niscy Ludzie zrobili zwrot nieomal w miejscu - na rozpędzonych muflonach potoczyli się w dół prawie pionowego zbocza. Dwan widział, jak niektóre zwierzęta tracą równowagę i przy akompaniamencie chrapliwego skowytu upadają, łamiąc nogi, miażdżąc jeźdźców, szarpiąc konwulsyjnie wędzidła oplatające im pyski. Ale większość Niskich Ludzi z Ibir Sargonem na czele zachowała szyk i dopadła Gwiazdzistego Korpusu.

Tymczasem trzon wojsk buntowniczych dosięgła pierwsza salwa. Kilku Bojowników zważyło się na ziemię.

- Osłony czołowe! - Dwan wydał rozkaz i zaraz pole o lekko błękitnym zabarwieniu okryło rippery.

Oddziały Krainy Uschniętych Drzew uderzyły na pikinierów Żelaznej Brygady. Pierwszy szereg Eoli niczym fala rozbita o skalisty brzeg opadł u stóp Kongregardów pianą martwych ciał. Ale następne uderzały w pozornie niewzruszoną formację, napotykając szczeliny w obronie.

Jednostka ripperów wbiła się w szeregi Żelaznej Brygady. Coraz głębiej w wojska Białego Oficjum wcinały się buntownicze zastępy, prac w kierunku oczekujących w karnym szyku Aryzejczyków.

Dwanowi ręce omdlewały w nieustającym wysiłku mierzenia, odpalania, repetowania. Broń rozpałała się do białości, a kłamry na przedramieniu zdzierały skórę do żywego mięsa. Keene nie czuł bólu, nie szukał wytchnienia.

Z wysokości swojej wieżyczki widział, jak Yeomeni wraz z oddziałami Krainy Uschniętych Drzew przebijają się od czoła pancernych zastępów. Siły Eoli topniały niczym sopel lodu w pełnym słońcu, ale wciąż jeszcze nie stracili impetu, wciąż parli przez gęstwą wrogów - wyrabując sobie drogę do miejsca, gdzie przecinały się kierunki natarcia ich sił i jednostek Dwana. Gdyby doszli...

Poczuł przeszywający ból w boku. Uderzenie ładunku kompensacyjnego złamało go wpół i rzuciło na kolana. Skórzana kurta z prawej strony była rozszarpana, a ciężkie krople krwi ściekały na podest wieżyczki. Keene zagryzł wargi i przytrzymując się bariery ochronnej, próbował wstać. Daremnie.

*...A kiedy przyjdzie taka chwila, że będziesz musiał umrzeć...*

*A kiedy taka chwila przyjdzie...*

Jeden z Bojowników wyrwał się z szeregu i wskoczył na pancerz rippera. W trzech skokach znalazł się przy klęczącym Dwanie. Troskliwie ułożył go na metalowym pancerzu i

rozciął kurtę, odsłaniając ranę. Była wielkości pięści, poszarpane brzegi wyglądały jak purpurowy kwiat. Bojownik uderzył dłonią w klapę pojemnika na ramieniu. Wieko puściło z cichym sykiem uwalniającej pary. Ostrożnie wyciągnął wijącą się przylgnicę. Bardzo powoli przyłożył ją do rany, a mątwą przysssała się do jej krawędzi, całkowicie tamując krwotok. Równocześnie macki zakończone zakrzywionymi kolcami wbiła w ciało Dwana, uwalniając jad, który sparaliżował wszystkie wiązki nerwowe rozszarpanego boku.

Keene wsparty ramieniem Bojownika dźwignął się z platformy.

- Dziękuję, przyjacielu - wyszeptał zbielełymi wargami.

Niewzruszone dotąd szeregi Żelaznej Brygady zaczynały się kruszyć. Mocarze naciskani z jednej strony przez Eoli, z drugiej przez rippery, czując, że lada moment buntownicy przebiją się na nie ubezpieczone tyły, stracili kamienny spokój. Pękały idealne kontury pancernych zastępów, a w szeregach wyborowych jednostek Białego Oficjum zawitał nieznany dotąd wróg - trwoga. Opór najpierw począł słabnąć, a później zniknął zupełnie.

Okute wojska rzucały oręż i w panicznym strachu uciekały w stronę Aryzejczyków. Tam, za kordonem Hufca Herbowego Rodryga Ort de Saintre, chciały znaleźć bezpieczne schronienie.

Keene dał znak sygnalistom, nadchodziła pora na ostatni akt...

\*\*\*

Wiatr chłostał betonowe ściany biczem zimnego deszczu. Po płycie komunikacyjnej u stóp dziurowca płynęły strugi wody. Sine niebo, w którym utonęła Ti-Dejanira, mokrym cielskiem chmur nieomal ocierało się o pokrzywione dachy.

Poprawiłem się przy oknie.

Jeden z Łapaczy ostrożnie wychylił się zza pancerki, uniesioną ręką sygnalizując, że chce rozmawiać. Na jego ramieniu dumnie lśnił srebrny emblemat Wigilii. Dwóch innych zajęło dogodne pozycje na wschodniej ścianie budynków. Paru kolejnych szykowało masywne emiterzy naprowadzane podczerwienią. Wyglądało to na przemyślaną akcję. W duchu skląłem się za głupotę. Ja polowałem na Sancheza, a Ditlev na mnie... Te trzy lata przytępiły mi instynkt, jak pierwszy naiwny wlałem w pułapkę. Idiota.

Chłopcy potrzebowali tylko hasła. Wyglądali na lekko poirytowanych rozkazem oczekiwania. To miała być prosta akcja.

Przez jęk wiatru i szum deszczu dobiegał niski, lecz coraz głośniejszy dźwięk. Zmienił się w huk, gdy zza północnego dziurowca wynurzyły się lecące w szyku bojowym trzy wiropląty.

- Wyłaż, Esco! - krzyczał ten ze srebrnym emblematem. - Powoli i z łapami nad głową!

Działo na grzbiecie panczerki obracało się powoli.

- Esco, słyszysz mnie?! Szkoda wysiłku! Wychodź!

Wiropląty były coraz bliżej. Narastał ryk silników.

Z kieszeni wyciągnąłem tuleję z ładunkami. Nie śpiesząc się, załadowałem phobosa.

*...Panie, a jeśli ziarno nie wschodzi?*

*Znaczy to, że suche w środku...*

Pod osłoną ściany przetoczyłem się w drugi koniec pomieszczenia. Uderzeniem buta strzaskałem kratkę wentylacyjną. Wiatr wdarł się przez wybitą dziurę i bryznął deszczem. W okamgnieniu złożyłem się do strzału, wzięwszy za cel najbliższy z wiropłatów, i nacisnąłem spust phobosa.

Wybuch rozszarpał maszynę, a seria z emitera uderzyła w otwór, przy którym jeszcze przed chwilą leżałem. Skoczyłem za filar. Druga seria zdruzgotała kratkę szybu wentylacyjnego. Łapacze mieli minimalne, ale jednak spóźnienie. Uśmiechnąłem się, na pewno byli wściekli.

*...Czy suche ziarno jest nic niewarte, Panie?*

*Córko, byt jest i w żywym, i w martwym...*

Złożyłem niepotrzebnego już phobosa. Przez rozbite szyby dochodziły echa nawoływań Łapaczy. Wiropłatów nie było słyhać. Musiały przeskoczyć ponad bezpieczny pułap niskich chmur, czekając na podjęcie akcji.

Sprawdziłem, czy krzywka wciąż miękko zwalnia sprężyny spłonnika. Zwalniała miękko. Przytwierdziłem broń do uda. Potoki wody bębniły nieprzerwanie, wiatr ciskał się między ścianami dziurowców, odtwarzając bez końca jękliwą melodię.

Otwarłem skórzany futerał. Ostrożnie wyciągnąłem dwie kostki materiałów wybuchowych. Zerwane plomby odsłoniły kodyfikatory. Nastawiłem je na impuls magnetyczny.

Mogli przyjść po mnie tylko pionem łącznikowym. Ustawiłem jeden z ładunków tuż przy wejściu, a drugi u stóp popękanego filara trzymającego strop. Teraz pozostawało tylko oczekiwanie.

*...Jak byt drzewa może kryć się w martwym ziarnie, Panie?*

*Rozkrusz je, Aido.*

*Rozkruszyłam, Panie.*

*Upuść na ziemię.*

*Upuściłam, Panie.*

*Spójrz w dół i powiedz, co widzisz?*

*Ziemię, Panie...*

W oddali zabrzmiał huk startującego statku. Drżenie konstrukcji świadczyło, że była to duża jednostka. Jeśli od czasu, kiedy umarłem, nic się nie zmieniło, to musiała być Silvana - flagowy statek Larommy pod zarządem naczelnika klanu Kali. Uśmiechnąłem się do własnych myśli. Czyżby Mustafa wolał uciec, niż czekać na wyrównanie rachunków? To do niego podobne...

*...Córko, czy ziemia da siłę zdrowemu ziarnu?*

*Tak, Panie.*

*Zatem i martwe może w żywe się obrócić?*

*Może, Panie...*

Łapacze Wigilii wpadli w efektownym stylu. Dwaj oczyścili przedpole wiązkami emiterów. Byli pewni siebie. Grupa przyczajona w niszy wejściowej strzegła tej drogi odwrotu, pozostali rozsypani w tyralierę zmierzali w moją stronę.

Z satysfakcją patrzyłem na przygarbione sylwetki. Znałem czas ich śmierci. Decydowałem o przyszłości. Byłem... bogiem?

- Wypowiadaliście się?! - krzyknąłem.

Byli bardzo szybcy. Rozproszyli się w ułamku sekundy, szukając schronienia. Ale nie mogli zdążyć. Boskim palcem uruchomiłem wiązkę magnetyczną. Pomieszczenie na sekundę rozjarzył oślepiający błysk, a gniewny podmuch wzbudzony kierunkowym wyładowaniem porwał garbate sylwetki z ziemi i jak szmaciane lalki rzucił o ścianę. Miłosierny kurz przysłonił widok, otulając martwych jak całun. Akt łaski. Zbyteczny. Nie bałem się spojrzeć w twarze moich ofiar.

Brodząc w okrucinach betonu, podszedłem do porzrzucanych ciał. Jednemu z Łapaczy zdjąłem z pleców przerzutnik. Miałem łzy w oczach - prawdziwe - od tego cholernego pyłu.

Podniosłem metalową klapę, odsłaniając otwór zsypu. Założyłem na plecy przerzutnik, nastawiając decelerację tak, bym zlatywał wystarczająco szybko, ale bez ryzyka skręcenia karku. W myślach kalkulowałem, ile czasu zajmie pozostałym Łapaczom podjęcie decyzji. Nie było wątpliwości - tym razem rozwałą cały segment, jak tylko się upewnią, że nikt z pierwszej grupy nie ocalał.

Dopiąłem klamry, jeszcze raz sprawdziłem parametry spadania i zacząłem nasłuchiwać.

Rzeczywiście zaczęli szanować Escó, byli teraz nad wyraz ostrożni. Niestety, oni też mieli wyznaczoną godzinę śmierci.

Wskoczyłem do zsypu i spadając, odliczałem sekundy. Po pięciu wiązką magnetyczną odpaliłem drugi ładunek - ten pod filarem. Echo walącej się kondygnacji towarzyszyło mi aż

na sam dół...

\*\*\*

Mayal Ojciec i Nayal Syn stanęli obok Dwana. Siły Eoli z Krainy Uschniętych Drzew stopniały do połowy, ale w oczach tych, którzy ocaleli, wciąż gorzał ogień walki.

Bojownicy - dotąd oszczędzani w bitwie - wysunęli się na czoło buntowniczej formacji. Za nimi Keene rozstawiał w szeregu oddział ripperów, a w drugim Eoli.

- Mayal - przemówił Dwan głosem schrypniętym, ale brzmiącym uroczyście - możecie jeszcze odejść... Droga wzdłuż Itaru jest teraz wolna, do Gór Pumeksowych nie macie daleko...

- Wodzu, nie słyszałem tego. - Twarda, porwana bliznami twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

- Wiesz, że nie ma cienia szansy...

- Wiem! - uciął.

- Spójrz... - Dwan wyciągnął rękę, a Mayal Ojciec powiódł za nią oczyma.

Szeregi Białego Oficjum z tej perspektywy wydawały się sięgać aż za horyzont. Najbliżej stały doborowe oddziały Aryzejczyków. Dalej oczekiwali Gedyci zza wielkiej pustyni Sar-deh-Endżam, Igrowie z dorzecza Mar-del-Platta, Strażnicy Ingrid Marie, dzicy pasterze obszaru za Rowem Tektonicznym, wojownicy Stref Mirażu, jednostki Przełomów Bramos, a dalej za nimi kolejne oddziały, których wzrok już nie obejmował.

- Zginąć można tylko raz - skwitował ten widok Mayal.

- Zatem zdecydowałeś - zakończył Keene. - Możemy ruszać.

- Sargon się przebił! - Yeomen w nagłym podnieceniu wskazał na lewą flankę wojsk Kongregardów.

Rzeczywiście, Niscy Ludzie na muflonach gnali w stronę przeważających sił gwardii przybocznej Rodryga Ort de Saintre.

- Ruszamy! - Dwan dał rozkaz i odwracając się do Mayala, krzyknął: - Jak tylko Bojownicy rozbiją pierwsze szeregi Aryzejczyków, wychodzimy zza ich pleców i przebijamy się w stronę gwardii Rodryga!

- Śmierć Kongregardom! - zdążył jeszcze usłyszeć ryk Eoli.

\*\*\*

Leciałem w ciemną przepaść.

*...Śmierć nie istniała wówczas ani nieśmiertelność...*

*...Pomiędzy dniem a nocą nie było rozłamu...*

Czułem, jak drętwieje mi lewa ręka. Znowu pojawiło się urojenie... Urojenie?...

*...Przez własną moc To jedno bez tchu oddychało...*

*...I nic innego nigdzie poza nim nie było...*

Leżałem na ciepłym piasku, patrząc, jak nad linią horyzontu - między błękitem nieba i ciemniejszym nieco oceanem - wschodzi oślepiająco srebrny krąg Ti-Dejaniry. Spróbowałem wstać, ale nogi nie posłuchały. Chciałem zagarnąć syпки piasek, ale i dłonie odmówiły mi posłuszeństwa. Patrzyłem tylko, odczuwając spokój, jakiego dotąd nie znałem. Trwanie. To było zaproszenie do trwania. Na wieczność. Tak w wiecznym spokoju trwają bogowie. Zaproszenie od boga. W oślepiający blask...

Spróbowałem ruszyć się z miejsca, ale nie czułem ciała, nie miałem niczego poza wzrokiem i wolą, która była zbyt słaba, by poprowadzić mnie ku światłu.

Spokój mijał - rozpraszany poczuciem niemocy, bezsilnym gniewem, żalem za straconą okazją...

Przyszła złość, a z nią powróciło ciało. Zwinąłem dłoń w pięść i uderzyłem w piasek. Biłem wilgotny piach niepomny bólu. Wiedziałem, że właśnie odeszło coś, czego pragnąłem całe życie - całe parszywe życie...

Moje ręce były parszywe, nogi były parszywe, brzuch był parszywy, głowa była parszywa. Wszystko, co było mną, było parszywe, wszystko stanowiło parszywy bagaż, który musiałem dźwigać aż po parszywy dzień ostatni. Po policzkach ciekły łzy, ale i one były plugawe, nie niosły ukojenia. Nienawidziłem siebie, nienawidziłem tej plaży, oceanu, nieba, Ti-Dejaniry. Nienawidziłem zaproszenia od boga, z którego nie umiałem skorzystać. Nienawidziłem obietnicy, która rozbudziła płonną nadzieję.

*...Tę ofiarę bogowie złożyli w ołtarzach...*

*...To były pierwsze spośród świętych praw...*

Pojawił się głód. Głód krystalicznego proszku. Dolina wyciosana w bezkresnej płaszczyźnie pustyni. Gorzki smak pozorów spokoju i wolności. Kościste palce obleczone pergaminową skórą. Szklana ampułka i charkotliwy podniecony oddech. Łaknienie. Zapomnienie. Musiałem zaspokoić głód, by wrócić nad ocean, by patrzeć, jak wschodzi srebrna Ti-Dejanira. Pękła szklana tulejka, a język łapczywie zlizywał z dłoni przezroczyste kryształki. Gorzki smak błękitu. Spokój.

*...Te istoty potężne dosięgły nieba...*

*...Gdzie żyją duchy wieczyste, bogowie...*

Dlaczego? Dlaczego nazwali mnie wariatem? Sami byli przecież głupcami. Tysiące idiotów, którym nie dane jest pojąć... Dlatego przyszli wtedy, tego dnia, kiedy Ti-Dejanira w miesiącu szivan opromieniała Eltenerę. Oni - wysłannicy Szarej Świty. Stanęli w moim

progu - we wrotach Pankreatorium - tam, gdzie nigdy wcześniej nie wolno było im zachodzić. Dlaczego kazali mi się wynosić? Przecież poznałem Klarowną Regułę...

- Nie ruszaj się, skurwielu!

Nazwali mnie wariatem, choć sami byli głupcami. Tysiące idiotów krzychało wielkim głosem: precz z Pierwszym Dekoderem Przypadku, precz z Widzącym Kongregacji Białego Oficjum!

- Rusz się tylko, mrugnij powieką... Rozpierzdołę cię na kawałki!

Był dzień. Ti-Dejanira stała w zenicie, kiedy wysłannicy Szarej Świty stanęli w moim progu - we wrotach Pankreatorium - tam, gdzie nigdy wcześniej nie wolno było im zachodzić.

- Albo rozwałę cię teraz. Szkoda dźwigania...

- Suriw, dosyć! Zostaw go!

Oblicza o niskich topornych czołach, skudlone włosy opadające strąkami na bezdennie puste oczy, mięsiste usta wykrzywione w grymasie zdziwienia pomieszanego ze strachem - oto oblicza Szarej Świty.

- Ależ Czong, dwudziestu naszych zginęło na górze, dziesięciu w wiroplacie! Załatwimy go tutaj!

- Zamknij się!

Czyż mogłem wytłumaczyć umysłom tak ubogim Klarowną Regułę? Teorię Pragenezy? Nie mogłem. Więc śmiałem się z nich, z siebie, z całego świata, który nie potrzebował wiedzy absolutnej.

- Czong, on się z nas śmieje... Zatluczmy go, to zabójca, powiemy, że w obronie własnej.

- Stul pysk, szczeniaku! Ditlev chce go żywego. Lepiej sprawdź, czy nie ma broni. Merid! Pomóż Suriwowi, trzeba go przenieść. I wezwij te cholerne wiroplaty, mogą już bezpiecznie lądować!

\*\*\*

- Tu Olimp. Jest kontakt bezpośredni z Silvaną. Czas do przerzutu: dwie kwadry. Procedury przygotowane na przyjęcie człowieka Korporacji.

- Czy wojska Białego Oficjum dotarły już do statku?

- Nadchodzą.

- Olimp, a co ze stroicielem Eframem?

- Nie ma możliwości bezpośredniej obserwacji. Z zapisów aparatury kontrolnej wynika, że stroiciel zmienia parametry nadzoru nad statkiem.

- Przecież to niemożliwe! Ty tylko masz uprawnienia do wprowadzania korekt!

- W zakresie kodów elektronicznych systemu. A on fizycznie zmienia połączenia i tworzy nowy, niezależny obwód.

- Wiedziała! Do diabła, Olimp, ile czasu może mu zająć przejęcie kontroli nad statkiem?!

- Nie mam wystarczającej wiedzy o zakresie działania stroiciela Eframa. Już teraz utraciłem panowanie nad częścią jednostek ochronnych pancerza, główną sterownią, systemem komunikacyjnym statku i większością funkcji poziomu seneleptorów. Z powodu braku łączności nie potrafię określić, jakie jeszcze obwody wyszły spoza kontroli.

- Olimp, nie możesz go teraz, kiedy jest poza sterownią, zlikwidować?

- Niewykonalne. Większość robotów została przestrojona i wykonuje tylko polecenia Eframa. Strażboby blokują węzłowe przejścia, unieszkodliwiając każdą maszynę, która chce się tamtędy przedostać.

- Zatem nie możemy czekać. Przygotuj procedurę przyjęcia naszego człowieka. Od tej chwili prowadzisz akcję w bezpośrednim kontakcie z naczelnikiem Mustafą z Silwany. Czekam na meldunek zaraz po tym, jak wysłannik Korporacji znajdzie się bezpiecznie wewnątrz.

- Tu Olimp. Zrozumiałem.

Stroiciel Efram z uśmiechem wyłączył podsłuch. Raźnie podniósł się z podłogi, gdzie leżał wśród porozplątanych pęków kabli. Z miną dziecka, które obmyśla właśnie psikus, podbiegł do szafy i wyciągnął z niej drewnianą skrzynkę. Otwarte wieko odsłoniło zakurzony zestaw naprawczy.

- Chcecie mnie zlikwidować - śmiał się z własnych słów jak z najlepszego żartu. - A tu, kuku, Korporacja... Wspaniała Laromma, wspaniały zarząd, wspaniałe plany, wspaniałe zyski, wspaniały świat nieśmiertelnych i... - sprawdził zawory butli tlenowych i maski - ...jeden głupi Efram...

\*\*\*

Gabinet zwierzchnika Wigilii był ogromny i przytłaczający. Kariatydy podtrzymywały belkowany strop, rustykalne fotele stały wokół masywnego biurka. Ciemna boazeria i małe luki z szybami pancernymi pochłaniały prawie całe światło, tworząc ponury, duszny nastrój.

*Kochany.*

*Bezwzględne są dni bez Ciebie. Takie 24 godziny... niczego. Jesteś całym moim światem. Teraz to wiem... Teraz czuję, co to znaczy. Magia zmienia mnie. Poznałam dziewczynę, ma na imię Paula. Ona pozwala mi mówić nie tylko do Twojego obrazu. Słucha cierpliwie, jak codziennie, w każdej godzinie, w każdej minucie wymieniam Twoje imię.*



*Zaprosiła mnie do siebie. Mieszka z jakimś bogatym mężczyzną, który umiera na nieuleczalną chorobę. Nie wiem, czy pójdę. Czekam.*

*Twoja Lara.*

Leżałem na miękkim, puszystym dywanie. Nie bardzo chciałem wstać, ale poderwano mnie do pionu.

- Nareszcie, Esco, stęskniłem się za tobą.

Jak przez mgłę widziałem podnoszącego się zza biurka mężczyznę. Wyprostowałem się z wysiłkiem. Właśnie zacząłem zastanawiać się nad równie miłym powitaniem, gdy ktoś z tyłu walnął mnie w nerki.

- Należy odpowiadać na powitanie Kap Don Andera - usłyszałem zza pleców.

- Gość w dom, bóg w dom - wykrztusiłem, wymiotując żółcią.

- Cały Esco! - Śmiech mężczyzny nie zabrzmiał przyjaźnie. - Jak było w piekle? - Lepkosłodkie słowa zdawały się osiadać na puszystym dywanie niczym krople miodu.

Oczy przywykły do panującego w pomieszczeniu półmroku. Ditlev był niewysokim mężczyzną o delikatnych rysach twarzy. Nosił doskonale dopasowany uniform, z czerwoną różą w butonierce, i tiulowy szal. Poznałbym go wszędzie.

- Ditlev, piekło bez ciebie traci cały swój urok... - Znowu dostałem w plecy. Zgięło mnie z bólu. Przyklęknąłem, by nie upaść.

- Należy zwracać się: Kap Don Ander - usłyszałem.

Nie prostując się, z półobrotu uderzyłem tam, gdzie każdy regulaminowo zbudowany Wigil ma krocze. Czułem, jak pięść z impetem miażdży jądra Wigila. Mimo potężnej budowy złamał się jak źdźbło trawy. Wrzask bólu na moment rozerwał spokój gabinetu. Drugi z Wigili podrzucił broń do ramienia.

- Dostyc, Czong! - Suchy rozkaz Ditleva miał więcej mocy niż ochryply krzyk wijącego się po podłodze mężczyzny. - Wezwij sanitariuszy, niech zabiorą Suriwa! - w zamieszaniu ani na chwilę nie stracił opanowania.

Nie byłem zdziwiony, tylko ja naprawdę potrafiłem go wkurwić. Czułem napływające fale torsji. Gdzieś na granicy świadomości kapłan Muni siedział w kucki, mamrocząc wersety Księgi Ponizenia.

*...Była ciemność, ciemnością od początku okryte...*

*...Wszystko było jednym bez cech oceanem...*

Pokonując mgłę otulającą oczy i bezwład dłoni, wykrztusiłem:

- Kurt, coś konkretnego czy tak sobie chcesz popierdolić?...

Ruch ręki Ditleva powstrzymał Czonga. Właśnie dwóch ludzi wynosiło płaczącego z

bólu Suriwa. Pomyślałem, że jeśli dotąd nie splodził potomka, to na nim ród się kończy. Pięść bolała mnie jak diabli.

- Siadaj, Esco - Ditlev smukłymi wypielęgnowanymi palcami gładził płatki róży - robisz się coraz starszy i coraz słabszy.

- Ty natomiast jesteś jak zawsze piękny, młody i z sierżanta zostałeś Kap Don Anderem. - Z ulgą zapadłem się w ogromnym fotelu. - Wielbiciele ci to załatwili?

Przez jego twarz przemknął grymas złości. Ładne, prawie kobiece rysy wykrzywiły się brzydko. Rozchylone wargi odsłoniły zaciśnięte idealnie białe i idealnie równe zęby.

- Gdyby to zależało ode mnie, byłbyś już martwy! - Głos Kurta zazgrzytał. - Trybunał przysłałby tylko biegłego do identyfikacji trupa, a twoja bogata kartoteka zostałaby zamknięta.

- Dziewczyńko, zamieniasz się w zrzędliwą babę.

Przez ułamek sekundy miałem wrażenie, że Ditlev nie zapanuje nad sobą. Mimowolnie sięgnął do zdobionej złotym ornamentem pochwy, z której wystawała rękojeść drassera.

- Sukinsynu - dyszał mi nad uchem - ja też pamiętam Sondorrę, choć może od drugiej strony... Ty, Tobacco Ptasznik, Bethold, Skiddy Frank, Stary Lou, Bert, Sanchez i cała reszta twojej kompanii... Wielu z nich już nie żyje, pozostali też nie doczekają starości. Gdyby nie Laromma, byłbyś przeszłością... - wycedził, plując mi w twarz kropelkami śliny.

- Laromma? - Wiele trudu kosztowało mnie wypowiedzenie jej imienia spokojnym głosem. - Nie pozwala niedobremu Kurtowi zabić Esco? - Celowo zmiękczyłem słowa, by utwierdzić go we wściekłości. - A jeśli niewdzięczny Esco doniesie ziemskim Służbom Bezpieczeństwa, że Wigilia zamiast strzec rezerwatu na Eltenerze, skumała się z Korporacją i razem robią całkiem niezłe interesy?

- Chyba prochy mózg ci wyżarły, Esco - wbrew moim oczekiwaniom uspokoił się. - Nie masz pojęcia, co tu się dzieje... Wyleciałeś z obiegu. Nikt nie będzie chciał cię słuchać - cedził z nieukrywaną satysfakcją. - Romantyczne czasy przemytu Kwiatów Pamięci skończyły się razem z tobą. Teraz my tu rządymy! I to na całkowicie nowych prawach.

- Ciekawe jakich - prychnąłem. - Rezerwat jest zamknięty. Nawet Korporacja nie ma takich pieniędzy i takiej władzy, żeby zmienić prawo. Chyba że dyma cię któryś z sędziów Najwyższego Trybunału...

Otwartą dłonią uderzył mnie w twarz. Spodziewałem się tego, mogłem uniknąć ciosu, ale wtedy pewnie wkroczyłby do akcji Czong.

- Bijesz jak prawdziwa ciota - roześmiałem się bezczelnie. - Jako sierżant miałeś więcej krzepy. Powinieneś trenować, choć z drugiej strony to ponoć typowe dla podstarzałych

pedałów.

- Jesteś martwy, Esco! - Żyły nabrzmiały mu na szyi, a na twarz wystąpiły czerwone plamy. - Nikt za tobą się nie wstawi, wszyscy przeszli na naszą stronę. Będzieszgnił w lochach Kongregacji do końca swojego zafajdanego żywota. I do końca nie będziesz wiedział, co tak naprawdę się tu dzieje.

- Ładny jesteś, Ditlev, ale głupi - rozparłem się wygodniej w fotelu i zakładając nogę na nogę, udawałem pewnego siebie. - Myślisz, że to wielka tajemnica, ożywianie zmarłych w Rezerwacie...

Aż wytrzeszczył te swoje duże zielone oczy.

- Skąd... - wydukał - skąd to wiesz?... Przecież...

Czyli jednak... Laromme się udało. Na Eltenerze ludzie wstawali z martwych.

- Gadaj, Esco, albo rozwalę ci łeb! - Wyszarpnął z pochwy drasser i wbił mi lufę w ucho. - Natychmiast!

- Spokojnie, Kurt, bo ci szwy puszcza. - W zwężonych źrenicach dostrzegłem determinację, która pomieszana ze strachem mogła tworzyć bardzo groźną mieszankę. - Skontaktuj się z Larommą, bo inaczej dostaniesz klapsa w pupę. A szkoda takiej fajnej dupci.

- Gadaj! - Palec na spuście drżał niebezpiecznie.

- Laromma, Ditlev, pamiętaj, kto tu rządzi...

Miał wielką ochotę strzelić, ale zabrakło mu odwagi. Jak balon, z którego uszło powietrze, oklapł i już tylko zachowując pozory ważności, wychrypiał:

- Kiedyś cię zatłukę i nawet Laromma mi nie przeszkodzi!

- Dobrze, Kurt, pogadałeś sobie, a teraz zapytaj swojej żywicielki, co masz robić.

- Czong, pilnuj go! - rzucił w stronę Wigila, a sam podszedł do biurka. Uruchomił połączenie.

Widząc na ekranie piękną twarz, poczułem, jak robi mi się gorąco. Miałem wrażenie, że żar pali wnętrze. Laromma niewiele się zmieniła przez te trzy lata - może miała więcej powagi w spojrzeniu i pogardy w lekkim skrzywieniu warg.

- Co jest, Ditlev? - zapytała.

- Esco wie o Łazarzach na Eltenerze... - Kap Don Ander mówił szybko, jakby obawiał się pytań, które mogą paść. - Nie mam pojęcia, skąd się dowiedział...

- Zamknij się! - Ostry jak trzaśnięcie biczarozkaz przerwał potok słów.

Wybuchnąłem śmiechem. Miałem nadzieję, że brzmiał naturalnie.

- Kurt, durniu, właśnie wszystko potwierdziłeś! - powiedziała, kierując spojrzenie w moją stronę. - Witaj, Escobar...

Zawsze używała pełnego imienia. Kiedyś próbowałem to zmienić, ale nawet słyszeć nie chciała o formie innej niż ta, która mnie drażniła.

- Witaj, Laro... - Ja natomiast lubiłem zdrobnienie jej imienia. Kiedyś...

- Nie wierzyłam, że wrócisz - uśmiechnęła się, ale pozostała czujna. - Dobrze wyglądasz... - umilkła.

- Jak na trzy lata brania prochów, chciałaś powiedzieć. - Tyle razy zastanawiałem się, jak będzie wyglądała nasza rozmowa, a teraz wypowiadałem jakieś obce słowa. - Wypiękniałaś...

- Jak na trzy lata dawania dupy innym, chciałaś dodać - zrewanżowała się. - Escobar, darujmy sobie puste gadanie. Ustalmy, co jest do ustalenia, i skończmy przedstawienie.

- Ty tutaj reżyserujesz.

- Dobrze - nie odpowiedziała na zaczepkę. - Trafisz do Zamku Purpurowego Rogu, nie ukrywam, że będą to lochy, doskonale wyposażone, ale jednak lochy, do końca twoich dni.

- Dlaczego nie zabijesz mnie teraz? - wpadłem jej w słowo. - Kurt dostałby orgazmu.

Ditlev rzucił mi wściekle spojrzenie, ale powstrzymał się od komentarza.

- Powiedzmy, że w twoim przypadku wystarczy skuteczna izolacja... - Lekko przygryzła pełne wargi. - W zamian oczekuję, że dowiem się czegoś o dwóch rzeczach. - Patrzyła na mnie przez chwilę, a później uciekła wzrokiem w bok. - Po pierwsze, kto rozsiewa plotki o zmartwychwstałych w Rezerwacie?

- Wszyscy, śliczna, na raz nie da się ich wymordować - bezradnie rozłożyłem ręce.

- Tak myślałam. Druga rzecz jest istotniejsza, więc się zastanów, zanim odpowiesz...

- Bo co mi zrobisz?

- Twoja wojna właśnie się skończyła.

- Bitwa, Laro, zaledwie bitwa. Lepiej mnie zabij, jak widzisz, mam wyjątkowy dar do zmartwychwstawiania...

- Escobarze - na moment wrócił uśmiech, jaki pamiętałem z dawnych czasów. - Jeśli zginiesz, może nawet będzie mi smutno.

- Nie wątpię, szczególnie jeśli odpowiedź na twoje pytanie zabiorę do grobu.

- Zatem rozumiesz, czego bym chciała się dowiedzieć. - Echo dawnego ciepła zniknęło z jej głosu. - Gdzie są Źrenice Kurlemu?

Patrzyłem na jej piękną twarz, nie wierząc, że potrafi skrywać tyle fałszu.

- Zapytaj Ditleva, czemu najpierw zabija, a potem szuka informacji - zwlekałem z odpowiedzią. - Wygląda na to, że rozwalił Betholda, a tylko on znał miejsce spoczynku Źrenic.

- Dlaczego spodziewałam się takiej odpowiedzi?

- Wiele cię nauczyłem - przyznałem. - Ale jednego nigdy nie umiałaś pojąć, śliczna...

- Że świat nie obraca się wokół mnie? - w jej oczach dostrzegłem przekorę, coś, co przed śmiercią tak uwielbiałem. - Mylisz się, Escobarze, nie ma kary dla złych ani nagrody dla dobrych. Ci, którzy giną, są przegrani, a ich kaci noszą miano zwycięzców. To przecież twoje słowa. Uczyłam się pilnie, a że jestem zdolna... Potrafię osiągnąć cel, nie przejmując się trupami zostawianymi po drodze... Czyż nie takie przesłanie było w twoich naukach, Escobar? Tylko nigdy nie wierzyłeś, że kiedyś ty staniesz na mojej drodze. To cię teraz tak boli...

- Kiedyś zrozumiesz, co tak naprawdę mnie boli...

- Zmiękleś. To smutne, tortury Kongregardów szybko łamią słabych. A chciałam cię zachować we wspomnieniach jako... Zresztą, nieważne... - Przeniosła wzrok na Ditleva. - Kurt, wyślesz go najbliższym transportem na Eltenerę! Tylko nie schrzań tego! - Jeszcze raz przesunęła spojrzeniem po mojej twarzy. - Żegnaj, Escobarze, do zobaczenia na tamtym świecie...

\*\*\*

- Pora na przedstawienie! - Krzyk Eframa zginął w pleśni obrastającej strop, podłogę i ściany sali seneleptorów. Pomieszczenie rozjaśniała seledynowa poświata basenu. Na jego powierzchni kołysało się dwanaście półprzezroczystych kokonów.

- Program Eltenera uważam za rozpoczęty - wyszeptał Efram, po czym z drewnianej skrzyni wydobyl zestaw naprawczy. - Ale zakończenie będzie mojego autorstwa...

Zdjął kombinezon. Wprawnie zmontował aparat tlenowy i przedmuchawszy ustnik, zarzucił na plecy butlę. Po chwili zielona organiczna breja skryła ciało stroiciela Eframa, a tylko pękające na powierzchni bąble wydechów były świadectwem życia, które wciąż jeszcze trwało skryte w basenie pod taflą seledynowej cieczy.

\*\*\*

Dwa nagie ciała splatały się na okrągłym łóżku. Lustra odbijały sylwetki mężczyzny i kobiety.

Obserwator z ekranu komunikatora przez dłuższą chwilę przyglądał się kochankom. Dopiero kiedy oboje spełnieni opadli na posłanie, przemówił.

- Nie śpieszysz się, Jean-Claude - w głosie starca, przekazywanym przez komunikator, zabrzmiały nutki rozbawienia. - Wiem, że są ważniejsze sprawy niż raport, ale zawarliśmy umowę.

Kobieta gwałtownym ruchem naciągnęła na siebie satynową pościel, natomiast

mężczyzna zupełnie nieskrępowany nagością odwrócił się w kierunku urządzenia.

- Witam, panie przewodniczący. Wszystko idzie zgodnie z planem. - Poglądził po policzku wystraszoną towarzyszkę. - Pozwoli pan, że przedstawię Vivian, zaufaną sekretarkę zarządu Korporacji Handlu. Mówiłem o niej wcześniej. Kochanie - zwrócił się do kobiety - poznaj przewodniczącego Komisji Sprawiedliwości Areopagu Starych Kontynentów. To właśnie jest twoje zabezpieczenie i gwarancja nietykalności.

- Miło mi - wydukała wciąż zarumieniona Vivian.

- Czy ma pani materiały, o których wspominał Jean-Claude? - Starszy mężczyzna nerwowo pocierał siwą bródkę. - Oczywiście, obiecuję całkowitą dyskrecję i opiekę Komisji Sprawiedliwości. Nie zapomnimy również o finansowym wyrażeniu naszej wdzięczności...

- Tak, mam nagrania. W tym z ostatniej rozmowy członków zarządu Korporacji i Larommy. - Dziewczyna uspokoiła się i teraz spoglądała na ekran nieomal zalotnie. - Jest w nim mowa o Rezerwacie na Eltenerze, o przemyśle, o korupcji oddziałów Wigili, o awarii statku Olimp, na którym są uwięzieni... - Uśmiechnęła się bezradnie. - Tego fragmentu nie rozumiem, ale padają jakieś słowa o prezydencie, członku parlamentu i znaczących osobistościach biznesu...

- Dziękuję, moja droga - na ustach przewodniczącego zaigrał uśmiech. - Dzięki pani sprawiedliwość zatriumfuje. Zostawi nas pani na chwilę samych? - poprosił łagodnie.

- Oczywiście. - Otuliła się szelkiewicą i zbierając z podłogi ubranie, wyszła z sypialni. Po chwili z łazienki dobiegł odgłos napuszczanej do wanny wody.

Ścisząc głos, starszy mężczyzna powiedział:

- Wiesz, że jeszcze przed rozpoczęciem naszych działań ta kobieta musi zniknąć?

- Wiem!

- Przykro mi, jeśli łączy was coś więcej, ale widziała zbyt wiele... - Przewodniczący gładził bródkę. - Mogę przysłać odpowiednich ludzi...

- Załatw to, nie chcę przy tym być. - Młodszy mężczyzna wstał i zaczął naciągać spodnie. - Przypominam tylko, że ja pomyślałem o swoich gwarancjach...

- Jean-Claude, obrażasz mnie!

- Korporacja i wyłączność na Eltenerę mają być moje! - Spojrzał w oczy przewodniczącego niemal wyzywająco. - Ręczysz za to własną głową!

- Nie musisz mi przypominać! - Z ekranu nie patrzył już jowialny staruszek. - Powiedz lepiej, na ile kontrolujesz tego szaleńca Eframa?

- Jak dotąd chyba nie masz powodu do narzekania? - Jean-Claude kończył dopinać guziki jedwabnej koszuli. - Jest uwarunkowany, wysadzi Olimp przy każdej próbie przejęcia.

Zresztą to bez znaczenia, mamy dowody, jakich chciałeś.

- Tamci nie mogą wrócić z Olimpu.

- Nie wrócą. Cokolwiek będzie się działo, stroiciel nie uwolni ciała Łazarzy, a Korporacja nie zlikwiduje statku, bo to by oznaczało, że VIP-y utracą na zawsze świadomość. Impas, ale piekielnie wygodny.

- A ten człowiek Korporacji, który ma przejąć kontrolę nad statkiem? - Stary chciał rozwiązać ostatnie wątpliwości.

Jean-Claude uśmiechnął się, odsłaniając białe zęby.

- To mój piąty as - mrugnął porozumiewawczo. - Przewidziałem każdy możliwy ruch Korporacji. Jestem przecież członkiem jej zarządu. I przyszłym właścicielem...

- Miło wiązać z tobą plany na długie lata. - Przewodniczący z uznaniem pokiwał głową.  
- Jean-Claude, jesteś niezastąpiony.

- Wiem.

\*\*\*

Po obrośniętych pleśnią stopniach Efram wyszedł z basenu. Ociekał gęstą fosforyzującą mazią. Zdjęta z pleców butla razem z maską trafiła z powrotem w zieloną toń.

- Tak, czcigodni obywatele nieba, wspaniali Łazarze... - Stroiciel rozłożywszy ramiona, wpatrywał się w pływające po powierzchni skorupy seneleptorów. - Ja, wasz unizony sługa, skromny przewoźnik przez Styks, marny robak na usługach Charona, chcę tylko jednego obola, ale czy ktoś z was trzyma go dla mnie w zębach? Czy ktoś pyta stroiciela, dlaczego żyje na granicy dwóch światów? Czy ktoś zechce podarować mi odrobinę zapomnienia? - Wzniósł oczy do zwisających z sufitu fałd pleśni. - Dlatego oto wypowiadam wam służbę, dlatego zbuntowany anioł Efram ustanawia własne królestwo: między niebem i ziemią, królestwo zapomnienia, królestwo, w którym Efram jest bogiem i sędzią, a wasze dusze oczekiwać będą sprawiedliwego wyroku. Odkupienia lub wiecznej męki i potępienia.

Podszedł do ściany. Zerwawszy białą mechatą powłokę, odsłonił tablicę kontrolną zewnętrznego pancerza.

- Tutaj przybędziesz, Judaszu... - Z napięciem wpatrywał się w przestrzenny obraz wejścia awaryjnego. - Przyjdiesz ścieżką, jaką ja wytyczę... Nie będzie ci dane zarobić swoich srebrników...

Fonik zasygnalizował połączenie. Efram oderwał wzrok od monitora.

- Olimp do Larommy, dół do góry, karzeł do księżniczki! - Stroiciel roześmiał się do ekranu ukazującego twarz kobiety. - Jestem teraz nietykalny! Gównu mi możecie zrobić, jeśli Łazarze mają powrócić ze świadomością! Zaminowałem poziom seneleptorów! A tutaj -

dotknął małej okrągłej płytki przyczepionej do piersi - mam detonator... Jeśli tylko moje serce przestanie bić, wszystko pójdzie do diabła! Tak, ja tu teraz rządzę! Łazarze mają dokładnie tyle życia, ile ja. A ty nic nie możesz zrobić! To moje królestwo! - Gwałtowne uderzenie pięści zakończyło połączenie, nim kobieta zdążyła wykrztusić choć słowo.

\*\*\*

Wojśka Kongregardów dochodziły do Zamku Purpurowego Rogu.

Hufiec Herbowy na dany przez Rodryga Ort de Saintre sygnał zatrzymał się przed wykładanym muszlami mostem.

Otoczeni przez oddział ciężkozbrojnych Mocarzy oczekiwali swojego losu ci, dla których pozostała tylko gorycz porażki - garstka buntowników ocalałych z bitwy pod Górą Czarownic. Wymizerowani, brudni i ociekający krwią, w strzępach ubrań zaledwie zasłaniających wychudzone ciała, z oczami, które rezygnacja uczyniła pustymi, stali obojętni na przepych i butę Kongregardów. Wśród nich był Dwan Deborah Keene, Sargon, Nayal Syn, kilkunastu podobnych do upiorów Bojowników, grupka Niskich Ludzi i zaledwie paru Eoli z Krainy Uschniętych Drzew.

Dwan przygarbił się, niezdolny do rozchylenia splekanych ust. Tylko błędny wzrok szukał przyjaciół, jakby prosząc o przebaczenie, że nie udało im się zginąć razem ze wszystkimi tam, pod Górą Czarownic.

Z bramy zamczyska wyjechali strojni nutnicy i wzniosłszy rogowe tuby, zaczęli grać hymn zwycięstwa i sławy. Ostre, złowieszcze tony z każdą chwilą nabierały mocy i przejmującej grozy.

Tam, gdzie trwały zastępy Aryzejczyków, w niebo wzbił się chóralny krzyk, który w jednej chwili podchwyciły inne oddziały. Z tysięcy gardzieli popłynęło, podobne do łoskotu kamiennej lawiny, żądanie:

- Ofiar! Ofiar! Ofiar!

Ze szczytu bojowego rydwanu Rodryg Ort de Saintre wzniesioną dłonią powstrzymał ogłuszający wrzask. Kiedy zaległa cisza, skrzyżowawszy ręce na piersiach, przemówił donośnie.

- Z naszej woli sześciu buntowników przyozdobi swoim cierpieniem most triumfalnego powrotu!

Kilku Mocarzy wyskoczyło z kordonu. Silne dłonie chwyciły najbliższej stojących buntowników. Zawleczono ich pod wyrastające z mostu słupy.

Stalowe obręcze zacisnęły się na szyjach skazańców. Z jednolitego owalu kolumn wypączkowały przezroczyście czasy, które zamknęły w sobie ich głowy...



Dwan przyglądał się, jak jego towarzysze oczekują egzekucji, jak ich oczy patrzą na niego bez żalu. A przecież śmierć miała być inna - nie w zgiełku bitewnym... Nie... Czuł, jak wzruszenie ściska mu krtań, jak splot słoneczny kurczy się przed lodowatym ostrzem strachu... Strachu nie o siebie, lecz o mających za chwilę zginąć żołnierzy, strachu, który zawsze towarzyszy nie samej śmierci, lecz oczekiwaniu na jej nadejście...

Rodryg Ort de Saintre skrzywił usta, a potem wznosił upierścienioną dłoń, zezwalając na egzekucję.

Błękitne płomienie wystrzeliły spod stóp skazańców i nim ich krzyk utonął w otulających głowy czaszach, już łapczywy ogień objął ciała. Rozpoczął się upiorny taniec trawionych żarem skazańców. Rosła grobowa pieśń wzmacniana głosem zastępów Kongregardów. Jej tony syciły płomienie, sprawiały, że sine słupy zaczęły przybierać barwę krwistej czerwieni.

Dwan nie mógł oderwać wzroku od płonących ciał. Chciałby nie widzieć, nie czuć ich cierpienia, nie stać tutaj, bezsilnie zaciskając pięści do krwi, nie patrzeć, jak popalone mięśnie odpadają od kości, strzelają ścięgna, a kipiąca krew paruje z rozerwanych żył...

Sargon, nie zważając na więzy, skoczył w stronę Rodryga Ort de Saintre. Był to zryw, który zaoszczędził mu widoku kaźni. Jeden z najbliższych stojących Mocarzy uderzył wodza Eoli kolbą w skroń.

Płomienie właśnie zaczynały przygasać. Nie było już ciał, tliły się jeszcze tylko szerniałe szkielety... Szkielety z nienaruszonymi głowami zamkniętymi w szczelnych czaszach, z głowami, których ścięte oczy nie wyrażały już niczego poza śmiercią. Głowy zachowane dla Kwiatów Pamięci...

*...A jeśli przyjdzie taka chwila, że będziesz musiał umrzeć... A jeśli taka chwila przyjdzie...*

\*\*\*

*Kiedy bogowie składali  
W wielkiej ofierze - Człowieka,  
Wiosna była oddechem ciepłym,  
Lato snem, jesień zapomnieniem...*

\*\*\*

Dwunastu Wigili eskortowało mnie w drodze do doków. Nadmiar ostrożności, zważywszy, że więzy już dawno odebrały mi czucie w rękach i nogach. Nie zrobiłbym kroku o własnych siłach, musieli mnie wlec jak szmacianą lalkę. I jeszcze te ich spojrzenia - jakby tylko czekające na drobny gest, który mogliby uznać za próbę ucieczki. Chyba mnie nie

lubili...

Do wiroplatu zostałem wrzucony jak wór piachu - nikt nawet się nie przejął, jak bardzo się poobijałem. Przypięli mnie do uchwytów w podłodze. Przestrzegali procedury, ale raczej z rutyny niż ze strachu. Zauważyłem, że już się mnie nie boją, nagle bardzo chcieli, żebym im dał pretekst do udowodnienia, jacy są wspaniali. Uśmiechnąłem się. Byli tacy pewni siebie. Nie potrafili zrozumieć oczywistej prawdy - w najbliższym czasie zginę albo ja, albo oni... Do lochów Zamku Purpurowego Rogu na pewno nie trafię. Trzy lata z krystalicznym proszkiem nauczyły mnie jednego - prawdziwa śmierć jest lepszym rozwiązaniem.

Rotory zaczęły mieć gęste powietrze z wysiłkiem, od którego dygotała cała kabina. Wigile usadowieni na ławkach po obu stronach kabiny oparli broń na chwytakach bezpieczeństwa. Przypadkowy strzał z jonowego miotacza mógł sprowadzić wiropląt na ziemię z każdej wysokości. Bardzo szybko...

Gorączkowo próbowałem odzyskać czucie. Wolałem mieć nogi i ramiona sprawne, kiedy nadejdzie właściwa chwila. Jak mawiał Skiddy Frank: bądź zawsze gotowy na okazję, nawet gdy ona nie jest gotowa na ciebie.

Na pulpicie sterowniczym szereg czerwonych kontroltek zmienił barwę na zieloną, sygnalizując gotowość do lotu. Wypchnięty do przodu wolant podniósł huk rotorów o oktawę, dysze zagwizdały przy spalaniu mieszanki. Wiropląt drgnął i leniwie zaczął się unosić.

Nagły błysk rozerwał kokpit sterowni jak papierową torbę. Kątem oka zauważyłem wylatującego z maszyny pilota, a właściwie pół pilota, bo nogi i część tułowia przypięta pasami dalej tkwiła w fotelu. Wiropląt na sekundę zawisł nieruchomo, a potem zwałił się w dół. Przez moment czułem, jak żołądek podjeżdża mi do gardła. W myślach kalkulowałem, na jakiej wysokości jesteśmy i czy istnieje szansa... Jeden z Wigili zaczął krzyczeć. Wrzask zagłuszył nawet huk rotorów. Pozostali w panicznym pośpiechu próbowali łąpać się uchwytów w ścianach. Ja nie musiałem robić nic... Byłem tak doskonale przykuty do podłogi, że tylko poły bluzy miały jakąś swobodę ruchu.

Potworny wstrząs omal nie powyrywał mi rąk i nóg. Pękło poszycie maszyny, rozpoławiając ją jak orzech. W części ogonowej zatańczyły języki ognia, a zaraz potem pojawił się gryzący dym.

Wisiałem na podłodze będącej sufitem wraku. Jak przez mgłę widziałem ocalałych i martwych Wigili. Tych żywych było zaledwie kilku. Któryś wzniosł oczy, zobaczył mnie, ale chyba nie zrozumiał, co widzi. Zastanawiałem się, jak wykorzystać sytuację, ale wyglądało na to, że poza odwróceniem pozycji niewiele się dla mnie zmieniło.

Nawet katastrofa nie mogła wyłączyć Wigilom mózgow na zbyt długo. Byli doskonale

wyszkoleni. Zdawałem sobie z tego sprawę - sam kiedyś, bardzo dawno temu, należałem do Wigilii.

Kiedy jeden z nich spojrział wprost na mnie - tym razem już przytomnym wzrokiem - i jego usta wykrzywił złośliwy uśmiech, wiedziałem, że okazja znów na mnie nie czekała...

Pieprzony wybuch rozrywający sterownię, potem rotory rozrywające kabinę, a teraz pocisk phobosa rozrywający pierś Wigila... I zanim trup z dziurą w piersiach zwałił się na ziemię, trzy kolejne kule rozszarpały pozostałych Łapaczy. Patrzyłem, nie rozumiejąc, starałem się wykręcić szyję, by dojrzeć, skąd padły strzały. Daremnie. Ostatni z Wigili podniósł ręce, prosząc o litość. Miał niebieskie oczy... Do czasu, gdy jego głowa rozpadła się w krwawych bryzgach. A potem, jak w opowieściach o biblijnym głosie z zaświatów, usłyszałem:

- I co, Esco, może jednak znalazłbyś dla mnie jakąś robotę...

Darowałem sobie wykręcanie szyi. Pieprzony Melon. Świr. Zawsze przyciągałem właściwych ludzi...

- Przekonały mnie pańskie kwalifikacje, panie Melon - nie zamierzałem drugi raz przepuścić okazji wyciągającej do mnie toporną, sękatą łapę. - Czego pan się spodziewa po pracy dla mnie?

- Wielu wrażeń podobnych do dzisiejszych, panie Esco - sprawnie majstrował przy krępujących mnie więzach. - A potem wielu zaszczytów i pieniędzy, które pozwolą mi kupić miłość, szacunek i posłuszeństwo.

Odpadłem od podłogosufitu wprost w jego ramiona. Ostrożnie postawił mnie na stalowej grodzi.

- Można powiedzieć, że zostaliśmy zaślubieni - powiedziałem, zanim pozbawione krążenia nogi odmówiły posłuszeństwa i runąłem mu do stóp.

Nie próbował mnie podnosić. Zamiast tego wyciągnął zza pazuchy flaszkę. Nie musiałem patrzeć na etykietę - palenie w żołądku było wystarczającym znakiem firmowym stronga.

- Jak się tutaj znalazłeś? - zapytałem, chociaż domyślałem się odpowiedzi.

- A tak sobie chodziłem za Wigilami szwendającymi się za tobą - na twarzy błąkał mu się uśmiech dziecka, które splatawszy psikusa, oczekuje reakcji dorosłych. - Chciałem dostać tę pracę i wiedziałem, że prędzej czy później będę ci w stanie udowodnić, że mogę się przydać. Nie zdążyłem tam, w dziurowcu na Mont Endzie, ale cierpliwie czekałem pod siedzibą Kap Don Andera. A kto czeka, ten się doczeka - zakończył filozoficznie.

- Mogłeś zabić pracodawcę - pociągnąłem kolejny łyk.

- Wtedy poszukałbym innej roboty - wyciągnął łapę, z nagłym niepokojem obserwując, jak w butelce ukazuje się dno. - Ale nikt w wiropłacie nie był tak solidnie przymocowany jak ty. - Jednym haustem wciągnął resztę stronga. - Co teraz, szefie?

- Teraz wybierzemy się na Eltenerę. - Czułem powracające krążenie w dłoniach i stopach. - Trzeba pogrzebać w cudzych pamięciach, zabić paru winnych i przy okazji wielu niewinnych.

Wyglądał na zadowolonego.

- Tak przy okazji, Melon - zdobyłem się na gest wdzięczności - dobra robota.

\*\*\*

W Zamku Purpurowego Rogu oczekiwano gości. Wielka uczta na cześć zwycięskiego Rodryga Ort de Saintre miała przyćmić wszystkie poprzednie, więc i biesiadników sproszono niepoślednich. Każdego, kto na Eltenerze piastował wyższą godność, przygnała chęć jak najrychlejszego złożenia hołdu i darów zapewniających o uwielbieniu i dozgonnym poparciu dla decyzerów Białego Oficjum. Tego wymagała etykieta, tego też wymagał Rodryg Ort de Saintre. Ci, którzy nie dotarli na czas, na ogół nie wracali już do własnych zamków. Pyszne orszaki wasali Kongregacji stały pod murami w długim barwnym korowodzie, czekając pokornie na otwarcie bram.

Tymczasem przed komnatą audiencyjną stali dwaj posłańcy. Mieli wieści dla najmożniejszego z decyzerów Białego Oficjum.

Wrota Objawienia bezgłośnie odpłynęły na bok, odsłaniając zgiętych w kornym pokłonie członków Szarej Świty. Posłańcy upadli na kolana.

Rodryg Ort de Saintre - zgrzybiały starzec o obwisłych zaślinionych wargach, o żółtych zębach, o oczach jak pestki wgniecione w błotne zapuchnięte powieki - leżał w łożu. Uniósł dłoń, pozwalając przybyłym podejść i uklęknąć, a potem skinieniem szponiastego palca przywołał jedną z nałożnic.

Najmłodsza Mali o płowych włosach wystąpiła z kręgu kobiet i tanecznym krokiem zbliżyła się do starca. Pomimo swobody ruchów nie wyglądała na spokojną.

- Dziecię moje - Rodryg Ort de Saintre przemówił świszczącym, suchotniczym głosem - nic mnie tak nie denerwuje jak nieoczekiwane nowiny. Jesteś na moim dworze od niedawna? - Najmłodsza Mali potulnie skinęła głową. - Czy przełożona poinformowała cię, co przywraca mi spokój i czystą myśl? Tak? To bardzo dobrze, możesz zaczynać...

Dziewczyna rozpięła złotą broszę na ramieniu, pozwalając przezroczystej tunice zsunąć się na posadzkę. Trochę niezgrabnie, jakby odsłonięte wdzięki były dla niej ciężarem, ułożyła się obok Rodryga Ort de Saintre - w takiej pozycji, że jego koścista dłoń mogła bez przeszkód

spocząć na jej pełnych pośladkach. Palce starca ożyły, wędrując po delikatnej skórze. Jednocześnie oddech ulatujący z zaciśniętych w wąską kreskę warg podniósł się o ton.

- Z czym przychodzicie? - wysapał jego wysokość.

Starszy z aryzejskich posłańców schylił się jeszcze niżej.

- Panie - rozpoczął - w widłach rubinowej Ingados, na Ziemi Niczyjej, nasi Donosiciele odnaleźli ostatnie oddziały buntowników. Dowodzi nimi Lee Harper. Prowadził odwody Dwana Deboraha Keene, ale nie dotarł na czas pod Górę Czarownic, a później odszedł przez Zapory Strefowe na Ziemię Niczyją, zabierając po drodze ocalałych z bitwy.

Palce Rodryga na moment zaprzestały wędrówki po pośladkach Najmłodszej Mali, a gniewne spojrzenie zapuchniętych oczu spoczęło na mówiącym.

- Kto ma nadzór nad Strefami Zaporowymi?

- Zwierzchnik Agbaru, panie, ale właśnie z twierdzy Uttu strzegącej Stref Zaporowych przybył jeden z wojowników, tam była zaraza, zwierzchnik nie żyje, a załoga... Panie, ja tylko przekazuję wieści... Niech twój gniew spadnie na ich głowy, to oni, oni otwarli bramy i pozwolili, by buntownicy weszli do twierdzy i utworzyli przyczółek. Panie, ponoć dotarła tam plotka, że... Nie karz, panie, za grzechy nie moje... Że Woorg nie będzie więcej wyniesiony ponad Pana Porządku Rzeczy...

- Co?!

- Panie, ja tylko powtarzam, Donosiciele nie wiedzą, skąd takie plotki, oszczędź, o łaskawy...

- Dość! - Rodryg Ort de Saintre zamyślił się. Jego dłoń błędziła między udami Najmłodszej Mali pozornie nieczuła na coraz gwałtowniejszy taniec pełnych bioder.

- Możecie odejść. - Posłańcy w podzięcie bijąc czołami o posadzkę, wycofali się poza Wrota Objawienia. - Czy uczta na cześć zwycięstwa gotowa? - Rodryg spojrział na mistrza ceremonii.

- Tak, wielmożny, takiego przyjęcia na twoją cześć jeszcze nie widziano.

- Laromma zapowiedziała swoje przybycie?

- Tak, najjaśniejszy, obiecała hojne dary i kogoś, kto ucieszy twoje serce jak nic innego na tej planecie.

- Mówiła, kto to?

- Nie, obiecała niespodziankę.

Najmłodsza Mali pod dotykiem sękatych palców gięła się spazmatycznie, krągłe biodra podrygiwały coraz gwałtowniej, coraz głośniejszy był też urywany szloch. Przełożona podała jego wysokości grubą polerowaną laskę, uklękła przy puchowym łożu i uchwyciwszy

dziewczynę za kostki, wolno rozchyliła jej nogi.

- Mistrzu - wysapał Rodryg - chcę, żebyś uważnie słuchał plotek na dzisiejszej uczcie, chcę wiedzieć, co się dzieje w twierdzy Uttu i jaką siłę mają buntownicy, chcę, żeby Laromma dostała gorsze niż zazwyczaj miejsce przy stole... A teraz odejdz - zakończył Rodryg Ort de Saintre, pochylając się nad pośladkami Najmłodszej Mali.

\*\*\*

Z murów twierdzy Uttu roztaczał się widok na równi piękny i krzepiący - krzepiący dla kogoś, kto jak Lee Harper oceniał możliwości obronne warowni, a piękny, gdy zapominając o wszystkim, syciło się wzrok rubinowymi wodami Ingados toczącymi się między labiryntem głazów. Twierdza wykuta w skale jednej z najdalej na północ wysuniętych ścian wyżyny Akenor leżała ponad trzysta metrów powyżej rozlewisk rzeki, które niczym bramy zamykały i otwierały drogę dwóm kamienistym duktom prowadzącym do zbocza. Warownia była wymarzonym miejscem do obrony.

Odgłos kroków wyrwał Lee z zamyślenia. Nadchodził Tobacco Ptasznik, jeden z niewielu ocalałych z pogromu na Górze Czarownic.

- Rozlokowałem ludzi na spoczynek - zameldował najemnik. - Komnaty są suche i przestronne. Miejsca mamy dosyć... - urwał, jakby inna myśl zaprzątnęła jego uwagę.

- Dalej uważasz, że nie powinniśmy byli pozwolić, by Kongregardzi odeszli? - Harper czuł smutek na wspomnienie Góry Czarownic. Nie zginął, a teraz przyszło mu zostać wodzem, od którego wszyscy oczekują mądrych i trafnych decyzji.

- Niepotrzebnie darowałeś im życie.

- Taka była umowa. - Harper spojrzał na Tobacco Ptasznika, zastanawiając się, skąd w jego głosie tyle nienawiści.

- Niepotrzebnie. - Mały wzruszył ramionami. - Honor nie pomaga w wojnie, a za twój honor zginie teraz wielu niewinnych.

- A co nam innego pozostało?

- Za honor można umrzeć we własnym domu, za siebie samego... A ty naraziłeś starców, dzieci, kobiety. - Tobacco nie podniósł głosu, ale i bez tego słychać było nuty gniewu. - Jesteś tu po to, żeby wymordować tylu Kongregardów, ilu tylko zdołasz, wymordować, korzystając z każdej nadarzającej się okazji, zmniejszając zastępy wrogów dla tego, który po tobie poprowadzi walkę dalej. Nikt wspomnienia po tobie nie będzie mierzył honorem, ale liczbą zabitych Kongregardów. Powinieneś o tym pamiętać, Lee, teraz jesteś naszym wodzem i nie wolno ci honorowo umrzeć, nie teraz, Lee, na to już za późno...

- Mamy być tacy jak oni?... - Harper wiedział, że mały mówi prawdę.

- Na wojnie żołnierze dzielą się tylko na żywych i martwych, nie na dobrych i złych, najeźdźców i napadniętych, przyjaciół i wrogów... Im szybciej to zrozumiesz, tym więcej Kongregardów będziesz mógł wymordować, tym więcej istnieć po naszej stronie ocaleje, bo martwi już nikogo nie zabijają.

- Tobacco, gdzie poznałeś takie zasady?

- Miałem dobrego nauczyciela. - Mały uśmiechnął się smutno. - Słyszałeś pewnie o Esco, musiałeś słyszeć, każdy o nim słyszał... Teraz jest w piekle, a wiesz, dlaczego tam trafił?

- Mówią, że zgubiła go kobieta...

- Tak, zabił o jedną osobę za mało, zawahał się przez odstrzeleniem łba wrednej dziwce, dlatego zginął...

- I nikt po nim nie płacze.

- A myślisz, że po tobie ktoś będzie płakał? - Ptasznik schylił się po bryłkę ziemi i rzucił ją za mury. - Słyszałeś, jak spadała? Jak uderzyła o skały?

- Nie... - Lee patrzył na małego ze zdziwieniem.

- Wy tak spadacie. Gdyby Esco leciał w dół, nie wytrzymałbyś huku. To sukinsyn, nie odszedł po cichu, znasz go, wszyscy znają Escobara. Jeszcze przez długie lata dźwięk tego imienia będzie straszył jego wrogów. A ty odejdziesz po cichu, nie zostawisz nawet legendy, którą można by opowiedzieć dzieciom, ucząc je niepokory. Ani Dwan Deborah Keene, ani cała reszta z Góry Czarownic nic już nie mogą zrobić, zginęli, został Lee Harper... Czy pamięć o nim umrze w momencie, w którym umrze jego ciało? Jeśli tak, to idź, powiedz ludziom na dole, żeby sami poderżnęli sobie gardła, przynajmniej zabiorą tę przyjemność Kongregardom, każdy musi umrzeć, więc co za różnica... Ale ja dalej będę mordował Kongregardów, bo tyle jestem winien pamięci Berta.

- Tobacco, chyba byłbyś lepszym wodzem...

- Ale nie jestem, to nie moja wojna!

- Dobrze, zatem będziemy walczyć, ta twierdza jest niezdobyta. - Lee ożywił się, jakby Ptasznik zdjął z jego barków przynajmniej część odpowiedzialności. - W podziemiach są nieprzebrane zapasy jedzenia i amunicji, mamy nawet tarcze energetyczne. Niech przychodzą, jesteśmy przygotowani i jeśli przy zdobywaniu Uttu nie zginą tysiące Kongregardów, to będzie znaczyło, że nie jesteśmy godni, by o nas pamiętać.

- Lee - Tobacco położył mu dłoń na ramieniu - posłuchaj mojej rady... Oddziały Kongregardów przybędą już wkrótce - Ptasznik udał, że nie widzi na twarzy Harpera skrywanej złości - rozłożył obóz wokół twierdzy, tworząc szczelny kordon.

- Mamy zapasy, możemy długo się bronić.

- Oni nie będą zdobywać warowni, bo jest niezdojta. Otoczą nas zadowoleni, że reszta buntowników dobrowolnie zamknęła się w więzieniu... I to będzie koniec, bez jednego wystrzału, a mieliśmy przecież mordować Kongregardów.

- Przepraszam, Tobacco. - Lee podał małemu dłoń. - Co radzisz?

\*\*\*

Sala zgromadzeń Areopagu Starych Kontynentów wypełniona była do ostatniego miejsca. Panowała niezwykła cisza, przerywana jedynie skrzypnięciem fotela i szumem klimatyzacji. Nikt nie został poinformowany, jakiego tematu dotyczy posiedzenie, dlatego też nikt nie czuł się bezpieczny.

- Szanowni członkowie Areopagu! - huknął tubalnie marszałek, przyzwyczajony do przekrzykiwania gwaru sali zgromadzeń. Jego głos wzmocniony kwadrofonomi nieomal ogłuszył zebranych. - Dzisiejsze posiedzenie zwołano na wyraźne i... - zawiesił głos - mam nadzieję, w pełni uzasadnione polecenie przewodniczącego Komisji Sprawiedliwości... Jedynym punktem dzisiejszych obrad jest wniosek o wszczęcie procedury „Winny ponad wszelką wątpliwość”. - Szmer niedowierzania przeleciał po sali, ale w oczekiwaniu nazwiska oskarżonego umilkł równie szybko, jak się pojawił. - Procedura dotyczyć ma obecnie sprawującego władzę prezydenta Zjednoczenia Starych Kontynentów, Johna Nathaniela Loyda!

Burza zdumionych okrzyków skutecznie zagłuszyła dalsze słowa marszałka.

- Cisza! Cisza! - słowa prowadzącego obrady z trudem przedzierały się przez hałas. - Za chwilę wszystkiego się dowiemy! Oddaję głos przewodniczącemu Komisji Sprawiedliwości! Proszę o ciszę! Głos ma przewodniczący!

Niewysoki korpulentny mężczyzna wszedł na mównicę. Sala zamilkła, oczekując rewelacji. Skończyła się gra polityczna. Takie oskarżenie i procedura mogły pozostawić na scenie tylko jednego z oponentów, a to, że przewodniczący zawsze krytykował prezydenta, było powszechnie wiadome. „Winny ponad wszelką wątpliwość” nie miało marginesu na przeprosiny, dlatego oczy zgromadzonych obserwowały uważnie przewodniczącego, który rozkładał na pulpitach czytelnika dokumenty.

- Witam szanownych członków Areopagu - przemówił głosem spokojnym i opanowanym. - Pozwolicie, że przedstawię dowody potrzebne do uruchomienia procedury odwołania prezydenta...

W sektorze europejskim wstał senior Rady Regulaminowej. Marszałek nie mógł odmówić mu głosu. Sprawa była na tyle niezwykła, że sprawy proceduralne musiały przejść



weryfikację Rady. Bez jej zgody Areopag nie miał prawa podjąć uchwały.

- Uważam - rozpoczął, wolno cedząc słowa - że pan przewodniczący zapomina o panującym porządku obrad. Nie jesteśmy ławą przysięgłych, przed którą pan przewodniczący będzie wygłaszał mowę oskarżycielską zakończoną żądaniem wydania wyroku. Niezależnie od wagi sprawy zawsze na tej sali najpierw zapoznajemy się z materiałami, a dopiero później wysłuchujemy zainteresowanych stron.

- Właśnie tego chcę uniknąć, ponieważ uważam, że oskarżenie dotyczy też licznej grupy parlamentarzystów. - Przewodniczący zaczynał tracić spokój.

- Pan przewodniczący jest przecież specjalistą od sprawiedliwości... - Senior nie podniósł głosu. - Czyżby dowody były kruche? Czy oskarżenie rzucone na nieobecnego tutaj prezydenta i na obecnych parlamentarzystów nie wymaga zapoznania się z dowodami winy? Czy przewodniczący zapomina, że nawet zbrodniarz przed rozprawą może przeczytać akt oskarżenia? Czy mamy na tej sali słuchać pomówień, nie wiedząc, czy i nas one nie dotyczą?

Senior zagrał na właściwej nucie słowami, które zjednały mu większość słuchaczy. Nikt nie wiedział, kto zostanie postawiony pod pręgierzem... Przewodniczący Komisji Sprawiedliwości też to zrozumiał, bo wykonał ostatni możliwy ruch, który mógł zapewnić przewagę.

- Mam poważne podstawy do przypuszczeń, że bardzo wpływowi członkowie Areopagu mogą próbować zablokować procedurę „Winny ponad wszelką wątpliwość”, dlatego domagam się, aby obrady kontynuować bez żadnej przerwy! - dobitnie zakończył, patrząc w oczy seniora, jakby mówił: jeśli się nie zgodzisz, będzie to znaczyło, że też jesteś winny...

Tamten uśmiechnął się jowialnie.

- Mam siedemdziesiąt dwa lata, panie przewodniczący, i sprawuję swój urząd już trzecią kadencję. Przeżyłem dwóch pańskich poprzedników i myślę, że na tym nie koniec. Regulamin obrad zawsze mówił: najpierw materiały, później debata. Dlatego wnoszę o dostarczenie parlamentarzystom raportów dowodowych w sprawie i o dwa dni przerwy na zapoznanie się z nimi. Jeżeli pan przewodniczący ma wątpliwości, mogę to poddać pod głosowanie...

- Nie trzeba. - Przewodniczący zrozumiał, że źle rozegrał pierwszą partię. - Senior Rady Regulaminowej ma całkowitą rację. Materiały zostaną niezwłocznie dostarczone każdemu z członków.

\*\*\*

*... Z tej ofiary wszechwielkiej...*

*...Zebrano uczuć zakrzepłą masę.*

*Z niej to powstały zwierzęta...*

*...Co w przestworzu, w lesie żyją.*

\*\*\*

Zarząd Korporacji Handlu wpatrywał się w ekran komunikatora jak zahipnotyzowany. Nikt nawet nie próbował przerwać wściekłych słów niczym zabójczy jad sączących się z głośników.

- ...mam właśnie przed sobą materiały dotyczące prezydenta - informował senior Rady Regulaminowej - z których jasno wynika, że John Nathaniel Loyd zafundował sobie nielegalne wakacje w Rezerwacie na Eltenerze, a korzystając z waszych usług, naruszył prawo co najmniej w sześciu punktach Kodeksu Moralnego Obywatela. W tej chwili nie jest w stanie sprawować władzy, bo jego świadomość została przeniesiona w ciało Łazarza na statku Olimp i nie wiadomo, czy w ogóle wybudzi się z letargu, ponieważ proces przeniesienia wymknął się spod kontroli...

- To bezpodstawne oskarżenia! - piskliwie przerwał Andrew. - Nikt nie ma żadnych dowodów!

- Dziwne... - Senior uniósł brew. - Mam przed sobą zapisy waszych rozmów z co najmniej trzech miesięcy... Ostatnie nagranie dotyczy przejęcia Olimpu przez stroiciela Eframa.

- Jak to możliwe? - wydukał bezradnie, patrząc po twarzach pozostałych.

- Jezu, Andrew, mówiłeś, że twojej sekretarki Vivian nie ma już drugi dzień w pracy - wydusił Johann - że... że w żaden sposób nie możesz się z nią skontaktować.

- Niemożliwe - bronił się Andrew - jej lojalność jest... - Umilkł, widząc, że Borys podskoczył do konsoly bezpieczeństwa.

- A jednak... - Borys spojrział na wszystkich kolejno. - Ta dziwka przez ostatnie trzy miesiące nagrywała rozmowy zewnętrzne. Dlaczego, kurwa, nikt nie sprawdzał raportów?!

- Jean-Claude kontroluje systemy zabezpieczeń... - Andrew nieomal zachłysnął się odpowiedzią. - Mój Boże, to straszne...

- Co, do cholery, jest straszne?! - Johann był bliski apopleksji.

- Jean-Claude ma kochankę, mówiłem wam.

- Konkretnie, Andrew, konkretnie!

- Sekcja wewnętrzna przypuszczała, że to Vivian. - Puciołowaty mężczyzna ukrył twarz w dłoniach. - Sądziłem, że to sprawa prywatna, znacie Jeana... Matko Boska!...

- Przynajmniej wiemy, na czym stoimy - zgryźliwie uśmiechnął się senior Rady Regulaminowej. - Wystawił was jak durne dzieci, a teraz wszyscy mamy problem. Możemy

skontaktować się z Larommą?

- Nie wcześniej niż za cztery godziny. Jest w drodze na Eltenerę, w strefie zmiany czasu.

- Jak faktycznie wygląda sytuacja z prezydentem?

Nikt z Korporacji nie kwapił się z odpowiedzią. Jakby bali się powiedzieć seniorowi prawdę. Wreszcie Borys, przypalając cygaretkę, przerwał milczenie.

- Całkiem do dupy - zaciągnął się dymem. - Efram zwariował i przejął kontrolę nad Olimpem. Świadomości uczestników programu, prezydenta też, są już w ciałach Łazarzy, a nad ciałami absolutną władzę ma stroiciel. Nie możemy cofnąć procesu, nie możemy rozwalić Olimpu, nie ma jak wypuścić ich na Eltenerę, żeby dokonać reinkarnacji... Impas...

- Wysłaliśmy człowieka do przejęcia statku - wtrącił Andrew - z kodami strojenia Woorga. Ma z pomocą Kongregarda Uttu Uttugena wyeliminować Eframa.

- Jakie są szanse, że mu się uda? - Senior nie wyglądał na uszczęśliwionego.

- Teraz, kiedy Jean-Claude stoi po drugiej stronie, nie postawię złamanego centa na powodzenie misji. - Borys wzruszył ramionami. - Trzeba założyć, że to kolejne posunięcie w grze Jeana-Claude'a.

- Możecie powstrzymać wysłanego człowieka?

- Za późno. - Andrew wyglądał jak ktoś, kto właśnie zwątpił we wszystko, co dotąd tworzyło jego świat. - W tej chwili powinien być na Olimpie, czyli bez możliwości kontaktu. Pozostaje tylko czekać... Jeśli wszystko pójdzie pomyślnie, pierwszy się odezwie.

Senior wziął się w garść.

- Po pierwsze, udostępnicie mi listę wszystkich waszych klientów... - Podniesioną dłonią uspokoił sprzeciw członków zarządu. - Bez dyskusji! Parlamentarzyści, biznesmeni, członkowie rad, zarządcy mediów, sędziowie. Jeżeli w ciągu dwóch dni nie skompletuję w Areopagu większości mogącej zablokować procedurę „Winny ponad wszelką wątpliwość”, już możemy zacząć się żegnać z bliskimi! Po drugie, nie istniejecie dla nikogo, nie ma was, nie odpowiadacie na żadne pytania, nie udzielacie wywiadów, nie wychodzicie z tego budynku, nawet gdyby dziecko któregoś z was konało! Jasne?!

- Nie powinniśmy przynajmniej wydać oświadczenia? - nieśmiało zaproponował Delbort.

- Ja wydam w waszym imieniu krótki komunikat - uciął dyskusję senior. - Nie pozwolę na jeden fałszywy krok, skoro gra toczy się i o moją głowę... Postarajcie się tylko sprawdzić, w czym jeszcze Jean-Claude mógł maczać palce. Nie chcę już żadnych niespodzianek. Przewodniczący Komisji Sprawiedliwości to bezwzględny przeciwnik. Jeśli Laromma będzie

w zasięgu, to proszę o niezwłoczny kontakt! Olimp jest nietykalny! Na razie to wszystko!

\*\*\*

Stalowa gródź rozsunała się bezszelestnie, odsłaniając niewielką salę. Ze stropu zwieszały się stalaktytowymi naciekami oczy Woorga. Setki galaretowatych szypulek zakończonych oczami - splecionych pajęczyną neuronowych połączeń - ogniskowały spojrzenie na centralnym punkcie pomieszczenia, gdzie stał krzyż. Tuż nad nim w ogromnym kryształowym słoju tkwił mózg Woorga. Szare zwoje wyglądały jak monstrialne robale - nieruchome, zastygłe, wypełniające szczelnie przezroczystą kulę, uśpione jeszcze i nieświadome.

- Judaszu... - Efram postawił na długim stole misę z pieczonym mięsem. - Szykuję ci wieczerzę, ostatnią...

Wysoki muskularny brunet siedział w fotelu przy zastawionej jedzeniem ławie. Jego spojrzenie śledziło każdy ruch stroiciela. Ciało mężczyzny było przykute do fotela klamrami.

- Musisz być syty i napojony - Efram rozstawiał puchary z winem - by zdradzić i poczuć ból zdradzonego.

Na twarzy mężczyzny malował się strach. Stroiciel czynił wszystkie przygotowania z nieludzkim spokojem.

- Tak, Judaszu, będziesz mógł zrozumieć mój smutek, moje cierpienie, moją ofiarę za innych, za ciebie też... Nikt tak jak ty nie pozna myśli wybawcy, nikt nie będzie z nim tak blisko, nikt nie poczuje objawienia dającego początek nowej drodze i nowym bogom, nikt nie pojmie ogromu wyrzeczeń, które staną się moim udziałem, nikt poza tobą...

Przywołany skinieniem dłoni rotron stanął przed stroicielem, oczekując na polecenia.

- Widzisz, Judaszu, twoi bogowie są przekonani o swojej nieomyślności, wierzą w reguły, które same w sobie mają moc sprawczą, reguły porządkujące świat i niebo. - Efram wyciągnął z futerału zabijak. - Nie potrafią pojąć, że istnieje tyle prawd, ilu proroków owe prawdy głoszących. Zobacz - mówił, przystawiając sobie do głowy zabijak - pierwszą absolutną prawdą konstruktorów tego rotrona była zasada: nie wolno ci pozbawić człowieka życia, masz je chronić za wszelką cenę. Głupia maszyna i mądra reguła - poklepał stalowe cielsko po obłym garbie, w którym tkwiły sploty funkcyjnej robota - nie zabijaj i chroń przed zabiciem. A jeśli teraz Efram będzie chciał zabić Eframa... to co? - Powoli naciskał spust.

Rotron zaczął się kołysać na boki - coraz szybciej, coraz gwałtowniej - na przemian to wysuwając, to chowając sprzężone rury laserowych miotaczy.

- Nie! Efram, nie zabijaj mnie! - krzyczał Stroiciel, mocniej naciskając spust. - Nie! - Szarpnięcie palca uwolniło głuchy stuk splotnika. W tym samym ułamku sekundy rotron

szarpnął się do przodu. Lufy laserów nie zajaśniały jednak morderczym błyskiem. Trzask wyładowania dobywający się spod pancerza - z miejsca, gdzie znajdował się ośrodek decyzyjny maszyny - zlał się z oszalałym śmiechem Eframa.

Rotron oklapł i przysiadł nisko na posadzce, szklane oczy okryły blendy powiek, a zewnętrzne chwytaki osunęły się niczym zwiędłe rośliny.

- Tak oto rozpadła się w proch pierwsza prawda bogów tej maszyny... - Stroiciel odłożył zabezpieczony zabijak. - Ty, Judaszu, będziesz czuł moje cierpienie, ono pozwoli ci zrozumieć istotę bólu, dopiero w nim odkryjesz własne reguły, ból sprawi, że zdrada wyda ci się piękna, a uczciwość obrzydliwa... Popatrz, dobro człowieka nie jest już dobrem nadrzędnym rotrona - sięgnął po daktyla - zmienił się, jest już inną maszyną, ale czy to znaczy, że nieprawdziwą? Złam mu wskazujący palec - wkładając do ust owoc, polecił robotowi.

Stalowa bryła ożyła. Najpierw powoli uniosła się do pozycji wyprostowanej, a później wysuwając chwytaki, zbliżyła do uwięzionego mężczyzny. Ów wycharczał:

- Możesz mnie zabić, a i tak nie dostaniesz hasła strojenia Woorga! - Mówił szybko, urywanym głosem, jakby pragnął zagłuszyć strach. - Nigdy, psycholu, nigdy! Moja śmierć niczego nie zmieni, przyjdzie ktoś inny i on cię załatwi! A jeśli zrobisz coś Łazarzom, to Korporacja rozwali Olimp, zanim zdołasz wyszeptać ostatnią modlitwę...

Rotron sięgnął do uwięzionej dłoni mężczyzny. Stalowy chwytak zacisnął się wokół wskazującego palca, a przegub gwałtownie wykonał pół obrotu. Wrzask bólu zlał się ze śmiechem Eframa.

- Ja nie chcę, żebyś zdradził hasło, chcę, żebyś mi je wręczył jak najcenniejszy dar, jak ofiarę z twojej prawdy. - Patrzył w oczy wypełnione łzami cierpienia. - Twoje odkupienie dopiero się rozpoczyna... - Odwrócił się i podszedł do konsoli zarządzającej salą strojenia. Chwilę śledził ekran emitujący przebieg uśpienia Woorga, a potem ze spokojem podjętej już dawno decyzji uruchomił proces aktywacji mózgu. Zewnętrzne przesłony wolno opadły w podłogę, przez okna wdarł się blask Ti-Dejaniry. - Oto potęga, która miała ci pomóc, Judaszu - wskazał dłonią wojska Uttu Uttugena otaczające statek szczelnym kordonem. Za panoramicznymi szybami zbrojni decyzera Kongregacji Białego Oficjum trwali w zwartych szeregach, gotowi na każdy rozkaz, który zamieni oczekiwanie w krzyk bitewny. - Teraz inny kapłan zestroi mózg Woorga i świat nie będzie już taki sam... Czy wiesz, Judaszu, czego oczekują od swojego boga? - Mężczyzna ze wszystkich sił starał się zapanować na bólem. - Żeby zawsze był po ich stronie, żeby akceptował wszystkie ich poczynania, bo cokolwiek robią, robią to przecież w jego imieniu; żeby ciężar ich win wziął na swoje barki, a kiedy

przyjdzie dzień ostatni, dał im rozgrzeszenie. Niestety - Efram podszedł do krzyża i zaczął się rozbierać - wielbny Alhier stoi teraz przed swoim bogiem i prosi o odpuszczenie win... Sam nigdy miłosierny nie był.

*...Jam przez pychę walczył z twą władzą, święty...*

*...Teraz, choć tonę, pragnienie mnie dręczy...*

Wezwany skinieniem dłoni rotron stanął przed Stroicielem. Z kieszeni bluzy Efram wyjął płytkę optogramu i umieścił ją w czytniku programatora.

- Widzisz, Judaszu, są już wierni oczekujący rytuału - wskazał na wojska Kongregacji z napięciem wpatrzone w przezroczystą czaszę sali strojenia. - Jest setnik, który dokona ukrzyżowania - poklepał robota po stalowym korpusie - taki sam jak ten sprzed tysięcy lat: bezwolny, wypełniający polecenia, nie rozumiejący, co czyni... Narzędzie... Ty, Judaszu, podzielisz mój ból i mękę, będziesz modlił się, żeby cierpienie dobiegło wreszcie końca...

Efram rozłożył ręce i pozwolił, by rotron energetycznymi splotami uwiązał je do ramion krzyża. Spośród zogniskowanych na Stroicielu oczu Woorga wysunęły się dwie gąbczaste macki. Jedna oblepiła czoło Eframa, druga skronie mężczyzny. Wilgotne czarne przyłgi niczym pijawki wessały się w pierś Stroiciela.

- Teraz, Judaszu, będziesz czuł dokładnie to, co ja... Setniku! - krzyknął do rotrona. - Napój winem naszego gościa, nakarm go mięsem i owocami!

- Jesteś wariatem - wysapał mężczyzna. - Kompletnie ci odbiło! - w jego głosie słychać było nuty rodzącej się hysterii. - Korporacja nigdy ci tego nie daruje! - Usta zakrył mu puchar z winem. Robot przechylał naczynie powoli, w miarę jak mężczyzna, nie chcąc się udusić, przełykał rubinowy płyn. Krople ściekały mu po brodzie, szyi, srebrnym uniformie.

Efram poruszał ustami, jakby to on rozkoszował się winem.

- Cóż za wyborny smak... - przymknął powieki - cierpki, a zarazem słodki... Czy tak właśnie smakowała krew, która za nich była wylana? Judaszu, czy próbowałeś kiedyś krwi odkupienia? Czy wino może stać się krwią?

- Ty naprawdę oszalałeś! - Rotron cofnęła opróżniony puchar. - Jean-Claude miał rację, jesteś kompletnym świrem!

Śmiech Stroiciela zabrzmiał ponuro.

- Zatem zanurzymy się w szaleństwo - powiedział, dając znak robotowi.

Zajazgotał sygnał poboru mocy, na ekranach zamigotały krzywe wstępnej fazy strojenia, z bocznych naw wystrzeliły dwa błękitne promienie i załamane na szklanej kuli z mózgiem Woorga zogniskowały się na głowie Eframa. Setki spływających ze stropu oczu utkwili źrenice w twarzy Stroiciela, a neuronowa pajęczyna zaczęła powoli falować.

*...Z tej ofiary wszechwielkiej...*

*...Ziemie ubarwił kwiatów kobierzec...*

Rozkwitała róża. Przepyszna. Czerwona. Wiotka. Na łodydze okrytej kolcami, nad baldachimem zielonych liści. Pomieszczenie zamieniało się w różę, w soczyste płatki, w liście, w łodygę, w kolce. Zapach, aromat, upajająca woń. Słodki opar docierający do najgłębszych zakamarków świadomości. I ciepło... Tak, chyba ciepło... Gorące soki wędrujące od tkanki do tkanki. I ruch... Tak, chyba ruch... Cała roślina rozżegnana, rozogniona. I życie... Tak, chyba życie... Zaczynała się noc... Noc? Dlaczego noc? To był przecież dzień. Jasny i promienny. Słońce stało w zenicie - ogromne, złociste, ociekające gorącym blaskiem. Zdawało się, że ziemia zalana żarem z wolna zaczyna topnieć, z gorącej lawy uwalniają się tłuste, pękające z głuchym plaśnięciem bąble. Każdy z nich był kwiatem róży rozchylającej się do rozognionego słońca, jakby chciała ściągnąć je z błękitnego nieba i zatopić we wrzącej ziemi. Powietrze drżało. Wirowała przestrzeń. Pękające bąble uwalniały rozdygotane miraż. Rosły pałace i zamki, pomniki. A dookoła zalegały pokłady mułu, szlamu - cuchnące, ohydne. W czarnym bagnie przewalały się tysiące brudnych wynędzniałych postaci. Wszystkie jednakowo nijakie. Moczary, zgnilizna. Odór butwiejącej materii. Noc. Dlaczego noc? To był przecież dzień. Rozchyliły się złote wrota i na wykładany marmurowymi płytami dukt wybiegł radośnie mężczyzna z kobietą. On smukły, postawny, odziany w szatę koloru płatków róży, ona piękna, jasnowłosa, jak ucieleśnienie snu. Trzymali się za ręce, oboje szczęśliwi, promienni, bez trosk. A wokół przelewało się bagno głów, rąk, nóg, ust wypełnionych szlamem. Wypływały na krótką chwilę i ginęły na powrót w ponurej otchłani. Była noc. Dlaczego noc? Przecież dzień królował, gdy na drogę wypełzła okryta mułem postać. Na jasne perłowe płyty ściekała czarna śmierdząca maź. Odpadały gnijące kawały ciała. Szkielet okryty mułem czekał w bezruchu. Ktoś. Kim był? Jednym z wielu? Sobą? Nikim? Roześmiana kobieta stając przed ponurym wysłannikiem moczarów, właśnie tak zapytała: „Kim jesteś?...”. Odpowiedzi nie było. Nie wiedział? Jednym z wielu? Sobą? Nikim? Spróbowała jeszcze raz. „Dlaczego się nie uśmiechasz?” - w pytaniu pobrzmiwała ciepła troska. Mężczyzna i kobieta cieszyli się każdym oddechem. Postać zrodzona z błota stała i patrzyła na nich pustymi oczodołami. Czas nie istniał. Powstał dopiero w chwili, gdy wysłannik bagien zacisnął dłonie na szyi chłopaka. Młodzieniec w purpurowej szacie upadł na perłowe płyty. Z błota, z mrocznej otchłani kotłujących się postaci nadbiegł posepny szept: „Dlaczego się nie uśmiechasz?...”. Oczy dziewczyny ciemniały coraz bardziej, twarz traciła różowy odcień, skóra wiotczała, mięśnie zaczynały gnić. Piękne ciało przeistaczało się w cuchnący szlam. Nadchodziła noc. Dlaczego noc? Był przecież dzień. Z nieba uderzyły dwie

błyskawice. Oślepiające węże obudziły blask drugiego słońca. Gejzery płynnej lawy wirowały w obłądnym tańcu. Muzyka? Nie, nie muzyka, krzyk. Krzyk sięgający gwiazd. Krzyk bólu? Krzyk rozkoszy? Krzyk radości?

Na krzyżu Stroiciel Efram krzyczał, szarpiąc się w więzach. Chrapliwy wrzask rozrywał też usta skrępowanego w fotelu mężczyzny. Obaj uwalniali się od wizji. W rozchylone szeroko oczy z wolna wracała rzeczywistość. Rotron w pozycji gotowości oczekiwał na polecenia.

- Judaszu - padły pierwsze słowa - moje kody strojenia już są, pora na twoje.

Drugi mężczyzna wolniej odzyskiwał świadomość.

- Nigdy ich nie dostaniesz, świrze.

- Zatem pora - Eframa chyba ucieszyło to, co usłyszał - na ból, o którym ci mówiłem...

- Możesz mnie nawet ukrzyżować, ty pomyłony gnoju - mężczyzna odzyskał już poczucie rzeczywistości - ale o kodach zapomnij!

- Ależ Judaszu, strach miesza ci w głowie! - Efram roześmiał się beztrosko. - To ja będę ukrzyżowany... Tobie pozostanie tylko uczestniczyć w moim bólu. Nie jesteś wybrańcem, jesteś zdrajcą...

Przywołał rotрона.

- Setniku - uśmiechnął się do robota - czyń swoją powinność!

\*\*\*

Siedzieliśmy z Melonem w kabinie nawigacyjnej scoptera. Dobry człowiek z doków spisał się doskonale. Stabilizatory wymienione, system przyziemienia po całkowitej renowacji, nawet posprzątane w środku.

- Esco - Melon zmarszczył czoło w zamyśleniu - dlaczego w dokach nie było Wigili?

Przerwałem wprowadzanie koordynat lotu.

- Martwi na ogół nie informują przełożonych o ucieczce - rozłożyłem ręce. - Nawet gdyby zaczęli szukać już teraz, pościg raczej nie dopadnie nas przed strefą zmiany czasu.

Pokiwał głową. Dokończyłem programowania trasy. Należała mi się solidna porcja whisky i parę godzin snu. Dlatego zanim ruszyła procedura startu, jeszcze raz sprawdziłem parametry. Gdyby obyło się bez niespodzianek, a tych miałem jak na razie dość, to mogliśmy liczyć na trochę spokoju. Później nie będzie już takiej okazji...

- Dlaczego Eltenera? - Melon najwyraźniej był bardziej wypoczęty.

- Powinienem się zdrzemnąć, możesz zapytać konkretniej? - Uruchomiłem systemy automatycznego startu.

- Ludzie gadają, że Kwiaty Pamięci to był twój biznes...



- Do rzeczy, Melon, nie mamy całej wieczności! - Scopter uniósł się nad płytę lotniska bez żadnego szmeru. Jeszcze raz pokiwałem głową w uznaniu zasług dobrego człowieka.

- I że zostałeś z niego wydymany przez jakąś dziwkę...

Poczułem, jak kamień z żołądka wędruje do przełyku. I nie był to efekt przeciążenia startowego.

- Pytanie, Melon, miałeś zadać pytanie!

- Skoro ma Wigilię w kieszeni i Kongregardzi jej sprzyjają, po co lecimy na Eltenerę? - Spojrzenie utkwił w mojej twarzy. - We dwóch nie wybijemy wojsk Białego Oficjum ani Wigili Ditleva i nawet się nie zbliżymy do Larommy.

Wykorzystując konieczność skontrolowania przyrządów, wziąłem kilka głębokich oddechów.

- Melon, podobno szukałeś na Garbusie śmierci? - Pokiwałem głową. - Na Eltenerze znajdziesz ją na pewno... Popatrz - plunąłem w bok. Ślina przylgnęła do rogu monitora. - Prawdopodobieństwo, że ślina trafi akurat w róg monitora, było prawie żadne. A jednak trafiłem...

Nie wiem, czy właściwie pojął mój filozoficzno-fizyczny wywód. Mało mnie to zresztą obchodziło. Wiedziałem, czego chcę, i nie miało znaczenia, że najprawdopodobniej zginę.

- Max mówił, że wracasz tylko po to, żeby zniszczyć Larommę... - nie rezygnował Melon.

- Pewnie ma rację - zgodziłem się. - Jak inaczej sobie wyobrażasz odzyskanie interesu? - Czułem, że nie brzmi to przekonująco. - Trochę za późno, Melon, na wątpliwości. Właśnie wchodzimy na orbitę Garbusa - pokazałem obraz planety wypełniający monitor.

- Nie, nie - zaprzeczył pośpiesznie - nie mam zamiaru się wycofać. Dobrze wiedzieć, że nie lecimy tam na wycieczkę krajoznawczą... - w oczach płonęły mu ogniki radości, tak okrutnej, że po plecach przepelzł mi zimny dreszcz.

Popatrzyłem na Melona ze smutkiem. Każdemu jego własny krzyż...

*...A jeśli przyjdzie taka chwila, że będę musiał umrzeć?...*

*...A jeśli taka chwila przyjdzie...*

Scopter wszedł na zaprogramowaną trasę.

- Melon, prześpię się trochę - powiedziałem, pokonując opór ściśniętego gardła. - Zbudź mnie, gdyby coś się działo. Normalnie aparatura sama daje mi sygnał przy strefach zmiany czasu, więc nie musisz zbytnio kombinować. Potrzebuję snu, okay?

- Jasne, Esco, kimaj sobie.

Wyciągnąłem nogi, przymknąłem powieki. Głębokim, równym oddechem starałem się

uspokoić myśli.

Nie wiem, skąd przywędrował obraz oceanu. Bezkresna woda błękitem wypełniająca horyzont, migocząca tysiącami iskier w blasku Ti-Dejaniry. I posąg wryty w piach plaży. Wielka kamienna figura o pustych oczodołach, poznaczony siatką pęknięć mozolnie żłobionych przez wiatry, deszcze i ocean. Trwanie, to był monument trwania... Nie, nie do końca... To było też przemijanie... Czas, który kruszy kamienie... Tak, to było też przemijanie...

*...Była ciemność - ciemnością od początku okryte...*

*...Wszystko było jednym bez cech oceanem...*

*Kochany.*

*Siedzę przy stole zastawionym na dwie osoby. Palą się świece. Jest butelka dobrego wina. Jesteś nawet Ty... na zdjęciu, które stoi przede mną. Całuję ten kawałek Ciebie i przysięgłabym, że czuję ciepło Twoich ust... Ale po chwili przychodzi smutek. I bolesna prawda... Jesteś daleko ode mnie... Carlo bardzo mi pomaga, nie wiem, co bym bez niego zrobiła. To niezwykle, że człowiek, który ma przed sobą niewiele życia, potrafi zapomnieć o swoim nieszczęściu i pomagać mi w moim... Kiedy wrócisz, będzie chciał Cię poznać. Zobacysz, polubisz go, to wyjątkowy mężczyzna. Z Paulą i Carlem spędzamy dużo czasu. Ale to wszystko ma tylko wypełnić pustkę, którą czuję bez Ciebie.*

*Twoja Lara.*

Leżałem na pryczy.

- Moja kochana... Mój kochany... Wiesz, jak boli kopanie po jajach? Skąd miałbyś wiedzieć. Nie każdy ma jaja. Wy tłumaczyć? Jesteś pewien? No dobrze, sam chciałeś... - Sierżant Dietlev mówił do swoich żołnierzy, nie oczekując odpowiedzi. Jedną z jego ulubionych wieczornych pogadanek. - Wstajesz rano z łóżka, a ona jeszcze we śnie dotyka twoich pleców i z błogim leniwym spokojem, który dałeś jej nocą pełną uniesień, z uśmiechem na ustach pamiętających muśnięcie twoich ust, przeciągając się, szepce: nie odchodź, kocham cię. I przytula głowę, którą jeszcze kilka godzin temu trzymałeś w dłoniach, wyciąga szyję teraz już wiotką, ale wciąż pamiętającą wyprężenie aż po granice krzyku, oplata cię sytymi udami, udami sytymi przeszłym paroksyzmem rozkoszy, i głosem miękkiem, tak innym od wcześniejszego jęku, mówi: wróć, mój jedyny, mój najdroższy. Nie chcesz, ale wstajesz, bo tam, za oknem, zaczęło się życie, w które musisz się zanurzyć, by walczyć, bo teraz masz już dla kogo walczyć, bo twoja ukochana leży tutaj, czeka, powinieneś zrobić dla niej wszystko, tak jak i ona robi wszystko dla ciebie. Ubierasz się, patrząc na nią, taką niewinną, ciepłą, taką zakochaną, i czujesz własną siłę, brak lęku, myślisz, o Boże, nigdy nie

pozwolę cię skrzywdzić, będę cię chronił, zawsze, choćbym miał zabijać, tak, nawet gdybym miał zabijać. Zamykasz drzwi, bardzo powoli, jeszcze w tej krótkiej chwili starasz się nasycić tym niepowtarzalnym, ulotnym nastrojem wspólnej pamięci nocy. Trzask zamka.

Leżałem na pryczy, starając się nie myśleć.

- Wiesz, jak boli kopanie po jajach? Nie każdy ma jaja. - Sierżant sam sobie zadawał pytania i sam na nie odpowiadał. My mieliśmy tylko słuchać. - Chciałbyś zrozumieć? Dobrze, skoro prosisz... Wracasz uśmiechnięty, nie było cię parę godzin, dla innych to nic, dla ciebie wieczność, ale jesteś już z powrotem, otwierasz drzwi, za którymi czeka ona. Jest. Uśmiechnięta, pachnąca, z płonącymi oczami, twoja. Całujesz usta nabrzmiałe nektarem, który znowu będziesz spijał nocą. I słyszysz tak oczekiwane: witaj, kochany, mój jedyny, mój najdroższy. Dopiero teraz zdejmujesz okrycie, podajesz też dłoń twojemu przyjacielowi oczekującemu cię od godziny. To bardzo dobry przyjaciel, razem przeżyliście wiele, wiele też przed wami. Ona siedząc ci na kolanach, opowiada, jak bardzo czekała. Przyjaciel ukradkiem unosi kciuk do góry, mruga do ciebie. Jesteś zadowolony, jesteś szczęśliwy, że oto masz kobietę, jakiej nie ma nikt. Jesteś dumny.

Leżałem na pryczy, starając się nie myśleć o sierżancie Ditlevie.

- Wiesz, jak boli kopanie po jajach? Skąd miałbyś wiedzieć. Nie każdy ma jaja. Chcesz pojąć? Dobrze, dokończę... - Kurt uśmiechał się, jakby opowiadał wesołą historię. - Któregoś razu, w barze, jedząc, widzisz ją, twoją umiłowaną kobietę, jak idzie ulicą. W pośpiechu rzucasz kanapkę i szukasz drobnych, żeby zostawić je barmanowi i wybiec do niej. I wtedy, z ręką uwięzioną w kieszeni, słyszysz, jak dwóch facetów odwróconych do ciebie plecami śmieje się i pokazując palcami twoją ukochaną, wymienia nazwisko faceta, który ją rżnie, nazwisko twojego przyjaciela. Pada wesoły komentarz, jak to całując ją w usta, całujesz jego w... Kulisz się, osłaniając kopane krocze. Czujesz fale mdłości, oczy zachodzą mgłą, a usta przestają chwytać powietrze. Stoisz niczym głupiec nad niedojedzoną kanapką, z ręką w kieszeni, z zastygłym na twarzy uśmiechem. Nie, nie wyjesz, nie rzucasz się na nich, nie rozwalasz baru. Jesteś zgięty w pół, potrafisz tylko myśleć o bólu, który idąc falami od krocza, paraliżuje całe ciało. Gdzieś narasta niewiara jako odruch obronny. Żeby nie zwariować. Reszty dnia nie pamiętasz, ale kiedy wracasz do domu, do niej, coś dzieje się z twoimi oczami, zaczynasz widzieć inaczej, jakoś tak piekielnie jaskrawo, obrazy znanych przedmiotów aż kłują, ranią, bolą. Całujesz swoją kobietę, słyszysz: witaj, mój kochany, mój jedyny, mój najdroższy. Podajesz rękę przyjacielowi, sprawdzasz, czy jest wilgotna. Jest. Udając zmęczenie, kładziesz się na łóżku, a palce chciwie sprawdzają, czy jest ciepłe. Jest. Patrzysz na jej usta, szukasz, czy jest ślad startej szminki. Jest. Idziesz do łazienki i tam

chwytnąc rękaw, sprawdzasz, czy jest mokry. Jest. Masz zmiażdżone jaja, tak potwornie skopane, że chciałbyś nie żyć, żeby nie czuć bólu. Myjesz usta, bo przecież całując ją, pocałowałeś jego w... Czujesz mdłości, wymiotujesz...

- Dość! Kurwa mać, dość, Ditlev, ty skurwielu!

Leżałem na pryczy, starając się nie myśleć o sierżancie Ditlevie i jego pogadance.

- Zamknij się! - Z pryczy naprzeciwko poderwał się Sanchez. Jednym skokiem, wyszarpując z wiszącej na oparciu pochwy bagnet, rzucił się na uśmiechniętego wymuskanego mężczyznę. Ostrze z impetem uderzyło w szarpaną śmiechem krtań. Wszystko potoczyło się tak szybko, że już widziałem krew i słyszałem śmiertelny krzyk. Był krzyk, ale krzyk Sancheza, dwutygodniowego rekruta. Klęczał z nienaturalnie wykrzywioną dłonią, dłonią bez bagnetu, łamaną w uścisku delikatnych, prawie kobiecych dłoni Ditleva. Kiedy wreszcie dotarło do mnie, że sierżant dalej siedzi pośrodku baraku, cały i zdrowy, a u jego stóp wije się ten napalony dzieciak, jęknąłem z zawodu. Nie ja jeden...

- Sanchez - już bez uśmiechu wycedził Ditlev - próbowałeś mnie zabić. Jest to zamach na oficera Wigili, według siódmego punktu kontraktu karany śmiercią. Ode mnie zależy rodzaj śmierci. I wiesz, co wybieram? - Ponuro spojrział na klęczącego chłopaka, a później powiódł wzrokiem po innych.

Leżałem na pryczy, starając się nie myśleć o sierżancie Ditlevie i kolejnej odsłonie jego chorego umysłu.

Dzisiejsza wizja była tak sugestywna, że bardzo mało brakowało... Ostatni zwiad na Eltenerze też mi nie pomógł. Trzeba było zostać w lazarecie razem z Tobacco Ptasznikiem. Nie interesował mnie los Sancheza, wiedział, co robi, podpisując kontrakt. Sprzedał życie.

- Hej, ty, Esco, wiesz, co z nim zrobić?! - Drgnąłem na dźwięk własnego imienia.

Pieprzony pomylenieć nie zapomniał i o mnie...

- Sierżancie, zostały mi już tylko trzy miesiące kontraktu, zaczekaj jeszcze trochę, a obiecuję, że pierwszego dnia po wyjściu znajdę ci dobrego psychiatrę, który będzie wiedział, co może zrobić taki maniak jak ty.

Po baraku przetoczył się wybuch śmiechu. Bardzo niewiele mu brakowało do hysterii.

- Ty, Esco, jesteś straszny dowcipniś - sierżant mówił zduszonym głosem, a ja patrząc w jego duże oczy, dziwiłem się, ile nienawiści je wypełnia - a ja bardzo bym chciał się pośmiać, dlatego pytam właśnie ciebie. Co z nim zrobić? - zakończył z wyraźną groźbą w głosie.

Mój rozum nie był w najlepszej kondycji. Powinienem być milczeć.

- Pewnie ci się podoba, sierżancie, więc będziesz go pieprzył dzisiejszej nocy tak długo,

aż umrze...

I znowu chóralny rechot wypełnił pomieszczenie. Dawno nikt tak nie kpił z Ditleva.

Dawno nie było mnie w koszarach.

- Obserwuję cię od dwóch lat - wyszeptał sierżant, hamując wściekłość. - Jeszcze nie wiem, jaki masz słaby punkt, ale znajdę go i wtedy nie będziesz taki cwany... Popsułeś mi zabawę. - Wstał, puszczając Sancheza. - Ja ci nie chcę wypominać pierwszych miesięcy, jak przed całą kompanią całowałeś mnie po butach i pełniłeś wartę w dole kloacznym, a każdy Wigil srał ci na głowę... Ty mnie znasz, Esco, ja was kocham, bo jesteście moimi dziećmi... Pamiętam też, że wróciłeś z udanego zwiadu, zabiłeś nielegalnych imigrantów na Eltenerze, zdobyłeś bardzo ważne informacje. Mój drogi, sprawiasz mi najwięcej kłopotu, dlatego ciebie kocham najbardziej. Wiesz, Esco, że ciebie najbardziej kocham? - w uśmiechu odsłonił równe białe zęby.

Wiedziałem.

Wiedziałem jeszcze, że kiedyś za tę miłość wydłubię mu oczy i zrobię z nich amulety. Ditlev też o tym wiedział, nie rozumiał tylko, dlaczego nie zrobiłem tego dotąd.

- Ja ciebie też kocham, sierżancie, strasznie jesteś ładny - odwzajemniłem uśmiech.

Reszta baraku bawiła się doskonale. Niczym nie ryzykowali, taką samą frajdę będą mieli jutro, kiedy sierżant powie, jaką niespodziankę przygotował dla mnie. Lubiłem tych roześmianych żołnierzy tak bardzo, że zaczynałem już planować ciągłą produkcję amuletów z gałek ocznych.

- Cholernie zabawne - syknął sierżant. Śmiech zamarł w jednej chwili. - Też się cieszę, jestem tak uradowany, że zupełnie straciłem ochotę na sen. To dobra noc na różowy alarm. Pełen ekwipunek i trzydzieści sekund na szyk dwójkowy przy drodze! Wykonać!

*Kochany!*

*Dopóki serce bić będzie... Jesteś moją rzeczywistością, a czas niech umrze. Będę dla Ciebie, bo...*

*Twoja Lara.*

- Esco, mamy pościg!

- Noc jest cholernie ładna!

- Esco, obudź się! Mamy patrolowiec Wigilii na karku! - Melon szarpał mnie za ramię.

- Ale my jesteśmy cholernie brzydcy!

Rozchyliłem powieki. Nie było już szeregu stojącego przed barakiem.

- Co jest?... - wykrztusiłem, na wpół śpiąc.

- Mamy pościg! - Zbawiciel Kotów szarpał mnie za bluzę.

- Jaki pościg, kurwa? - ścierając z powiek resztki snu, zerwałem się i podskoczyłem do konsolety.

Na monitorze zielony punkt patrolowca zbliżał się z dużą prędkością, niewiele już zostało do kontaktu bezpośredniego. Sprawdziłem koordynaty - na pewno nie mieliśmy szans dociągnąć do strefy zmiany czasu. Cholera...

\*\*\*

Jean-Claude nerwowo przechadzał się po pokoju hotelowym. Pukanie zatrzymało go w pół kroku. Otworzył. W progu stał przewodniczący Komisji Sprawiedliwości.

- Co tak późno?! - Jean nie pozwolił gościowi nawet otworzyć ust. - Do diabła, Seymour, czekam trzy godziny!

- Uspokój się - przybysz był poważny - i nalej mi szklaneczkę bourbona. - Wszedł i usadowił się w dużym fotelu. - Za stary jestem na latanie po całym mieście - wysapał. Z lubością pociągnął łyk z podanej szklanki, chwilę delektował się smakiem bursztynowego płynu, po czym zapytał łagodnie: - Powiedz mi, co się dzieje z tym twoim człowiekiem na Olimpie... - Podniósł dłoń, jakby uprzedzając odpowiedź. - Tylko nie kłam, Jean, mam dość kłopotów i bez twojej pomocy, oczekuję prawdy, choćby nawet najgorszej...

- Właśnie dlatego nalegałem na nasze spotkanie. - Jean-Claude gestykulował nerwowo. - Gdyby wszystko odbyło się zgodnie z planem, już dawno bym wiedział, co z nim. Skoro nie mam pojęcia, co tam się stało, należy przypuszczać, że cała akcja wzięła w łeb... - umilkł przestraszony własnymi słowami.

- Wytłumacz mi, o co chodzi z Eframem. - Przewodniczący podniósł się z fotela, by sobie dolać bourbona. - Czy kontrolujesz jego szaleństwo, czy wiesz, czego się spodziewać, czy możesz wpłynąć na Stroiciela na tyle, by wykonywał nasze polecenia?

- Nie wiem... - Jean bezradnie rozłożył ręce. - Od pewnego czasu sekcja medyczna sygnalizowała mi, że Stroiciel Efram zaczyna przejawiać oznaki pogłębiającej się paranoi. Wtedy pomyślałem, że nadarza się okazja, zatrzymałem wszystkie raporty, a postęp jego choroby śledziłem podczas specjalnych badań poza Korporacją. Zacząłem też przygotowywać swojego człowieka...

- Dlaczego zatem nie zastąpiłeś go od razu? - Przewodniczący patrzył uważnie na coraz bardziej speszoną twarz Jeana-Claude'a.

- To nie takie proste. Efram był zaufanym Korporacji od samego początku.

- Nie pierdol, Jean, mów prawdę!

- To stało się za szybko... - spuścił głowę, jakby bał się spojrzenia przewodniczącego. - Zespół najlepszych psychiatrów zaręczał, że Efram nie jest jeszcze na granicy obłądki, że nie

ma ryzyka... A mój człowiek nie był gotowy, potrzebowałem więcej czasu.

- A więc wszystko wymknęło ci się spod kontroli - pokiwał głową przewodniczący. - Muszę przyznać, że przedstawiłeś to tak ładnie, że sam dałem się nabrać... Zatem mamy prawdziwego szaleńca, który kontroluje Olimp i którego działań nie jesteśmy w stanie przewidzieć, bo wariaci rzadko zachowują się normalnie... Cudownie...

- Ale przecież mamy, co chcieliśmy... Dowody...

- Do dupy z takimi dowodami! - ostro uciął przewodniczący, z hukiem odstawiając szklankę. - Wiesz, że senior Rady Regulaminowej zablokował mój wniosek? Teraz ma dwa dni na znalezienie większości, która go odrzuci. I wtedy mogę się naszymi dowodami podetrzeć - nie potrafił ukryć złości. - Wiem, że ten lis nie zasypia gruszek w popiele, już rozmawiał co najmniej z połową Areopagu, mam też wiadomości o silnym lobby, które wywiera naciski na parlamentarzystów. Do diabła, nie wiedziałem, jak wielu z nich korzystało z usług Korporacji...

- Dałem ci przecież listę.

- Ale tylko reinkarnowanych na Eltenerze! - Przewodniczący zdenerwował się jeszcze bardziej. - A co z kupującymi Kwiaty Pamięci?! Cholera, jest ich tylu, że zastanawiam się, czy w mojej własnej komisji chociaż jeden nie ćpał tego gówna!

- Dostawami Kwiatów zajmuje się Delbort, tylko on ma pełne zestawienia. - Jean próbował ułagodzić rozmówcę.

- Trzeba było mi powiedzieć o Eframie! Zaryzykowałem moją karierę! - Starszy mężczyzna miotał się w objęciach fotela. - Wiesz, jakie mamy szanse?! Wiesz?! - Nie czekał na odpowiedź. - Jest kilka możliwości, jak to się dalej potoczy. Pierwsza, senior zbierze większość w Areopagu, mój wniosek zostanie odrzucony, a wtedy koniec ze mną i koniec z tobą. Druga, doprowadzę do skandalu, który postawi pod ścianą większość parlamentu i moźnych tego świata. Jak myślisz, Laromma długo będzie się zastanawiała nad zlikwidowaniem dowodów?! Olimp przestanie istnieć razem z Łazarzami, niezależnie od kosztów! Zarząd figurantów pójdzie siedzieć, ja narażę się wszystkim, więc równie dobrze już dziś mogę zacząć uprawiać marchewkę w doniczkach na oknie, ty dostaniesz status świadka koronnego, czyli nie dożyjesz rozprawy... - Z satysfakcją obserwował, jak Jean-Claude garbi się coraz bardziej. - Wariant trzeci, dostarczysz mi przekonujących dowodów, że prezydent właśnie przechodzi reinkarnację na Olimpie. Nazwiska innych mnie nie interesują, niech ci inni wiedzą tylko, że ja wiem... Potrzebuję przyjaciół... Muszę ich przekonać, że tylko John Nathaniel Loyd idzie na odstrzał, władzę przejmuje wiceprezydent, a reszta pozostaje bez zmian. Rozumiesz, Jean?!

- Ale jak...

- To twój problem! - gniewnie przerwał mu przewodniczący. - Zdobądź listę kupujących Kwiaty Pamięci! I zrób wszystko, żeby Olimp pozostał cały! Nawet gdybyś miał uprzedzić tego szaleńca, że chcą go rozwalić! Zrozumiałeś?!

- Jest jeszcze jedna sprawa...

- Jezu, co znowu?

- Laromma nie jest właścicielką Korporacji Handlu...

- Co?!

- Reprezentuje tylko interesy właściciela. Ma wszelkie plenipotencje, ale sama nie może podjąć decyzji o zniszczeniu Olimpu... - urwał w obawie, że niski mężczyzna zaraz rzuci się na niego.

- Jean, oszalałeś czy chronisz skórę?!

- To szczerą prawdą, chociaż nawet zarząd boi się głośno o tym mówić.

- Kto jest właścicielem?

- Nikt poza Larommą tego nie wie... - Jean dobierał słowa bardzo ostrożnie. - Przypuszczam, że chodzi o jednego z pierwszych Łazarzy, do dzisiaj na Eltenerze...

- Przypuszczasz czy wiesz?

- Przypuszczam...

- A kto może wiedzieć na pewno?

Przystojny mężczyzna zastanawiał się, ważąc odpowiedź.

- Jean, gadaj wreszcie - ponaglił go przewodniczący.

- Tylko jeden człowiek poza Larommą może to wiedzieć...

- Kto, na Boga, kto?

- Escobar... Esco... - dodał pośpiesznie, jakby nie był pewien, czy to imię mówi coś rozmówcy.

- Niech cię szlag trafi, Jean! A więc jesteśmy w punkcie wyjścia...

\*\*\*

Wrzuciłem obraz patrolowca na główny ekran. Nie było różowo. Na bocznym monitorze pokazała się mapa okolicy. Odetchnąłem z ulgą. Kochany stary Skiddy Frank. Nie mieliśmy daleko do namierzonej przez niego dzikiej dziury czasowej.

- Sprawdź pasy - rzuciłem do Melona, dopinając klamry - trochę pofruwamy.

Błysnęła kontrolka. Szarpnąłem dźwignię akceleracji. Przeciężenie wbiło nas w fotele, miałem wrażenie, że oczy uciekają do mózgu. Zanim ucichło szaleństwo przyrządów, złożyłem scoper w ciasną pętlę. Kątem oka zobaczyłem, jak Melon robi się zielony. Miałem



tylko nadzieję, że nie będzie rzygał. Rzygi latające po całym kokpicie nie były tym, czego bym pragnął teraz najbardziej. Patrolowiec poszedł za nami, ale rozpoczął manewr ze zbyt dużą prędkością. Wyrzuciło go po odśrodkowej tak daleko, że nagle stał się zieloną plamką w rogu monitora. Dałem pół ciągu. Jeśli Wigil za sterami jest cwany, powinien potraktować mnie jak debila, który stworzył idealną okazję... Wystarczyło pójść po cięciwie zataczanego łuku, a na końcu: torpedy, błysk rozlatującego się scoptera, nagroda i zaszczyty.

Melon wciąż z ryzykownym kolorem twarzy patrzył na krzywą naszego kursu pojawiającą się na monitorze. On też chyba zwątpił w moje umiejętności.

- Pójdzie na skróty - wydukał, tocząc walkę z własnym żołądkiem.

- I o to chodzi. Mam niespodziankę...

Wigil ruszył. Uśmiechnąłem się szeroko. Skorzystał z szansy.

- Jaką niespodziankę? - Melon zaczął się uspokajać.

- Dzika dziura czasowa. - Widząc, że dalej nic nie rozumie, wytłumaczyłem krótko: - Wokół Eltenery jest ich kilka. W tę wpakował się kiedyś Skiddy Frank. Nie wykrywa ich żadna aparatura pokładowa. Dlatego nasi przyjaciele z Wigilii za chwilę znikną z ekranu. - Obserwowałem zieloną plamkę mknącą nam na spotkanie. - Wywali ich z dziury za jakiś miesiąc, półtora, nawet nie zauważą, będą zdziwieni, gdzieśmy do cholery wyparowali... Dopiero po powrocie do bazy dowiedzą się, że nie było ich kilkadziesiąt dni... Popatrz - pokazałem na patrolowiec dochodzący do kółka, które na mapę naniósł Skiddy Frank. Kiedy plamka dotknęła linii, po prostu zniknęła.

- I po sprawie - rzuciłem z satysfakcją. - Mam nadzieję, że to koniec niespodzianek na dzisiaj.

- Nie będzie już więcej korkociągów? - Melon powoli odzyskiwał właściwy kolor twarzy.

- O żołądek możesz być spokojny - uśmiechnąłem się złośliwie - ale mamy niedaleko do strefy zmiany czasu... - zawiesiłem głos, obserwując zaniepokojenie towarzysza.

- Co to oznacza?

- Że teraz zaczną się kłopoty z twoją głową... Pierwszy raz przekraczasz strefę? - zapytałem raczej niepotrzebnie.

- Nie rozumiem...

- Na parę ładnych chwil rozpieprzy ci świadomość - na wszelki wypadek wolałem go uprzedzić - niektórzy już nigdy nie budzą się tacy sami...

- Przecież Wigile, Korporacja, tylu innych...

Przerwałem mu.

- Melon, nie mamy za wiele czasu, więc słuchaj uważnie, bo nie będę powtarzał. Musimy wejść w strefę zmiany czasu w cieniu gradientów Graffa, nie chcemy komitetu powitalnego po tamtej stronie... - Pokiwał głową, jakby zrozumiał. - Przejdziesz cholernie niemiłe doświadczenie, ale jeśli zastosujesz się do moich rad, masz szansę pozostać przy zdrowych zmysłach - w to ostatnie u Melona już dawno zwątpiłem, ale mniejsza o szczegóły. - Przed wejściem w strefę musisz skoncentrować się na pytaniu, które zajmie twoją uwagę. Jeśli tego nie zrobisz, umysł wyciągnie na wierzch najgorsze gówna z podświadomości, a wierz mi, można od tego dostać prawdziwego obłądu.

- Jakiego rodzaju pytanie ma to być?

- Nie związane z przeszłością żadnymi złymi wspomnieniami i na tyle przekonujące, żebyś całkowicie zajął nim myśli. - Odnosiłem wrażenie, że dalej niewiele rozumie. - Tobacco Ptasznik zastanawiał się, ile liści było na drzewie, które rosło niedaleko jego domu. Jak wchodził w strefę, miał to drzewo przed oczami i po kolei liczył liście, a Bert rozmyślał, ile zrobi pompek, a potem wyobrażał sobie, że rzeczywiście je robi, budził się cholernie zmęczony, ale z pełną świadomością. Pojąłeś, Melon? - Jego uśmiech trochę mnie zaniepokoił. - Jakie pytanie sobie zadasz? - Nie chciałem po przebudzeniu szarpać się z małpą ogarniętą szaleństwem. - Głośno, Melon, powiedz je głośno!

- Ile jest kotów na Ziemi?... - wydukał z pewnym ociąganiem.

- Wymyśl inne!

- Ale dlaczego...

- Bo ja tak każe! - rzuciłem wyzywająco. Nie odpowiedział na moją zaczepkę.

- Dobrze - spuścił wzrok. - w takim razie: ile miałem w dzieciństwie ołowianych żołnierzyków?

- A miałeś ich wystarczająco dużo? - Melon potrafił mnie zadziwić.

- Było ich tyle, że w swoim pokoju musiałem chodzić po taboretach, bo cała podłoga była nimi zastawiona. - Ciepły uśmiech ubarwił kanciastą twarz.

Uspokoilem się.

- Okay, Melon, wygląda na to, że to dla ciebie miłe wspomnienie.

Pierwsze iskry gradientów Graffa rozpalające pancierz scoptera zwiastowały zbliżanie się strefy. Jeszcze raz sprawdziłem parametry przejścia - były wręcz idealne. Wracalem na Eltenerę. Po tylu latach, zmartwychwstały, choć inaczej niż Łazarze. Do nich, do niej, do siebie...

*...Czy zobaczysz kamienny monument, z którego wyrasta twoje przeznaczenie...*

*...Czy go zobaczysz...*

- Esco - w głosie Melona pobrzmiwała ciekawość - a ty jakie masz pytanie?
- Nie chcesz tego wiedzieć - darowałem sobie uprzejmości. - Ciebie by ono zabiło...

\*\*\*

Uwięziony w fotelu mężczyzna przerażonym spojrzeniem śledził, jak rotron wyciąga chwytały i przykłada boleć do dłoni Eframa, a później stanowczo uderza w stalowy trzpień ciężkim młotem...

Krzyk bólu rozdarł ciszę sali strojenia i przeniesiony na zewnątrz, przygiął do ziemi szeregi wojsk Kongregacji Białego Oficjum.

Krzyczał mężczyzna, na próżno próbując zerwać więzy przytrzymujące go w fotelu. Kolejne uderzenie młota zabrzmiało niczym huk padającego głazu.

- Aido... - wyszeptał Efram, niewidzące spojrzenie wbijając w czerwony blask zachodzącej Ti-Dejaniry.

Kolejne uderzenie i jeszcze jedno... I krzyk.

- Aido... - Efram prosił o litość. Ale nie było litości, nie dla mężczyzny, którego oszalały wrzask chryplł coraz bardziej, coraz głębsze bruzdy ryły twarz, coraz mocniej wykrzywiane palce darły materiał oparcia. - Aido...

Kamienny posąg patrzył w ocean pustymi oczodołami.

*...Kiedy rozłożyli Człowieka...*

*...Na ileż podzielili go części...*

*...Jak nazwano jego usta, jak ramiona...*

*...Jak nazwano jego uda, jak stopy...*

Kamienny posąg patrzył w ocean pustymi oczodołami. Wyniosły, dumny, obojętny na przemijanie.

Uderzenie młota. Krew. Krzyk. Blask Ti-Dejaniry. Szept.

- Aido...

Chór kornie zgiętych mnichów nucił pieśń przeistoczenia. Wzniosłą, pełną powagi. Krąg pochylonych postaci otaczał drzewo. Suche drzewo z konarami niczym ramiona wyciągnięte, by dotknąć Muni, kapłanów Pana Porządku Rzeczy. Martwe gałęzie dźwigały ciężar nagich ciał wiszących głowami w dół, ciał Samotnych.

- Aido... - Głos starca podniósł z kręgu wiotką postać.
- Tak, panie?... - Twarz dziewczyny wyrażała bezgraniczną ufność.
- Czy ziarno zostało przygotowane?
- Taka była Jego wola, panie.
- Czy ziemia czeka na przyjęcie ziarna?

- Tak On zdecydował, panie.

- Czy ty będziesz je pielęgnować?

- Taki los mi przeznaczył, panie.

- Zatem zerwij owoc z drzewa przeistoczenia, uwolnij jednego z Samotnych, który pojął naturę wszechrzeczy, by mógł wkroczyć w królestwo prawdy i szczęścia, tam, poza narodzinami i śmiercią, poza radością i smutkiem, poza dobrem i złem...

- Niech tak będzie, panie.

- Aido...

- Ile miałem ołowianych żołnierzyków?... - Kątem oka widziałem pionowe zmarszczki na czole Melona. Koncentrował się na swoim wspomnieniu. Wchodziliśmy w strefę zmiany czasu. - Ile miałem ołowianych żołnierzyków, ile miałem ołowianych żołnierzyków, ile miałem ołowianych...

- Aido, zerwij owoc...

- Ile miałem ołowianych żołnierzyków...

Błysk noża. Ruch spadającego ciała. Tępe uderzenie o ziemię. Głuchy jęk... Kobieta nad nagim ciałem...

Poczułem ból uderzenia o ziemię. Nad sobą ujrzałem twarz kobiety, którą już kiedyś widziałem. Jej postać wiotka jak cieplarniany kwiat. Spojrzałem na swoje ciało... Było nagie...

- Aido, obmyj go - z kręgu mnichów wystąpił jeden i kornie pochylony podał dziewczynie dzban z wodą.

- Tak, panie.

Łagodnie dźwigając mnie za ramiona, pomogła mi wstać. Czułem krew pulsującą w skroniach, czułem, jak dociera do rąk i nóg, przywracając w nich władzę...

- Ile miałem ołowianych żołnierzyków?

Delikatne dłonie dziewczyny zamoczyły gąbkę w dzbanie, a potem wręcz pieśczośliwie zaczęły ścierać kurz z mojego czoła, powiek, policzków, ust. Wargi uwolnione od pyłu spróbowały ułożyć się do pytania, ale umilkły zamknięte subtelnym jak muśnięcie skrzydeł motyla pocałunkiem. Poczułem coraz szybciej krążącą krew...

Krew ciekła z dłoni Eframa. Kolejne uderzenie wbiło stalowy trzpień do końca. Krzyk mężczyzny trwał monotonicznie zawieszony na najwyższej nucie.

- Ile miałem ołowianych żołnierzyków?

- Aido... - szeptały spieczone gorączką usta Stroiciela.

Dziewczyna obmyła moje barki, ramiona, dłonie. Pieśczoła wody zmywającej

zmęczenie i wspomnienia. Stałem, czekając na dłonie dziewczyny spływające po plecach, brzuchu, udach...

- Ile miałem ołowianych żołnierzyków?

Rotron przesunął się do drugiej dłoni Eframa. Judasz opadł w objęcia fotela, jakby krzyk pozbawił go życia. Z kącików rozchylnych ust ciekła strużka śliny, na oczy opadły powieki, ciężki oddech unosił pierś, a palce kurczowo zaciskały się na podłokietnikach, jakby już teraz broniły się przed nieuchronnym nadejściem nowej fali bólu.

Wojska Kongregacji Białego Oficjum stały w karnym szyku wokół statku. Pióropusze na hełmach i proporce oddziałów łopotały cicho.

- Aido...

W rozedrganym powietrzu zaczął z wolna pojawiać się owal. Zrazu zarysowany tylko załamaniem światła, wraz z każdym oddechem Eframa, z każdym oddechem szeregow armii Uttu Uttugena, z każdym moim oddechem materializował się zarys twarzy... Rysy nabierały wyrazistości, formowało się wysokie czoło, łuki brwiowe, pomiędzy których wyrastał kontur nosa, pełne usta. Rozplatały się loki złotych włosów, opadając na ulotnie zarysowane ramiona. W rozmigotanym powietrzu powstawał obraz twarzy znanej... Znanej? Twarzy zakłętej w kamiennym monumencie trwającym na granicy lądu i oceanu... Twarzy pozbawionej oczu, twarzy z pustymi oczodołami, twarzy od pokoleń wypatrującej przyszłości... Twarzy Pana Porządku Rzeczy...

Uderzenie młota obudziło krzyk. Krew popłynęła po nadgarstku.

- Panie... - wyszeptał Efram.

Barwne szeregi Kongregardów chyliły się w powolnym ukłonie. Bez wyraźnego rozkazu, bez ruchu dłoni Uttu Uttugena przyzwalającego na czołobitny gest, bez komend. To nie był Woorg, choć na jego objawienie oczekiwali. Bez udziału woli oddali cześć Staremu Bogu...

- Panie... - Trwożliwe tchnienie obiegło wojska Białego Oficjum.

Patrzyłem na dziewczynę klęczącą z uniesionymi dłońmi, widziałem, jak mnisi z twarzami przy ziemi szepczą słowa powitania, słyszałem jęk ekstazy z ust wiszących na drzewie ludzi. Stałem naprzeciw oblicza, które znałem jako przemytnik, oblicza, które pamiętałem z czasu krystalicznego proszku... Mój wzrok gubił się w pustych oczodołach.

- Panie... - wykrztusiłem, pokonując opór zdrętwiałych warg.

Dwaj Muni pomogli starcowi dźwignąć się z kolan i zaraz z powrotem upadli na ziemię.

- Panie... - Świszczący głos przywodził na myśl dźwięk dartego pergaminu. - Oto w gąszczu losu odnalazły się nici przeznaczenia, których wypatrywały twe źrenice, Źrenice

Kurlemu...

- Kapłanie Kala-Czas - słyszałem Starego Boga, choć z ust posągowego oblicza nie dobywał się żaden dźwięk - dopełniłeś dzieła. Teraz przekażesz Ziarno Wybranego powierniczce swojej, by gdy czas następnego przeistoczenia nadejdzie, mógł Prawdziwego Człowieka odnaleźć.

- Tak, Panie.

- Wybrany musi osiąść Klarowną Regułę, by Porządek Rzeczy mógł zapanować...

- Panie... - Szept Eframa zbiegł się z kolejnym uderzeniem młota. Popłynęła świeża struga krwi. Nowy krzyk bólu wyrwał się z krtani Judasza. - Czy moje źrenice ujrzą tę, której pragnę, dłonie dotkną tej, o której marzę, ramiona obejmą tę, której oczekuję...

- Ile miałem ołowianych żołnierzyków?

- Tak, Eframie.

Karne dotąd szeregi gwardii Uttu Uttugena poczęły łamać szyk, pierwsi wojownicy rzucali na ziemię oręż i ogarnięci panicznym strachem bili czołem o skalne rumowisko.

Widziałem, jak mnisi układają pod drzewem tkaną w wielobarwne kręgi matę. Patrzyłem, jak Aida lekkim krokiem wchodzi na wyplatany kobierzec i zrzuca białą szatę.

- Oto ziemia twoja...

Widziałem, jak dziewczyna układając się na macie, przyzywa mnie ruchem dłoni, grą ciała, oddechem unoszącym nabrzmiałe piersi, uległym spojrzeniem obiecującym tak wiele...

*...Kiedy rozłożyli Człowieka,*

*Na ileż podzielili go części?*

Lochy Zamku Purpurowego Rogu. Koniec. Śmierć, osierocone dzieci, starcy bez wsparcia w ostatnich dniach, rozpacz i łzy, strach, poniżenie. Przerażające pokłosie czynów Dwana Deboraha Keene'a, Pierwszego Dekodera Przypadku, wodza buntowniczej armii... Wodza? Nie umiał zginąć tam, na Górze Czarownic, razem z ostatnimi ze swoich towarzyszy. Wracały twarze, zakrwawione, zniekształcone, oskarżycielskie w swojej martwocie...

*...Z jego pępka wyłoniło się powietrze*

*...Z głowy wypłynęło niebo.*

- Aido - wyszeptalem, układając się na macie obok dziewczyny.

Jej dłonie dotknęły moich ramion i delikatnie spłynęły na plecy. Pod wpływem dotyku uspokajałem się, zapominałem o sobie... Tym kiedyś i tym teraz... Pocałowała mnie. Zrazu lekko, potem chciwiej, jakby jej oddech rozpalał żar, który tylko coraz mocniejszy pocałunek był w stanie ugasić.

Oblicze kamiennego posągu.

Rosnący w siłę jęk ekstazy Samotnych wiszących w konarach suchego drzewa.

Klęczący mnisi.

- Oto bojownik Azur... - Odrywając się od ust dziewczyny, wypowiedziałem słowa głosem, który nie do mnie należał.

*...Jak nazwano jego usta, jak ramiona...*

*...Jak nazwano jego uda, jak stopy...*

Krew ściekająca na stalowe płyty sali strojenia. Mózg Woorga. I krzyk przerażonego mężczyzny... I jego łzy... I ofiara...

- Oto bojownik Azur... - wyszeptał Efram.

- Oto bojownik Azur... - powiedział Judasz.

Wilgotne kamienne ściany. Mrok. Kazamaty. Twarz ukryta w dłoniach. Wspomnienia... Bez ucieczki przed ich strasznym przesłaniem.

- Oto bojownik Azur... - wykrztusił Dwan Deborah Keene.

*...Jego usta stały się mniczem...*

*...Z ramion powstał wojownik...*

Dziewczyna całowała mnie po szyi, ramionach, torsie, dłonie pieściły uda, rosło podniecenie. Dotknąłem jej piersi nabrzmiąłych pożądaniem.

*...Uda stały się tym, co ziemię uprawia...*

*...Stopy wędrowcem strudzonym...*

Pieściłem jej piersi. Ciepło bijące od ciała szarpanego falą narastającego podniecenia rozpałało moje czoło. Czułem, jak nadciąga podniecenie domagające się zaspokojenia. Chciałem utonąć w rozchylonych udach dziewczyny.

Coraz głośniejsza stawała się modlitwa.

*...Tę ofiarę złożyli bogowie w oltarzach...*

*...By powstać mogły pierwsze ze świętych praw...*

Krew ściekała z dłoni Eframa, ale jego twarz opromieniał uśmiech. Mężczyzna w fotelu już nie krzyczał. Po ogorzałych policzkach wolno toczyły się łzy. Szare zwoje w kryształowym słoju falowały w rytm powtarzanych słów modlitwy. Zwisające ze sklepienia oczy Woorga odpadły i uderzyły o posadzkę z głuchym odgłosem. Strojenie dobiegło końca.

- Oto bojownik Azur... - szeptał rozpięty na krzyżu Efram.

W kazamatach zmęczony Dwan wpatrywał się w kamienne ściany. Wracały twarze, martwe twarze, twarze... wykrzywione, nieruchome. Twarze towarzyszy broni, twarze ich matek, żon, córek, martwe twarze, choć tak żywe w niemej skardze.

*...Tak zrobili oni, istoty potężne*

*...Co nieba sięgają czołami...*

Poczułem, jak palce Aidy wbijają się w moje plecy, a uda wolno rozchylają, zapraszając do uścisku. Tonąłem zalewany falami żaru, chciwie szukałem ustami oddechu...

- ...Ile miałem ołowianych żołnierzyków?

Rotron w sali strojenia układał na posadzce okrytej dywanem oczu Woorga krzyż z Eframem. Mężczyzna przywiązany do fotela płakał jak bezbronne dziecko. W ruchach maszyny, w lekko nieporadnym spowolnieniu, w niepewnym dotknięciu, niedokończonym geście było coś przypominającego czułość. Efram gorączkowo szeptał spierzchniętymi ustami:

- Aido, teraz będziemy razem, Aido, teraz będziemy razem, Aido, teraz będziemy razem, Aido...

Poczułem huk rozrywający moje ciało na strzepy, poczułem śmierć dającą nowe życie, poczułem narodziny czegoś ważniejszego niż ja... A potem pierwszy łyk powietrza wdarł się w krtani atakiem charkotliwego kaszlu.

- Aido, czy ziarno zostało posiane?

- Tak, panie.

- Zatem w twojej ziemi niech bezpiecznie dojrzewa.

- Wedle woli, panie.

- Do czasu, aż nadejdzie dzień Prawdziwego Człowieka.

- Niech się tak stanie.

- Ile miałem ołowianych żołnierzyków?

Z trudem rozchyliłem powieki. Omiotłem spojrzeniem kabinę nawigacyjną scoptera. Z pewnym zdziwieniem dostrzegłem mężczyznę mamrocącego pod nosem. Leżał w fotelu drugiego pilota z zamkniętymi oczami, poruszając tylko dłońmi, jakby przekładał raz po raz niewielkie przedmioty. Dopiero po chwili dotarło do mnie buczenie oznajmiające, że autopilot zakończył manewr. Wróciła świadomość miejsca i czasu, wróciło też imię mężczyzny.

- Przeszliśmy, Melon... Kurwa, chyba cało...

\*\*\*

Kazamaty strachu...

Wracały twarze nieżyjących... Zniekształcone, oszpecone dotknięciem śmierci...

Oto bojownik Azur z osady Rinon wciśniętej między rzekę Mar-del-Platta, Wielki Rów Tektoniczny i płaskowyż Teoktilan, oto jego zwłoki... Gąsienica rippera zmiażdżyła ciało, krew zakrzepła w otwartych ranach. Bojownik Azur zginął na Górze Czarownicy. Trafiony



odłamkiem kartacznicy wczuł się pod gąsienice rippera, nim skołał. Tylko na to miał wpływ, mógł tylko wybrać chwilę, w której umrze. Ale skoro śmierć była wybawieniem, dlaczego ta twarz patrzy oskarżycielsko, ze skargą, czemu poszarpane usta szepcą gorzkie słowa... Zostaną żywi, by odpokutować... Ty nie ujrysz następnego poranka, ale będą tacy, którzy przeklną każdy wschód Ti-Dejaniry... I twoją pamięć...

Osada Rinon, to stamtąd przybył Azur. Trzy kręgi lepianek zaschniętych wokół centralnego placu, na którym stało rife kapłanów Muni. Osada, jakich wiele na płaskowyżu, ziemia plemion Wysokich, plemion, z których wywodzili się najwaleczniejsi w buntowniczej armii - Bojownicy. To tam, do osady, rankiem dwunastego cyklu od wyruszenia mężczyzn w góry wraz z suchym wiatrem od Wielkiego Rowu Tektonicznego przybyli handlarze. Przywieźli dużo cennych przedmiotów i narzędzi, rozłożyli stragany na centralnym placu. Nikt nie wiedział, że to Donosiciele, że sprzedając za pół darmo swoje towary, kupując zaślepienie, rozwiązują nieostrożne języki, szukają mężczyzn. Zwabieni towarami, dobrem, którego nie widziano tutaj od dawna, przybyli wszyscy - starcy, kobiety, dzieci... Ani jednego mężczyzny... Donosiciele umieli patrzeć, umieli wyciągać wnioski. Znaleźliby odpowiedzi, nawet gdyby mieszkańcy osady nie byli tak ślepo ufni. Jeszcze nim Ti-Dejanira sięgnęła zenitu, handlarze zwinęli stragany, resztę towarów rozdali i do wtóru błogosławieństw ruszyli w drogę powrotną.

Szóstego dnia po ich odjeździe do osady Rinon, do twojej osady, bojowniku Azur, przybył oddział Kongregarda Umberta elPassy. Donosiciele wypełnili dobrze swoją misję, teraz Białe Oficjum mogło wypełnić swoją... Ti-Dejanira wolno zmierzała ku wstędze rzeki Mar-del-Platta, w której wodach tonęła każdego wieczoru. Oddział zbrojnych liczył ponad dwieście głów, niepotrzebnie aż tyle, ale Umberto zdecydował, że jego żołnierzom przyda się rozrywka... Spadli na osadę, ledwie zachowując pozory karności, wiedzieli, czego należy oczekiwać, nie spodziewali się oporu. W jednej chwili spokojne Rinon zamieniło się w piekło... Spędzono mieszkańców na centralny plac, a wszystkie lepianki spalono. Nie było ratunku dla tych, którzy próbowali szukać tam schronienia. Powietrze zgęstniało od dymu. Krzyki, jęk, płacz, odgłosy strzałów mieszały się w upiorną melodię konania.

Bojowniku Azur, znałeś wszystkich z osady. Tylko połowa z nich dotarła do placu. Kolbami miotaczy ustawiono ich w półkole naprzeciwko Umberta elPassy - mężczyzny o przystojnej twarzy, kruczoczarnych włosach zebranych w warkocz z tyłu głowy, postawnego, prostego. Najpierw na dany przez niego znak oddzielono od grupy kobiety wyglądające na nieobciążone błędem kodu genetycznego. Ustawiono je w osobnym miejscu, przed rife kapłanów Muni. Później to samo uczyniono z dziećmi.

Umberto elPassa stanął naprzeciw kobiety z dzieckiem na ręku. To była ona, bojowniku Azur, twoja żona i twoje dziecko? Matka o zgarbionej postaci, złamana w pasie tak, że sprawiała wrażenie, jakby potworny ciężar przygniatał jej ramię. I ta twarz, usta, nos i oczy zgrupowane razem nad cofniętym podbródkiem, nieproporcjonalnie wysokie czoło, którego nie potrafiły zakryć nawet długie włosy. Twoja żona? Obciążona błędem kodu, ale jakże ukochana. Bojowniku Azur, trzymała twoje dziecko, synka, ile miał lat, trzy, cztery? Był jak ona - ułomny. Duża głowa z wylupiastymi błękitnymi oczami, tułów, krótkie cienkie nóżki nie mogące utrzymać ciała i długie ręce zakończone trójpalczystymi dłońmi. Kochałeś to dziecko nawet bardziej niż normalne, mimo że nie chodziło, nie potrafiło mówić, a zamiast tego gulgotało: wesolo, gdy było zadowolone, i płaczkowo w chwilach smutku. To oni, prawda, wszystko, co kochałeś, dla czego chciałeś walczyć i umrzeć, czy tak, bojowniku Azur?...

Umberto elPassa, przystojny mężczyzna, stał naprzeciwko kalekiej kobiety z ułomnym dzieckiem na rękach. Patrzył i uśmiechał się, trwało to chwilę, później wyciągnął dłoń, jakby chciał pogłaskać malca po głowie. Matka drgnęła i odskoczyła. Dobrotliwy uśmiech nie schodził z twarzy Kongregarda. Miękkim głosem zapytał:

- Gdzie jest twój mężczyzna, gdzie są wszyscy mężczyźni z tej osady?

Kobieta pokręciła głową i próbując opanować strach, gorączkowo szeptała:

- Nie wiem, panie, chyba poszli na polowanie, nie wiem, przysięgam, ja nic nie wiem, nie pytam, panie, nie pytam nigdy - wyrzucała słowa, nie kryjąc już przerażenia.

Patrzył ze zrozumieniem, jakby takiej właśnie odpowiedzi oczekiwał, a później, wciąż uśmiechnięty, wyciągnął ręce po dziecko. Tym razem dwóch jego ludzi nie pozwoliło kobiecie się cofnąć. Jeden uderzył ją kolbą w plecy, a drugi wyrwał chłopca i podał dowódcy.

- Nie wiesz, gdzie są mężczyźni - dziecko posadzone na ziemi bawiło się sprzączką przy bucie Umberta - czyżbyś nie kochała swojego synka? - Ciężka podeszwa spoczęła na wątlej nóżce dziecka. - Naprawdę tak mało dla ciebie znaczy?...

Kobieta zaczęła krzyczeć, próbowała podczołgać się do chłopca, ale żołnierz kopniakiem zatrzymał ją w miejscu.

- Masz jeszcze chwilę, decyduj szybko. Gdzie są mężczyźni z tej osady?

- Panie - załkała - nie czyni mi krzywdy, powiem, przysięgam, ale nie rób nic złego dziecku.

Przystojną twarz rozjaśnił jeszcze bardziej dobrotliwy uśmiech.

- Masz moje słowo, kobieto, dostanie nawet zabawkę...

Kobieta w pośpiechu, jakby bojąc się, że Kongregard zmieni zdanie, zapłakana

opowiadała o buncie, o Dwanie, który zwoływał wszystkich chcących walczyć, wymieniła tych z osady, co dołączyli do niego, wyznała wszystko, wyznałaby nawet więcej, niż wiedziała, byle tylko ratować dziecko. Mężczyzna uniesieniem dłoni powstrzymał potok słów. Był zadowolony, informacje Donosicieli potwierdziły się, można było wysłać gońca do Zamku Purpurowego Rogu.

Decyzer Umberto elPassa spojrział na bawiącego się u jego stóp chłopca, twojego syna, bojownika Azur. Przyrzekł zabawkę, dał słowo... Ruchem dłoni nakazał wszystkim cofnąć się, a żołnierzom odciągnąć matkę. Z uśmiechem odpiął od pasa granat kulkowy i podał dziecku...

- Oto obiecana zabawka.

Szybkim krokiem dołączył do reszty oddziału. Potem stanął i patrzył. Chłopiec z radością przewracał metalowy walec. W wyłupiastych błękitnych oczach malowało się szczęście, błogi uśmiech rozciągnął szerokie usta. Dziecko na moment podniosło wzrok i odnalazłszy matkę, zagulgotało wesoło. To nie trwało długo, nie mogło trwać długo... Jeden z palców zaczepił zawleczkę, pociągnął, odbezpieczył granat. Malec zaniósł się beztróskim śmiechem, wspaniała zabawka.

Trzy sekundy...

Pierwsza! Oczy matki, ogromne, dzikie, przerażone oczy...

Druga!! Krzyk, krzyk matki, krzyk przerażenia, krzyk bólu...

Trzecia!!!...

Bojownikowi Azur, dlaczego patrzysz w ten sposób?

\*\*\*

Przewodniczący Komisji Sprawiedliwości skończył czytać dokumenty i ostrożnie, jakby w obawie, że kartki mogą się rozpaść, odłożył je na marmurowy blat. Kręcąc z niedowierzaniem głową, przez chwilę gładził brodę, a przestraszonym spojrzeniem wracał do leżących papierów. Wreszcie drżącym głosem zapytał:

- Jean, skąd masz te dokumenty?...

Jean-Claude uśmiechnął się niepewnie.

- Mówiłeś przecież, że od tego zależy nasze życie. - Nie był do końca pewien, czy przewodniczący jest zadowolony czy wręcz przeciwnie. - Poruszyłem niebo i ziemię, żeby do nich dotrzeć, nie wspominając o fortunie, którą wydałem na informatorów...

- Skąd je masz?

Westchnął z namysłem.

- Jak wiesz, w Korporacji odpowiadałem za bezpieczeństwo. W zarządzie już wiedzą,

że to ja, zmienili moje kody dostępu, ale nie zdążyli zmienić moich ludzi... - Przewodniczący spoglądał na niego wyczekująco. - Zestawienia klientów Korporacji, tych od przeniesień i tych od Kwiatów Pamięci, kosztowały mnie majątek, ale nie żałowałem pieniędzy, sam przecież...

- Skąd masz dokumenty dotyczące pochodzenia Rezerwatu na Eltenerze! - krzyknął starszy mężczyzna. - Mów, na miłość boską, albo zatłukę cię osobiście!

- Spokojnie, nie denerwuj się, muszę opowiedzieć ci wszystko po kolei, bo to nie jest takie proste... - Jean-Claude pomimo lęku, z jakim patrzył na rozmówcę, podniósł głos. - Sam jeszcze nie ochłonąłem po tych informacjach...

- Postaraj się streszczać...

- Dobrze, ale nie poganiaj mnie - prychnął. - Kiedy obiecałem kilku zaufanym ludziom naprawdę duże pieniądze za pełną listę klientów Korporacji, zrobili się tak gorliwi, że zaczęli mi dostarczać nawet kopie dokumentów, które do niczego nie są nam potrzebne... Były tam między innymi papiery jeszcze z czasów, kiedy handel Kwiatami Pamięci był w rękach Esco, zanim Laromma stworzyła Korporację... Na początku potraktowałem to jako bezużyteczne śmieci, ale potem pomyślałem, że może w nich znajdę jakiś ślad prowadzący do prawdziwego właściciela firmy.

- Co za przebiegłość - z nutą sarkazmu wtrącił przewodniczący. Jean-Claude nie dał się sprowokować.

- Prosiłem...

- W porządku, mów dalej.

- Niestety, żadnej informacji o prawdziwym właścicielu Korporacji nie znalazłem, ale... - zawiesił głos, szukając w oczach swojego słuchacza uznania - ...znalazłem listy płac - obwieścił triumfalnie.

- Człowieku, to nie jest teatr! - Staruszek aż zagryzał wargi, żeby nie wybuchnąć. - Do rzeczy!

- Jeden człowiek, szef badań medycznych, zarabiał naprawdę wielkie pieniądze u Escobara i co jeszcze dziwniejsze, kiedy Laromma przejęła interes, tylko jego nazwisko zostało na nowej liście płac. - Urwał na chwilę dla spotęgowania efektu, lecz na gniewne zachęcenie się przewodniczącego szybko wrócił do opowieści. - Mniej więcej po roku pracy dla Korporacji przy jego nazwisku pojawiła się adnotacja: „pracownik nie żyje”. Pomyślałem sobie, że musiał być dla firmy bardzo użyteczny, skoro tyle mu płacono, a co za tym idzie, również dużo wiedział. W nadziei, że zostawił po sobie jakieś dokumenty, odnalazłem jego rodzinę. Żona najpierw w ogóle nie chciała ze mną rozmawiać, ale kiedy nadmieniałem, że

sprawa dotyczy dużych pieniędzy, które mogą przypaść jej w udziale, jeśli uznam wkład jej męża w nowatorskie badania, zmieniła zdanie. Zostałem przyjęty po królewsku, czemu szybko przestałem się dziwić. Już na wstępie opowiedziała o kosztach terapii nieuleczalnie chorej córki. Biegiem przyleciała z neseserem męża, mówiąc, jak to przed śmiercią wspominał, że kiedyś te papiery będą bardzo dużo warte... Obejrzałem, osłupiałem i wystawiłem czek na kwotę pozwalającą jej córce żyć spokojnie przez dziesięć najbliższych lat. Z wdzięczności chciała mi jeszcze oddać wszystkie zdjęcia męża. - Jean-Claude uśmiechnął się, oczekując słów pochwały.

- Jak zginął?

- W wypadku, vagon komunikacyjny, którym wracał do domu, stanął w płomieniach.

- Jezu, jeśli to wszystko prawda... - przewodniczący wzniosł oczy do nieba - to nie tylko mamy w garści prezydenta, nie tylko załatwimy seniora, ale wywołamy takie trzęsienie ziemi, że ci, co je przeżyją, będą mogli uważać się za bożych pomazańców.

\*\*\*

*...Była ciemność - ciemnością od początku okryte*

*...Wszystko było jednym bez cech oceanem...*

*...Zarodek bytu w pustkowiu ukryty...*

*...Stał się Tym Jednym mocą swego żaru...*

Chwytał rotrona - z delikatnością, o którą trudno by posadzać maszynę - wyciągały ostre trzpienie z dłoni Eframa. On sam patrzył na te czynności zupełnie obojętnie. Popękane usta poruszyły się, ale nie dobył się z nich nawet szept.

Mężczyzna na fotelu siedział zgarbiony, choć żadne więzy nie krępowały już jego ciała. Na twarzy zostały bruzdy wyżłobione przez łzy. Włosy kiedyś kruczoczarne teraz bieleły pasemkami siwizny, usta i oczy oplotła siatka zmarszczek.

Za szybami sali strojenia wojska decyzerą Uttu Uttugena w kornym pokłonie oczekiwały objawienia Woorga. Szeregi zbrojnych chyliły czoła tak nisko, że barwne pióropusze dotykały skał.

Rytuał Przeistoczenia nowego boga był inny niż wszystkie poprzednie, nie przypominał niczego, co Kongregard dotąd widział. Wrócił stary bóg, Pan Porządku Rzeczy... Tutaj, gdzie zawsze rodzili się ci, którzy odeszli, by w niebie dokonać przeistoczenia i w nowej chwale wrócić na Eltenerę. Już to było tak niezwykle, że Uttu z niepokojem patrzył na swoje oddziały. Gwiazdzisty Korpus słynący z karności teraz wyglądał jak stado zalęknionych jagniąt, waleczne plemiona bismańskie zupełnie przestały budzić podziw i strach, niezrównani dotąd dzirytnicy znad Wielkiego Rowu Tektonicznego nawet nie starali się

zachować pozorów spokoju, z przerażeniem patrząc na przeszkloną kopułę Olimpu. Cała potęga niepokonanych dotąd oddziałów legła w kornym pokłonie.

Uttu Uttugen z obawą spoglądał na kopułę sali strojenia, gdzie dobiegł końca rytuał tak inny od wszystkich poprzednich. Wciąż żywił nadzieję, że luki Olimpu otworzą się i wypuszczą tych, co mieli zmartwychwstać: Tora - namiestnika Piaszczystej Wyżyny, Abira ben Mustafę, powiernika Tajemnic Oficjum, Miriam - Panią Hebanowego Miasta... Wciąż się łudził, że Łazarze opuszczający statek uspokoją jego przerażone myśli, pozwolą odzyskać wiarę w umowę z Korporacją Handlu...

W sali strojenia mężczyzna podszedł do Eframa. Wsparł ramieniem Stroiciela, pomagając mu dojść do siedziska.

- Judaszu - ciche jak tchnienie imię wypowiedziane przez Eframa sprawiło, że mężczyzna się pochylił - czy rozumiałeś już sens swojej zdrady?

- Zdradziłem Korporację, moich mocodawców, pokładane we mnie nadzieje, ale nie czuję ani żalu, ani skruchy, ani wstydu - odpowiedział ochryple. - Jeśli to jest sens mojej zdrady, to go rozumiałem.

- Wiesz zatem, że twoja ofiara jest dopiero początkiem drogi?

- Wiem, że to, co zrobiłeś, nie kończy się tu i teraz - delikatnie musnął ranę na dłoni Stroiciela.

- Zrozumiałeś, Judaszu... Zrozumiałeś własną prawdę, a prawdy innych to tylko złudne pieśni, które nigdy nie obudzą echa w twojej duszy. - Efram wsparł się na łokciu. - Zatem jesteś gotów przyjąć powierzone ci zadanie?

- Teraz tak...

- Skąd pochodzisz? - Stroiciel odzyskiwał siły.

- Z Rotterdamu... - Mówiący wrócił pamięcią do miasta rodzinnego.

- Zatem będziesz zwany od dzisiaj Judą z Rotterdamu, a twoim przeznaczeniem jest objąć dowództwo nad tymi oto wojskami! - Zakrwawioną ręką Efram wskazał oczekujące za szklanymi ścianami oddziały Uttu Uttugena.

Na twarzy mężczyzny pojawiło się zdziwienie.

- Umiesz walczyć?

To było konkretne pytanie, na które wysłannik Korporacji doskonale znał odpowiedź.

- Umiem! Wyszkolono mnie do zadań bojowych w każdych warunkach.

- Wypełnisz więc wolę Pana Porządku Rzeczy i jako wódz oddziałów Uttu Uttugena przyłączysz się do buntu na Eltenerze... - Efram błędził po sali niewidzącym spojrzeniem.

- Dlaczego nie ty?

- Ja nareszcie dotknę Aidy... - Dziecięcy uśmiech rozpromienił twarz Stroiciela. - Będę opiekował się nią aż po dzień, gdy zrodzony z jej łona Prawdziwy Człowiek przejmie królestwo z rąk swojego ojca. Taki los przeznaczył mi Pan Porządku Rzeczy, taką nagrodę za cierpienie, takie szczęście w zamian za wysiłki. Ja znam drogę, ty swoją musisz poznać w ogniu walki.

- Jak mam pokonać Uttu Uttugena?

- On sam już się pokonał. - Efram skinieniem dłoni obudził rotrona i głosem zdecydowanym polecił: - Przyniesiesz Judzie z Rotterdamu strój władcy. Wykonaj!

Maszyna znikła w luku komunikacyjnym. Stroiciel wrócił spojrzeniem do wysłannika Korporacji.

- Judo z Rotterdamu - wciąż się uśmiechał do swoich myśli - znajdź w duszy to, co powiesz oddziałom, i zapamiętaj, że twoje słowa wesprze Woorg, ich bóg, a teraz wierny sługa Pana Porządku Rzeczy...

\*\*\*

Skończyłem programowanie koordynat kapsuły. Melon jeszcze nie całkiem zaakceptował rzeczywistość - czego dowodem było wracające pytanie o ołowianych żołnierzach. Pierwsze przejście przez strefy zmiany czasu na linii gradientów Graffa zawsze zostawiało traumatyczne wspomnienia. Nie mogłem jednak pozwolić towarzyszowi na wieczne rozpamiętywanie podłogi pełnej zabawek.

- Melon, rusz dupę i pomóż mi.

W jego oczach dostrzegłem niechęć. Widocznie we wspomnieniach było ładniej niż tu. Raczej mało mnie to obchodziło.

- Zejdź do zbrojowni - zacząłem przygotowywać parametry pozycji postojowej scoptera - i przenieś stamtąd do kapsuły pojemnik oznaczony dużym czerwonym iksem. Aha - dodałem widząc, jak powoli dźwiga się z fotela - nie zapomnij też o skrzynce szkockiej z kabiny załogowej.

Pokiwał głową, że rozumie. Miałem nadzieję, że zadanie nie przekracza jego możliwości intelektualnych.

- Zrozumiałeś? - upewniłem się.

- Masz mnie za debila? - burknął gniewnie.

- Oczywiście, ale teraz pytam, czy zrozumiałeś polecenie. - Pomyślałem, że w złości szybciej dojdzie do siebie. Nie myliłem się.

- Spierdalaj! - padła wściekła odpowiedź, a ja wybuchnąłem śmiechem, witając na pokładzie starego dobrego Melona.

Kiedy zamknęła się za nim przepona kabiny nawigacyjnej, uruchomiłem program kontrolny procedur uśpienia statku. Wolałem sprawdzić wszystko dwa razy, niż po powrocie nie zastać scoptera. Teoretycznie były małe szanse, że na orbicie postojowej spotkamy patrolowiec Wigilii, jeszcze mniejsze, że wleziemy pod ostrzał automatycznego pastucha, ale... Diabli wiedzą, jak bardzo pozmieniało się w Rezerwacie od czasu mojej ostatniej wizyty na Eltenerze. Strzeżonego wszyscy strzegą.

W oczekiwaniu na zakończenie procedur obserwowałem obraz planety zaklęty w panoramicznym plazmowym ekranie. Tobacco Ptasznik nazywał ją łbem psa. Rzeczywiście, jedyny pośród błękitu oceanu ląd miał kształt psiego pyska - zziąjanego: z postawionymi uszami, otwartą paszczą, wywalonym ozorem, nawet z oddechem tworzonym przez gejzery wypływające w potężnych erupcjach siarczany dym wymieszany z parą wodną. W srebrnych promieniach Ti-Dejaniry powierzchnia łądu wyglądała jak skołtuniona sierść. Kontynent wielkości połowy Afryki obłany wodą, Rezerwat, miejsce odkryte dwanaście lat temu i objęte całkowitą ochroną jako ostoja ginącego gatunku...

Pomyślałem, że jeszcze dwanaście lat temu musiała to być szczęśliwa kraina. Dwanaście lat ziemskich, sto dwadzieścia według kalendarza Eltenery, sześć pokoleń ginącego gatunku pod opieką cywilizacji. Dużo się tu ostatnio zmieniło... Za dużo...

*Kochany.*

*Myślę o Tobie... Jestem obok, pamiętaj... Będę zawsze. Bo jesteś najważniejszy dla mnie. Coraz częściej widuję się z Paulą i Carlem. Dużo mi pomagają w tych ciężkich chwilach. Nie wiem, jak bym bez nich przeżyła rozstanie. Wiesz, że on pomimo choroby potrafi znaleźć współczucie dla innych?... Niezwykły człowiek... Ostatnio rozmawialiśmy o Twoim kontrakcie w Wigilii. Carlo ma ogromne wpływy we wszystkich instytucjach, obiecał, że spróbuje znaleźć dojścia, żeby pomóc Ci tam, na Garbusie. Wierzę, że mu się uda, on tak bardzo przejmuje się naszym losem... Kocham Cię! Nienawidzę świata za to, że nie mogę usnąć obok Ciebie...*

*Twoja Lara.*

Patrzyłem na obraz Eltenery, widząc twarz Larommy. Nic osobistego, tylko interesy, ale miałem nadzieję, że bronii w kontenerze wystarczy. Zabrzmiał sygnał zakończenia procedury kontrolnej. Nie mogłem rozchylić zaciśniętej pięści, żeby palec wcisnął enter.

Wrócił Melon.

- Pojemnik i szkocka załadowane. Co teraz?

Zbawiciel Kotów wyglądał już normalnie. Nie dziwiłem się temu zbyt, widząc wystającą z kieszeni bluzy odkorkowaną butelkę. Wskazałem na szkło.



- Też mi się przyda trochę lekarstwa.

Melon z uśmiechem wyciągnął szkocką.

- Wiedziałem, że trzeba opić przejście przez te cholerne strefy, ale ten twój Egberts to słabizna, musisz zdrowo pociągnąć, żeby trochę kopnęło.

- Nooo... - Duszkiem opróżniłem butelkę. - Masz rację.

Przyjemne ciepło rozlało się po żołądku, sprawiając, że gniotąca wnętrzności obręcz na chwilę poluzowała uścisk. Mogłem już spokojniej spojrzeć na wypełniającą ekran Eltenereę.

- Melon, jedna ważna kwestia, zanim tam wylądujemy - głową wskazałem planetę - to moje terytorium, ja ustalam reguły, więc jeśli każę ci skoczyć w przepaść, to nie pytaj dlaczego, tylko skacz. Jasne?

- Jak Ti-Dejanira, szefie - kiwał czerepem na znak zrozumienia. - Nikt nie zna Rezerwatu tak jak Esco. To może pójde po jeszcze jedną butelkę?

- A gdyby coś mi się stało - nie odpowiedziałem na jego propozycję - scopter ma zaprogramowany powrotny skok przez strefy czasowe, tak że będziesz mógł wrócić na Garbusa.

- Bez ciebie nigdy, nawet śmierć nas nie rozłączy... - Najwyraźniej szkocka ugruntowała dobry humor Zbawiciela.

- Okay, to wszystko, co miałem do powiedzenia, teraz możemy zejść do kapsuły.

- Najwyższa pora zaczynać! - Ucieszony Melon zacierał dłonie.

- Najwyższa pora kończyć... - wyszeptałem do siebie.

\*\*\*

Rozpoczynała się uczta na Zamku Purpurowego Rogu. Sala balowa była wypełniona po brzegi. Połowę ogromnego pomieszczenia zajmował ciężki stół, przy którym siedzieli zaproszeni biesiadnicy. Za każdym z nich stała trójka paziów oczekująca rozkazów. Honorowe miejsce zajmował Rodryg Ort de Saintre.

Starzec ubrany był w lekką, misternie tkaną z włókien koralowca zbroję, ramiona okrywał mu płaszcz zdobiony perłowymi guzami i podbity delikatnym puchem. Na łysiejących, okrytych strzępkami siwych włosów skroniach pysznił się diadem herbowy Białego Oficjum.

Po jego lewej stronie zasiadał drugi z trzech decyzerów: Umberto elPassa - wysoki szczupły mężczyzna o kruczoczarnych włosach splecionych w warkocz. Drugie miejsce obok Rodryga czekało puste na Uttu Uttugena, który ze swoimi oddziałami strzegł Olimpu i choć wiadomo było, że nie zdoła na czas dotrzeć na ucztę zwycięstwa, to zgodnie ze zwyczajem Kongregacji nie wypadało przeznaczyć go komuś innemu. Dalej siedziała Widząca Antekte -

ta, która знаła tajemnice przyszłości, a gniewnym spojrzeniem mogła sprawić, że los obróci się na gorsze.

Kolejne fotele zajmowali namiestnicy największych i najzamożniejszych obszarów Eltenery. Proste szaty niekiedy tylko podkreślone skromną ozdobą dawały świadectwo, jak bardzo poddani boją się Rodryga Ort de Saintre - zbyt świeże było wspomnienie Thora Thorwaldsena, który swymi strojnymi szatami przyćmił blask ubioru decyzerów...

Z powszechnym, choć skrzętnie skrywanym zdziwieniem obserwowano Laromnę, która dotąd zawsze miała miejsce na podwyższeniu, w pobliżu Rodryga Ort de Saintre.

Piękna twarz Pani Korporacji Handlu miała w sobie tyle złości, tyle ledwie powstrzymanego gniewu, że żaden z siedzących wokół gości nie odważył się zagaić rozmowy nawet grzecznościową formułą. Równe białe zęby przygryzały pełne wargi, a brązowe głębokie oczy aż po brzegi tęczówek wypełniała wściekłość. Nie potraktowano jej tak pogardliwie nigdy wcześniej, nigdy też nie odmówiono prywatnej audiencji, mówiąc, że Rodryg Ort de Saintre ma teraz ważniejsze sprawy, i nigdy nie posadzono przy stole razem z pospólstwem. Takie upokorzenie było dla dumnej Larommy ciężką próbą i wszyscy widzieli, jak niewiele brakuje, by zakończyło się to wybuchem furii...

Na galeriach usytuowanych powyżej sali balowej mieli swoje miejsca dowódcy oddziałów. To wśród nich właśnie zrodził się okrzyk dający początek ceremonii.

- Chwała decyzerom! Chwała Białemu Oficjum! Chwała zwycięzcom! Chwała!

Rodryg Ort de Saintre uniósł się ze swojego siedziska i władcym gestem nakazał milczenie. W jednej chwili ucichł okrzyk i pogasły szepty.

- Dzisiaj świętujemy wielką wiktorię! - Świszczący starczy głos odbijał się od kamiennych ścian i zamierającym echem wracał do stołu. - Tam, pod Górą Czarownic, raz na zawsze rozgromiliśmy wojska buntowników! - Aplauz przerwał przemówienie, ale nie trwał dłużej, niż decyzer potrzebował na zaczerpnięcie oddechu. - Teraz nikt nie będzie śmiał podnieść ręki na Białe Oficjum, bo ręka ta zostanie mu odrąbana! Szlachetni panowie, dzielni wojownicy, okazaliście męstwo, jakie odtąd będzie postrachem wrogów Kongregacji! - Rodryg pozwolił, by przez chwilę rozbrzmiewał chóralny krzyk radości. - Zdobyliście chwałę i zaszczyty, a ja zadbam, by wasz trud został sownie wynagrodzony! Pokonaliście wroga, zdobywając nieprzebrane Kwiaty Pamięci! - Zaklaskał w dłonie, patrząc na ogromne wrota, których strzegli zbrojni strażnicy.

Ci, nim przebrzmiało echo jego słów, natarli na wierzeje, otwierając drogę przed dwoma karnie oczekującymi szeregami żołnierzy. Do sali wkroczyły dumnie najpierw poczty ze sztandarami oddziałów biorących udział w bitwie. Ustawiły się w półkole na wprost

decyzerów. Pochylone drzewce utworzyły z chorągwi wielobarwną kurtynę migoczącą w blasku pochodni. Kolejne klaśnięcie wprowadziło do wnętrza przedstawicieli Szarej Świty. Przygarbione sylwetki dźwigały na barkach wypchane skórzane worki. Na znak dany przez Rodryga Ort de Saintre na posadzkę poleciały głowy buntowników... Toczyły się po płytach, objijając się, podskakując na nierównościach skroni, nosów, fragmentach szyi... Głowy Niskich Ludzi, głowy tych z Krainy Uschniętych Drzew, głowy Yeomenów, głowy Bojowników, głowy Eoli utworzyły piramidę twarzy zastygłych w maski cierpienia, górę pustych oczu patrzących na biesiadników, stos zakrzepłych w niemej skardze ust.

- Oto plon naszego zwycięstwa! Teraz spoczną na polu zmarłych, żeby mogły zrodzić Kwiaty Pamięci. Zatem uczcijmy nasz triumf i nasze bogactwo! - Wysłannicy Szarej Świty zaczęli pakować głowy z powrotem do worków, a służba wkroczyła z misami jedzenia. Jednocześnie paziowie napełnili winem puchary gości. - Wasze zdrowie! - Decyzer uniósł kielich, spełniając pierwszy toast.

- Zdrowie Rodryga Ort de Saintre! - wiwatowali biesiadnicy. - Zdrowie Umberta elPassy! Zdrowie Uttu Uttugena! Zdrowie Białego Oficjum!

Palce grajków uderzyły w struny drimbu, a na środek sali wybiegły tancerki, Eolki - najpiękniejsze spośród niewolnic. Wybuchł gwar rozmów, rozbrzmiały śmiechy, rozdzwoniły się uderzenia spełniających toasty pucharów.

Jedna osoba na sali nie podzielała powszechnej radości. Piękne usta Larommy nie dotknęły nawet najwykwintniejszej potrawy, nie skosztowały kropli wina, ani jedno też pochwalne słowo nie uleciało zza zaciśniętych wściekle zębów. Czasami tylko gniewne spojrzenie sięgało oblicza Rodryga, a nie znajdując w jego wzroku zgody na rozmowę, wracało jeszcze bardziej rozszoszczone. Pani Korporacji Handlu coraz trudniej było panować nad sobą i dla tych z biesiadników, którzy obserwowali ją ciekawie, stawało się jasne, że lada chwila jej cierpliwość się wyczerpie. Co rozważniejsi zaczęli szukać nowych miejsc, by nie znaleźć się w pobliżu, gdy wściekłość Larommy obudzi gniew decyзера. Stół wokół niej pustoszał coraz bardziej, a kiedy już zdawało się, że wytrzymałość właścicielki Korporacji sięgnęła kresu, zabrzmiał drwiący głos Rodryga Ort de Saintre.

- Jakież to prezent przywiozła mi Laromma z okazji zwycięstwa? - Patrzył na nią z góry z kpiącym uśmiechem. - Ponoć ucieszy moje serce jak żaden inny. Uchyl, pani, rąbka tajemnicy.

Słowa, które padły w odpowiedzi, nie były ani uniżone, ani pełne szacunku, ani lękliwe.

- Miałam ci przywieźć Escobara... - wyszeptwała zjadliwie - ale przypuszczam, że zjawi się tu sam.

Ci, którym dane było usłyszeć jej odpowiedź, zamilkli przerażeni. Wieść była tak nieprawdopodobna, a legenda Escobara tak żywa, że samo jego imię wymienione w obecności Rodryga musiało sprowadzić na kobietę potworną karę.

Decyzer przez dłuższą chwilę łapał płytki oddech, jakby słowa uderzyły go mocniej niż pięść. Na białych policzkach pojawił się rumieniec, który od lat nie gościł na zwiędłej twarzy.

- Escobar żyje? Przecież... - Zamiast gniewu w szepcie Rodryga pojawiło się zdziwienie graniczące z lękiem.

- Zmartwychwstał! - Laromma nie kryła nuty szyderstwa. - Ale inaczej niż nasi klienci... Ditlev miał go w swoich rękach, niestety znowu dał się wykiwać, raport z patrolowca Wigilii wspominał o pościgu przed strefami zmiany czasu. Nie muszę chyba mówić, że był to ostatni raport tej jednostki. Zatem nasz wspólny przyjaciel - uśmiechnęła się ironicznie - musi już być na Eltenerze...

Rodryg ruchem dłoni odprawił namiestników. Gniewnym spojrzeniem wskazał kobiecie pusty fotel Uttu Uttugena.

- Przysięgałaś, że Escobar nie żyje! - Decyzer drżącą dłonią sięgnął po puchar z winem.

- Mówiłam tylko, że już nigdy o nim nie usłyszysz - Laromma uśmiechnęła się z namysłem - ale jak widać, chęć ujrzenia nas podniosła go z grobu. O kilka spraw może być naprawdę wściekły...

Kiedy decyzer odstawił puchar, na powrót miał spokojne oblicze.

- To raczej ty, śliczna, powinnaś się bać - sękatym palcem przejechał po jej policzku. - Twoje imię wyrzaskiwał, gdyśmy go dopadli pod Sondorrą. Nawet określał cię tak nieładnie... - Teraz Rodryg pozwolił sobie na uśmiech.

- Wtedy jeszcze nie wiedział o tobie, Carlo... - wycodziła.

Rodryg uderzył pięścią w stół. Najbliżej siedzący biesiadnicy z przerażeniem opuścili swoje miejsca.

- Ty suko, powiedziałaś mu! - z trudem powstrzymywał krzyk. - Musiałaś się pochwalić, mogłem przewidzieć, mało ci było bólu fizycznego... Ciebie powinienem był zabić!

- Za późno, Carlo, teraz znowu jesteśmy razem... - Zbliżyła twarz do jego twarzy. - Tylko Pauli brakuje, żeby było jak dawniej... - Prowokacyjnie, lubieżnie przeciągnęła językiem po wargach.

Starzec cofnął się. Jego zapuchnięte oczy patrzyły na kobietę z niedowierzaniem.

- Jesteś chora - wykrztusił.

- Tak jak ty, wspomniały Rodrygu Ort de Saintre, z tym że nie wstydę się tego, co robiłam. - Ręką zatoczyła krąg, wskazując salę biesiadną. - Nie udaję kogoś, kim nie jestem!

- Bo nie musisz udawać... Może powinienem wydać cię Escobarowi - zawiesił głos, jakby naprawdę rozważał podobną możliwość.

- Żałuj, że nie widziałeś, jaką robił minę, kiedy opowiadałam mu, jak z Paulą spełniałyśmy każdą twoją zachciankę... nawet najwymyślniejszą... gdy siedziałeś na wózku inwalidzkim... - Oczy kobiety na sekundę rozpalili blask podniecenia.

- Zatem powinnaś tym bardziej się bać... Za mną stoi cała potęga Białego Oficjum tutaj, na Eltenerze, a na Ziemi jedno moje słowo może wyrzucić cię z Korporacji Handlu tak, jak wyrzuca się niepotrzebny już nikomu śmieć. - Szept narastał, jakby starzec nabierał pewności siebie wraz z wypowiedzianymi słowami. - Ty jesteś jedynie sobą, ja mam tyle istnień, ile zapragnę, za trzy dni mogę być którymkolwiek z pogrzebanych mieszkańców tej planety... Skoro zapomniałaś o mojej władzy, to chyba znowu zaczęłaś myśleć kroczem.

- Gdybyś ty myślał głową, zamiast się puszyć, odmawiając mi rozmowy - Laromma najwyraźniej nie zamierzała skapitulować - zastanowiłbyś się, czemu tak bardzo na nią nalegałam. Escobar to tylko wierzchołek góry lodowej. Jest więcej problemów walących się nam na głowę! Przede wszystkim nie masz już nieograniczonej liczby istnień, bo nie odzyskaliśmy Olimpu, a Woorg jest całkowicie poza kontrolą Korporacji! A więc na razie masz tylko to starcze ciało i jeśli w nim zginiesz, zginiesz naprawdę!

- Niemożliwe... - Rodryg aż uniósł się z fotela. - Woorg nie pośredniczy już w transferze świadomości?!

- Nie! Ani w żadnym innym z zadań Korporacji! A to oznacza, że zarówno Łazarze z Olimpu, a przypominam, że jest wśród nich prezydent, jak i ci na Eltenerze są uwięzieni we własnych ciałach... Tak jak ty, Carlo! - Nie zdołała odmówić sobie złośliwego uśmiechu na widok strachu, który pojawił się w oczach Rodryga. - Ale na tym nie koniec. Jean-Claude skumał się z przewodniczącym Komisji Sprawiedliwości Areopagu, za dwa dni parlament ma postawić Nathanielowi Loydowi zarzut „Winny ponad wszelką wątpliwość”... Nie muszę chyba tłumaczyć, że to koniec Korporacji Handlu. Nas zresztą też...

- Nie odważą się. - Starzec usiłował zachować spokój. - Większość z nich korzystała z usług firmy, pójdą na dno razem z nami.

- Dlatego mam nadzieję, że seniorowi Areopagu uda się zablokować procedurę - uznała za stosowne dodać mu otuchy. - Już teraz z pomocą reszty zarządu próbuje zebrać skuteczną większość parlamentarną.

- Skontaktuj się z nim i obiecaj wszystko, czego zechce!

- On wie, o co walczy. - Laromma sięgnęła po owoc. - Jeśli będzie potrzebował pomocy, sam się skontaktuje. A teraz, Carlo, chcę odpocząć - wstała z siedzenia i przeciągnęła się jak kotka. - Wiesz, co mnie relaksuje... Tylko niech to będą najładniejsi młodzieńcy i jak zawsze dwie z twoich cudownych nałożnic. Czekam w swojej komnacie.

- Chyba zaczynam rozumieć Escobara... - Rodryg dłonią przywołał mistrza ceremonii.

- Szkoda, że nie rozumiałeś go, jak rznąłeś mnie i Paulę - roześmiała się. - Wtedy było fajnie, gościłeś go nawet i traktowałeś jak przyjaciela. Za późno na żal, teraz musisz raczej wymyślić, jak zabić Esco.

Odwróciła się i wolnym krokiem ruszyła przez salę. Spojrzenia biesiadników ukradkiem odprowadzały smukłą postać, aż skryła ją boczna nawa.

\*\*\*

*Teraz jestem z Tobą... Czuję Twój dotyk. Kochać się, czując, że... pssst... Jeśli mnie porzucisz... Zrozumiem. Carlo bardzo interesuje się Twoim losem. Użył wszystkich wpływów i znalazł dojścia do Kap Don Andera Wigilii na Garbusie. Nawet nie wiesz, jak wiele mu zawdzięczam, a być może już niedługo będziemy zawdzięczali oboje... Na razie to dopiero plany, nie chcę zapeszyć, ale Carlo ma niezwykły pomysł związany z Twoją osobą... Jeszcze za wcześnie o tym mówić, zatem sza!... Opowiadam Pauli wciąż o Tobie, a ona śmieje się, że mam chyba bzika i koniecznie musimy kiedyś spotkać się w trójkę... Nie wiem, czy nie powinnam być zazdrosna... Kochany, już nie chcę wieczorów bez Ciebie.*

*Twoja Lara.*

Uniosłem ciężkie powieki i spojrzałem w stronę wylotu jaskini na wschodzącą Ti-Dejanirę. Poranek nie różnił się od poprzednich. Wilgoć ściekała z zimnego kamiennego stropu, chłód przenikał do kości. Na błotnistej ziemi leżał człowiek, spokojny, dopóki od skały nie odpadł nocniak i piszcząc, nie uderzył go w twarz skrzydłami. Ciałem wstrząsnął dreszcz, a z klepiska podniosła się kudłata głowa. Spod opuchniętych powiek błysnęły półprzysłone oczy.

- Piękny mamy poranek, nieprawdaż, Esco? - przemówił Melon schrypniętym głosem. - Chyba wciąż żyjemy.

- Chyba... To dobre słowo...

Usłyszałem płacz. Ciche, tłumione, bezradne łkanie. Nie wiem, dlaczego byłem przekonany, że to dziecko. Płakała bardzo młoda kobieta - Eolka.

Melon ostrożnie podkrał się do niej. W spokojnych ruchach kryło się zdecydowanie podobne do determinacji polującego zwierzęcia. W pierwszej chwili nie zrozumiałem, co zamierza, ale zaraz rozległo się ciche skowytliwe zawodzenie: Eolka była zdziczała.

- Stój! - krzyknąłem, nim zakrzywione palce sięgnęły smukłej szyi.

Mój głos przypominał skrzek. Jeszcze brzmiało jego echo, gdy zauważyłem, jak obca postać wtopiona w mrok ściany podrywa w górę zabijak. Miałem czas tylko podbić ramię z bronią. Osłepiający promień oderwał od sklepienia grad kamieni. Zanim zdążyłem sprawdzić, co z Melonem, drugi cień ruchem zdradził swoją pozycję. Skoczyłem w tamtą stronę, wyprowadzając uderzenie. Przeciwnik właśnie opuszczał lancę wibracyjną, naciskając spust. Pięść złamała go wpół, zanim odpalił broń. Razem potoczyliśmy się po rozmokłej ziemi, tylko że on już bezwładnie. Melon dopadł napastnika pod ścianą i tłukł nim o kamienie z furją, która aż mnie zdziwiła.

Kobieta spłoszona odgłosem strzału umknęła do wyjścia z jaskini.

Zbawiciel Kotów szarpał bezwolnym ciałem z taką siłą, że słyszałem trzask łamanych kości.

- Zostaw, on już nie żyje - starałem się go uspokoić, ale Melon nie słuchał. Uderzyłem go tuż pod żebrami. Z bolesnym jękiem puścił zmasakrowane zwłoki i opadł na kolana.

- Co jest, do diabła?!

Kopnąłem ciało, odwracając je na plecy. Zakrwawiona twarz miała nos wyrastający z czoła powyżej linii brwi, oczy z rybimi powiekami i usta o wielkich mięsistych wargach.

- Dogoni - stwierdziłem. - Dobrze uzbrojeni, zatem pewnie z oddziałów Kongregacji, pytanie tylko, czy przyszli tu za nami od lądownika czy po prostu polowali na płaskonosych? Jesteśmy na granicy płaskowyżu Azenhoorn i niziny Ingrid Marie, byli tylko we dwóch, więc może wybrali się po niewolnice...

Melon dalej wyglądał tak, jakby niczego nie rozumiał. Albo był tępy, albo walnąłem go trochę za mocno. Podeszedłem do wyjścia. Blask Ti-Dejaniry ginął w tumanach pyłu niesionych z płaskowyżu. Suchy wiatr miotał burymi drobinami, tworząc tańczące wiry. Dalej, za wielką rozpadliną, zaczynały się przedmieścia Ingrid Marie. Drewniany most przerzucony nad przepaścią prowadził prosto między domy z białego kamienia spojonego gliną i uszczelnionego wicioroślą. Niektóre budowle miały nawet trzy kondygnacje, a dekorowane cedrowymi ornamentami fasady świadczyły o świetności osady - dawnej, bo teraz odpadały od nich fragmenty muru, puste oczodoły okien tylko gdzieś błysnęły fragmentem kryształowej tafli.

- Nie wygląda to na raj - stwierdził Melon, stając za moimi plecami.

- To nigdy nie był raj - odpowiedziałem raczej sobie niż jemu. - Choć za moich czasów życie w Ingrid Marie toczyło się żwawiej.

- Nigdy więcej tego nie rób, Esco - w jego głosie nadal pobrzmiwały nuty bólu.

- Czego, Zbawicielu?

- Nigdy nie wtrącaj się w moje sprawy - stwierdził ponuro.

Sprawdziliśmy broń, podnieśliśmy plecaki z amunicją i dodatkowym wyposażeniem. Ruszyliśmy w dół po zboczu. Spod stóp osypywały się skalne odłamki, rodząc lawinę toczącą się z głośnym stukotem. Jeżeli osada jeszcze spała, nasze przybycie musiało ją obudzić. Na razie jednak nie zauważyliśmy żadnego ruchu. Nie bardzo wierzyłem, że Ingrid Marie całkiem opustoszała, dlatego ani na sekundę nie opuszczałem phobosa. Melon też.

W milczeniu wkroczyliśmy na drewniany most. Wyglądał solidnie, drewno nie ustępowało pod uderzeniem okutego buta, nie widziałem też żadnych widocznych uszczerbków w konstrukcji. Jednak było za spokojnie, nikt nie pilnował drogi do osady. Palcem pokazałem Melonowi, żeby miał oczy dookoła głowy. W phobosie ustawiłem wiązkę paralizującą, Zbawiciel poszedł za moim przykładem. On też dobrze rozumiał, jak niebezpieczny jest ogień, kiedy stoi się na moście przerzuconym nad przepaścią.

Mniej więcej w połowie mostu Melon ruchem głowy wskazał za siebie. Obejrzałem się nerwowo, pochylając się, by w razie czego oddać lepszy strzał. Niepotrzebnie. W tyle na pierwszych metrach drewnianej konstrukcji pojawili się obdarci mężczyźni. Zbici w ciasną gromadę lekliwie podążali naszym śladem.

- Płaskonosi? - gorączkowo zagadnął Zbawiciel.

- A co, kurwa, kosmici?! - odburknąłem wściekły na własny strach, który na ułamek sekundy pozbawił mnie tchu.

Z tej odległości nie potrafiłem ocenić, do jakiego klanu należą, jedno natomiast nie ulegało kwestii - bali się nas bardziej niż my ich.

- Kobieta... - Zbawiciel machnął ręką w drugą stronę.

Zobaczyłem ją prawie natychmiast. Stała jakieś dwadzieścia metrów od mostu, między dwoma wysokimi budynkami. Dzika kobieta. Zdziwiło mnie trochę, skąd Eolka wzięła się między płaskonosymi, skoro Kraina Uschniętych Drzew leżała co najmniej o cztery dni marszu z tego miejsca. Nie dane mi było zastanawiać się nad tym dłużej, ponieważ brukowaną drogą nadbiegła gromada płaskonosych. Gnali w stronę mostu, rozpaczliwie oglądając się za siebie. Już wiedziałem, czemu dotąd było tak spokojnie.

- Biegiem, Melon! - krzyknąłem, rzucając się naprzód.

Nie zadawał zbędnych pytań.

Płaskonosi stanęli niezdecydowanie. Panicznie rozglądali się, nie mogąc podjąć decyzji, czy zawracać czy ruszyć naprzeciw nas. Nagle jeden zerwał się do biegu. Reszta ruszyła za nim.



- Kurwa, atakują! - wycharczał Melon na widok zbliżającej się gromady.

- Oni uciekają z osady! - wydyszałem. - Ktoś ich goni! Nie zwalniam! Wal z phobosa, żeby utorować drogę!

Sam też podniosłem broń. Strzeliłem w cizbę płaskonosych. Większość padła jak podcięta. Gnaliśmy z Melonem, przeskakując nad leżącymi ciałami. Raz po raz phobos wyrąbywał nam drogę pośród pędzących z przeciwka płaskonosych. Wreszcie dostrzegłem oddział Kongregardów. Więc jednak Dogoni z jaskini nie byli przypadkowi. Nie zwalniam, pokazałem ich Zbawicielowi. Pokiwał głową, że widzi. Strzeliłem jeszcze dwa razy i omijając padające ciała, w pełnym biegu przeładowałem broń na ładunki niszczące. Kątem oka widziałem, że Melon powtarza moje czynności.

Już prawie zbiegliśmy z mostu, kiedy dowódca oddziału Białego Oficjum nas zauważył. Wymachując rękami, przekazał żołnierzom rozkazy. Nie zastanawiałem się, co zamierza. Wywaliłem maksymalną wiązkę w budynek mijany przez Kongregardów. Kamienny mur uniósł się jakby wbrew prawu ciężenia, a potem runął na zbrojnych gradem skruszonych brył. Zbawiciel strzelał z phobosa prosto w miotających się bezładnie żołnierzy. Poprawiłem w drugą budowlę. Zawaliła się bezpośrednio na szukające osłony niedobitki Dogonów. Tuman kurzu przesłonił ulicę.

Za mostem skręciłem w bok, w stronę sześciokątnej bryły świątyni. Obok gnał Melon. Świszczący oddech niemal zagłuszał echo walącego się kolejnego domu. Brakło nawet chwili na spojrzenie w tamtą stronę, zresztą wzrok utkwiałem w kaplicy Muni, szukając otworu ofiarnego.

Wokół zagwizdały pociski. Poczulem lekkie szarpnięcie i ból w barku. Straciłem równowagę, a tak bliska już ściana świątyni uciekła z pola widzenia. Ostrzał przybierał na sile. Z nadludzkim wysiłkiem odzyskałem panowanie nad ciałem. Zanim rozbieganym spojrzeniem odnalazłem zbawczy otwór pod arkadą świątyni, poczułem, jak podrywa mnie silne ramię. Zbawiciel - mam u niego następny dług wdzięczności.

Z impetem wpadliśmy w mrok, zostawiając z tyłu bezładną kanonadę. Zawadziliśmy o stopień modlitewny i potoczyliśmy się po ofiarnej pochylni. Rękami osłaniałem głowę, gdyśmy się turlali stromym tunelem, raz po raz waląc w kamienne występy. Zacząłem marzyć o pionowej ścianie na końcu...

Zostałem wysłuchany... Wyrznąłem w stalową płytę. Ułamek sekundy później Zbawiciel huknął obok, aż echo poszło.

- O kurwa - usłyszałem w ciemności.

W tej samej sekundzie stalowa płaszczyzna zamykająca pochylnię podjechała do góry,

odslaniając duże pomieszczenie w kształcie ściętego stożka. W przyćmionym blasku, jaki dawały łojowe świece rozstawione na ciężkich cedrowych ławach, snuły się pokraczne sylwetki. Dym z płonących knotów osiadał na posadzce. Jedna z niskich postaci błądzących między blatami bezszelestnie ruszyła w naszą stronę. Dopiero teraz dostrzegłem, że podłoga jest jednym wielkim kłębowiskiem szczurów. Po chwili brodząca wśród zwierząt sylwetka przybrała kształt garbatego łysego Opiekuna Ofiary, a ciszę przerwały gardłowo modulowane słowa.

- Jeszcze nie są gotowe. Nie teraz, dopiero za trzy dni...

Zauważyłem, że Melon unosi phobosa. Powstrzymałem go ruchem dłoni.

- Dlaczego? - zapytałem, chcąc zyskać na czasie i znaleźć wyjście z sali. - Potrzebujemy dzisiaj.

- Nie teraz! - powtórzył Opiekun uniesionym głosem. - Szczurnicy mogą je przygotować najwcześniej za dwa dni!

Poczułem ból postrzelonego ramienia.

- Escó - Zbawiciel dygotał, choć w pomieszczeniu nie było zimno - co to jest, do diabła? Nic nie rozumiem...

Wszedłem na schody.

- Dawno, dawno temu - odwróciłem się do niego - za siedmioma rzekami, za siedmioma górami, za siedmioma lasami...

- Gorzej ci?

- Tak zawsze rozpoczynają się bajki, Melon, no więc za wszystkimi tymi siedmioma była sobie planeta, chuj wie dlaczego nazwana Ziemią, na której żyły istoty, chuj wie dlaczego nazwane ludźmi. Wszystko było tam tak wspaniałe, że aż mdliło, a jak cię mdli, to prędzej czy później się wyrzygasz. No i urodził się taki wymiot: ludzie obciążeni ryzykiem błędu genetycznego. Jeden geniusz opublikował swoje odkrycia i kilkadziesiąt tysięcy ludzi stało się niewygodnych. To oni roznosili zarazy, deformowali czystą rasę, mieli nasrane w DNA na tyle, by nieść błąd dalej, byli źródłem potencjalnego zła. No więc humanitarnie dano im wybór: sterylizacja albo bilet w jedną stronę.

- Jaki bilet?... - Zbawiciel wciąż jeszcze nie rozumiał. Nic dziwnego, sam też kiedyś opornie przyswajałem tę wiedzę.

- Pięć największych statków transportowych przerobiono na załogowe, nazwano je Arkami Noego, wsadzono wszystkich genetycznie popsutych, zablokowano silniki tak, że były poza kontrolą aż do momentu, kiedy rezerwy paliwa nie pozwalały już wrócić na Ziemię, wyposażono w co tylko się dało, od zwierząt po maszyny, i wysłano w pięć różnych

stron wszechświata.

- Ale co to ma wspólnego...

- To jest właśnie to! - przerwałem. - Jedna Arka Noego trafiła na Eltenerę... Powitaj, Melon, swoich krajanów... - Roześmiałem się, widząc, z jaką niewiarą przyjmuje informacje.

- Niemożliwe... - wykrztusił. - Bredzisz z bólu.

- Nie martw się, Melon - poklepałem go po plecach - tak naprawdę to nie jesteś od nich dużo ładniejszy.

- Pierdol się! Ty naprawdę jesteś stuknięty!

- Chciałbym, wszystko byłoby wtedy prostsze - uśmiechnąłem się smutno. - Rezerwat na Eltenerze zamieszkują ludzie... Gównno to zmienia, ale taka jest prawda. Teraz, Melon, dołączyłeś do grona nielicznych, którzy znają tę tajemnicę.

Chciał jeszcze o coś zapytać, ale przerwałem, zanim zdążył otworzyć usta.

- Później - szepnąłem, nasłuchując dalekiego echa nawoływań Kongregardów.

- Nie są gotowe! - powtórzył garbaty Opiekun, który wysłuchał moich wcześniejszych słów w bezbrzeżnym milczącym zdumieniu.

- Bardzo liczyliśmy na dostawę - zwróciłem się do niego z udawanym żalem. - Niech będzie za dwa dni, byle na pewno!

- Będzie na was czekało tysiąc sztuk, sam dopilnuję. - Karzeł wypiął garb w służalczym pokłonie.

- A teraz wyprowadź nas stąd - poleciłem.

Ruszył przodem. Starąłem się nie patrzeć na rozedrgane szczurze ciała pod stopami. Wilgotne zimne łapy wciskały się w nogawki spodni, a dotyk śliskich futerek i lepkich, gołych ogonów budził dreszcz obrzydzenia.

Opiekun mijał drewniane ławy pokryte warstwą tłuszczu i górami odpadków. Między nimi leżały noże o długich cienkich ostrzach. Zaczekałem, aż Melon zrówna się ze mną.

- Pytałeś, co to jest? - Spojrzałem w twarz wykrzywioną grymasem odrazy. - To jest stołówka... - Poczulem złośliwą satysfakcję, kiedy skrzywił się jeszcze bardziej. - Tysiące apetycznych kąsków miotających się po podłodze. Wystarczy podnieść, chwycić za łepkę i szarpnąć za ogon. Zrywasz kręgosłup, jak zrobisz to sprawnie, może się nawet obejść bez drgawek. Później na blat i nożem nacięcia: na karku, wzdłuż spodniego szwu i na łapkach. Wtedy skórę złapaną w kleszcze łatwo zedrzeć. Następnie trzeba uważnie, tak by nie naruszyć żółci, głębszym nacięciem rozpruć brzuch i wsadzając do wnętrza dwa palce, wyrwać flaki. To wszystko. Masz już gotową tuskę. Możesz upiec ją nad ogniem albo ugotować ze zmieloną korą likorowca i jadalnymi korzeniami, albo wysuszyć na słońcu, albo uwędzić na

dymie. Wyborne danie... Ogon oczywiście zostaje, jest niejadalny. - Twarz Melona zrobiła się kredowobiała i raczej nie był to efekt półmroku panującego w pomieszczeniu. - U pajaków wyrzuca się nogi i włochate pancerze, u robaków ostatni, gorzki pierścień, z propasaków można jeść tylko wywar...

- Zamknij się! - Zbawicielowi najwyraźniej nie przypadła do gustu tutejsza kuchnia.

Karzeł zatrzymał się tak gwałtownie, że omal go nie przewróciłem. Sękatą ręką wskazał ścianę.

- Oto wyjście - wymamrotał - bezpieczna droga...

Spojrzałem zdziwiony, ale w mętnych, nabiegłych krwią oczach nie dostrzegłem błysku zrozumienia.

- Szczury - wybełkotał przerażony Opiekun - szczury...

Wśród biegających po ziemi zwierząt panowało niezwykle ożywienie. Stawały na tylnych łapach i węszyły zaniepokojone. Niektóre wyskakiwały nad skłębioną gęstwę, jakby chciały uciec z coraz bardziej nerwowego kręgu miotających się ciał, inne kasały towarzyszy z niewytłumaczalną zajadłością. Powoli też rozpoczynały wspólny bieg. Miałem wrażenie, że podłoga pomieszczenia - pokryta szarym futrem - kręci się w zawrotnym tempie wokół osi, jaką stanowi...

- Pan Porządku Rzeczy - wymamrotał Opiekun, pochylając głowę i krzyżując ręce na piersiach.

W środku sali, w samym centrum wirującej szcurzej masy, wyrastał obraz twarzy o pustych oczodołach. Złote włosy w węzowych splotach spływały na ziemię, gdzie ginęły, a jednocześnie brały początek wśród rozpędzonych szarych futer. Wyraziste fałdy zmarszczek wokół ust i pod okrągłym podbródkiem drgnęły.

- Wróciłeś, Escobarze... - w głowie wybuchł mi niski, ciężki głos - by mógł się dokonać rytuał Przeistoczenia...

Miałem wrażenie, że słowa, jak również leniwy, powolny ton są wytworem mojej wyobraźni. Spojrzałem na Zbawiciela, ale jego twarz wyrażała jedynie zdziwienie.

- Odwracają się karty Księgi Poniżenia - wybrzmiewały ospałe sylaby. - Będziesz brodził wśród tobie podobnych istot, będziesz patrzył w ich oblicza i odnajdował myśli, zaczniesz rozumieć, ku czemu zmierzają... A kiedy już pojmiesz sens Księgi Poniżenia, objawiona ci zostanie Klarowna Reguła. Dopełni się przeznaczenie. Tu jest twoje miejsce... Tego chce Porządek Rzeczy, tego chce jego Pan...

Nie wiedziałem, czy to się dzieje naprawdę czy wracają urojenia z czasu krystalicznego proszku. Głęboko czaił się strach, że słowa huczące w głowie tak naprawdę zrodziły się w

moim mózgu. A to, do diabła, nie napawało optymizmem.

- Esco, do cholery! - Melon szarpał mnie za ramię.

Poczułem ból. Rana paliła falami gorąca, które docierało aż do koniuszków palców. Spojrzałem w wylupiaсте oczy.

- Nareszcie, człowieku, co się z tobą dzieje?! - Przysięgłbym, że w źrenicach Zbawiciela dostrzegłem błysk współczucia. - Spadamy stąd!

- Tutaj, tutaj - bełkotał garbaty karzeł, mocując się z ryglami - ten korytarz wyprowadzi was do alei tańczących grobowców, tam uważajcie... Ja i szcurnicy zostaniemy, by milczeć...

- Odwrócił się i krzyknął na pokornie oczekujące postacie.

Skrzypnęły zawiasy odchylanej bramy. Wyszliśmy. Za progiem, ledwie buty uderzyły o twardą posadzkę korytarza, ujrzeliśmy dziką kobietę.

\*\*\*

*...Niechże nie schodzę do Przybytku Prochu...*

*...Przebacz, władco łaskawy, przebacz, Panie Porządku...*

*...Gdy kroczę chwiejny, słaby...*

*...Przebacz, władco łaskawy, przebacz, Panie Porządku...*

- Jam jest Juda z Rotterdamu! - grzmiał głos mężczyzny stojącego przed szeregiem wojsk Uttu Uttugena. - Od tej chwili z woli Pana Porządku Rzeczy i sługi jego Woorga jestem waszym dowódcą!

Żołnierze czekali niecierpliwie. Nie rozumieli, dlaczego decyzer Białego Oficjum jeszcze nie kazał zabić bezczelnego mówcy.

- Nie Kongregardzi są panami waszego losu, nie Uttu Uttugen decyduje o życiu i śmierci, nie Rodryg Ort de Saintre powinien napawać was lękiem! - Mężczyzna o siwych skroniach uniósł dłoń zwiniętą w pięść. - Waszym władcą jest Pan Porządku Rzeczy! A ja, Juda z Rotterdamu, z jego rozkazu mam was poprowadzić do zwycięstwa!

Milczenie towarzyszyło jego słowom. Żołnierze potrzebowali wyraźnego znaku, dlatego ich spojrzenia błędziły bezradnie pomiędzy decyzerem a Judaszem. Wiedzieli, kto jest ich wodzem, ale samozwaniec przychodził z Olimpu, z miejsca, gdzie rodzili się powtórnie ci, którzy na swej drodze sięgali nieba, a tam żyją duchy wieczyste: bogowie.

- A jeśli przyjdzie taka chwila, że będziecie musieli umrzeć? - Juda wodził wzrokiem po szeregu wojsk Białego Oficjum. - A jeśli taka chwila przyjdzie?! Wam jest ona pisana! Nie pozwólcie, by nadeszła nieoczekiwanie! Nie wy! Najwaleczniejsi spośród walecznych! Pomyślcie o swoich żonach, dzieciach, matkach! - Powoli wśród żołnierzy rodził się szmer aprobaty. - Pokonajcie własny strach! Ja, Juda z Rotterdamu, mówię wam, że odtąd decyzerzy

Kongregacji też są śmiertelni!

Szepty obudzone wśród oddziałów zamarły wraz z ostatnimi słowami. Teraz musiał paść rozkaz zabicia samozwańca, jeszcze nikt nigdy nie rzucił w twarz dowódcy wojsk Białego Oficjum takiej obelgi.

Uttu Uttugen uniósł się w siodle, ale nim zaczerpnięty oddech urodził krzyk wydanego wyroku, słowa Judy zamknęły mu usta.

- Łazarzu, zwany w niebie Jonem Lundem! - Patrzył na Kongregarda ze spokojem, jaki towarzyszy tylko poczuciu własnej przewagi. - Nie masz już kolejnego życia! Nie wrócisz do dawnej postaci, a śmierć na Eltenerze będzie śmiercią ostateczną ciała twojego i duszy twojej! Odejdź, nim dosięgnie cię gniew Pana Porządku Rzeczy!

Efram widział, jak za szybą wideoramy wspaniały decyzer Białego Oficjum spogląda ze strachem na Judę, jak spina baktriana ostrogami i przez nikogo nie zatrzymywany odjeżdża kamienistym duktem w stronę widniejących na horyzoncie Gór Pumeksowych. Ze spokojnym uśmiechem obserwował wojska zaczynające wiwatować na cześć nowego wodza. Wola Pana Porządku Rzeczy została wypełniona, teraz przyszedł czas na nagrodę... Aida...

- Setniku - z radością poklepał pancerz rotrona - od dzisiaj zwać cię będę moim przyjacielem, bo nikt dotąd nie był mi oddany tak jak ty.

Maszyna zabuczała jakby z wdzięcznością.

\*\*\*

Gabinet seniora Areopagu przytłaczał przepychem dębowych mebli. Za ogromnym biurkiem on sam wyglądał niczym przypadkowy element wyłamujący się z harmonii brązów wnętrza. Siedząc w wysokim fotelu, patrzył z góry na przewodniczącego Komisji Sprawiedliwości.

- Zatem jaka to sprawa jest na tyle pilna, że nie może pan z nią poczekać do debaty w Areopagu? - w głosie wyraźnie pobrzmiwały nuty ironii. - Czyżby tak wytrawny gracz nie wierzył w swój sukces i przegłosowanie procedury „Winny ponad wszelką wątpliwość”?

Przewodniczący uśmiechnął się, chcąc pokazać, że ten wątek niewart jest wzmianki. Nie sprawiał przy tym wrażenia skrępowanego ani ogromem gabinetu, ani stołkiem, na którym posadził go gospodarz i z którego musiał zadzierać głowę, by spojrzeć tamtemu w oczy.

- Po pierwsze, chciałbym zaznaczyć, że sprawa ma charakter prywatny, a temat naszej rozmowy - rozejrzał się badawczo po pomieszczeniu - gdyby trafił do postronnych uszu, byłby równie groźny dla mnie, jak i dla pana. Zatem prosiłbym najpierw o sprawdzenie, czy to na pewno rozmowa tylko w cztery oczy. - Wyraźne podkreślenie słowa „tylko” obudziło

zainteresowanie, ale i zniecierpliwienie gospodarza.

- Po pierwsze, nie mam nic do ukrycia - odpowiedział z urazą - a po drugie, całkowicie ufam swoim współpracownikom.

- Dobrze! - przerwał przewodniczący. - Przyjmijmy, że to była część oficjalna dla postronnych słuchaczy, a teraz niech pan, do cholery, włączy system wyciszania! - Cała ugrzeczniona jowialność gościa znikła w mgnieniu oka. - Sprawa jest zbyt poważna, żeby bawić się w jakieś gierki!

- Zawsze uważałem pana za impertynenta. - Senior udawał oburzonego, ale sękaty palce uruchomiły aparaturę wygłuszającą. - I proszę od razu przejść do rzeczy, nie mam zbyt wiele czasu.

Przewodniczący odczekał, aż zapaliły się kontrolki pełnej aktywacji urządzenia izolującego salę. Dopiero wtedy ponownie się odezwał.

- Obaj doskonale wiemy, o co toczy się gra, ale nie do końca chyba mamy pojęcie, jakimi kto dysponuje kartami...

- Ja swoje karty znam doskonale.

- Akurat pańskie karty nie stanowią tajemnicy! - Zniecierpliwiony przewodniczący prychnął. - Jestem świadom, że zebrał pan już większość, która na zgromadzeniu bez trudu odrzucił mój wniosek o postawienie prezydenta przed Komisją Sprawiedliwości, oraz że obiecał pan im zachowanie milczenia w sprawie korzystania z usług Korporacji, a wszelkie moje działania po przegranym głosowaniu będzie można złożyć na karb urażonej dumy i nieczystej walki o przetrwanie... - Zaczerpnął powietrza. - Wiem też, że natychmiast po odrzuceniu procedury „Winny ponad wszelką wątpliwość” zarządzi pan głosowanie mające na celu odebranie mi immunitetu, pozbawienie funkcji przewodniczącego Komisji Sprawiedliwości i postawienie przed sądem za zniesławienie i próbę przejęcia władzy.

Oczy seniora nie wyrażały żadnych emocji.

- Oczywiście przy podobnych oskarżeniach każda próba skompromitowania tych, którzy byli na Eltenerze jako Łazarze, albo tylko tych, którzy zażywali Kwiaty Pamięci, byłaby skazana na niepowodzenie, a co za tym idzie, miałyby pan karty nie do przelicytowania.

- Przewodniczący pozwolił sobie na uśmiech. - Jest jednak pewien nowy element w sprawie, dający mi zupełnie nieoczekiwane możliwości...

- Widzę, że mam do czynienia z wytrawnym graczem. - Senior ironicznie skrzywił usta.

- Skoro jesteśmy już przy karcianej terminologii, to odnoszę wrażenie, że w tej chwili próbuje pan blefować.

- Zatem zagramy w otwarte karty... Co pan wie o Arkach Noego?

- To raczej niechlubny punkt naszej historii - siwy mężczyzna zlustrował rozmowę uważnym spojrzeniem - ale nie bardzo rozumiem...

- Proszę tylko o przypomnienie faktów.

- Przecież to wiedza ogólnie dostępna.

- Więc niech ją pan przytoczy!

- Pięćdziesiąt lat temu - senior starał się mówić obojętnym głosem, ale bezwiednie zaciskane szczęki zdradzały napięcie - wyizolowano gen odpowiedzialny za mutacje chorobotwórcze i powielanie tak zwanej złej matrycy.

- I co dalej? - Puciołowaty mężczyzna nie krył zadowolenia.

- Naukowcy dostali za tę pracę Nagrodę Nobla, a politycy zrobili z niej element kampanii wyborczej... Radykałowie obiecali wyborcom świat bez chorób, dłuższe życie, zdrowe potomstwo - senior coraz bardziej zaciskał zęby - hasła chwyciły, zdobyli większość w ówczesnym parlamencie, przegłosowali nową ustawę zdrowotną, w myśl której po powszechnych badaniach genetycznych ci z błędem genetycznym mogli zostać na Ziemi po poddaniu się sterylizacji albo opuścić naszą planetę... Ze stu tysięcy ludzi z wykrytym błędem kodu genetycznego około trzydziestu tysięcy zamiast sterylizacji wybrało podróż. Zbudowano dla nich pięć statków, wyposażono we wszystko, czego sobie zażyczyli, nazwano ich Nowymi Kolonizatorami, a ich jednostki Arkami Noego. Odlecieli w pięć różnych stron kosmosu i odtąd nikt o nich nie słyszał...

- A czy kiedykolwiek zostali pozbawieni praw obywatelskich? - zapytał przewodniczący, z uwagą oglądając swoje paznokcie.

- Nie, nigdy... Zresztą już trzy lata później odkryto kolejne mutacje kodu genetycznego, tym razem dotyczące już większości populacji, i idea czystej i zdrowej rasy ludzkiej rozsypała się w pył.

- Czyli Nowi Kolonizatorzy... naturalnie gdyby jakimś cudem któremuś udało się przeżyć - dodał, widząc zdziwienie malujące się na twarzy siwego mężczyzny - mają dokładnie te same prawa, co wszyscy inni ludzie.

- Zgadza się.

- Zatem gdyby ktoś popełnił przeciwko nim zbrodnię, nasz wymiar sprawiedliwości ścigałby takie przestępstwo?

- To... oczywiście... - Jeśli dotąd senior mógł uchodzić za pokerzystę, przy ostatnich zdaniach stracił kamienną twarz. Na pomarszczonym obliczu zagościł grymas strachu, którego na pewno nie uspokajał cyniczny uśmiech rozmówcy.

- Proszę rzucić okiem na te kopie dokumentów. - Przewodniczący położył na biurku



papiery wyjęte z teczki.

Senior chwilę przewracał kartki, ale robił to tak pobieżnie i nieuważnie, że przewodniczący aż się zaniepokoił. Milczał, póki ostatni z dokumentów nie został odłożony z powrotem na blat, i dopiero wtedy zapytał:

- Zrozumiał pan wymowę tych informacji?

- Niczego nie muszę rozumieć. Ja doskonale znam fakty zawarte w tych papierach...

- Co?! - Głos małego pękatego mężczyzny stracił stoickie brzmienie. - To są niepodważalne dowody stwierdzające, że humanoidzi z Rezerwatu na Eltenerze to nikt inny jak Nowi Kolonizatorzy z Arki Noego!

- Wiem. - Senior pokiwał siwą głową. - Dotąd była to tajemnica najwyższej wagi znana tylko pięciu osobom na Ziemi...

- Znana?!

Pchnął dokumenty w stronę przewodniczącego.

- Każdego dnia dziwiłem się, że tak wyraziście pchająca się przed oczy prawda dalej pozostaje tajemnicą.

- Jakim prawem...

- Jest pan w Areopagu dopiero pierwszą kadencję, ale nawet z tym doświadczeniem można chyba sobie wyobrazić, co by się stało, gdyby upowszechnić te informacje, i jakie byłyby tego konsekwencje. Przestańmy udawać moralnych i wróćmy do meritum, bo nie sądzę, że przyszedł pan tu tylko po to, aby rzucić mi te dokumenty w twarz...

- Nie, przyszedłem powiedzieć, że na podstawie posiadanych dowodów stwierdzam, że mieszkańcy Rezerwatu na Eltenerze są ludźmi i stali się ofiarami licznych udokumentowanych zbrodni. - Powoli odzyskiwał spokój i poczucie siły. - Jako przewodniczący Komisji Sprawiedliwości mam prawo i obowiązek ścigać przestępców z mocy mojego urzędu bez względu na to, jak wysoko byliby postawieni.

- To chyba jeszcze nie koniec?

- Mogę zawiesić immunitety wszystkich członków Areopagu, podczas gdy ja sam na czas śledztwa pozostanę nietykalny! - zakończył z nutą wyraźnego zadowolenia.

Senior przyglądał mu się z zastanowieniem. W szarych, jakby wypłowiałych oczach pojawiły się ogniki zrozumienia.

- Rozpęta się piekło, nawet pan nie jest w stanie przewidzieć, czym się to skończy... - przemówił wolno, z namysłem. - Na pewno doprowadzi do przedterminowych wyborów... Niestety nie można przewidzieć, kto je wygra, a nie na tym przecież panu zależy. Gdyby tak było, to ja siedziałbym u pana doprowadzony na przesłuchanie przez funkcjonariuszy Służby

Wewnętrznej. Zatem może skończmy z tym straszeniem i przejdźmy do pańskiej oferty, która pozwoli nam wypracować kompromis... - Z szafki w biurku wyciągnął kieliszki i butelkę. - I może ma pan ochotę na coś mocniejszego, bo ja na pewno należę sobie brandy

- Dla mnie to samo, podwójną, jeśli można prosić. - Zaczekał, aż senior poda mu szklankę. - Wracając do tematu, rzeczywiście nie o groźby mi chodzi. Chcę zaproponować kompromis, bardzo korzystny dla pana i pańskich popleczników.

- Gdybym mógł usłyszeć szczegóły...

- Po pierwsze, poprzecie mój wniosek o wszczęcie procedury „Winny ponad wszelką wątpliwość”. Prezydent Nathaniel Loyd musi zostać odwołany, jego funkcję obejmie wiceprezydent. Po drugie, Korporacji Handlu zostanie cofnięta koncesja na obsługę Eltenery. W zamian gwarantuję, że w związku ze sprawą Łazarzy i Kwiatów Pamięci na światło dzienne nie wypłynie żadne inne nazwisko, wszyscy zachowają dotychczasowe funkcje i stanowiska, poprę też pańskie starania o objęcie fotela marszałka Areopagu.

- Hojna propozycja... - Senior z ironicznym uśmiechem uniósł szklankę w górę. - I jaka altruistyczna...

- Pańskim zdaniem to za mało? - Przewodniczący udał zdziwienie. - Przypominam, że toniecie, a ja zamiast brzytwy daję wam solidne koło ratunkowe.

- Podsumujmy - siwy mężczyzna jednym haustem opróżnił naczynie - wiceprezydent jest pańskim figurantem, całkowicie oddanym i absolutnie posłusznym. Mając te dokumenty, trzyma pan w szachu większość parlamentarną, podobnie jak gros wpływowych ludzi biznesu, bo i ich nazwiska widnieją na liście klientów Korporacji. Marszałek Areopagu jest jednym z niewielu uczciwych, więc chętnie go pan zamieni na moją skromną skorumpowaną osobę... - Ponownie napełnił szklanki. - Można więc to nazwać zaprowadzeniem dyktatury.

- Można, choć ja nazywam to utrzymaniem ładu i porządku. Jeszcze przed chwilą ostrzegał pan, że konsekwencje ujawnienia tajemnicy o Eltenerze mogą być nieobliczalne. Zatem przyjmijmy, że działam w jak najlepszym interesie Starych Kontynentów - spojrzał seniorowi prosto w oczy. - Myślę, że zwrot „racja stanu” uspokoi nie tylko pańskie sumienie...

- Bardziej przekonuje mnie świadomość braku wyboru. Pozostaje jeszcze pytanie, jak zamkniemy usta wszystkim, którzy mają coś do powiedzenia w sprawie, bo niektórzy będą musieli odegrać rolę kozłów ofiarnych.

- Proszę tylko, aby pan zajął się zarządaniem Korporacji. Jego członkowie muszą zniknąć, cokolwiek by to miało oznaczać. Oczywiście wierzę również, że taki szczegół jak zniszczenie wszystkich dokumentów Korporacji nie umknie pańskiej uwadze. Resztą ja się zajmę. -

Swoją szklanką trącił naczynie seniora. - Proponuję wznieść toast za... - uśmiechnął się - powiedzmy, że za naszą pomyślność.

- Powiedzmy... - Siwy mężczyzna przechylił naczynie.

\*\*\*

Buntownicze oddziały Lee Harpera, omijając zakole rubinowej Ingados, zeszyły z kamiennego duktu wiodącego do jedynej w okolicy brodu. Za radą Tobacco Ptasznika postanowili unikać wszystkich miejsc, gdzie mogliby zastać Kongregardów. Daleko w tyle widać jeszcze było wyżynę Akenor z wrośniętą w kamienne zbocze twierdzą Uttu. Garstka pozostawionych w niej buntowników miała w razie przybycia wojsk Białego Oficjum przyjąć na siebie ciężar obrony, by jak najdłużej trzymać wrogów w przeświadczeniu, że oblegają wszystkie niedobitki armii Dwana Deboraha Keene'a.

Kolumna długa na kilkadziesiąt metrów wolno posuwała się między głazami, które wiatry i siarczane deszcze wyrzeźbiły w kształty tak dziwaczne, że buntowniczy korowód wyglądał pośród nich niczym robak pełzający między monstrualnymi figurami. Zgarbione sylwetki brnęły w nienaturalnie zwolnionym tempie po skalnych odłamkach, z rzadka tylko przerośniętych mchami. Prowadzący oddział Tobacco co chwilę przystawał, czekając, aż reszta buntowników dołączy do niego. Twarz niewysokiego drobnego mężczyzny wyrażała coraz bardziej rosnące zniecierpliwienie, choć z zaciśniętych w wąską kreskę ust nie ulatywało ani jedno gniewne słowo.

W dali po prawej stronie coraz wyraźniej rysował się masyw Gór Pumeksowych. Powoli kończyły się Zapory Strefowe - wraz z coraz szerzej rozlewającą swój nurt Ingados.

Ptasznik zrównał się z zamykającym pochód Lee Harperem.

- Wodzu - powiedział, ocierając pot z czoła - jeśli nie będziemy szybciej maszerowali, stracimy przewagę zaskoczenia.

Harper popatrzył na ciągnących się noga za nogą towarzyszy broni.

- Oni nie chcą już gonić za swoją śmiercią - bezradnie rozłożył ramiona. - Nie wymagaj od nich za wiele.

- Ale mieliśmy mordować Kongregardów...

- Spójrz na ich twarze - przerwał mu Lee. - Boję się, że na widok pierwszego najmniejszego nawet hufca Białego Oficjum rzucą broń i poproszą o śmierć.

- Myślisz, wodzu, że chcą śmierci? - w źrenicach Tobacco pojawiły się złe ogniki.

- A potrafisz sprawić, by poruszali się szybciej? - Harper wyzywająco popatrzył na drobnego mężczyznę.

Ptasznik biegiem ruszył na czoło pochodu. Kiedy znalazł się przed kolumną, uniesioną

dłonią wstrzymał marsz.

- Czy ktoś już teraz chce umrzeć?! - zakrzyknął.

Najpierw cichy, a później coraz wyraźniejszy szmer głosów odpowiedział twierdząco. W pozbawionych wyrazu oczach kryła się rezygnacja i poczucie przegranej.

- Który z was uchodzi za najwaleczniejszego? - Ptasznik uspokoił się, choć wciąż jeszcze kurczowo zaciskał palce.

Kilka uniesionych rąk wskazało na potężnie zbudowanego Yeomena.

- Jak cię zwą? - zapytał Tobacco.

- Mojra znad Grani! - odpowiedział wyzywająco wskazany.

- Wystąp zatem przed szereg, a wy... - odwrócił się do reszty - zobaczcie, jak wygląda pierwszy pośród was. Kto teraz nie chce iść dalej, kto chce umrzeć?

- Ja... - Szereg opuścił przygarbiony Eol. - Ja nie chcę już dalej maszerować, skoro i tak wszyscy zginieemy. - Pomruk aprobaty przetoczył się przez oddział.

- Widzicie? Tak wygląda najgorszy pośród was! - Tobacco wskazał zgarbioną sylwetkę.

Zanim żołnierze mieli czas pomyśleć, o co mu chodzi, poderwał zabijak. Krótki błysk, głuchy huk odrzutu i śmiertelny krzyk Eola zlały się niemal w jedno. Ptasznik nawet nie spojrzał na martwego żołnierza. Odwrócił się w stronę Mojry znad Grani i zanim ktokolwiek zdążył odwrócić wzrok od leżącego Eola, drugi strzał trafił Yeomena. Wielki zwały wojownik chwilę stał z bezbrzeżnym zdumieniem malującym się na kwadratowej twarzy, a potem runął na plecy.

Lee Harper pochylił się do skoku, ale napotkawszy twarde spojrzenie Ptasznika, zastygł w miejscu.

- Zginęli najgorszy i najlepszy spośród was! - Głos Ptasznika był spokojny, jakby nic się nie zdarzyło. - Jeśli nie będziecie maszerowali szybciej, znowu zginie najgorszy i najlepszy! Ilekroć bez rozkazu zwolnicie marsz, będzie ginął kolejny najgorszy i najlepszy żołnierz z oddziału! A teraz ruszamy! Żwawo!

Bojownicy bez słowa protestu sformowali szyk i nie oglądając się na martwe ciała, podjęli pochód. W ich ruchach nie znać było nawet śladu wcześniejszej opieszałości. Najmocniejsi pomagali najslabszym, starając się utrzymać zwarty szyk i tempo marszu. Teraz buntownicza kolumna sprawiała wrażenie sprawnej i zdecydowanej jednostki.

- Jak mogłeś! - Lee podszedł do Ptasznika. - Zabijasz swoich?

- Inaczej wszyscy by zginęli. - Tobacco wzruszył ramionami. - Teraz przynajmniej mają jakąś szansę. Dwóch zabitych w zamian za pięciuset żywych to chyba dobra cena?

- Czemu Mojra znad Grani?...

- Tak uczył mnie Esco. - Ptasznik uśmiechnął się smutno. - Jeśli chcesz mieć nad ludźmi władzę absolutną, zabij najgorszego i najlepszego z nich. Najgorszego, żeby wszyscy bali się być tym ostatnim, a najlepszego, żeby nikt nie czuł się bezkarny... Proste i skuteczne, sam zresztą widziałeś.

- Straszne... - Lee z niedowierzaniem kręcił głową.

- Esco zawsze mawiał, że jeśli chcesz pokonać przeciwnika, nie możesz być mniej okrutny od niego. Zapomniał o tym tylko raz...

\*\*\*

*Chcę napawać się Tobą, Twoim dotykiem. Patrzeć, jak śpisz, i dotykać Ciebie, gdy zechcę... Miau... Jestem niegrzeczna... Miau... Robiłam brzydkie rzeczy... Potrzebuję Cię... Czas jest bezwzględny. Teraz, kiedy dzięki staraniom Carla mogę przeliczać go na tygodnie, płynie jeszcze wolniej... Kochany, udało się! Carlo dostał koncesję na obsługę Eltenery i Garbusa! Kosztowało go to mnóstwo pieniędzy i zachodu, ale opłaciło się! Już niedługo zostaniesz współwłaścicielem Korporacji Handlu... Powiem Ci jeszcze jedną rzecz, ale zachowaj ją dla siebie, bo Carlo nie chce rozgłosu... Wiesz, z kim będziesz pracował?... Ze mną! Carlo chce pozostać całkowicie anonimowy. Czy to nie cudowne? Już niedługo będziemy mogli spotykać się, kiedy zechcemy, a pieniądze nigdy więcej nie zmuszą nas do rozstania! Będziemy bogaci! Trzeba tylko załatwić kilka formalności. A potem... Przyszłość należy do nas, choć już dzisiaj tak bardzo chcę Cię dotknąć... Obudzić się, gdy wstaniesz...*

*Tvoja Lara.*

Wstałem. Wszyscy pozostali leżeli. Melon, dzika kobieta, Marzyciele. Cholerny wywar z Kwiatów Pamięci. Było mi niedobrze. Głowa sprawiała wrażenie bani mogącej lada moment spaść i roztrzaskać się o któryś z pieprzonych grobowców. Żołądek na gwałt próbował wyleźć przez gardło razem z zawartością, a w płucach osiadł muł. Czułem się gorzej niż po flaszcze devilsa.

Świtało. Wbrew logice siedziałem, zamiast leżeć jak wszyscy. Nawet wygrzebane wczoraj zwłoki leżały na wznak. Postanowiłem umrzeć, waląc się na plecy.

*...Kiedy bogowie składali...*

*...W wielkiej ofierze - Człowieka...*

*...Wiosna była oddechem ciepłym...*

*...Lato snem, jesień zapomnieniem...*

W zbrojowni czekał już sierżant Ditlev, dwutygodniowy rekrut Sanchez i kilku najbardziej niepokornych z naszego oddziału: Tobacco Ptasznik, Bethold, Stary Lou, Bert, Skiddy Frank i Sortelli. Ukochane niegrzeczne dzieci Kurta, z których postanowił oczyścić

Wigilię. Śmieci w komplecie...

Nikt nie wyglądał na zachwyconego z wyjątkiem sierżanta Ditleva.

- Ty, Tobacco Ptasznik, skróciłem ci pobyt w lazarecie, bo chyba nie zostawiłbyś kumpla w potrzebie - roześmiał się.

- Pieprzyć, ja nie mam kumpli, a ciebie pytam, sierzancie, czy to rozkaz, bo jak nie...

- Ty dobrze wiesz, Ptasznik, że bez wyraźnej potrzeby nie narażałbym swoich ukochanych dzieci - Ditlev najwyraźniej bawił się doskonale - dlatego wybrałem wszystkich przyjaciół Esco, żeby go wspierali w zadaniu, które pewnie skończy się źle... Pewnie nawet zginiecie...

Patrzyłem na szczupłego wymuskanego sierżanta, zastanawiając się, jak wielki musi być robał, który go gryzie.

- Jak będziesz tyle gadał, to umrzemy zaraz. Z nudów - przerwałem mu dalsze popisy krasomówcze.

Przestał się uśmiechać.

- Esco, jeśli nie zginiesz, to kurwa, zabiję cię własnymi rękami.

- Ależ sierzancie - spojrzałem na niego z przyganą - jak będziesz tak brzydtko mówił, to nie zechce z tobą chodzić żaden przyzwoity chłopiec.

Reszta nie wytrzymała w końcu ciśnienia. Pierwszy parsknął śmiechem Sortelli.

- Zabawne, Esco, zobaczymy, jak poradzisz sobie na Eltenerze.

- Czy ten szczeniak musi lecieć z nami? - Skiddy Frank wskazał głową Sancheza.

- Musi! Musi też wrócić, jeśli oczywiście którykolwiek z was wróci. To rozkaz.

- Nigdzie nie idę! - histerycznie obwieścił Sanchez.

Po raz trzeci w ciągu ostatnich dwunastu godzin zarobił na wyrok śmierci. Był młody, więc i głupi. Przekroczył granicę, za którą można już tylko do upadłego odpowiadać „nie” na każde „tak”. Zaciął się. W takim stanie stanowił największe zagrożenie dla naszej misji. I to właśnie najbardziej rajcowało Ditleva, choć teraz nie wyglądał na rozbawionego. Spokojnie sięgnął do stojaka po drasser. Z pudła leżącego obok wyjął magazynek z nabojami. Nie śpiesząc się, załadował go w prowadnicę i sprawdzwszy, czy zaskoczyła, zwolnił bezpiecznik.

Obserwowałem Sancheza. Popadł w tępy upór i zobojętniał na wszystko, co działo się wokół niego. Może czekał na wybuch wściekłości, na krzyk, na groźby. W dużych oczach dostrzegłem błysk niepokoju, dopiero gdy sierżant podszedł z odbezpieczonym drasserem.

- No, synku, przeżegnaj się - powiedział Ditlev, przykładając mu lufę do skroni.

- Odwal się! - Chłopak nie dawał za wygraną.

- Dobrze. - Palec powędrował na spust.

- Nigdzie nie lecę!

- Nie, zostaniesz tutaj...

Kątem oka widziałem, jak Tobacco Ptasznik wykrzywia usta w ironicznym uśmiechu. On już znał odpowiedź. Ja też ją znałem. I inni. Dlatego żaden z nas nie był zaskoczony, kiedy Sanchez zaczął przeraźliwie wrzeszczeć:

- Zgadzam się! Polecę, ty pieprzony zboczeńcu!

Palec na spuście nie zaprzestał powolnego ruchu.

- Powiedziałem, że lecę! - Teraz chłopak dostał prawdziwej hysterii. - Lecę!

Durny świeży rekrut. Nie potrafił nawet dostrzec, że komora powrotna odrzutu jest wciąż otwarta.

Głuchy stuk niewypału ucieszył tylko Ditleva. Sanchez ze szlochaniem opadł na kolana, a wokół niego rosła mokra plama...

- Ani przez chwilę nie wątpiłem, że polecisz, synku. - Sierżant z zadowoleniem pokiwał głową. - I mam nadzieję, że zanim dotrzecie do Rezerwatu, wyschną ci spodnie.

*...Kiedy rozłożyli Człowieka...*

*...Na ileż podzielili go części?*

*...Jak nazwano jego usta, jak ramiona...*

*...Jak nazwano jego uda, jak stopy?*

Kolejne przebudzenie zniosłem dużo lepiej. Głowa wróciła do normalnych rozmiarów, żołądek przestał domagać się natychmiastowego opróżnienia, a oczy na powrót prawidłowo rozróżniały strony świata. Dzika kobieta rozpiniała mi właśnie ostatnie guziki poplamionej koszuli. Operowała smukłymi palcami z precyzją, przy której łapy moje albo Melona nadawały się jedynie do kruszenia kamieni.

Zbawiciel Kotów klęczał obok z zatroskanym obliczem - co jego topornym rysom nadawało raczej głupawy wygląd.

- Teraz będzie bolało - stwierdził z przekonaniem kogoś, kto opatruje rany nie od dzisiaj. - Odłamek nie naruszył kości, ale wyrwał ci kawał mięsa przy wylocie.

- Niemożliwe, Melon, mam się rozplakać? - Spuchnięty język sprawił, że moje słowa zamieniły się w niezrozumiałe bełkot.

Ostrożnie wydobylem z rękawa lewe ramię, tak że materiał zwisał tylko przyschnięty do rany. Dzika kobieta patrzyła na mnie tymi swoimi błękitnymi oczami. Kiwnąłem głową. Szarpnęła koszulą ze wszystkich sił, rozległ się trzask dartej tkaniny, zawylem niczym kopnięty kundel. Krew ciemną strugą popłynęła wzdłuż boku i wsiąkła w spodnie.

- No, teraz wyczyścimy to świństwo i ładnie zawiniemy. Żelazo! - Melon krzyknął w stronę przycupniętych wokół grobowca Marzycieli. Jeden z nich podniósł się i z wyciągniętym z ogniska rozżarzonym prętem przyczłapał do nas.

- Chyba nie masz zamiaru... - Umilkłem wpatrzony w rozgrzaną do białości sztabę.

- Niestety, Esco, to konieczne - przysięgłbym, że w jego oczach dostrzegłem złośliwą radość - rana jest rozjątrzona od brudu, zaczyna ropieć, trzeba ją wypalić. Czyżbyś się bał? - zapytał z niewinnym uśmiechem.

Nie byłem uradowany wizją Melona przepychającego mi przez ranę rozpalony pręt.

- Niech ona to zrobi - ruchem głowy wskazałem Eolkę.

Zbawiciel oddał narzędzie. Zacisnąłem zęby, obiecując sobie, że Melon nie będzie miał frajdy z mojego bólu. Żar dotknął ramienia, a ja - choć zza bariery kurczowo zwartych zębów nie wydobył się najlżejszy dźwięk - wrzeszczałem w duchu aż do utraty tchu. Śwąd palonego mięsa wywołał falę nudności. Zawirowały grobowce, twarz Melona straciła wyrazistość, błękitne oczy dzikiej kobiety zamieniły się w niewyraźny lekko falujący ocean.

*...Niebył nie istniał wtedy ani był nie istniał...*

*...Nie było też przestrzeni i nieba u góry...*

*...Śmierć nie istniała wówczas ani nieśmiertelność...*

*...Pomiędzy dniem a nocą nie było rozłamu.*

Powoli sens wypowiedzianych słów przebijał się przez kurtynę zamroczenia. Patrzyłem na kobietę o twarzy innej niż wszystkie dotąd widziane. Jej oczy miały kolor oceanu i jak on zmieniały odcień w zależności od padającego światła. A może to nie promienie, a nastrój zmieniał barwę tęczy. Nie wiem... Spojrzałem niżej. Jej smukłe palce przykładały do mojej piersi mięsiste zgniózielone liście. Nie rozumiałem, dlaczego to robi.

- Teraz rana szybko się zagoi. - Słowa przerwały ciszę tak pięknie nasyconą ciepłem dotyku.

Pojedyncze krople żółtego deszczu majestatycznie osiadły na płytach grobowców. Deszcz defoliantów padał z czystego nieba. Ziemia przybrała siarczaną barwę, a mlaskanie padających kropli uwalniało zapach zgnilizny.

Marzyciele z ociąganiem zbierali się od ogniska.

- Panie - przemówił do mnie jeden z nich - enklawa tańczących grobowców okrywa się skorupą defoliantów. O zmierzchu nie odnajdziemy znaku, którego szukasz... Musimy zaraz rozpocząć pracę.

- Do diabła, Esco! - Melon najwyraźniej utracił swój słynny spokój. - Skoro złapiemy tu cudze myśli, to powiedz przynajmniej, po co i czego szukamy... - Defolianty miały tę dziwną



cechę, że ktoś, kto pierwszy raz wdychał ich odór, doznawał uczucia panicznego strachu, strachu bez żadnej realnej przyczyny. Nawet Zbawiciel zaczął odczuwać lęk.

- Szukamy płyty z wrytymi splecionymi węzami - starałem się mówić spokojnie, ale i mnie coraz bardziej irytowało żółte gówno lejące się z cholernie czystego nieba - i płaskonosego leżącego pod tą płytą.

- A wczoraj to nie był on? - Melon rozglądał się wokół, jakby w każdej chwili spodziewał się zagrożenia.

- Widocznie nie, skoro siedzimy tu dalej.

- Kurwa, ile jeszcze tego musimy wypić, żeby trafić na właściwego umrzyka?!

- Wypij to! - pokazałem mu zebraną w kamiennej niecce breję defoliantów.

- Zwariowałeś!

- Nie. Panikujesz, bo to gówno i tak przenika ci przez skórę - starałem się nadać głosowi wiarygodne brzmienie. - Wypijesz i poziomy elektrolitów się wyrównają. Każdy przez to przechodził za pierwszym razem.

- Nigdy!

- Za chwilę dostaniesz szajby ze strachu... - Udawałem, że nie bardzo mnie obchodzi stan psychiczny Melona. - Będziesz próbował schować się pod ziemią jak robak. A potem jeszcze bardziej przestanie ci się podobać.

- Każdy pił to świństwo? - zaczynał pękać.

- Każdy.

- Jak smakuje?

- Jak gówno. - W rzeczywistości nie wiedziałem, jak smakuje, bo nigdy w życiu nie miałem defoliantów w ustach, ale pewnie byłem niedaleki od prawdy.

- Ale gówno! - Zbawiciel wykrzywił się, ze wstrętem ocierając usta z żółtej mazi. - Mówisz, że teraz będzie lepiej? - Upewniał się, patrząc z napięciem w moje oczy.

- Za chwilę strach minie. - Melon potrzebował leku i dostał go. Zwykła sugestia. - A teraz może zajmiemy się poszukiwaniami. Zostało niewiele czasu. - Spojrzałem na Marzycieli. - Szukamy znaku dwóch splecionych węży. Wołajcie mnie, jak coś podobnego znajdziecie...

- Jeśli cokolwiek znajdziecie - bąknął Melon. Chyba faktycznie mu się polepszyło.

Po chwili rozsypani w tyralierę kroczyliśmy po polu zmarłych Ingrid Marie. Z błękitnego nieba lały się strugi żółtego paskudztwa. Ukradkiem spojrzałem za siebie - dzika kobieta jak cień przemykała za naszymi plecami. Marzyciele z uwagą pochylali się nad każdą płytą nie mającą wyraźnych oznaczeń. Czasami pokrzywiona sylwetka klękała, a dłonie o

suchych, sękatych długich palcach dotykaniem próbowały odnaleźć znak. Marzyciele... Dzieci zmarłych... Żyli tylko wśród grobowców i tylko dzięki nim... Tutaj rodzili się, tutaj wyszukiwali trupy swoich przodków, tutaj rozłupywali im czaszki w poszukiwaniu Kwiatów Pamięci, tutaj odurzali się wywarem ich świadomości, tutaj na czas trwania zapomnienia żyli życiem swoich martwych żywicieli - kochali ich kobiety, mieszkali w ich domach, jedli ich potrawy, pili ich wina, bawili się, śmiali, smucili i płakali jak oni - żyli życiem, którego już nie ma...

- Esco - szarpnąłem się, czując na ramieniu dotyk dłoni. - Bez nerwów, to tylko ja - poznałem głos Melona.

- Czego? - Nie byłem przygotowany na czułości.

- To jest twój biznes - zatoczył ręką koło, wskazując grobowce. - Ty go wymyśliłeś, zorganizowałeś i ty będziesz nim z powrotem rządził.

- Działka dla ciebie, Melon, dostaniesz swoje - spojrzałem mu w oczy.

- Nie martwię się o to, myślę tylko, jak bardzo musisz być wkurwiony, że jakaś dziwka odebrała ci to wszystko - splunął pod nogi. - Zabiłbym sukę!

Nawet nie zdążył wypuścić powietrza po zakończonym zdaniu. Złapałem go za gardło, prawą ręką wbijając mu w brzuch phobosa. Nie ryzykował żadnych głupich ruchów. Oszczędzał powietrze.

- Melon... - starałem się panować nad głosem - jeszcze raz powiesz, co ty byś zrobił na moim miejscu, i nie zrobisz już więcej nic... - Dostrzegłem w jego źrenicach ogniki zrozumienia. - Zajmij się wreszcie szukaniem tego cholernego grobu i nie chodź po mnie, bo nie ręczę za siebie! - Na znak, że rozumie, mrugnął powiekami. Zwolniłem uścisk, ruszając wzdłuż szeregu płyt. Złość minęła równie szybko, jak się pojawiła. Właściwie Zbawiciel miał rację, powinienem był zabić sukę.

Jeden z Marzycieli wysunięty przed innych pochylał się właśnie nad kolejnym grobem, ręką ścierając warstwę defoliantów. Z tyłu słyszałem kroki zbliżającej się dzikiej kobiety. Kiedy mnie dogoniła i stanęła tak, że zmieszały się nasze oddechy, dostrzegłem w jej oczach promień światła odbity od powierzchni oceanu, oceanu, który wzbiera powoli, by zrodzić spokojną ciepłą falę. Wyciągnęła dłoń i dotknęła mojego ramienia. Tak delikatnie i czule...

Byłem naprawdę zmęczony i obolały. Odtrąciwszy piśszczotliwe palce, powlokłem się w stronę nerwowo wymachującego Marzyciela.

- Panie! - wychrypiął, ledwie zdążyłem podejść. - Jest znak! - wskazał dolny róg płyty, gdzie wryte były dwa splecione węże.

Gdybym nie widział tatuażu Skiddy'ego Franka, pewnie nigdy bym się nie domyślił, co

przedstawia rysunek. Ale Bethold doskonale oddał owo stworzone w pijanym zamroczeniu dzieło. Szkoda go... Nawet wybierając znak, zadbał, żeby był rozpoznawalny tylko dla wtajemniczonych. Przebiegły Bethold. Że też dał się podejść Łapaczom Ditleva.

Kazałem Marzycielom kopać. Zabrali się do pracy bez chwili ociągania. Ti-Dejanira wisiała już na tyle nisko nad horyzontem, że niewiele czasu zostało do zmierzchu. Deszcz defoliantów przybierał na sile, powoli w żółtej zawieszynie zaczynały ginąć kontury grobowców pola zmarłych. Szybko pod razami prymitywnych oskardów ustąpiła kamienna płyta, już pierwsza warstwa wybranej ziemi odsłoniła prostą, niechlujnie zbitą z kawałków drewna skrzynię. Bethold do pracowitych nigdy nie należał.

Wiekło puściło pod naciskiem metalowych prętów. Skrzynia była pusta. Ogarnął mnie strach...

- Tu nie ma żadnego trupa. - Melon jak zawsze wyciągnął właściwy wniosek.
- Kopcie głębiej - poleciłem Marzycielom.

Kolejne pół metra wybranej ziemi odsłoniło następny pojemnik. Kochany, ostrożny, przewidujący Bethold...

Tym razem widok zwłok płaskonosego nie zdziwił nikogo. Czas zmumifikował ciało do szkieletu obleczonego suchą skórą. Marzyciele pochylili się nad trupem, a ich długie palce sprawnie obmacywały mu czaszkę. Oględziny skończyły się szybko, szybko też padła diagnoza.

- W dobrym stanie, powinien mieć Kwiat Pamięci, kość cała, brak śladów po bielakach.
- Jestem z was zadowolony, teraz przygotujcie wywar - z aprobatą pokiwałem głową.
- Twoja wola, Escobarze.

Już po chwili z porozbijanych płyt powstało proste zadaszanie, pod którym rozpalono ognisko. Za opał posłużyły połamane skrzynie, a płaskie kamienie wokół ognia za siedzenia. Kiedy palenisko rozjaśnił pierwszy płomień, najstarszy, a może tylko wyglądający na najstarszego Marzyciel ukląkł przy głowie płaskonosego. Zza pazuchy wyciągnął skrobaczkę i dotykając nią skroni, wyszeptał wersy modlitwy za zmarłych, modlitwy, która w jego ustach nabierała zupełnie nowego znaczenia...

*...Kiedy rozłożyli Człowieka...*

*...Na ileż podzielili go części?*

Przyłożył płaską muszlę do wierzchu czaszki i gwałtownymi szarpnięciami zaczął odzierać ją z przyschniętej skóry. Pod sprawnymi palcami dzierżącymi narzędzie płyty pergaminowej tkanki odpadały z cichym szelestem, odsłaniając kość.

Drugi z Marzycieli podał mu kamienny ostro zakończony młotek. Precyzyjne uderzenia

kruszyły czaszkę wzdłuż linii zeszkrobanej skóry, tworząc otwory układające się w owal. Końcem trzonka, który był zakrzywiony w kształt pazura, Marzyciel podważył kość niczym wieko puszki.

Melon pochylił się z ciekawością. Nikt mu nie powiedział, że po otwarciu czaszki przez pierwsze pięć sekund należy wstrzymać oddech. Patrzyłem z uśmiechem, jak nagle zachłystuje się ciężkim od smrodu powietrzem, jak jego twarz nabiera koloru leżącego przed nim umarlaka.

Marzyciel wpatrywał się jak zahipnotyzowany w bordowy kielich mózgu, rozkładający się na podobieństwo kwiatu i odsłaniający wysunięte jakby na nóżce mięsiste duże nasienie o sercowatym kształcie.

Spojrzał na mnie, oczekując przyzwolenia. Skinieniem dałem znać, że może wyjąć Kwiat i wrzucić do naczynia wiszącego nad ogniem.

\*\*\*

Dwan Deborah Keene - Pierwszy Dekoder Przypadku Kongregacji Białego Oficjum. Ciemne lochy... Krople wilgoci spływające po kamiennych ścianach. Odór gnijących ciał tych, którzy zapomnieli już, jak smakuje łyk powietrza z otwartej przestrzeni. Śmierć przyczajona w czarnych zakamarkach krużganków. Tak wszechobecna, taka bliska, tak namacalna. Zawsze tam, gdzie życie... Od zawsze... Do nigdy...

Dwan wiedział, kiedy przyjdzie... Dzisiaj... To stanie się dzisiaj. Wracala wiedza zdobyta w Pankreatorium, jak mantra brzmiały słowa Klarownej Reguły, nieubłagana stawała się Teoria Pragenezy... Śmierć, która uzurpuje sobie prawo tworzenia życia...

*...A jeśli przyjdzie taka chwila, że będziesz musiał umrzeć?*

*A jeśli ta chwila nadejdzie już dzisiaj?...*

Nikt nie zjawi się z pomocą, nie zgasną słońca, niebo nie spadnie na ziemię, nie znikną gwiazdy. Stanie się tylko to, co musi się stać. Nic więcej. Nic mniej. Dzisiaj...

Wiedza, która nie czyni dobra... Mądrość nie dająca nadziei... Prawda bez odpowiedzi...

Przeszłość, która nie chce odejść...

Nazwali go wariatem, choć sami byli głupcami. Setki, tysiące, miliony idiotów krzychało, że czas wreszcie położyć kres imaginacjom chorego psychicznie Pierwszego Dekodera Przypadku, członka Kongregacji Białego Oficjum.

Ósmego dnia miesiąca Ereszan, kiedy wylewy Mar-del-Platta wypychają rzekę poza wyznaczone biegiem Porządku Rzeczy koryto, w porannym blasku Ti-Dejaniry wysłannicy Szarej Świty stanęli we wrotach Pankreatorium... w jego wrotach... Nigdy wcześniej nie wolno im było tutaj zachodzić, ale przyszli, z twarzami obleczonymi w pozory zrozumienia,

pewni niczym we własnym domu, obwieścili wyrok gminu: „Nie ma prawdy absolutnej dla Eltenery, a natura umysłu twojego niech nie zaburza Porządku Rzeczy”...

Roześmiał się. Najpierw chciał tłumaczyć, przekonywać, dowodzić, ale zamiast dobyć słów, plunął im tylko w twarze pogardliwym śmiechem. Nie wyglądali na zadowolonych, z całą pewnością nie... Oblicza o niskich topornych czołach, skudłone włosy, które tłustymi strąkami opadały na oczy bezdennie puste, mięsiste usta wykrzywione w grymasie odrazy pomieszanej ze strachem - oto Szara Świta. Czy mógł im wytłumaczyć Teorię Pragenezy, Klarowną Regułę? Cholera, nie mógł! Więc on, Dwan Deborah Keene, śmiał się z nich, z samego siebie, z całej pieprzonej Eltenery nieświadomej ani swojej przeszłości, ani przyszłości, ze świata, z głupoty dającej Szarej Świcie poczucie spokoju...

Ogarnęło go zmęczenie, jakby nagle lata zmagania z tajemnicą Pragenezy zostały skreślone śmieszną dezaprobatą gawiedzi. Przeciągnął dłonią po twarzy, na skórze wyczuł głębokie bruzdy zmarszczek. Nie chciał podchodzić do tafli polerowanego metalu służącej za lustro... Nie, nie chciał zobaczyć swojego odbicia.

Z namaszczeniem skrzesał ogień, a on chciwie skoczył do usypanego stosu papierów. Arkusze w jednej chwili rozgorzały oślepiającym blaskiem. Płomień przywarł do kartek i umarł wśród kupki czarnych, zetlałych arkuszy.

- Taki będzie nasz koniec - wyszeptał Dwan Deborah Keene, nagarniając dłonią popiołu i rozcierając go sobie na policzkach.

Była noc. Kazali mu odejść, więc odszedł... Ale zanim jego sylwetka roztopiła się w mroku, za progiem Pankreatorium zabił pierwszego potomka obywateli planety Ziemia... Tak narodził się bunt, który musiał się narodzić! A on, Dwan Deborah Keene, Łazarz, jedyny znał odpowiedź na pytanie „Dlaczego?”... Poznał i zrozumiał Klarowną Regułę, nikt inny nie posiadał tej wiedzy. Dlatego kłamał, obiecując wolność dzięki wojnie, której nie można było wygrać...

Dzisiaj więc nadejdzie ta chwila, kiedy będzie musiał umrzeć...

Nadejdzie...

Skrzypnęły zawiasy i ciężkie drewniane wrota rozchyliły się, wpuszczając do lochu blask płonących pochodni. Kiedy wzrok przyzwyczaił się do światła, Dwan Deborah Keene ujrzał stojącego w progu najdostojniejszego z Białego Oficjum.

Rodryg Ort de Saintre przez chwilę patrzył na opartego o kamienną ścianę chudego, wycieńczonego mężczyznę, po czym głosem niemal łagodnym wyszeptał:

- Przyszedłem cię zabić, Sasza...

Z zaciśniętego gardła padła równie cicha odpowiedź:

- Wiem, Carlo... Wiem...

*...A jeśli przyjdzie taka chwila, że będziesz musiał umrzeć?*

*A jeśli taka chwila przyjdzie właśnie teraz?...*

\*\*\*

*...Czy zobaczysz kamienny monument, z którego wyrasta twoje przeznaczenie?*

*Czy go zobaczysz?...*

Patrzyłem na Marzycieli szykujących się do spoczynku. Deszcz defoliantów ustał i teraz ostatnie promienie gasnącej za horyzontem Ti-Dejaniry barwiły purpurą dzielnicę Tańczących Grobowców. Powoli siarczana maź zaczynała parować, tworząc żółtą nierealną mgłę ożywianą wieczornym podmuchem wiatru. Nadchodziła krótka noc, na firmamencie odbitym blaskiem jaśniał złoto Garbus. Starłem z oczu resztki wizji życia płaskonosego. Smutne, szare, pełne strachu i upokorzenia. Nawet pierwsza w jego egzystencji szansa na nagrodę okazała się wyrokiem śmierci. Dobrze przynajmniej, że Bethold załatwił to bez zbędnego bólu. Szybko i sprawnie.

Czułem się dziwnie. Nie wiem, czy za sprawą wywaru z Kwiatu Pamięci, ale miałem dojmujące wrażenie przemijania. Nigdy wcześniej wizje wywołane naparem - a zawsze przecież kończyły się śmiercią - nie wprowadziły mnie w aż tak parszywy nastrój. Niemal fizycznie czułem umieranie...

*...Czy ujrzysz senny krajobraz, gdzie krople płynnego światła gasną w lazurowym oceanie?...*

*Czy senny ten krajobraz ujrzysz?...*

Melon spał wygodnie rozwalony na płycie grobu sąsiadującego z rozkopaną mogiłą. Uśmiechał się przez sen. Ciekaw byłem, czy śni mu się kolejny kot wysyłany do raju czy może wciąż liczy ołowiane żołnierzyki w swoim pokoju. Cokolwiek to było, sprawiało, że kanciasta, toporna twarz Melona przypominała oblicze dziecka - szczęśliwego dziecka. Dzika kobieta ułożyła się przy dogasającym ognisku.

Za wzniesieniem otaczającym dzielnicę grobowców zgasł ostatni promień Ti-Dejaniry. W poświęceni Garbusa cienie obelisków przypominały korytarz. Czułem, jakby na jego końcu czekała śmierć. Dlaczego... Nie było żadnego zagrożenia, cisza aż dzwoniła w uszach. Ktoś miał umrzeć?...

*...A jeśli przyjdzie taka chwila?...*

*...A jeśli taka chwila przyjdzie?...*

Sięgnąłem do plecaka po butelkę szkockiej, żeby zabić niepokój. Pierwszy łyk poza pieczeniem w żołądku nie przyniósł żadnego efektu. Drugi rozlał się po ciele ciepłą falą, ale

nie była to ulga. Opróżniłem butelkę prawie do połowy. Poczułem się trochę lepiej, strach minął, a jego miejsce zajął smutek. Nie wiem, skąd w mojej głowie rodziły się słowa... Klarowna Reguła... Teoria Pragenezy... Wiem, że muszę umrzeć... Żebyś ty znalazł odpowiedź... Dziwne słowa, które nie wypływały z żadnych ust... Nie rozumiałem... Kolejny łyk Egbertsa... w moim mózgu nagle wybuchł krzyk agonii i zgasł równie gwałtownie, jak powstał... I wróciła cisza... Spokój... I Tańczące Grobowce, gdzie zmarli rodzą Kwiaty Pamięci...

Odstawiłem butelkę. Uczucie lęku minęło. Spojrzałem na swoje dłonie... Drżały... Podmuch zimnego wiatru nadciągnął od pustyni. Nasunąłem na ramiona derkę. Jutro trzeba ruszyć po Żrenice Kurlemu. Miałem nadzieję, że wciąż jeszcze leżą tam, gdzie zakopał je płaskonosy. Wróciłem pamięcią do jego wspomnień, tych poprzedzających śmierć. Bethold skorzystał z okazji i zostawił mi w nich... Testament? Prośbę? Ostatnie życzenie? Nie wiedziałem, jak nazwać to, czego Bethold oczekiwał ode mnie. Spróbowałem wyobrazić sobie, jak stał przed niczego nie rozumiejącym płaskonosym i spowiadał się bezmyślnej twarzy i pustym oczom.

- Wiesz - mówił - jeśli kiedyś uda ci się odnaleźć tego płaskonosego, chciałbym, żebyś coś dla mnie zrobił... Zakładam, że wtedy nie będę już żył... Nie mam nikogo innego, Escobar, kogo mógłbym poprosić. Jesteś najlepszy z nas, jeśli ktoś przeżyje, to tylko ty. Aha, uważaj na Sancheza, ten głupi gówniarz nienawidzi nas tak bardzo, że gotów jest zdradzić. Wiem też na pewno, że Ditlev skumał się z Laromną. Pilnuj się. No dobrze, nie o tym tak naprawdę chciałem ci opowiedzieć. Cholera, trudno zacząć, wiem, że nie cierpisz takich bzdur. W dodatku ten tubylec gapi się na mnie z uśmiechem i nie wie, że za chwilę go zabiję. To śmieszne, ale wcale nie chcę tego... Gdyby nie te przeklęte Żrenice Kurlemu. Okay, powiem to... Mam dość zabijania! Widzę twoją minę, jak to słyszysz... Bethold się skończył, stracił jaja, dał się rozmiękczyć. Szkoda Betholda. Jeśli wyrwę się stąd, chociaż wątpię, bo dookoła mam wojska Kongregacji, to nigdy więcej nie wrócę do Rezerwatu... Mogę być na Garbusie, mogę spędzić resztę życia wśród takich samych mętów jak ja, mogę zdechnąć z głodu, ale na Eltenery nie wrócę. Nie dlatego, że się boję, znasz mnie, wiesz, że nie o to chodzi. Cholera, ile lat jestem z tobą? Cała służba w Wigilii i całe pieprzone lata twojego przemytniczego imperium. Ilu zabiliśmy razem płaskonosych, Yeomenów, tych z Krainy Uschniętych Drzew i tych znad Grani, Eoli, Niskich Ludzi, Dogonów, Gedytów, plemieńców ze Stref Mirażu, ilu mieszkańców Rezerwatu zabiliśmy tylko dlatego, że stanęli na naszej drodze... Ilu? Kurwa, nie potrafię policzyć. Wiem, Escobar, że ciebie mało to interesuje, ale spróbuj kiedyś policzyć, ilu tubylców z Eltenery zabiłeś... Ja nie umiem... A kiedy pod Sondorrą

dowiedzieliśmy się, kim są naprawdę... Nie wiem, ale coś wtedy się ze mną stało... Nie tylko ze mną... Skiddy Frank, Stary Lou i Sanchez, oni też... Nawet Skiddy, nawet ten pierdolony czubek zaczął się modlić do Pana Porządku Rzeczy i prosić o przebaczenie. Skiddy Frank, dasz wiarę? A ja zastanawiałem się, po co ich zabijałem... Pieniądze? Tak, ale wiesz, po co mi były te pieniądze? Nigdy nikomu o tym nie mówiłem. Na Ziemi należałem do biedoty, niby nic, mnóstwo innych też do niej należało, ale ja chciałem tej jednej, jedynej rzeczy, o której nie wolno mi było nawet marzyć... Wiesz, o czym mówię? To takie durne... Coroczne misterium „Mój Głos”... Pewnie pękasz ze śmiechu... Ale ja pragnąłem tego tak bardzo, że dałbym sobie obciąć ręce i nogi. Cały rok czekałem tylko na ten program, nie było ważniejszej rzeczy na świecie. Z zapartym tchem siedziałem przed projektorem holograficznym i patrzyłem, nie, chłonałem każdy obraz, każdy szczegół, moje serce biło w takt oglądanych kadrów... Kurwa, jak ja chciałem być jednym z nich... Choćby na chwilę... Patrzyłem, jak na plac Konstytucji zjeżdżają ludzie bogaci... Pięknie ubrani... Z pięknymi kobietami... Wysiadają... Idą... Jak błyszczą klejnoty na smukłych szyjach dam... Jak doskonale na mężczyznach leżą garnitury uszyte przez najlepszych krawców. Pożerałem ich wzrokiem... jak spokojnie, niedbałym krokiem podchodzą do urny, jak niby mimochodem wrzucają do kryształowej kuli swój głos: trzy-, pięcio- albo siedmiowyrazowe zdanie... Ludzie bogaci... Elita świata... Bogowie... Jezu, jak ja pragnąłem chociaż raz pokonać tę drogę, chociaż raz być tam, chociaż raz wrzucić do urny swoje zdanie... Choćby tylko najkrótsze, to najtańsze... Najtańsze... Kiedyś wyliczyłem, ile lat musiałbym na nie pracować. Jako wykwalifikowany technik systemów teleenergetycznych. Bez jedzenia... Bez opłat serwisowych za dom... Wiesz ile? Trzy tysiące lat. Po tysiąc lat na każdy wyraz. Mogłem tylko patrzeć, jak ci bogacze bez mrugnięcia powieką wrzucają do urny swoje zdanie, a potem słuchać, jak lektor odczytuje je dla całego świata... Dla mnie, szaraczka... Dla milionów ludzi takich jak ja... Bogowie przemawiali do nas z wyżyn swojego majestatu... Jeszcze dzisiaj mógłbym wyrecytować z pamięci wszystkie te zdania... Pewnie cię to bawi, Esco, ale ja właśnie dlatego podpisałem kontrakt z Wigilią. Żeby uciec z Ziemi, żeby więcej nie umierać nocą z bezsilnej wściekłości, żeby nie zwariować do końca... A kiedy ty pojawiłeś się z ofertą zrobienia wielkich pieniędzy, tak wielkich, że nie umiałem zrozumieć, ile to zer, nie zastanawiałem się ani sekundy. Nierealne marzenie mogło się spełnić. Dlatego zabijałem... Każda głowa z Kwiatem Pamięci była tylko krokiem przybliżającym mnie do upragnionego celu... Zabijałem, żeby spełnić swoje marzenie... Dopiero teraz to widzę... Tyle istnień za jedno marzenie... Dlatego muszę cię prosić o przysługę... Inaczej to wszystko, co zrobiłem, będzie jeszcze bardziej nonsensownym szaleństwem... Wyliczyłem, że mój udział



w zyskach z Kwiatów Pamięci wystarczy na kupienie trzywyrazowego zdania. Mogę zapłacić za prawo wrzucenia do urny swojego zdania! Ja, Bethold, biedak, zwykły technik, szaraczek! Mogę kupić zdanie! A ono zostanie odczytane całemu światu! Moje zdanie! Escobar, ja wiem, że głównie cię to obchodzi, ale byłem zawsze lojalny. Proszę... Zrób coś, co ja bym dla ciebie na pewno zrobił. Wykup mi to zdanie... Za całą moją działkę... Błagam... Ty wiesz, o jakie trzy wyrazy mi chodzi... Zawsze je powtarzałem... Zawsze wtedy, kiedy zabijałem tubylca z Rezerwatu... Więc wiesz...

Wiedziałem... Pociągnąłem solidny haust szkockiej. Wiedziałem, o jakie zdanie chodziło Betholdowi.

Chciałem się roześmiać. Ale nie mogłem. Odkrywanie nowych szaleńców jakoś przestało być zabawne.

\*\*\*

Stroiciel Efram stał przed kryształową kulą wypełnioną szarymi zwojami mózgu Woorga. Patrzył, jak pulsują i wiją się niczym robale, które niepokoi blask ksenonowych lamp. Obok Stroiciela stał jego nieodłączny kompan - rotron - teraz mianowany przyjacielem.

Stroiciel wyciągnął rękę i pogłaskał gładką powierzchnię kryształowej kuli.

- A zatem nowa dusza znalazła drogę do czyśćca? - Niemal pieszczotliwie dotykał szkła. - Powitajmy Łazarza Saszę Stiepanowa, który przybył tu jako Pierwszy Dekoder Przypadku Kongregacji Białego Oficjum, powitajmy jego świadomość zatrzymaną w mózgu Woorga do czasu, aż Pan Porządku Rzeczy zdecyduje, czy Łazarz może wrócić do ziemskiego ciała... Witaj, przybyszu, w moim czyścicu. Twoje kupione życie na Eltenerze dobiegło końca. Witaj, Saszo Stiepanowie, dostąpiłeś zaszczytu uczestniczenia w planie Pana Porządku Rzeczy...

Efram uśmiechnął się do szarych zwojów, które na czas pieszczoty jego palców uspokoiły swój ospały ruch, a potem odwracając głowę do rotrona, wyszeptał radośnie:

- No, mój stalowy przyjacielu, czas dokończyć pomieszczenia dla Aidy. Musimy jeszcze zrobić pokój dziecienny, a twój projekt kołyski wymaga paru istotnych poprawek...

Poklepał pancierz rotrona i ruszył w stronę wyjścia z sali strojenia. Robot jak wierny pies podążył za Eframem.

\*\*\*

Trzech smukłych młodzieńców pieściło jedną z nałożnic Mali. Dwie nagie kobiety syciły się rosnącym uniesieniem dziewczyny. Ich oczy zachłannie chłonęły spektakl rozkoszy, ich rozchylone nabrzmiałe usta co chwilę zwilżał język, ich nozdrza drgały, wyczuwając zapach podniecenia, uszy wychwytywały nawet najlżejszy jęk, twarze ożywały

w takt coraz gwałtowniejszych ruchów nałożnicy.

Kobiety dotykały się nawzajem delikatnymi muśnięciami dłoni, błędząc po jędrnych, twardych piersiach, brzuchach, udach rozchylonych w oczekiwaniu pieszczoty. Pocałunki subtelne niczym dotyk motyli skrzydeł wywoływały ciche jęki. Rósł spazmatyczny krzyk dziewczyny, potężniała melodia ekstazy. Uwolnione falą podniecenia ciała przylgnęły do siebie, ocierając się w gwałtownym tańcu rozkoszy.

Tam, gdzie gruba kotara zasłaniała drzwi wejściowe, za lekko uchyloną materią stał Rodryg Ort de Saintre. Patrzył na miłosne uściski kobiet, nie czyniąc nic, co mogłoby zdradzić jego obecność. Twarz starca wyrażała coś innego niż podniecenie wypełniające komnatę. Bezsilnie zwieszony kąciki ust, zapadnięte policzki i oczy głęboko schowane pod nawisem krzaczastych brwi wskazywały raczej na smutek.

- I jak, Carlo, podoba się?... - zabrzmiał głos Larommy.

Starzec wyszedł zza zasłony. Na pomarszczonej twarzy nie było ani zdziwienia, ani zaskoczenia, ani nawet speszenia. Ruchem dłoni odprawił młodzieńców i nałożnicę Mali.

- Jak za dawnych czasów, nieprawdaż, Carlo? Jak za dobrych czasów na Ziemi. - Piękne usta kobiety wygięły się w ironicznym uśmiechu.

- Tak, Larommo, jak za dobrych czasów na Ziemi. - Rodryg nie podjął wyzwania.

- Chcesz dołączyć do nas? - wskazała łożo. - Widząca Antekte nie będzie miała nic przeciwko, prawda, kochanie? - Palcami przejechała po policzku kobiety.

- Ależ skąd, słyszałam, że twoja wyobraźnia, panie, nie ma sobie równych. - Jej dłoń wśliznęła się między uda Larommy.

Twarz starca straciła wyraz smutnej rezygnacji. W bladoniebieskich oczach odrodził się zimny blask.

- Gwarantuję ci, że tubylcy ze zbuntowanych oddziałów mają nieporównywalnie większą wyobraźnię niż ja - wycedził przez zaciśnięte zęby. - Kiedy wkroczą do Zamku Purpurowego Rogu, na pewno chętnie zajmą się Widzącą Kongregacją Białego Oficjum, a jeszcze chętniej Laromną, której wdzięki sławi na tej planecie nawet najbiedniejszy płaskonosy.

- Czyżby wspomniały Rodryg Ort de Saintre stracił pewność siebie? - Laromma błędziła dłonią po piersiach Antekte. - Przestraszył go Esco i garstka zbuntowanych desperados?

- Wiele się zmieniło podczas waszej zabawy - uśmiechnął się złośliwie. - Właściwie wszystko...

- Taaak? - Językiem musnęła nabrzmiałe sutki Widzącej. - Czy już nie jesteś Pierwszym decyzerem Białego Oficjum, czy straciłeś swoją niezwykłą armię, czy twoje słowo

przystało decydować o życiu i śmierci na tej planecie?

Kongregard ciężko usiadł na sofie. Chwilę przyglądał się kobietom, ważąc odpowiedź.

- Jeszcze nie, ale wieści od Donosicieli mogą oznaczać koniec naszego imperium, śliczna. - Jego śmiech przeszedł w suchotniczy kaszel.

Laromma uniosła się na łokciu, przerywając pieszczoty.

- Powiesz, o co chodzi, czy Widząca ma powrócić z fusów? - w jej głosie nie było już śladu poprzednich ospałych, miękkich tonów. - Carlo, mów, do diabła, w czym rzecz.

- Całkiem straciliśmy Olimp. - Rodryg z satysfakcją obserwował, jaki efekt wywołują jego słowa. - Oddziały Uttu Uttugena zbuntowały się. Pod dowództwem Judy z Rotterdamu idą na Zamek Purpurowego Rogu. Ten Juda to nie kto inny, jak człowiek Korporacji przysłany do zlikwidowania Stroiciela Eframa i przejęcia Olimpu. Teraz jest naszym wrogiem, ma doborowe jednostki do dyspozycji. Część wojska zostawił do obrony statku. Podobno na wieść, że nie ma już Woorga, a Pan Porządku Rzeczy jest jedynym bogiem, nasze oddziały poddają się bez walki i przechodzą na jego stronę. - Umilkł dla zaczerpnięcia oddechu, ale już po chwili dalej wyrzucał słowa. - Wieści od Donosicieli mówią, że część wojsk Lee Harpera opuściła twierdzę Uttu, pojawił się też Escobar... - Na dźwięk tego imienia Laromma podniosła się z łoża i narzuciła na siebie tunikę. Przygryzła usta, po nabrzmiałej czerwonej wardze popłynęła kropla krwi. - W osadzie Ingrid Marie zdziesiątkował doborowy oddział Umberta elPassy i słuch po nim zaginął. Wygląda na to, że szuka Żrenic Kurlemu.

- To tylko legenda! - wykrzyczała Laromma. - Durne gadanie kapłanów Muni! Bzdura! Dwa kryształy, które są żrenicami boga! Otwierają wrota do innego świata! Za ich sprawą ma dokonać się wielkie przeistoczenie! Carlo! - Zbliżyła twarz do twarzy starca tak, że jej oddech rozwiewał mu kępki siwych włosów. - Wierzysz w te brednie?! Ty, człowiek, który na Ziemi należy do elity?! Cholera, spędziłeś w Rezerwacie ponad trzydzieści lat... Widziałeś kiedyś Pana Porządku Rzeczy?!

- Inni widzieli... - wyszeptał.

- Naprawdę się zestarzałeś! - krzyczała, jakby pragnęła zagłuszyć własne obawy. - Za długo tu jesteś. Ty chyba stałeś się jednym z nich.

- Sama szukałaś Żrenic Kurlemu.

- Bo wiedziałam, jak tobie na nich zależy! - Dłonią zwiniętą w pięść dotknęła piersi Rodryga. - I jeśli opisy tych kryształów są prawdziwe, to na Ziemi mają one niewyobrażalną wartość. Materialną! Pieniądze! Pamiętasz jeszcze, po co to robimy?! Pieniądze i władza!

- Nie, śliczna... Ty robisz to dla pieniędzy i władzy... - Ort de Saintre uśmiechnął się smutno. - Ja przedłużam sobie życie... Zapomniałaś, że na Ziemi już bym był martwy?

- Carlo, stajesz się sentymentalny - popatrzyła na niego z lekceważeniem. - Czy mógłbyś dalej żyć, gdyby nie pieniądze? Czy tutaj nie jesteś bogiem dla tubylców, czy nie masz władzy absolutnej nad ich istnieniem? Nie bądź żaloszny, altruista się znalazł... - zaczęła zbierać swoje rzeczy z posadzki. - Upajałeś się potęgą, mordowałeś bez cienia strachu, skinienie twojego palca znaczyło dla nich więcej niż wyrok Pana Porządku Rzeczy. A wszystko dzięki pieniądзом, które miałeś na Ziemi. Więc nie chrzań o przedłużaniu życia... Jesteśmy nierozzerwalnie związani tylko pieniędzmi i władzą!

- Moglibyście skończyć tę durną kłótnię? - Widząca Antekte wyglądała na przestraszoną. - Skoro mózg Woorga jest poza kontrolą, czy to znaczy, że jeśli tu umrzemy, nasza świadomość nie wróci do ciała na Ziemi?

- Tak, piękna, umrzesz na Eltenerze jako Widząca Antekte i nigdy nie obudzisz się na Ziemi jako Maria Sulsberry... - Rodryg ze złośliwą satysfakcją obserwował, jak twarz kobiety staje się biała niczym kreda.

- Dowodzisz niezwyciężoną armią. - Laromma dopinała ostatnie klamry zdobnego kubraka. - Będziesz tu siedział jak szczur zapędzony w pułapkę czy wyruszysz odbić i przejąć Olimp? Zdaje się, że to twoja ostatnia szansa.

- Rozkazy już wydane. - Starzec patrzył na współniczkę z zamyślonym uśmiechem, jakby wiedział więcej, niż mówił. - Wyruszam na czele wojsk o świcie. W zamku zostaje tylko załoga. Właśnie dlatego śmiałem przerwać waszą uroczą zabawę...

- Świetnie, Carlo, zatem pozostaje mi tylko wrócić na Garbusa i czekać na wieść o twoim kolejnym wspaniałym zwycięstwie. - Laromma odwróciła się w stronę wyjścia, ale słowa decyzerza osadziły ją w miejscu.

- Nigdzie nie polecisz!

- A to dlaczego? - Zawróciła, a w jej oczach pojawiły się wściekłe ogniki. - Nie jestem Łazarzem! Kto mnie tu zatrzyma?! Ty, Carlo?

- Już cię zatrzymali! - Oblicze starca promieniało radością. - W czasie kiedy pieściłaś Widzącą - nie odmówił sobie spojrzenia taksującego Antekte - gościłem naczelnika Klanu Żółtych Braci, Mustafę. Miał bardzo złe wieści, ale przecież tak nie lubisz, jak ci się przerywa rozkoszne igraszki.

- Do rzeczy, Carlo, nie przyszedłeś tu chyba rozprawiać o moich seksualnych kapryсах!

- Nie mamy tyle czasu - roześmiał się. - Decyzją Departamentu Sprawiedliwości, przy poparciu udzielonym przez Areopag Starych Kontynentów, zostały zmienione kody osłony wokół Eltenery...

- Co?!

- Żaden statek nie wystartuje z planety ani na niej nie wyląduje! - wycedził Rodryg. - Silvana zostanie na Eltenerze! Prawo handlu i swobodnej wymiany z Rezerwatem zostało odebrane naszej Korporacji. Za tobą rozesłano list gończy, a skoro sprawy zaszły tak daleko...

- No dokończ!

- Nie sądzę, żeby Korpus Bezpieczeństwa w rozkazach przy słowie: „dostarczyć” miał dopisek: „żywą”... No cóż, śliczna, jak za dobrych czasów, znów jesteśmy skazani na siebie...

- A zarząd?

- Ostatnią rzeczą, jaką zrobili, było przesłanie na Silvanę kodów strojenia Woorga. Od tej chwili słuch o nich zaginął. - Rodryg Ort de Saintre dźwignął się z sofy. - Na mój rozum nigdy więcej o nich nie usłyszymy.

- Kurwa mać! - Twarz Larommy nie była już piękna, przypominała pysk wściekłego psa gotowego kąsać wszystkich dookoła. - Carlo, przecież masz tylu wpływowych przyjaciół. A politycy, których trzymamy w kieszeni?

- Skoro Areopag zgodził się na odebranie Korporacji koncesji, to znaczy, że złożono mu lepszą, niemożliwą do odrzucenia propozycję. O Ziemi na razie możemy zapomnieć.

- Musi być jakieś wyjście!

- Uspokój się. - Rodryg oparł dłonie na jej ramionach. - Jest jedno rozwiązanie, które pozwoli nam przetrwać.

- Jakie?... - Głos Larommy był niemal błagalny.

- Trzeba odbić Olimp i przestroić Woorga. - Decyzer mówił z przekonaniem, jakie zawsze towarzyszyło najdostojniejszemu z Kongregardów. - Jeżeli uwolnimy świadomość prezydenta, Areopag zajmie się nim, a nie Korporacją. Każdy z Łazarzy, wracając na Ziemię, stanie się naszym sprzymierzeńcem. A do czasu aż sprawa przyschnie, będziemy mogli żyć w Rezerwacie bezkarnie, zmieniając ciała tak często, jak tylko nam się zachce... Będziemy nieśmiertelni... - Uśmiechnął się do własnej wizji. - Nikt nas nie znajdzie...

Padło nieuchronne pytanie:

- Co robimy?

- Cieszy mnie, śliczna, że znowu zaczęłaś mówić: my... - szepnął. - Rano wyruszamy na czele armii Kongregacji Białego Oficjum na wielką bitwę. Widząca Antekte jak zawsze przepowie naszym wojskom wspaniałe zwycięstwo i wielkie bogactwa dla najodważniejszych żołnierzy.

- Co powinnam zabrać?

- Wszystko, co przyda ci się w polu. Będziemy walczyć, więc nałóżnice przekaz

Widzącej, która zostanie, by podtrzymywać morale obrońców Zamku Purpurowego Rogu.

\*\*\*

W oddali widać było biedne chaty osady Irar. Przylepione do skraju Wielkiego Rowu Tektonicznego niczym strupy wokół otwartej rany zdawały się jeszcze drzemać w porannych promieniach Ti-Dejaniry. Jedyne dym ulatujący przez dziury w dachach dawał świadectwo budzącego się życia. Na prawo od zabudowań rozciągały się pola uprawne płaskórki - podzielone na kawałki nie większe niż dziesięć na dziesięć stóp wyglądały niczym szachownica: jedne zieleniące się młodymi pędami, inne żółte od kwiatów, jeszcze inne brązowe ziarnami gotowymi do zbioru.

Właśnie taki obraz zapamiętałem ze wspomnień płaskonosego. To była jego rodzinna wioska, to tutaj ukrył Źrenice Kurlemu. Najwyraźniej czas oszczędził to miejsce. Jedyne różnica pomiędzy obrazem z przeszłości a tym, co dzisiaj rzucało się w oczy, była świątynia kapłanów Muni. Wróciłem do wizji wywołanej Kwiatem Pamięci, ale nie odnalazłem w niej ani śladu budowli. Dziwne, że w miejscu tak odludnym, wśród zaledwie kilku chat, powstał dom Pana Porządku Rzeczy... w dodatku świetny niczym w znacznych grodach.

Melon stał obok, spokojnie czekając, aż dam znak do dalszego marszu. Nie wiem, dlaczego wciąż zwlekałem. W samej osadzie nie dostrzegłem niczego, co mogłoby stanowić zagrożenie. Może to ta świątynia... Nie pasowała do otoczenia.

Za moimi plecami trzasnęła gałązka. Odwróciłem się do przestraszonej dzikiej kobiety. Miała minę, jakby chciała uciec, więc przywołałem ją gestem. Podeszła ostrożnie, pełna obaw. Uspokoilem Eolkę przyjaznym uśmiechem. Pomyślałem, że skoro i tak pęta się za nami diabli wiedzą dlaczego, niech się przynajmniej przyda.

Używając gestów, wyjaśniłem dziewczynie, czego od niej oczekuję. Patrząc w ogromne błękitne oczy, nie do końca byłem pewien, czy wszystko pojęła. Melon oglądając moje przedstawienie, bawił się doskonale. Pokazałem mu najbliższe wzgórze.

- Ustawisz się tam z emiterem - położyłem na ziemi swój plecak. - Jeśli na jej krzyk ze świątyni wyjdzie co najmniej dwóch Kongregardów, rozwalisz całą budowlę. Ja będę z drugiej strony. Jak usłyszysz phobosa, wiązką termiczną podpal całą osadę. Jasne?

- Jak wszystko u ciebie, Esco - z wprawą zaczął składać części emitera.

- Wypuścisz kobietę, jak dam ci znak.

- A jeśli nic się nie stanie? - Dokręcił do emitera laserowy celownik.

- Wtedy wejdę do osady, a ty będziesz mnie osłaniał. - Też sprawdziłem, czy wszystkie elementy phobosa działają sprawnie. - Jeśli zobaczymy choćby cień Kongregarda, rozwalimy wszystkich.

- To jest konkretny cel - rozpromienił się. - Rozwalić wszystkich!

Udałem się w stronę widniejących w oddali skałek. Idealny punkt do obserwacji. Miałem tylko nadzieję, że Melon zrozumiał, w jakich okolicznościach obowiązuje hasło: rozwalić wszystkich.

Kiedy ułożyłem się wygodnie między dwoma głazami, machnąłem ręką, że Eolka ma iść do osady. Dziewczyna ruszyła, rozglądając się ze strachem, jakby nie wiedziała, kogo ma się bać bardziej - nas czy ewentualnego zagrożenia czekającego w osadzie. Ale stosowała się do moich poleceń. W połowie drogi rzuciła się biegiem, krzycząc przeraźliwie.

Skoncentrowałem spojrzenie na świątyni i otaczających ją chatach. Krzyk Eolki musiał już tam dotrzeć. Czekałem na pojawienie się płaskonosych albo Kongregardów. Wolno wodziłem krzyżem nitek celowniczych po zakrytych derkami wejściach, starając się oddychać spokojnie.

Na początek pojawiły się piesiary, ujadaniem zwiastując przybycie obcego. Ich jazgotanie wywabило z chat płaskonosych. Wybiegli przed obejścia, rozglądając się trwożliwie. Na widok Eolki opuszczali trzymane w dłoniach kije i motyki. Ze świątyni wyszedł starszy kapłan Muni w asyście trzech młodych duchownych.

Jak dotąd nigdzie nie zauważyłem Kongregardów. Ruszyłem w stronę placu, gdzie kapłan Muni próbował rozmawiać z Eolką. Dostyc szybko mnie zauważyli, zresztą nie miałem zamiaru się chować. Płaskonosi nie umieli skrywać uczuć. Gdyby oddział Kongregardów stacjonował w osadzie, nie zachowywaliby się tak naturalnie. Stłoczeni w ciasną gromadę unieśli kije - jakby ta śmieszna broń mogła ich ochronić. Minąłem pierwsze chaty, zdecydowanym krokiem kierując się do świątyni. Uważałem, żeby nie wejść Melonowi na linię ognia. Tak na wszelki wypadek.

- Przychodzę w pokoju! - krzyknąłem, stając przed gromadą przestraszonych płaskonosych. Zważywszy na ilość broni, którą targałem ze sobą, mogło się to wydać trochę dziwne.

Szereg rozstąpił się i zza ich pleców wyszedł starszy kapłan Muni.

- Bądź pozdrowiony, Escobarze, wybrańcze Pana Porządku Rzeczy - przemówił.

Mocniej ująłem kolbę phobosa. Jego słowa świadczyły, że nie byłem tu nieoczekiwanym gościem. Dyskretnym spojrzeniem zlustrowałem okolicę, ale nic szczególnego nie dostrzegłem.

- Skąd wiesz, jak mnie zwać? - zapytałem, opierając palec na spuście.

- Oczekujemy twojego przybycia od blisko trzydziestu lat... - Uniósł siwą głowę, kierując spojrzenie w niebo. - Pilnie strzeżemy powierzonej nam tajemnicy, aby mogła się

wypełnić wola Pana Porządku Rzeczy.

Miałem niejasne przeczucie, że coś dzieje się bez mojego udziału. Nie byłem przyzwyczajony do wypełniania cudzej woli. Kolec rodzącej się złości zgnął mnie w trzewia. Zachowałem spokój, choć szczęki zaciskały się same.

- Gdzie jest granitowy totem osady? - spytałem wciąż jeszcze opanowanym głosem.

- Wybudowaliśmy wokół niego naszą świątynię, by strzec tajemnicy dniem i nocą.

Pomyślałem, że najwyższa pora wezwać Melona. Machnąłem ręką, dając Zbawicielowi Kotów znak, że ma się zbliżyć.

- Czy chcesz już teraz wejść do świątyni po swoje przeznaczenie? - Starszy kapłan Muni wskazał czarne drzwi wiodące do budowli.

Oparłem mu lufę phobosa na piersiach.

- Czekaliście trzydzieści lat, zaczekacie jeszcze chwilę...

Rzeczywiście, tylko chwilę zabrało Melonowi pojawienie się obok mnie. Chyba wciąż jeszcze pamiętał rozkaz: rozwalić wszystkich, bo twarde spojrzenie i bielejący na spuście emitera palec świadczyły o jego pełnej gotowości. Eolka wyszła spośród płaskonosych i stanęła za naszymi plecami. Nawet ona się zorientowała, że za moment może to być jedyna bezpieczna pozycja.

- Jakiś problem? - zapytał Melon.

- Na razie nie, ale... - zawiesiłem na sekundę głos. - Wejdę do świątyni ze starszym kapłanem Muni, nikim więcej. Jeśli za dziesięć minut nie wyjdę, pošlesz tam dziką kobietę. Jeśli i ona nie wyjdzie, wiesz, co dalej... - Chyba się starzałem, kiedyś zastosowałbym odwrotną kolejność.

- Jasny cel? - upewnił się.

- Jasny cel - potwierdziłem i poleciłem kapłanowi: - Prowadź!

Z szacunkiem pokłonił głowę i ruszył pierwszy. Szedł wolno, spokojnie, jakby chciał udowodnić czystość swoich intencji. Niepotrzebnie. Już od dawna nie wierzyłem nikomu, jakkolwiek by się starał. Przed czarnymi drzwiami przystanąłem i nasłuchiwałem uważnie. Muni czekał cierpliwie, aż upewnię się, że z wnętrza nie dobiegnie szczęk odbezpieczanej broni. Nie dobiegł. Trzymając się tuż za plecami kapłana, by w razie konieczności użyć go jako tarczy, wszedłem do środka.

Kiedy oczy przyzwyczyły się do półmroku, ujrzałem niezwykły widok. Podłoga wewnątrz pokryta była leżącymi kapłanami Muni. Spoczywali na brzuchach rozłożeni w trzech kręgach, głowami zwrócenymi w stronę środka sali wyznaczonego przez czarny kamień. Nasze wtargnięcie obudziło modlitewny pomruk leżących, który z szeptu przerodził się w



słowa.

*...Kiedy bogowie składali...*

*..W wielkiej ofierze - Człowieka...*

*...Wiosna była oddechem ciepłym...*

*...Lato snem, jesień zapomnieniem...*

Spojrzałem na starszego kapłana. Ruchem głowy wskazałem granitowy obelisk, a potem lufą phobosa leżących kapłanów. Zrozumiał, o co pytam.

- Escobarze, możesz przejść do głazu po ich plecach - zgiął się w unizonym pokłonie. - Dla nich będzie to zaszczyt, że stopy wybrańca Pana Porządku Rzeczy dotkną ich ciał. Od lat pielgrzymują do tego miejsca w nadziei, że właśnie im przypadnie w udziale spotkać cię i stać się choćby częścią boskiego planu... Los był łaskawy... Oni są szczęśliwi... Czekają...

Pomyślałem, że wiązka phobosa bez większego trudu zdmuchnęłaby z podłogi sylwetki w białych szatach. Pomyślałem też, że byłoby to marnowanie ładunków, skoro wszyscy cieszą się z mojego przybycia. W świątyni nie wyczuwało się żadnego zagrożenia.

Stałem na pierwszych z brzegu plecach. Okute buciory znalazły oparcie na kręgosłupie. Zamiast okrzyku bólu usłyszałem tylko jęk rozkoszy. Przeniosłem ciężar ciała na następny grzbiet. I znów okrzyk uniesienia był jedynym, jaki dobył się z gardła mnicha.

Kiedy znalazłem się przed granitowym obeliskiem, poszukałem jego obrazu we wspomnieniach płaskonosego. Z lekkim niepokojem zauważyłem, że głaz, przy którym stoję, jest inny niż ten z wizji Kwiatu Pamięci. Nie było na nim śladów ociosywania. Poczułem ukłucie niepokoju, ale już po chwili zrozumiałem, co się stało. Widocznie przez te wszystkie lata dłonie kapłanów wygładziły kamień na tyle, że teraz przypominał prawie doskonały stożek. Spojrzałem w dół, gdzie opierając na obelisku głowy, leżeli kręgiem najbliżsi mnisi. Źrenice Kurlemu miały być zakopane u podnóża kamienia, na wprost ostrego garbu, który zniknął pod niezliczonymi dotknięciami palców. Trzeba było odgrzebać ziemię dookoła, lecz ciała w białych tunikach pokrywały ją tak szczelnie...

Odwróciłem głowę w stronę starszego kapłana.

- Wskaż tego, który ma kopać na swoim miejscu! - przekrzyczał modlitewny szmer. - Ten z nich, który znajdzie dla ciebie tajemnicę, dostąpi objawienia!

Lufą phobosa stuknąłem w kark najbliżej leżącego. W tej samej chwili podniósł się na kolana i w uniesieniu wyrzucając z siebie słowa świętej pieśni, zakrzywionymi palcami począł ryć ziemię.

*...Śmierć nie istniała wówczas ani nieśmiertelność...*

*...Pomiędzy dniem a nocą nie było rozłamu.*

Patrzyłem, jak brunatna ziemia spada na głowy innych mnichów, na ich białe tuniki. Rósł otwór, ale drapieżne palce nie znajdowały łupu. Dół miał już ponad pół metra głębokości, choć we wspomnieniach płaskonosego mieściła się w nim tylko dłoń.

- Dość - warknąłem.

Muni złożył na piersiach ręce, ze szlochem zawodu pochylił głowę. Przeszedłem na następne plecy i stuknąłem phobosem kark następnego kapłana. I znowu popłynęły strofy pieśni, a grudy ziemi poleciały do tyłu.

*...Co miało się ku życiu? Gdzie? w czyjej opiece?*

*...Czym wody były? Otchłanie głębokie?*

Kolejne plecy, kolejny kark, kolejne słowa i kolejny pusty dół w brunatnej ziemi.

*...Niebył nie istniał wtedy ani byt nie istniał...*

*...Gdy wszystko było jednym bez cech oceanem...*

Przeszedłem na plecy następnego mnicha. Ten już bez mojej zachęty począł palcami szarpać ziemię. Płynęły dalsze wersy świętej pieśni.

*...Przez własną moc To jedno bez tchu oddychało...*

*...I nic innego nigdzie poza nim nie było...*

Dłonie kapłana zatrzymały się w pół ruchu... Zgięta postać zamarła, jakby porażona świadomością, że oto przychodzi jej dotknąć wielkiej tajemnicy. Szturchnąłem mnicha phobosem, przypominając, że wybraniec czeka. Wrócił do pracy, tym razem już delikatnie, opuszkami palców odgarniając grudki ziemi wokół rozsypującej się przy najlżejszym dotknięciu sakiewki. Kiedy odsłonił zawiniątko, ujął je od spodu i wyciągnął w moją stronę.

Patrząc na brązowy przegniły woreczek, który skrywał Żrenice Kurlemu, pomyślałem, że domknął się pierwszy krąg. Pod Sondorrą mieliśmy spotkać Betholda i Sancheza. Zapowiadał się wspaniały dzień... Kupcy z Gór Pumeksowych obiecywali ogromną transakcję - setki głów z grodów, które nawiedziła zaraza... Prowadziłem Skórników z wozami pełnymi broni. To była zapłata za Kwiaty Pamięci. Zacieraliśmy z radości ręce. Wszyscy. Stary Lou, Tobacco Ptasznik, olbrzym Bert, Skiddy Frank, Arni i reszta moich ludzi. Zapowiadała się łatwa akcja i niebotyczny zysk. Bethold z Sanchezem odnaleźli Żrenice Kurlemu. Mieli spotkać się z nami pod Sondorrą. Sierżant Ditlev z oddziałem Wigilii przygotował przerzut. Brał za to okazały procent od zysków. Wtedy nie był jeszcze Kap Don Anderem. Kombinował z nami, bo Korporacja Larommy trzymała z jego zwierzchnikami. On też chciał zarobić. Jako gwarancję dobrej woli podesłał nam do pomocy Mustafę, naczelnika klanu Żółtych Braci. Mieli nas osłaniać, kiedy on będzie czekał pod Sondorrą. Wszystko było dograne w najdrobniejszych szczegółach. Nie miałem pojęcia, że każdy detal rzeczywiście

pasuje, lecz do układanki zaprojektowanej przez kogoś innego.

Wziąłem od kapłana zawiniątko. Skóra rozpadła się pod dotykiem moich palców, odsłaniając drugą warstwę otuliny - z materii jakby utkanej z mikroskopijnych kóleczek miedzi. Pierwszy krąg... Nie było mnie trzy lata... Tutaj minęło ich trzydzieści... Trzymałem w dłoniach tajemnicę, o której krążyły legendy. Przedmiot pożądania... Żrenice Kurlemu... Wrota do Wielkiego Przeistoczenia. Zastanawiałem się, ilu przede mną dotykało ich, nawet się nie domyślając, czemu służą... Teoria Pragenezy... Modlitewne pieśni kapłanów Muni... Święty przedmiot... Dla mnie? Przewaga... Rodryg Ort de Saintre marzył o Żrenicach, ja je miałem. Początek kłębka, który miał mnie zaprowadzić do Larommy. Koniec kłębka, który ją miał doprowadzić do mnie. Wszystko...

Czułem ciepło wnikające w dłonie. Odchyliłem brzegi otuliny. Na rdzawej materii leżały dwa kryształy wielkości orzechów włoskich. Na pierwszy rzut oka wyglądały jak kule, ale bliższe oględziny ujawniły, że powierzchnia składa się z setek drobniutkich płaszczyzn - niczym w kamieniu szlachetnym obrobionym przez niezwykle precyzyjnego szlifierza. Wewnątrz każdego z kryształów tkwił drugi - identycznie oszlifowany, o ulotnie fioletowym odcieniu. Bryły łączyła pajęczyna błękitnych niteczek, które pod moimi palcami pulsowały leniwym rytmem, uwalniając złote iskierki. Nie wiedziałem, czy to one rodzą ciepło płynące z kryształów.

Kapłan, który podał mi zawiniątko ze Żrenicami Kurlemu, wygiął się w łuk, ręce wyrzucił w górę, aż zatrzeszczały stawy, przewrócił oczami tak, że widoczne były jedynie białka.

- Escobarze - popłynął głęboki głos, aczkolwiek twarz mnicha najlżejszym drgnięciem nie zdradzała, że mężczyzna mówi. - Istnieje cisza, z której wyrasta kamienny monument twojego przeznaczenia... Nad brzegiem oceanu, na granicy wody i lądu, skalny posąg oczekuje przybycia wybrańca... Pan Porządku Rzeczy tobie przeznaczył, byś zaplótł nici Losu. - Niskie tony płynęły w monotonnym rytmie mantry. - Zaniesiesz tam Żrenice Kurlemu. Taka jest wola Pana Porządku Rzeczy, a jego potęga będzie cię osłaniać w drodze nad brzeg lazurowego oceanu.

Zawinałem kryształy i włożyłem do kieszeni na piersiach. Wracając do starszego kapłana Muni, buciarami uszczęśliwiłem jeszcze paru mnichów. Przedstawienie trwało już wystarczająco długo. Pamiętałem, że Melon ma jasny cel.

- Escobarze - kiedy mijałem kapłana, złapał mnie za ramię - czy możesz pobłogosławić posługę tych Muni? - Wskazał leżących.

Dotąd cierpliwie wysłuchiwałem tych bredni, ale wszystko ma swoje granice.

- Kurwa - spojrzałem mu prosto w oczy - a czy ja jestem jakimś waszym pieprzonym bogiem?!

Odrąciłem jego rękę i ruszyłem w stronę wyjścia. W progu omal nie zderzyłem się z dziką kobietą. Melon czuwał. Wyszliśmy na zewnątrz. Na moment oślepił mnie blask Ti-Dejaniry, ale wiedziałem, że Zbawiciel Kotów kontroluje sytuację. Spokojnie poczekałem, aż wzrok przywyknie do dziennego światła.

- Zaczynałem się denerwować, Esco - z satysfakcją przyjąłem normalny, realny głos Melona.

Odkaszlnąłem.

- Niepotrzebnie - odetchnąłem głęboko. - Możesz już odwołać alarm bojowy.

- Znalazłeś to, czego szukałeś?

- Znalazłem.

Ze świątyni wyszedł starszy kapłan Muni w asyście dwóch młodych mnichów.

- Powstrzymaj swój gniew, szlachetny Escobarze - wyszeptał pokornie. - Tyś jest wolą Pana Porządku Rzeczy, ja, marny jego sługa, ośmieliłem się prosić o łaskę, która widocznie mi się nie należy... Wybacz...

Melon z niedowierzaniem błądził wzrokiem między zgiętym wpół kapłanem i mną. Nawet nie próbowałem mu tłumaczyć, że rozumiem niewiele więcej niż on.

- Tych dwóch młodych mnichów poprowadzi cię nad brzeg oceanu - mówił Muni z pochyloną głową - tam, gdzie wyrasta kamienny posąg twojego przeznaczenia...

- Tam, gdzie ja się wybieram, nie trzeba mi żadnych przewodników! - powiedziałem z naciskiem. - I zaręczam ci, na pewno nie jest to brzeg oceanu!

- Twoja wola, Escobarze - odpowiedział pokornie.

Zaciskałem zęby, walcząc z ogarniającą mnie złością. Melon przyglądał mi się bardzo uważnie. Kiedy poczułem, że kurczowo oplatom palcami phobosa, usłyszałem jego bez troski głos.

- A może byśmy tak coś zjedli?

Cała wściekłość rozwiała się jak zdmuchnięty pył. Roześmiałem się, rozluźniając szczękę.

- Może rzeczywiście byśmy coś zjedli - przyjaźnie poklepałem go po plecach.

\*\*\*

Efram przyglądał się, jak szpalerem utworzonym przez zbrojne oddziały powoli, jakby nie dotykając kamienistej ziemi, a stąpając po promieniach zachodzącej Ti-Dejaniry, kroczy młoda kobieta. Ta, na którą tak długo czekał, dla której gotów był oddać życie, ta, która za

jego trud wolą Pana Porządku Rzeczy pozostanie przy nim już na zawsze... Aida...

Szła pośród mocarnych sylwetek Bojowników, a żołnierze chylili głowy, gdy mijała ich ulotna postać w zwiewnej błękitnej tunice. Czarne włosy muskane wiatrem omiały alabastrową twarz i wysmukłą szyję, gładziły delikatnie sklezione ramiona. Ona, matka Prawdziwego Człowieka.

Palcami, które drżały od skrywanego podniecenia, Efram zwolnił dźwignię zewnętrznego wjazdu. Nie czekając nawet na zakończenie procedury, zerwał się z fotela i przywołując rotrona, ruszył na powitanie Aidy.

Czekała przy wejściu. Patrząc na jej bose stopy i szorstki metal wjazdu, wyklinał siebie w myślach. Mógł przecież przygotować miękki kobierzec, zapomniał o kwiatkach, nie było też muzyki. Z szalonym biciem serca uklęknął przed nią.

- Pani... - Wzruszenie ścisnęło mu krtań. W myślach panicznie szukał słów, które przygotowywał przez te wszystkie noce pełne marzeń o tej chwili.

- Wstań, Eframie - oparła mu dłonie na ramionach.

Dźwignął się pośpiesznie, ale głowę wciąż trzymał nisko spuszczoną, jakby w obawie, że cudowne oblicze pod musnięciem jego wzroku rozwieje się i znów pozostanie mu tylko puste wspomnienie. Jednocześnie czuł, jak pod wpływem jej dotyku rodzi się w nim szloch wdzięczności...

- Nie płacz - starła mu z policzka płynącą łzę. - Pan Porządku Rzeczy chce, byśmy z radością, a nie ze smutkiem opiekowali się dzieckiem wybrańca - przytuliła się do niego.

Stroiciel poczuł, że rośnie w nim szczęście. Uniósł Aidę jak piórko i trzymając w ramionach, ruszył po pochylni wjazdu. Zabierał swoją wybrankę do wnętrza statku, do ich wspólnego domu.

\*\*\*

Zapadał zmrok. Mimo usilnych próśb starszego kapłana Muni zdecydowałem, że nie zostaniemy w osadzie na noc. Błask Garbusa wystarczył do bezpiecznego marszu. Nie chciałem tracić czasu, poza tym nocą istniało mniejsze ryzyko spotkania Kongregardów. Melon nie dyskutował, mimo że podobała mu się rola darzonego szacunkiem i goszczonego z honorami przyjaciela wybrańca.

Spakowaliśmy broń, zabraliśmy trochę placków z płaskórki i żegnani przez całą osadę ruszyliśmy w drogę. Chciałem znaleźć się u podnóża Gór Pumeksowych, zanim nastanie świt. Tam było łatwiej wędrować niezauważenie, łatwo też było znaleźć bezpieczną kryjówkę w razie zagrożenia.

Kiedy ubogie chaty zostały daleko w tyle, Melon przerwał milczenie.

- Dlaczego kazałeś tym kapłanom rozgłaszać, że odnalazłeś Żrenice Kurlemu? Skoro są tak ważne, zacznij się polowanie na nas.

- Dobrze kombinujesz - nie zwalniając marszu, poprawiłem wrzynające się w ramiona szelki plecaka - nie zdobędziemy we dwóch Zamku Purpurowego Rogu, nie będziemy ścigali Larommy po całym układzie. Teraz Rodryg Ort de Saintre razem z nią musi poszukać nas... Nie uważasz, że to wygodniejsze rozwiązanie?

- Nie wygramy z całą armią.

- Nie ściga się dwóch ludzi z całą armią. - Uważałem, żeby nie zejść ze ścieżki wydeptanej przez zwierzęta. - Można nakazać wszystkim jednostkom polować na Esco i Melona, ale wtedy Żrenice Kurlemu mogą zniknąć razem z oddziałem, który nas dopadnie. Nie, Rodryg jest zbyt przewidujący i za bardzo chce dostać te cacka. On musi być osobiście przy tym, jak nas złapią.

- Wciąż mnie zaskakujesz - w jego głosie słychać było uznanie - przemyślałeś każdy szczegół...

- Mam nadzieję, Melon. Ale kiedyś już mi się tak wydawało... Właśnie wtedy straciłem wszystko. Nie chciałbym po raz drugi przerabiać scenariusza spod Sondorry.

- W dzielnicy Tańczących Grobowców też powtarzałeś tę nazwę - obudziłem w nim zaciekawienie. - Co się tam właściwie stało?

- Nic, co by dotyczyło ciebie! - uciałem.

Uniósł dłoń w pojedynczym geście.

- W porządku, twoja sprawa - wycofał się. - Ale to, co wygadywali kapłani Muni, już mnie dotyczy.

- A co takiego wygadywali?

- Że mamy iść ze Żrenicami Kurlemu nad brzeg oceanu, że jesteś jakimś wybrańcem, że ma się dokonać Wielkie Przeistoczenie...

Przez chwilę zastanawiałem się, czy nie kazać mu się zamknąć. Z drugiej strony rzeczywiście w tym uczestniczył, ba, nawet dwa razy uratował mi tyłek.

- Melon - mówiłem jak do opóźnionego w rozwoju dziecka - Żrenice Kurlemu to tylko przynęta, nie istnieją żadne bzdurne przeistoczenia. Ta legenda jest częścią religii Eltenery, bez niej kapłani nie byłiby darzeni takim szacunkiem. Zwykle brednie trzymające w ryzach mieszkańców Rezerwatu. Ale ja nie jestem tubylcem. Dla mnie to tylko dwa kryształki, owszem, cenne kryształki, ale posłużą mi do złapania Rodryga i Larommy. Jedynie do tego. A Pan Porządku Rzeczy, Wielkie Przeistoczenie, Teoria Pragenezy... - zawahałem się - niech sobie istnieją, ale beze mnie... Jasne?...

- Jak Ti-Dejanira - zgodził się. - Ale na mój rozum dzieje się tutaj coś dziwnego.

- Na twój rozum.

Zignorował ironię w moim głosie.

- Kiedy byłem dzieckiem, matka zawsze powtarzała: jeśli jedna osoba mówi ci, że jesteś kurą, możesz ją wyśmiać, jeśli mówią tak dwie osoby, powinieneś wziąć to pod uwagę, ale jeśli usłyszysz, że jesteś kurą, od trzech różnych osób, zacznij lepiej wysiadywać jajka.

- Miałeś mądrą matkę, Melon, szkoda, że nie zostałeś kurą.

- Bardzo zabawne... - urwał powstrzymany moim gwałtownym gestem.

Na migi pokazałem, że coś słyszę. Schowaliśmy się za rumowiskiem skalnym. Leżałem, wytężając słuch. Jednocześnie uważnym spojrzeniem lustrowałem najbliższą okolicę. Ścieżka, którą szliśmy, skręcała w stronę gęstego aliowego lasu i ginęła za wzgórzem. Z prawej strony wznosiły się piargi poprzerastane niskimi krzakami. W srebrnym blasku Garbusa widać było doskonale całe otoczenie. W oczach Melona dostrzegłem zdziwienie. Najwyraźniej nie zauważył niczego niepokojącego. Pokazałem, że ma czekać. Czuję, jak delikatne ciarki łaskoczą skórę karku... Znałem to uczucie...

Minęła długa chwila. Kiedy już chciałem się podnieść, rezygnując z ukrycia, usłyszałem cichy, daleki szmer. Melon też go dosłyszał. W jego porozumiewawczym spojrzeniu kolejny raz dostrzegłem uznanie. Sam byłem pełen podziwu dla siebie, bo ledwie słyszalny odgłos powinien był zginąć w hałasie naszych kroków i rozmowy... Durne gadanie... Zbawiciel Kotów sięgnął po broń. Pokręciłem głową, żeby nawet nie ważył się o tym myśleć.

Czekaliśmy, uważnie nasłuchując. Niepokojący cichy dźwięk dobiegał zza wzniesienia, za którym ginęła ścieżka. Natężony do granic możliwości słuch wychwytywał odgłos, jaki wydaje kolumna maszerujących ludzi - szuranie wielu stóp w jednostajnie rytmicznym ruchu, czasem delikatny szczeł metalu, jakby ktoś nieuważny zbyt gwałtownie poprawiał niesioną broń, rzadkie tłumione wędzidłami chrapnięcie baktriana. To musiał być oddział wojska, nie miałem co do tego żadnych wątpliwości. Nachyliłem się do Melona.

- Pójdę na zwiad - tchnąłem mu w ucho - ty zostaniesz tutaj.

Chciał oponować, ale widząc moją minę, dał spokój. Zdjąłem plecak.

Po przejściu trzystu metrów byłem spocony jak mysz, chociaż diabli wiedzą, dlaczego to myszy mają się pocić najbardziej. Utwierdziłem się też w przekonaniu, że zostawienie Melona ze sprzętem było rozsądną decyzją. Cholerne krzaki na rumowiskach utrudniały znalezienie bezpiecznego miejsca na postawienie stopy. Miałem wrażenie, że posuwam się zbyt wolno, by cokolwiek zobaczyć, zanim kolumna wojska zniknie w oddali.

Na szczęście trafiłem na litą skałę. Mogłem poruszać się szybciej. Tak bardzo chciałem

nadrobić stracony czas, że o mało nie zleciałem w przepaść. Wzgórze kończyło się jak odcięte nożem, a niemal pionowa ściana schodziła w dół, tworząc szeroki na pięćdziesiąt metrów kanion. Ułożyłem się na krawędzi i przyłożyłem lunetę phobosa do oka.

W dole rzeczywiście maszerowała kolumna wojska. Mogła liczyć nie więcej niż pięćset głów. Blask Garbusa padał wzdłuż rozpadliny, tak że urwiska nie rzucały cienia, a ciągnący oddział był widoczny jak na dłoni. Uważnie obserwowałem żołnierzy, starając się dostrzec oznaki formacji. Szukałem też dowódców, którzy na ogół paradowali z insygniami zawieszonymi na piersiach. Ten oddział wyglądał jednak inaczej niż wojsko Kongregardów. Maszerował bardzo ostrożnie, jakby w obawie, że może zostać odkryty. Wszyscy byli odziani w jakieś liche szmaty, które ani trochę nie przypominały mundurów regularnego oddziału. Zauważyłem też, że baktriany niosące ekwipunek mają kopyta owinięte łachmanami, by tłumić ich stukot.

Zacząłem się zastanawiać, czy podczas mojej nieobecności zaszło tak wiele zmian, że dumni Kongregardzi skradają się teraz jak przemytnicy. Dopiero wspomnienie słów Maxa przywróciło mi wiarę w stary porządek. To musiał być buntowniczy oddział; z tego co opowiadał, w Rezerwacie garstka desperados wypowiedziała wojnę potężne Białego Oficjum. Miałem przed oczami niezbity dowód ich istnienia.

Z końca kolumny nadjechał człowiek. Pochylając się z grzbietu baktriana, rzucił maszerującym na przedzie cichy rozkaz, a ci przyspieszyli kroku. Skierowałem na niego lunetę, szukając godła, lecz i on zamiast zbroi czy munduru nosił tylko skórzaną kurtkę. Przesunąłem krzyż nitek celowniczych na twarz.

Z wrażenia omal nie wypuściłem phobosa. Poprawiłem ostrość, dałem większe zbliżenie. Z niedowierzaniem spoglądałem na wypełniające wizjer oblicze Tobacco Ptasznika... Przetarłem oczy. Rozejrzałem się po okolicy, ale wszystko było jak wcześniej. To nie mogły być wizje. Jeszcze raz popatrzyłem w celownik. Bez najmniejszej wątpliwości oglądałem małego Ptasznika we własnej osobie. Wydawał się starszy, ale że już jakiś czas temu wrócił na Eltenerę, czas biegł dla niego szybciej dziesięć razy. Przez chwilę zastanawiałem się, co powinienem zrobić, ale tylko dureń nie skorzystałby z okazji.

Wymacałem kamień. Powoli odchyliłem ramię i cisnąłem odłamkiem skały z całych sił. Uderzył w dno kanionu z hukiem odbijanym echem przez urwiska. Nawet błyskawica nie znika tak szybko, jak buntownicy zniknęli pod skalnymi ścianami. Uśmiechnąłem się pod nosem, wiedząc, z jaką paniką ważą swoje szanse. A te, zważywszy na ich wyposażenie i znikomą osłonę, były raczej marne. Odczekałem, aż dojdą do podobnych wniosków. Kiedy na dole ustał szczeł odbezpieczanej broni, krzyknąłem na całe gardło:



- Będziemy negocjować, Tobacco Ptaszniku?!

Z dołu nie doszedł nawet szmer. Mały musiał pamiętać moje reguły: żadnych negocjacji z wrogiem, ale warto udawać, żeby zyskać na czasie, znaleźć wyjście, zaskoczyć i zabić przeciwnika. Na pewno zastanawiał się, dlaczego padło akurat takie pytanie i skąd znam jego imię, a to było gwarancją, że na razie nie zrobi niczego głupiego. Raczej nie chciałem, żebyśmy zaczęli walić do siebie ze wszystkiego, co mieliśmy pod ręką.

- Kim jesteś i czego chcesz?! - Tobacco postanowił negocjować.

Nie zamierzałem dać mu zbyt wiele czasu, Ptasznik nie należał do ludzi, którym panika odbiera rozum.

- Mały! To ja, Escobar!

- Kłamiesz! - Widocznie informacja była zbyt nieprawdopodobna, by uwierzył na słowo.

Tymczasem żołnierze pod przeciwną skalną ścianą zaczęli szukać dobrej pozycji strzeleckiej. Mógłbym ich zdmuchnąć jedną wiązką phobosa, ale nie chciałem rozpętać piekła. Na razie nie byli jeszcze przeciwko mnie...

- Osada Kiru, nad Granią! Kobieta o imieniu Neni! Ty i ja!

Byliśmy tam tylko we dwóch. Nafaszerowani Kwiatami Pamięci i gorzałą. Ptasznik załapał odlot. We wspomnieniach poległego Aryzejczyka odnalazł kobietę z osady, a potem odnalazł ją naprawdę. Miała na imię Neni. Nie chciała zrobić tego, czego żądał. Skrępował jej rodziców, wrzucił między nich petardę kulkową, przywiązał jeden koniec drutu do zawlecзки, a drugi do szyi kobiety. Powiedział wtedy, że jeśli drgnie... Nie drgnęła. Nigdy nikomu nie chwalił się tą historią. Ja też nie miałem powodu, żeby ją komuś opowiadać.

- Niemożliwe! Ty nie żyjesz!!! - Ptasznik nie był w najlepszej formie.

- Zmartwychwstałem! - podałem mu krótkie rozwiązanie.

Za sobą usłyszałem szmer osypujących się kamieni. Błyskawicznie przeturlałem się w bok, składając się do strzału... Melon, cholerny Melon... Zdjąłem palec ze spustu.

- Co się dzieje? - wyszeptał, z trudem panując nad ciężkim oddechem.

- Kurwa, miałeś pilnować sprzętu! - Byłem wściekły na siebie, że dałem się podejść.

- Dzika znowu się przyplątała - wyjaśnił. - Usłyszałem jakieś krzyki, więc kazałem jej zostać i przyszedłem z pomocą... - Kciukiem wskazał na dźwigany na plecach emiter.

- Następnym razem, durniu, nie zdążę zatrzymać palca na spuście. Dobra, kładź się i bądź cicho.

Z ulgą wypuścił powietrze z płuc i zajął stanowisko nad urwiskiem.

- Escobar, to naprawdę ty?! - w głosie Ptasznika wciąż była niewiara.

- Tobacco! A znasz kogoś innego, kto by cię tak przygwoździł?! - Argument był dobry, szczególnie jeśli nikt nie wiedział, że przewagę stworzył przypadek. - A teraz słuchaj uważnie! Zejdę do ciebie sam! Jak moi ludzie zobaczą choć jeden uniesiony zabijak, zginiecie wszyscy! Nie kombinuj! Zrozumiałeś?!

- Dobrze! Escobar, mogę wyjść i uprzedzić żołnierzy?!

- Możesz! Pamiętaj tylko o krzyżu celowniczym na twojej głowie!

Odwrociłem się do Melona. Jego mina wyrażała kompletne zdziwienie. Musiałem mu wyjaśnić, co się dzieje. Każdy głupi ruch mógł mnie kosztować życie.

- To mój człowiek z dawnych czasów - mówiłem wolno, żeby każde słowo wryło mu się w pamięć. - Ten oddział to buntownicy, czyli są po naszej stronie. Nie chcę żadnych wyskoków. Zejdę tam, a ty trzymaj emiter w gotowości. Jeśli krzyknę, masz otworzyć ogień. Dotarło?

Pokiwał głową na znak, że rozumie. Odczołgałem się i ruszyłem schylony w dół urwiska.

\*\*\*

Areopag Starych Kontynentów zakończył głosowanie nad porządkiem obrad. Przytłaczającą większością przyjęto, że już następnego dnia będzie dyskutowana procedura „Winny ponad wszelką wątpliwość”.

Marszałek odstukał zakończenie obrad. Z gwarem członkowie zgromadzenia zaczęli wychodzić z sali. Podniesione głosy dopiero teraz dawały ujście emocjom, których trudno było się dopatrzeć podczas głosowania.

Przy drzwiach przewodniczący Komisji Sprawiedliwości czekał na seniora Izby Reprezentantów. Nieuważnie odpowiadał na pozdrowienia mijających go członków Areopagu, zdawkowo też uśmiechał się, ilekroć ktoś składał mu gratulacje.

Kiedy senior w asyście paru przedstawicieli Izby Reprezentantów dotarł do wyjścia, przewodniczący zagadnął:

- Gratuluję, myślę, że nie przedwcześnie - wyciągnął dłoń. - Nikomu tak jak panu nie należy się laska marszałkowska...

- Dziękuję, wszystko dla dobra Zjednoczenia Starych Kontynentów. - Senior odwzajemnił uścisk. - Jeśli taka będzie wola Areopagu, przyjmę na swoje barki brzemień tego stanowiska. Chociaż nie wiem, czy podołam...

- Panowie wybaczą - przewodniczący ujął pod ramię siwego mężczyznę - chciałbym jeszcze z seniorem omówić parę bardzo ważnych kwestii dotyczących nadchodzących obrad.

Nie oglądając się na innych, ruszyli korytarzem prowadzącym do gabinetów. Zawzięcie

dyskutujący członkowie Areopagu milkli na ich widok i z szacunkiem ustępowali z drogi.

\*\*\*

Szedłem dnem kanionu z uniesionymi rękami. Nie była to oznaka ufności - przypięty do przedramienia phobos wylotem lufy mierzył co prawda w niebo, ale wiązka była ustawiona na maksymalne rażenie. Na razie chciałem tylko okazać dobrą wolę. To miało przekonać buntowników, ale gdyby nie umieli tego docenić... No cóż, Melon kochał polecenia dające możliwość zabicia wszystkich.

Widziałem, jak desperados kryją się pod ścianami kanionu, próbując znaleźć osłonę za skałami nie większymi od głowy. Śmieszne schronienie, niemal idealnie w linii prostej, akurat na wiązkę phobosa. W jednym tylko miejscu leżące baktriany tworzyły barykadę. Domyślałem się, że tam znajdę Tobacco Ptasznika.

Rzeczywiście, zza osłony zwierząt podniósł się niski mężczyzna. Mały nie dawał po sobie poznać strachu, zawsze trzymał fason. Jeśli trzeba było przejść pod obstrzałem, nie starał się nawet schylić. Albo wierzył w swoją nieśmiertelność, albo był głupi - nigdy nie zastanawiałem się, które stwierdzenie jest prawdziwe.

Kiedy dzieliło nas nie więcej niż trzydzieści kroków, Tobacco rozpoznał moją twarz. Nic dziwnego, że tak długo mu zeszło - celowo zbliżałem się do nich od strony jaśniejszego złotym blaskiem Garbusa.

- Escobar, to naprawdę ty! - Już trzeci raz dzisiaj Ptasznik popisał się trafnością obserwacji. Pozostało mi tylko potwierdzić jego przenikliwość.

- To naprawdę ja, mały.

Odwrócił się w stronę buntowników i zamachawszy gwałtownie rękami, gromko wykrzyknął:

- To Escobar! Możecie wyjść!

Zaczęli się podnosić z ziemi niepewni, czy rzeczywiście niebezpieczeństwo minęło. Widocznie jednak ciekawość była silniejsza niż strach, bo coraz liczniejszymi grupkami zmierzali w naszą stronę. Tobacco też niemal biegiem pokonał te trzydzieści kroków, od połowy z wyciągniętymi rękami. Zablokowałem phobosa, żeby przypadkiem przy wylewnym powitaniu nie odstrzelić mu głowy.

- Escobar, żyjesz - prawie załkał, rzucając mi się w ramiona.

Nie byłem przygotowany na taki gwałtowny pokaz uczuć. Nie bardzo wiedziałem, jak mam oderwać małego od piersi i przekonać, by nie klepał mnie radośnie po plecach. Za chwilę mogłem mieć odbite płuca.

- Dobra, Ptasznik, daj spokój, muszę odwołać swoją artylerię - z trudem odsunąłem go

na odległość wyciągniętych ramion. - Melon! - krzyknąłem. - Weź sprzęt, dziką i zejście tu do nas! - Uśmiechnąłem się na myśl, że Zbawiciel Kotów będzie targał dwa pełne broni plecaki w dół niemal pionowego zbocza.

- Zabili Berta - poskarżył się płacząco Ptasznik.

- Max mówił, że ty też nie żyjesz...

- Byłeś u niego? - zainteresował się. - Dalej prowadzi tę spelunę?

- Na Garbusie, mały, czas nie płynie tak szybko jak tutaj - odpowiedziałem.

- Ciągłe nie mogę się do tego przyzwyczaić - uśmiechnął się rozbrajająco. - Ale mów, co z tobą. Byliśmy pewni, że pod Sondorrą wpadłeś w łapy Rodryga i Larommy, że dawno już gryziesz piach.

- Wpadłem, Tobacco, wpadłem... Trzy lata byłem martwy, trzy pieprzone lata na prochach, w pieprzonej pustelni, którą zafundował mi kaprys Larommy. Nie pytaj, po co zmartwychwstałem, ale na pewno nie po to, żeby oglądać twoją durną gębę.

Roześmiał się beztrąsko.

- Jezu, Escobar, dobrze cię znowu widzieć. - Patrzył na mnie jak na objawienie. - Nie masz pojęcia, co się tu w Rezerwacie wyrabia. Tubylcy nawet nie mogą umrzeć naprawdę, bo zaraz cholerna Korporacja sprzedaje ich jakiemuś Łazarzowi z Ziemi. Człowieku, nie wiesz, kto jest żywym trupem, a kto prawdziwym mieszkańcem Eltenery.

- Max mówił, że buntownicy walczą z Kongregacją Białego Oficjum.

- Już nie... - posmutniał. - Załatwili nas pod Górą Czarownic. To tylko niedobitki - wskazał na grupujących się wokół żołnierzy. - Nie zginęli, więc...

- Ty nimi dowodzisz? - zapytałem, przyglądając się wymizerowanym postaciom.

- Nie... Lee Harper - odwrócił się, szukając go wzrokiem.

Brodaty chudy i wysoki mężczyzna przecisnął się zza pleców żołnierzy. Niewiele się różnił od pozostałych, przygaszony ponury wzrok wbił w ziemię i nawet kiedy wyciągnął rękę na powitanie, nie oderwał spojrzenia od ziemi.

- Wiele o tobie słyszałem. - Głos miał głęboki, ciepły.

- Ja o tobie nic... Z jakiego klanu pochodzisz? - Byłem ciekaw, bo jedni plemięcy byli stworzeni do walki, inni natomiast zupełnie się do niej nie nadawali.

- Szeszele z Doliny nad Mokradłem - odpowiedział posłusznie.

Tak jak przypuszczałem, należał do spokojnego ludu rolniczego, który jak ognia unikał wszelkich waśni. Pewnie gdyby nie położenie doliny - otoczonej prawie nieprzebytymi trzęsawiskami - ten klan już by nie istniał. Byłem trochę zdziwiony, że Szeszel wyruszył na wojnę, a już powierzenie mu dowództwa graniczyło wręcz z absurdem. Nie widziałem

powodu, żeby nie podzielić się z nim swoimi przemyśleniami.

- Nie bierz tego do siebie, Lee, ale nie nadajesz się na dowódcę.

- Cały Escobar - Tobacco wziął Harpera w obronę - nigdy się nie zmieni. Wiadomo, że nikt nie jest tak dobry jak ty, ale Lee nienawidzi Kongregardów i umie z nimi walczyć!

- Nic dziwnego, że przegraliście pod Górą Czarownic - wzruszyłem ramionami. - Mały, co innego nienawidzić, a co innego umiejętność zabijania. Szeszele nie umieją zabijać... I nie ma w tym stwierdzeniu nic obraźliwego, to fakt.

- Wiele się zmieniło podczas twojej nieobecności. - Harper smutno przeciągał sylaby. - Teraz wszyscy na Eltenerze umieją zabijać.

- Wasza sprawa - machnąłem ręką. - Według mnie nie wytrzymacie pierwszego spotkania z regularnym oddziałem Kongregardów, ale to nie moja wojna.

- Esco, kurwa mać! - z oddali dobiegł wrzask Melona. - Jak mam zejść z tymi pieprzonymi plecakami?!

Roześmiałem się, a moment później wszyscy mi zawtórowali.

- Poślij tam kilku ludzi, niech mu pomogą - poprosiłem, krztusząc się ze śmiechu.

Kiedy Melon w asyście dzikiej kobiety i trzech buntowników dołączył do naszej grupy, wciąż jeszcze rechotaliśmy jak niespełna rozumu.

- Co wam, kurwa, tak wesoło? - Był spocony, podrapany i najwyraźniej wściekły.

- Nic, Melon, jesteśmy pod wrażeniem...

- Bardzo zabawne - przybrał obrażony ton. - Następnym razem sam będziesz targał to żelastwo. O mało nie zleciałem z tych pieprzonych skał...

- Okay. - Spowaźniałem i spojrzałem na małego. - Tobacco, potrzebuję paru informacji, moglibyśmy się tu rozłożyć obozem i przeczekać do rana?

- Ale przecież ten kanion to pułapka...

- Taka sama jak każde inne miejsce - poklepałem go po plecach. - Wyślij na górę wartowników, po dziesięciu na każdą stronę, daj im ciężką broń, a tu na wszelki wypadek przygotuj do postawienia kurtynę osłonową. Pomiędzy tymi skalnymi ścianami będzie nie do sforsowania.

Lee Harper patrzył na mnie z szacunkiem pomieszanym z obrzydzeniem. Reszta żołnierzy raczej wyglądała na zachwyconych perspektywą spędzenia spokojnej nocy.

- A pozostali twoi ludzie? - spytał Tobacco.

- Nie ma innych - pokręciłem głową. - Melon zupełnie mi wystarczy.

- Więc mogliśmy was załatwić? - Ze zdziwieniem spojrzał wokoło, jakby upewniając się, jakimi siłami dysponuje.

- Nie łudź się, mały, nawet przez chwilę.

Nie wiem, dlaczego zawsze i wszystkim wydaje się, że łatwiej jest zabić dwóch ludzi niż pięciuset.

Krótkie rozkazy Harpera i Ptasznika zapędziły żołnierzy do rozkładania obozu. Z objuczonych baktrianów ściągano worki z żywnością, rozstawiano prowizoryczne namioty, pod którymi bojownicy rozwijali swoje derki. Pierwsza warta wyruszyła na szczyt kanionu. Część buntowników zajęła się rozlokowaniem promienników osłon. W gorączkowej krzątaninie żołnierze jakby zapomnieli o zmęczeniu i przygnębieniu. Gdzieś tam nawet dało się słyszeć wesole głosy. Tylko Melon, ilekroć usłyszał śmiech, krzywił się, jakby rozgryzł cytrynę.

Kiedy kilku buntowników zabrało się do ustawiania palenisk, powstrzymałem ich podniesioną ręką.

- Żadnego ognia, przy tej pogodzie dym będzie widać z wielu kilometrów. - Nawet nie spojrzeli pytająco na Lee, żeby sprawdzić, czy potwierdza moje rozkazy. Bez zastanowienia odstąpili od układania drewna.

- Już zaczynasz dowodzić... - Tobacco umiał dostrzec takie szczegóły.

- Nie... Dbam o własny tyłek - odparłem nie do końca zgodnie z prawdą.

Patrząc na buntowników - a byli wśród nich Bojownicy, którzy w walce nie mieli sobie równych; Eole umiejący rozerwać się granatem, żeby tylko zabić kilku wrogów; Yeomeni doskonali we władaniu lancami; Wyspiarze, których znałem z oblędu wojennego - patrząc na nich wszystkich, żal mi się zrobiło na myśl, że pod wodzą Szeszela pójdą na rzeź niczym stado bezbronnych zwierząt.

Usiedliśmy pod przygotowanym dla nas namiotem. Dzika kobieta dołączyła do grupki Eoli. Melon czujnym spojrzeniem sprawdził, czy nie dzieje się jej krzywda. Chyba ją polubił... Harper poczęstował nas suszonym mięsem. Nie chciałem okazać braku wdzięczności, więc wyciągnąłem z plecaka butelkę scotcha. Jedną z niewielu już butelek.

- Egberts... - Tobacco aż jęknął z zachwytu. - Jak mi tego brakowało.

Podąłem mu flaszkę. Pociągnął łyk, który mógłby przejść do historii - mógłby, gdyby nie gniewne mruknięcie Zbawiciela. Ptasznik otarł usta i przekazał butelkę Harperowi, ale Szeszel przecząco pokręcił głową. Melon spojrział na niego niemal jak na przyjaciela i ochoczo przejął scotcha.

- Dobrze, mały - przerwałem zucie mięsa - powiedz mi, gdzie znajdę Rodryga Ort de Saintre...

- Escobar, nie masz żadnych szans... - był zatroskany jak Max. - Chcesz go dopaść?

Zdumiony Harper po raz pierwszy wymienił ze mną spojrzenia.

- Nas było ponad trzy tysiące... Zostali tylko ci... I garstka w twierdzy Uttu. - Tobacco z niedowierzaniem kręcił głową.

- Zadałem proste pytanie, mały, i nie interesuje mnie twoje zdanie - sięgnąłem po podaną przez Melona butelkę.

- Przypuszczamy, że świętuje zwycięstwo w Zamku Purpurowego Rogu. Od klęski nie mieliśmy żadnych wieści.

- A Laromma? Też jest na Eltenerze? - Wymawianie jej imienia ciągle przychodziło mi z trudem.

- Nie mam pojęcia, na pewno przed bitwą pod Górą Czarownic nie było jej tutaj... - Popatrzył na mnie z zastanowieniem, jakby chciał coś dodać, ale w ostatniej chwili przygryzł tylko wargi.

Poczułem mrowienie w ramieniu. Lekkie ułucia na wysokości barku wolno przesuwały się w stronę dłoni. Zaraz za nimi ginęło czucie. Zacisnąłem pięść. Nadchodził paraliż... Zakląłem w duchu. Starając się niczego po sobie nie pokazywać, zapytałem:

- A wy jakie macie zamiary?

- Chcemy walczyć do końca. - Lee najwyraźniej postanowił zapracować na miano wodza.

- Czyli niedługo... - nie mogłem się powstrzymać od złośliwości.

Lewa ręka przestała reagować na polecenia. Ciarki przeniosły się na udo i cierpliwie wędrowały w dół. Póki jeszcze mogłem, poprawiłem się na derce, żeby z nadejściem bezwładu nie upaść. Myślałem o tym, jak długo potrwa paraliż i kiedy przyjdą wizje. Ból zagościł w żołądku, aż musiałem się pochylić.

- Macie w ogóle jakiś plan?

- Chcemy rozbijać mniejsze oddziały - Ptasznik podjął z entuzjazmem - zbierać ochotników, napadać na konwoje z żywnością dla Kongregardów, zdobywać i obsadzać niewielkie warownie i unikać bezpośredniego starcia z dużymi formacjami Białego Oficjum. Dopóki nie będziemy wystarczająco silni i gotowi.

- To twój pomysł czy Harpera? - zapytałem czując, że drętwieje mi lewa stopa.

Mały popatrzył na Harpera.

- To jego plan - odpowiedział Szeszel - podobno wzorowany na twoich naukach.

- Nareszcie coś mądrego - wykrztusiłem z trudem. Czułem, że nadciąga najboleśniejszy rodzaj paraliżu, który może trwać nawet kilka godzin.

- Esco, co z tobą? - Głos Melona wyrwał mnie z oczekiwania na kolejną falę cierpienia.

Pozostawiłem pytanie bez odpowiedzi. Serce kołatało, skronie rosł zimny pot.

- Czyli nie wiecie nic, co mogłoby mi pomóc... - Głos stawał się chrapliwy, zniekształcony.

- Zaraz! - Tobacco zerwał się z ziemi. - Przecież złapaliśmy dwóch Donosicieli! - obwieścił radośnie. - Tylko że nie możemy z nich nic wydusić. Może tobie się uda... - Odwrócił się i krzyknął do najbliższej siedzących buntowników, żeby przyprowadzili więźniów.

Już po chwili przywleczono przed nasz namiot związanych mężczyzn. Jeden sędziwego wieku, z gładko wygoloną głową, o twarzy z mocnym podbródkiem, brwiach tak krzaczastych, że do połowy kryły ciemne przenikliwe oczy; drugi - zaledwie młodzieniec, o twarzy, która równie dobrze mogła należeć do kobiety. Pod porwanymi tunikami obydwóch można było dostrzec siniaki i ślady przypalania ogniem.

- Torturowałeś ich? - zapytał Ptasznika.

- Tak, ale bez rezultatów - stwierdził ze spokojem. - Milczą, jakby nie umieli mówić.

- Mały, nawet gdybyś ich zakatował na śmierć, nic byś nie usłyszał... - Ból ulokował się w klatce piersiowej. - Melon, zastrzel starszego Donosiciela... - powiedziałem na tyle obojętnie, na ile pozwalała rozpalona drzazga kalecząca wnętrzności. - Celuj w głowę. I tak nikt nie chce kupować Kwiatów Pamięci Donosicieli...

- Ale... - Harper umilkł na widok mojej twarzy.

Musiałem wyglądać strasznie.

Zbawiciel nie należał do osób, którym należy powtarzać takie polecenia. Wstał, odbezpieczył zabijak, przyłożył do skroni starego i bez zbędnych dramatyzmów nacisnął spust. Łysa głowa rozleciała się jak owoc sokowca, tułów wolno przechylił się i uderzył o ziemię. Z postrzępionej szyi popłynęła struga krwi.

Melon wrócił na miejsce, usiadł i sięgnął po butelkę Egbertsza. Wyraz jego twarzy nie zmienił się ani o jotę.

- Jeśli spotykasz dwóch Donosicieli, z których jeden jest stary, a drugi młody - mimo bólu postanowiłem im wytłumaczyć - są to nauczyciel i uczeń... Od Mistrza nic się nie wydusi nawet najwymyślniejszymi torturami, potrafi wyłączyć ośrodek bólu. Nie boi się śmierci, uważa, że to łaska. Umie też zablokować myśli Terminującego. Dlatego w jego obecności młody, choćby nawet chciał, nic nie powie. Przesłuchajcie teraz szczeniaka, gwarantuję, że zdradzi każdą tajemnicę.

Zmęczyła mnie ta przemowa. Pozwoliłem szczekom zacisnąć się, powstrzymałem okrzyk bólu. Powoli traciłem wzrok. Zamglone obrazy ludzi tańczyły mi przed oczami.



Gdzieś na granicy świadomości krystalizował się obraz kamiennego posągu. Czas kruszył bryłę, fragmenty monumentalnej rzeźby odpadały i ciężko uderzały w mokry piach - na granicy lądu i oceanu.

*...Może istnieje cisza, z której wyrasta kamienny monument twojego przeznaczenia...*

*...Może ta cisza istnieje...*

Spękana bryła odkrywała wnętrze. Pod kamienną powłoką, w szarym przedświcie poranka, odsłaniała się czarna jednolita, idealnie gładka powierzchnia... Metalu?... Skały?... Ocean burzył się i wzbierał, fale białą pianą wściekle chłostały kamienną podstawę, jakby i ją chciały zerwać, jakby właśnie teraz postanowiły całkowicie uwolnić czerń...

*...Przez własną moc To jedno bez tchu oddychało*

*...I nic innego nigdzie poza nim nie było...*

Widziałem ciemną stronę planety, czarne lody, a pod ich powierzchnią czarną głębię bez dna... Oddychała... Ocean falami bólu uderzał w mój mózg... Ostatnim tchnieniem uciekającej świadomości wróciłem na dno kanionu...

- Tobacco... - wykrztusiłem, ledwie rozpoznając swój głos - nie zabijajcie Terminującego... Zaraz stracę przytomność... - rzucałem słowa, choć nie widziałem już twarzy, do których je wypowiadałem. - Nie róbcie nic... Jutro będzie dobrze...

Czerń eksplodowała w mojej głowie. Kruszyły się czarne lody. Czarna czeluść budziła się do życia.

*...Zarodek bytu w pustkowiu ukryty...*

*...Stał się tym jednym mocą swego żaru...*

\*\*\*

W głębokich skórzanych klubowych fotelach przy stoliku siedzieli przewodniczący i senior. Na blacie stał otwarty szampan, którym obaj mężczyźni pełnymi kieliszkami wznosili toast.

- Za jutrzejsze głosowanie...

- Za nowy układ władzy...

Szkoło dotknęło ust, popłynął musujący płyn, mężczyźni z lubością smakowali chwilę zwycięstwa. Trwała cisza, obaj świadomie ją przedłużali, nie chcąc zakłócić nastroju, który zawsze towarzyszy osiągnięciu celu.

- Jest jeszcze parę drobnych spraw, które powinniśmy załatwić.

- Zgadza się, kilka detali wymaga naszego działania. - Senior pokiwał siwą głową. - Na przykład Jean-Claude, który jest pańskim protegowanym.

- Nie ma już problemu Jeana-Claude'a.

- Tak?... Co się z nim stało?

- A czy ja pytałem, gdzie znikli pozostali członkowie zarządu Korporacji Handlu? - Przewodniczący pozwolił sobie na porozumiewawczy uśmiech. - Po prostu każdy z nas znalazł właściwe rozwiązanie...

- Skoro tak... - Senior uznał sprawę za zamkniętą. - Pozostaje zatem tylko kwestia przecieków z układu Eltenery i Garbusa.

- Właśnie, tutaj musimy działać wspólnie. Chciałbym, żeby Areopag, już pod pańskim przewodnictwem, poparł ustanowienie kwarantanny dla obu planet - dopełnił kieliszki szampanem. - Powodem może być... Powiedzmy epidemia... Wyślemy statki do postawienia osłony również wokół Garbusa, polecą z nimi nowy kontyngent Wigilii z nowym dowódcą i z nowymi zadaniami...

- Oczywiście owe zadania nie będą przedmiotem dyskusji na forum Areopagu.

- Oczywiście - roześmiał się przewodniczący. - Demokracja jest pięknym hasłem, tyle że w życiu się nie sprawdza.

- A jakie to będą zadania? - w głosie seniora zabrzmiało skrywane zaciekawienie.

- Pierwsze: zamknąć temat Kurta von Ditleva. - Korpulentny mężczyzna starannie dobierał słowa. - Drugie: przejąć Olimp... Mimo że w tej chwili nie ma transferu Łazarzy, trzeba dmuchać na zimne. Pamiętajmy, że jedyna informacja, jaką mamy o prawdziwym właścicielu Korporacji Handlu, dotyczy właśnie jego pobytu na Eltenerze. Nikt z nas nie chce, żeby wrócił...

- Raczej nie.

- Zatem musimy przejąć Olimp. I wreszcie trzecie zadanie... - Przewodniczący zrobił znaczącą pauzę, jakby starając się o właściwą dramaturgię. - Nowy kontyngent Wigilii zorganizuje od nowa handel Kwiatami Pamięci...

Senior nie zadał pytania, ale jego mina świadczyła aż nadto dobitnie, że bardzo chciałby usłyszeć na nie odpowiedź. Na wyjaśnienia nie musiał długo czekać.

- Żeby skutecznie rządzić, trzeba dwóch rzeczy - przewodniczący mówił spokojnie. - Pieniądzy i władzy nad Areopagiem. Jak skutecznym środkiem nacisku okazała się wiedza o słabości jego członków do Kwiatów Pamięci, przekonaliśmy się podczas dzisiejszego głosowania... A jak wielkie pieniądze przynosi handel nimi, uzmysłowiło nam zablokowane konto Korporacji. Zatem czyż nie byłoby głupotą zrezygnować z okazji, która sama pcha się w ręce?

- Jeśli to wyjdzie na jaw, oskarżą nas o zdradę stanu... - Senior kupił pomysł i tylko starał się rozwiać wątpliwości.

- Nie bądźmy dziećmi, panie marszałku... - Przewodniczący z rozmysłem użył tego tytułu. - Założy się fikcyjną fundację na rzecz rozwoju Eltenery, wypączkuje dwie kolejne spółki zarządzające majątkiem fundacji, na końcu ustanowi legalną firmę, do której będzie spływał kapitał obrotowy... I już... Właściciel ostatniego ogniwa będzie dysponował legalnymi pieniędzmi, a legalne pieniądze może przeznaczyć, na co tylko chce... Na przykład na finansowanie naszej partii. My będziemy mieli czyste ręce. Gdyby ktoś dociekliwy chciał ujawnić handel Kwiatami Pamięci, w co zresztą wątpię, bo skupiamy w ręku wszystkie organa władzy, to winna będzie fundacja, nikt inny...

- Brzmi wiarygodnie, ale wszyscy i tak będą podejrzewali nasz udział.

- Podejrzeniom jeszcze daleko do dowodów! - Pucółowate oblicze zajaśniało uśmiechem. - Co się dobrze składa, bo jak mówi stare przysłowie: „Jeśli nie mogą cię polubić, to niech się ciebie boją”...

- Nowy kontyngent Wigilii trzeba będzie dobrać z wielką starannością - skupił się na szczegółach senior. - Przed nami mnóstwo pracy, ale wszystko dla dobra Zjednoczenia Starych Kontynentów - uśmiechnął się ironicznie.

- Za dobro obywateli naszej planety. - Przewodniczący wznosił kieliszek do toastu. Gdy już wypili, dodał z zastanowieniem: - Jest jeszcze jedna rzecz, o której chciałem nadmienić...

- Tak?... - Senior najwyraźniej uwierzył, że tego dnia mogą go spotkać same dobre rzeczy.

- Skoro chcemy przejąć Olimp... - mówił z namysłem przewodniczący. - Trudno ukryć, że obaj mamy już swoje lata... Czy nie myślał pan kiedyś o nieśmiertelności?

Przyszły marszałek zachłysnął się, posiniał i zaniósł suchym kaszlem. Kiedy ochłonął na tyle, by dobyć głosu, wykrztusił:

- Nie jestem wyjątkiem, każdy człowiek marzy o nieśmiertelności.

\*\*\*

*...Czy zobaczysz senny krajobraz, gdzie krople płynnego światła gasną w lazurowym oceanie...*

*...Czy naprawdę go zobaczysz?...*

Leżałem na piasku, a fale oceanu lizały moje stopy. Nie potrafiłem zrozumieć, dlaczego patrzę na starca siedzącego na wodzie i nie jestem zdziwiony. Jego ubiór nie należał do świata Eltenery, wyglądał raczej jak przestarzały kombinezon przeciążeniowy - wspomagający mięśnie dziesiątkami napinaczy. To też mnie nie dziwiło. Znałem twarz starca, znałem ją doskonale. Pojawiała się prawie we wszystkich moich wizjach. Tubylcy z Rezerwatu mówili na nią: oblicze Pana Porządku Rzeczy. Włosy spływające wężowymi splotami na kościste

ramiona wyraźnie zaznaczone pod stalowoszarą materią kombinezonu, mięsiste usta, które upływ czasu oplótl pajęczyną głębokich zmarszczek, zdecydowany kwadratowy podbródek, zapadnięte policzki porysowane siatką czerwonych żyłek i oczy... Nigdy nie sądziłem, że puste oczodoły mogą odbijać myśli i uważnie, przenikliwie patrzeć... Nigdy aż do teraz...

Zgarnąłem garść piasku. Złote drobiny uciekały między palcami, wracały tam, gdzie ich miejsce, tam, gdzie czekały na nie pozostałe.

- Wszyscy powinni wrócić tam, gdzie ich miejsce - w głowie usłyszałem zgrzytliwy głos.

Widziałem, że obwisłe wargi starca poruszają się w rytm słów, choć były równie nieme jak kamienne usta posągu na plaży.

- Nikt nie zasługuje na życie poza swoim światem! - Ton głosu twardniał i przybierał na sile. - Dlatego zostałeś wybrany... Dopełnisz Porządku Rzeczy, tak jak wskaże ci Klarowna Reguła...

Patrzyłem w oblicze, które zdobiło każdą świątynię Muni. Zauważyłem jednak różnicę - tamte były obojętne, to było złe... Nie umiałem znaleźć źródła nienawiści bijącej z siedzącej na wodzie postaci. Twarz nie zmieniała się, lecz ja czułem teraz zimny powiew, który przydawał sinei barwy dłoniom, soplami lodu wnikał w serce, mroził krew, odbierał oddech.

*...Tę ofiarę bogowie złożyli w ołtarzach*

*...To były pierwsze spośród świętych praw...*

- Nie sprzeciwiaj się mojej woli - słowa wybuchały w mózgu z siłą, od której wibrowały skronie - ja dałem ci życie i ja mogę je odebrać. Źrenice Kurlemu należą do mnie. Ciebie wybrałem, byś uczestniczył w dziele Wielkiego Przeistoczenia... Ciebie wybrałem, byś odnalazł drogę nad brzeg oceanu, gdzie kamienny posąg twojego i mojego przeznaczenia oczekuje kryształów. Ciebie wybrałem, byś zasiadł obok mnie na miejscu, które z racji urodzenia ci się należy... - Z przerażeniem poczułem, że serce jak zgniatane bije coraz słabiej. Dusilem się. - Ale jeśli będziesz nieposłuszny, nie zawaham się, nawet gdybym miał boleć nad tym przez resztę mojego istnienia...

Palce siedzącego na wodzie starca rozchyliły się. Upadłem plecami na piasek. Serce kołatało w przyśpieszonym rytmie. Po policzkach płynęły łzy. Smakowałem każdy oddech jak najwspanialszy napój.

Pan Porządku Rzeczy podniósł się z wody. W jego ruchach dała się zauważyć starcza ociężałość, jakby wiek doskwierał boskiej postaci. Ruchem ręki rozgonił lazurowe wody oceanu, otwierając suchą drogę po dnie. Patrzyłem na szereg pokruszonych kamiennych obelisków, które od posągu na plaży wiodły w głąb oceanu. Starzec zstąpił na ścieżkę

wytyczoną przez skalne bryły i z trudem powłócząc nogami, ruszył pomiędzy ścianami wody. Kiedy dotarł do pierwszych kamiennych odłamków, odwrócił się w moją stronę.

- Nie masz wiele czasu, Escobarze. - Tym razem słowa rozbrzmiewające w mojej głowie nie były groźbą, raczej pozbawioną emocji informacją. - Odwiedzisz swojego następcę... Tam, gdzie teraz nam posłuszny Woorg przechowuje dusze nowego rajy... Słuchaj ich uważnie... Wiedza ta uczyni cię potężnym. Dla naszej chwały.

Ciężko ruszył w dalszą drogę. Za jego plecami ocean zamknął się w rozpryskach piany, jakby z gniewem, że kazano mu odkryć tajemnice tak skrętnie skrywane pod powierzchnią.

Wstałem. Miałem zdrętwiałe nogi, które z trudem utrzymywały mnie w pozycji pionowej. Nie wiem dlaczego, ale zapragnąłem podejść do brzegu. Na piasku wokół leżały fragmenty rzeźby, które wiatr, ocean i upływ lat oderwały od posągu. Oderwały?... Patrzyłem na czarną płaszczyznę widoczną w miejscach, gdzie odpadła kamienna powłoka. Odpadła?... A jeśli wyryta na kształt Pana Porządku Rzeczy skała była tylko skorupą? Skorupą, która pękała, by uwolnić nowe życie? Życie czarnego, mrocznego monumentu...

Opuszkami palców dotknąłem idealnej gładzi. Poczułem ciepło płynące z ciemnej powierzchni, ciepło, które wędrowało moim ramieniem, rozlało się na barku i rozpalonym żarem ulokowało w piersi. Opuściłem głowę. Wzrok napotkał kieszeń kurtki, w której schowałem Źrenice Kurlemu. Niecierpliwie rozsunąłem zamek i wyciągnąłem kryształ. Były gorące... Pajęczce rubinowe niteczki wewnątrz nich tańczyły jak szalone, a tuż pod misternie szlifowaną gładzią błyskały miliony iskier.

Oderwałem palce od czarnej bryły. W tej samej sekundzie skończył się rozszalały ruch wewnątrz kryształów, a żar przeszedł w łagodne, delikatne ciepło. Źrenice Kurlemu... Usłyszałem huk. Pękł kolejny fragment kamiennej powłoki.

Spojrzałem na ocean. Nie było śladu po drodze wiodącej pod powierzchnię. Fale ze zwykłą powolnością uderzały o brzeg i cofając się, zostawiały mokry ślad. Ocean przybierał szarą barwę. Nagle fale przestały kreślić linie na brzegu. Jakby ktoś wrzucił ogromny głaz w środek, wodne garby zaczęły się rozchodzić kuliście, nakładać, mieszać, zwijać. Nie było już harmonii plaży, oceanu i nieba. Żywioły przemieszały się, tworząc splecione zwoje.

Bez mojego udziału stopy poniosły mnie na spotkanie wody. Wchodziłem coraz głębiej w poskręcaną otchłań. Wijąca się kipiela zalewała mi usta. Nie wiedziałem, czy oddycham. Nie umiałem już rozpoznać kierunków, byłem zawieszony w szarej masie poskręcanych zwojów. Kiedy przestałem odczuwać lęk, kiedy przestałem odczuwać cokolwiek, z falującego chaosu zaczęła wyłaniać się twarz... Twarz nieznaną mi kobiety...

- Escobarze - padły słowa wypowiedziane lekko chrapliwym głosem - nazywam się

Cornelia Manecke, jestem żoną Petera Manecke, króla imperium medialnego.

Zastanowiłem się, czemu mi to mówi, a ona odpowiedziała, jakby czytając mi w myślach.

- Masz mnie uwolnić! - cedziła tonem nawykłym do rozkazywania. - Pieprzę wakacje w Rezerwacie, chcę natychmiast wrócić do swojego ciała na Ziemi! Kontrakt mi to gwarantuje!

Uśmiechnąłem się. Nie byłem już zawieszony w szarych zwojach galaretowatej wody. Siedziałem na wysokim fotelu pośrodku okrągłej sali. W cieniu kolumn otaczających pomieszczenie widziałem inne postaci, ale te bały się wyjść z mroku. Jeszcze nie teraz...

- Uklęknij, kobieto - powiedziałem spokojnym głosem - i przypomnij sobie, co dobrego zrobiłaś w życiu.

Niepokoił mnie mój ton - wyniosły, władczy, ostateczny. Niepokoili mnie moje słowa.

- Co?! - zachłysnęła się własnym oddechem. - Przecież...

- Odejdź - rzekłem bez emocji - nie zostałeś wysłuchana, nie znalazłem w twoim życiu powodu, który by mnie przekonał...

- Przecież mam dziecko!

- Tak, ale ono nigdy nie miało ciebie... - Odprawiłem ją ruchem dłoni.

Szare zwoje wessały twarz kobiety. Nie było już Corneli, została po niej nicłość. Zapomniałem jej twarz w tej samej chwili, w której zniknęła.

Przede mną klęczał mężczyzna. Nazywał się Martino Rossi, był prezesem Północnej Kompanii Energetycznej. Młody człowiek, mógł mieć trzydzieści, trzydzieści pięć lat. Odziedziczył bogactwo, nigdy nie musiał pracować. Wydawało mu się, że właśnie taki jest świat - zamożny. Nie widział nic zdrożnego w korzystaniu z pieniędzy, w zaspokajaniu potrzeb, których cena dla innych była abstrakcją. Żył na szczycie, dostrzegał tylko tych, którzy byli równie wysoko jak on. Nie miał zielonego pojęcia, że gdzieś tam, w dole, istnieje inny świat. Nie mógł mieć pojęcia, bo niebem tamtego świata była jego ziemia.

Zanim otworzył usta, wiedziałem, o co poprosi. Wiedziałem, o co poproszą oni wszyscy. Chcieli wrócić na Ziemię, do swojego dawnego życia, pragnęli odzyskać ciała, a wraz z nimi pieniądze, władzę i przywileje. Wciąż jeszcze wierzyli w moc podpisanego kontraktu. Nie potrafiłem im wytłumaczyć, że papier tutaj się nie liczy.

Popatrzyłem na strop sali, który już nie był szarymi posplatanyymi zwojami. Teraz w jego miejscu tworzyło się bagno. Czarna otchłań szlamu pulsującego wewnętrznym oddechem. Była noc. Dlaczego noc, skoro w sali panowała jasność?... W mrocznych pokładach szlamu przewalały się tysiące wynędzniałych postaci, ich brudne ciała, ich chude ręce, ich rachityczne nogi... Tłuste bąble pękały na powierzchni mułu, uwalniając tylko odór

zgnilizny. Była noc. Dlaczego noc, skoro w okrągłym pomieszczeniu królował blask?... Na mieniącą się posadzkę wkroczyły dwie radosne postaci - mężczyzna i kobieta. On przystojny, ubrany w misternie haftowane szaty, z twarzą, która promieniała wewnętrzną dumą; ona uwodzicielska, uśmiechnięta, równie zadowolona jak jej partner. Szli w moją stronę. Nad nimi przelewało się bagno głów, rąk, nóg, ust wypełnionych szlamem. Moczary. Zgnilizna. Odór butwiejącej materii.

Była noc. Dlaczego noc?... Przecież nie brakowało światła, kiedy wstałem z krzesła na podwyższeniu. Moje ciało było szlamem, na polerowane stopnie spadały czarne śmierdzące płaty mułu. Stałem w bezruchu. Czułem, że zamiast ust mam błoto, że serce jest kawałkiem gnijącej tkanki, że oddychając, uwalniam pęcherze z najciemniejszych głębin moczarów...

Uśmiechnięta kobieta zbliżyła się do mnie.

- Ty jesteś Morsej? - zapytała. Patrzyłem na nią. Czułem, jak odpadają ze mnie całe kawały błota. Tylko taki ruch towarzyszył mojemu oczekiwaniu. Ona, wciąż z zadowoloną twarzą, znowu zadała pytanie: - Dlaczego się nie uśmiechasz, Morsej, przecież przed tobą nowe życie... - Jakby szukając wsparcia, spojrzała na ukochanego.

Złapałem mężczyznę za krtań. Słyszałem, jak chrzęści jego miążdzona tchawica, jak z ust ulatuje ostatni oddech... Rozchyliłem butwiejące palce. Upadł na świecące schody.

Gdzieś ze stropu, gdzieś spośród ciał przypominających czarne szkielety doleciał pytający szept:

- Dlaczego się teraz nie uśmiechasz, Elizabeth, przecież dałaś nam nowe życie?...

Oczy kobiety ciemniały coraz bardziej, twarz traciła różowy odcień, skóra wiotczała, mięśnie zaczynały gnić. Ciało zmieniało się w cuchnący szlam, gnijącą materię, bagienny odór. Nadchodziła noc. Dlaczego noc?...

Ktoś dotknął mojego ramienia, popłynęły słowa.

- Witaj, Escobarze, wybrańcze Pana Porządku Rzeczy. - Ciepły spokojny głos dobiegał zza pleców. Wolno odwróciłem głowę. Za mną stał uśmiechający się smutno mężczyzna. - Nazywam się Sasza Stiepanow, na Eltenerze mówili na mnie Dwan Deborah Keene - powiedział przepaszająco, jakby martwił się, że marnuje mój czas. - Nie chcę cię prosić o uwolnienie mojej świadomości - dodał, usprawiedliwiając się.

Patrzyłem na blondyna o czarnych oczach, ostrym nosie i ustach, na których błąkał się półuśmiech. Ta twarz sprawiała wrażenie nieobecnej, dalekiej od wszystkiego, co nosiło znamiona tu i teraz... Zwracający się do mnie człowiek był kiedyś Pierwszym Dekoderem Przypadku Kongregacji Białego Oficjum. Posiadał mądrość, jaka nigdy nikomu wcześniej nie była dana. Poznał Klarowną Regułę, Teorię Pragenezy, a potem odszedł, by stanąć na czele

buntu...

- Tak, Escobarze - stwierdził smutno. - Mądrość nie daje radości, nie zbawia od trosk, nie czyni wolnym od smutku, nie leczy ran.

Wiedziałem, że Sasza Stiepanow - że Dwan Deborah Keene - chce powiedzieć mi coś bardzo ważnego, coś, co czekało we mnie przez całe życie i nigdy się nie narodziło.

- To imię, Morsey, znam je... - raczej zapytałem, niż stwierdziłem.

- To ważne dla ciebie imię, znasz je z bardzo dalekiej przeszłości... Spotkasz tego, kto nosił je kiedyś. Tak chce Porządek Rzeczy.

- A Klarowna Reguła? Poznałeś ją - pytałem czując, że słowa niosą ulgę rozpalonym skroniom.

Z wciąż tym samym nieobecny uśmiechem pochylił się do mnie i cicho wyszeptał jedno zdanie...

Nie uwierzyłem. To nie mogło być takie proste. Dwan Deborah Keene, Pierwszy Dekoder Przypadku Kongregacji Białego Oficjum, który spędził lata na poszukiwaniu prawdy zawartej, jak się okazało, w jednym prostym zdaniu... Dla niego poświęcił życie? Poświęcił tysiące innych istnień? Dla tego krótkiego stwierdzenia?

- Wiem, że trudno w to uwierzyć, ale jeśli oczekiwałeś zawiłych prawd, nie mam ich dla ciebie - pokręcił głową. - Jeśli szukasz odpowiedzi, Klarowna Reguła wyjaśni ci każde zdarzenie. To, które było, i to, które dopiero nastąpi. Musisz tylko wyjść poza pozorną oczywistość znaczeń.

Zobaczyłem oczy dzikiej kobiety obok wyłupiastych oczu Melona. Z tyłu wschodziła Ti-Dejanira. Wiedziałem, że mój czas się kończy. A miałem jeszcze tyle wątpliwości...

- Chcesz zapytać o Żrenice Kurlemu? - Sasza przegarnął szopę lnianych włosów.

Chciałem.

- Z posągu nad brzegiem oceanu rodzi się czarny twór. Nie pytaj, czym jest, wiem tylko, czego chce - mówił z zastanowieniem. - Pragnie, byś umieścił Żrenice Kurlemu w pustych oczodołach monumentu. Wtedy otworzy wrota do Pana Porządku Rzeczy, by mogło dokonać się Wielkie Przeistoczenie. Ty jesteś wybrańcem...

Czułem duszny zapach kadzidel z ziołami. Z oddali dobiegał krzyk Ptasznika:

- Budzi się!

- A Teoria Pragenezy? - próbowałem zatrzymać rozmazujący się obraz Saszy, ale on wyraźnie gasł.

- Poznałem tylko skutki, nie przyczyny... - doleciał mnie jeszcze cichnący głos. - Może tobie uda się zrozumieć.



- Jezu, Esco, żyjesz... - patrzyła na mnie topornie ciosana, ale prawdziwa twarz Melona. Spróbowałem poruszyć dłońią - udało się bez problemu. Żyłem.

\*\*\*

W sali strojenia, przed wielkim kryształowym słojem z mózgiem Woorga, stali przytuleni Efram i Aida. W spojrzeniu Stroiciela była miłość - bezgraniczna, oddana i czuła.

- Wybraniec tu był... - wyszeptał Efram, by nie spłoszyć ulotnej więzi. - Escobar rozmawiał z duszami w moim czyścu.

- Taka była wola Pana Porządku Rzeczy, by ziarno, kiedy wszędzie, mogło zrodzić owoc Przeistoczenia.

- To ziarno, o którym mówisz, jest jego synem, nosisz go w łonie... - Stroiciel spojrzeniem dotknął brzucha Aidy, w jego wzroku była duma.

- Tak, Eframie, syn Escobara jest Prawdziwym Człowiekiem, od dawna oczekiwanym przez Pana Porządku Rzeczy - jakby wiedziona jego spojrzeniem położyła dłoń w miejscu, gdzie wschodziło nowe życie. - Ty zaś zaopiekujesz się i mną, i nim...

\*\*\*

Ti-Dejanira wschodziła w szczelinie między skalnymi ścianami kanionu. Zapowiadał się dzień z suchym wiatrem Enlil. Już teraz pierwsze drobiny pyłu znad płaskowyżu Azenhoorn tańczyły w chłodnym powietrzu poranka. Zwiastowały mającą nadejść wieczorem burzę.

- Esco, chłopie - Melon tarł mi mnie niczym swojego ulubionego pluszowego misia - już żegnaliśmy się z tobą... w życiu nie widziałem kogoś, kto by umierał tyle razy w ciągu jednej nocy.

Nie wiedziałem, co mu odpowiedzieć. Nie tylko on wpatrywał się we mnie z niedowierzaniem. Tobacco i Lee w zdumieniu kiwali głowami, nie do końca przekonani, że jestem już z powrotem. Poczulem dym palonych ziół. Spojrzałem w bok. Klęczący nad ogniskiem Wyspiarz co chwilę dorzucał do stojącego w żarze naczynia nową porcję suszonych liści i monotonnie recytował zaklęcia.

- Kurwa... Mówiłem... Żadnego ognia! - przywitałem ich wszystkich gardłowo.

Ucieszyli się, że mówię.

- Esco, jesteś największym sukinsynem, o jakim kiedykolwiek słyszałem! - Ptasznik klepał się radośnie po kolanach. - Widzisz - odwrócił głowę w stronę Harpera - nic z tego, co o nim mówiłem, nie było przesadzone.

Przyglądała mi się jeszcze dzika kobieta, a w jej w dużych oczach malowała się wdzięczność. Jakbym był opiekunem, który nie zostawił jej samej.

Dźwignąłem się z maty i w tej samej chwili zauważyłem, że jestem mokry. Na moje pytające spojrzenie Melon pośpieszył z wyjaśnieniami.

- Człowieku, pocileś się tak, że wiadrami można by zbierać. Gdyby nie ona - ruchem głowy wskazał Eolkę - toby z ciebie został suchy wiór. Rzucałeś się, musieliśmy cię trzymać, bo chciałeś wszystkich dusić, raz przestało ci bić serce, i to na tak długo, że już zaczęliśmy myśleć, gdzie cię pochowamy... A tego, co wyrzaskiwałeś i bełkotałeś... Chłopie, takiej nocy jeszcze nie przeżyłem.

Pamiętając wizje, mogłem to sobie wyobrazić. Ale wstawał nowy dzień, a każdy następny miał sens tylko wtedy, gdy choćby o krok zbliżał mnie do Larommy i Rodryga.

- Czegoście się dowiedzieli od Donosiciela?

- Miałeś rację - z głosu Ptasznika przebijało niekłamanie uznanie. - Jak tylko głowa Mistrza opuściła kark, młody zaczął opowiadać, zanim zdążyliśmy mu zadać pytanie.

- I jakie nowiny?!

- Rodryg Ort de Saintre razem ze swoją armią wymaszerował z Zamku Purpurowego Rogu. Ich celem jest Olimp, tam podobno niejaki Juda z Rotterdamu zbuntował oddziały Uttu Uttugena i objął dowództwo. Jest po naszej stronie i z częścią jednostek zmierza na Zamek Purpurowego Rogu...

Imperium Larommy i Carla Fuentesesa kruszyło się jak kamienny posąg...

- Terminujący wiedział, gdzie jest Olimp?

- Na granicy Stref Mirażu i Przełomów Bramos, w miejscu, gdzie przebiegał stary szlak do Złotego Miasta, nieomal nad brzegiem oceanu. - Tobacco cieszył się, że nie umknęła mu żadna istotna informacja. - Trzeci z decyzerów, Umberto elPassa, ze swoimi oddziałami idzie na twierdzę Uttu, żeby dobić ostatnich buntowników - referował. - Aha, Donosiciel twierdził, że kapłani Muni we wszystkich świątyniach rozgłaszają, że na Eltenerze pojawił się Wybrany... - Popatrzył na mnie z zastanowieniem. - A imię jego... Escobar...

- Mam nadzieję, że Terminujący żyje.

- Żyje, tak jak kazałeś. - Lee najwyraźniej zaczynał rozumieć swoje miejsce w szeregu. - Dałem mu też słowo, że nie zginie z rąk naszych.

Uśmiechnąłem się. W ostatnich sylabach pojawiła się nuta prośby. Dał słowo... Gdybym miał inne plany, Terminujący dokonałby żywota w ułamku sekundy. Bez względu na dane słowo. Ale tym razem mogłem przywrócić Szeszelowi odrobinę godności. I nic mnie to nie kosztowało.

- Dobrze zrobiłeś, dotrzymam twojej obietnicy - powiedziałem, patrząc w rybie oczy Harpera. - Chciałbym z nim porozmawiać.

Zanim przebrzmiał ostatni wyraz, Lee już pogonił dwóch Yeomenów po więźnia. Chyba odczuwał wdzięczność... Pozwoliłem mu zachować twarz, respektowałem jego słowo.

Kiedy postawiono przed nami Terminującego, ten upadł na kolana i bijąc głową o ziemię, przerażony błagał:

- Nie zabijajcie mnie, powiedziałem wszystko, nie zabijajcie...

- Uspokój się, nikt nie chce cię zabić - starałem się nadać głosowi przekonujące brzmienie.

Niestety młody Donosiciel przekroczył granicę, za którą króluje już tylko paniczny strach.

- Nie zabijajcie, błagam, zrobię, co chcecie - bełkotał obojętny na wszystko, co działo się wokół - nie zabijajcie...

Podszedłem do niego, schyliłem się i otwartą dłonią uderzyłem go w twarz. Poskutkowało. Zamilkł w pół słowa. Patrzył na mnie szeroko otwartymi oczami, na których dnie powoli zaczęły się pojawiać ogniki świadomości.

- Nie zamierzam ci zrobić krzywdy - jeszcze raz spróbowałem się przebić przez kurtynę przerażenia. Udało się, słuchał. - Zaniesiesz wiadomość swojemu panu, Rodrygowi Ort de Saintre. Powiesz mu, że Escobar zmartwychwstał i już niedługo przyjdzie po niego. - Na dźwięk mojego imienia Donosiciel szerzej otworzył oczy, ale bał się odezwać. - Przyjdę wyrównać rachunki z nim i jego... - przez chwilę zastanawiałem się, jakiego użyć określenia - i jego dziwką... Powtórzysz dokładnie moje słowa! - Sprawdziłem, czy rozumiał. - I powiesz mu, że Escobar ma Źrenice Kurlemu.

Z kieszeni na piersiach wyciągnąłem kryształ. Podsunąłem je pod nos Terminującego, tak żeby mógł prawdę moich słów potwierdzić naocznym świadectwem.

Pewnie gdybym uderzył piorunem, efekt nawet w połowie nie byłby tak niezwykły. Donosiciel przewrócił oczami, a gdy tęczęwki uciekły pod powieki, z nabożną czcią jął trajkotać:

- Wybrany, Wybrany Pana Porządku Rzeczy, Wybrany...

Harper i Tobacco obrzucili mnie spojrzeniami, jakby widzieli mnie po raz pierwszy. Najbliżej stojący Bojownicy, którzy słyszeli słowa Donosiciela i zauważyli mieniące się na mojej dłoni Źrenice Kurlemu, poczęły klękać i głowami dotykać spękanej ziemi. Szmer modlitw niósł się coraz dalej, kolejni żołnierze padali na kolana i kornie chylili czoła. Na szczęście Melon pozostał przy zdrowych zmysłach, o ile w jego przypadku było to w ogóle możliwe.

- No to, Esco, zostałeś jakimś pieprzonym guru... - Uśmiechnął się. - Robi się coraz

ciekawiej.

Schowałem Żrenice Kurlemu do kieszeni. Wiedziałem już, co chcę uczynić.

- Uwolnij Donosiciela - poleciłem Harperowi.

Terminujący podniósł się z klęczek, nie wierząc we własne szczęście. Odchodził powoli, cały czas oglądając się, czy ktoś nie strzeli mu w plecy. Kiedy jego sylwetka była tylko punktem, spojrzałem w rybie oczy Harpera i zanim spuścił wzrok, z naciskiem zapytałem:

- Dalej chcesz walczyć z Kongregardami?

Milczące potakiwanie było odpowiedzią.

- Jeżeli mnie posłuchasz, będziesz miał szansę poprowadzić swoich ludzi być może nawet do zwycięstwa... Ale musisz zgodzić się na moją propozycję.

- Lee, zgódź się. - Tobacco w obawie o reakcję Harpera wolał uprzedzić fakty. - Nikt tak jak Escobar nie zna się na walce i nikt nie wie o Eltenerze tyle co on.

- Nie usłyszałem jeszcze szczegółów propozycji. - Szeszel pozostał ostrożny. Nie dziwiłem się, to leżało w naturze jego klanu, żadne decyzje nie zapadały od razu, a już szczególnie te niosące za sobą konieczność walki.

- Weźmiesz trzystu ludzi i razem z Ptasznikiem ruszycie pod Olimp - uniesioną dłonią powstrzymałem jego pytanie. - Według słów Donosiciela jest tam część oddziałów Uttu Uttugena zostawiona przez Judę z Rotterdamu. Dołączycie do nich. Jeśli ruszycie niezwłocznie, będziecie mieli na miejscu mnóstwo czasu, żeby przygotować szańce, stanowiska, osłony i pułapki. Teren starego szlaku do Złotego Miasta będzie waszym atutem. Jeśli dobrze zaplanujecie bitwę, to nawet przeważające siły Kongregacji nie zdołają wykorzystać swojej przewagi. Teraz możesz zadać pytanie - pozwoliłem mu zaspokoić ciekawość.

- A jeśli Rodryg dotrze tam przed nami?

Mogłem się spodziewać takiego pytania po Szeszeli - ostatniego, jakie by zadał ktoś choć trochę znający się na walce. Miałem tylko nadzieję, że Tobacco będzie go chronił przed głupimi decyzjami.

- Armia Białego Oficjum, z ciężką bronią, kurtynami zaporowymi, oddziałami pancernymi, wozami z amunicją i zaopatrzeniem, ze zwiadowcami badającymi możliwe potencjalne zagrożenia, z rozwijaniem obozu na każdą noc, z omijaniem miejsc, które są trudne do pokonania dla wojska, ta armia, żeby dotrzeć z Zamku Purpurowego Rogu do granicy Stref Mirażu i Przełomów Bramos, potrzebuje najmniej piętnastu dni. Rodryg nie może wysłać przodem lekkich oddziałów, bo jeśli pod Olimpem są jednostki pozostawione

przez Judę z Rotterdamu, wysłałby swoich ludzi na pewną śmierć. Zatem musi dotrzeć na miejsce z całą potęgą, jeśli myśli o pewnym i szybkim zwycięstwie. - Szeszel słuchał mojego wywołu, jakbym objawiał niedostępne innym prawdy. - Ty z trzystu buntownikami możesz być na starym szlaku do Złotego Miasta najdalej za pięć dni. Jeśli masz jakieś wątpliwości, niech Ptasznik potwierdzi moje słowa.

- Lee, to nie są żadne spekulacje. - Mały pośpieszył z zapewnieniem. - Escobar przedstawił fakty.

- Dobrze. - Szeszel nie zrezygnował jeszcze z wrodzonej ostrożności. - Ale dlaczego mówiłeś o trzystu buntownikach, skoro nas jest pięciuset?

- Przynajmniej umiesz liczyć - irytowała mnie konieczność tłumaczenia spraw oczywistych. - Chcę wybrać dla siebie dwustu najlepszych żołnierzy, uszczknąć co nieco z twoich zapasów i ruszyć naprzeciw armii Rodryga...

- Jesteś bez szans! - Miałem coraz większe wątpliwości, czy Lee jest zdolny przewodzić komukolwiek. - Z taką garstką przeciwko potędze Białego Oficjum...

- Lee, ja nie zamierzam wydać mu bitwy - zachowałem jeszcze resztki cierpliwości. - Słyszałeś kiedyś o wojnie podjazdowej?

- Escobar będzie go tylko nękał - Ptasznik też tracił spokój - tak jak my wcześniej chcieliśmy walczyć. Nawet nie wiesz, jak bardzo można utrudnić marsz, złamać morale wojska i osłabić przeciwnika, jeśli ktoś potrafi prowadzić taką kampanię.

- A on potrafi?

To tylko Szeszel, powtarzałem sobie w duchu, to tylko Szeszel.

- Zapewniam cię, Lee, że potrafi... - Słowa małego zabrzmiały złowieszczo. - Już raz zabił Rodryga Ort de Saintre...

Zapadło milczenie. Wszyscy wpatrywali się we mnie, szukając potwierdzenia. Tylko że tego nikt nigdy ode mnie nie usłyszy.

Pamiętałem doskonale... Ponad trzydzieści lat temu czasu Eltenery... To była pora południowych burz, statek Korporacji Handlu odbierał kolejny ładunek Kwiatów Pamięci. Interes rozwijał się wspaniale, nie mogliśmy się wyrobić z realizacją zamówień. Od Larommy nadchodziły nowe zlecenia, moi Skórnicy nie nadążali z wyszukiwaniem wystarczająco atrakcyjnych dawców. Już wtedy prowadziliśmy - jak ona to określała - kreatywną politykę pozyskiwania towaru. Moi ludzie z dawnego oddziału Wigilii mieli pełne ręce roboty. Tobacco Ptasznik, Stary Lou, Skiddy Frank, Bert, Emerling, Sanchez, Bethold i kilku innych. Kreatywnie pozyskiwali towar - jeśli mieli zlecenie na Kwiat Pamięci namiestnika, a takiego nie było akurat na Polach Zmarłych, ginął w niewyjaśnionych okolicznościach: wybuchała

epidemia albo truli go wrogowie, albo skrytobójczy strzał kończył jego istnienie, albo...  
Możliwości było wiele. Tyle, ile sposobów na zabijanie. To wtedy zaczęto nazywać mnie mrocznym wysłannikiem Ergala, pana czarnych lodów śmierci...

Pamiętam doskonale... Kiedy kończyliśmy załadunek, skały wokół statku zaczynały świecić - jakby tuż pod ich powierzchnią płonął ogień. Nadciągała południowa burza, pierwsze błyski wyładowań rwały szarą oponczę nieba na horyzoncie. Właśnie wtedy jeden z członków załogi przyszedł powiedzieć, że dostałem przekaz z Ziemi. Laromma...

*Kochany, pojawiła się sprawa strategiczna dla przyszłości naszej firmy. Musisz zająć się nią osobiście, nikt inny nie powinien wiedzieć. To zlecenie jest w tej chwili najważniejsze, reszta może poczekać. Tak bardzo pragnę Ciebie nocą, ale to cena, którą trzeba zapłacić. Musisz, Escobarze, musisz zabić Rodryga Ort de Saintre. Jak najszybciej. Jego Kwiat Pamięci dostarczysz osobiście. Carlo strasznie na to nalega. Wreszcie się spotkacie... Bardzo mu na tym zależy. Mnie też... Wierzę w Ciebie, kochany. Zabij Rodryga. Próbuję zasnąć... Czy jesteś świadom, że przetrwałam tylko dzięki czekaniu na Ciebie?... Zabij go, a zobaczymy się już wkrótce...*

*Twoja Lara.*

Pamiętam doskonale... Polowałem na niego całe trzydzieści dni południowych burz. Towarzyszył mi mały Tobacco Ptasznik, najbardziej zaufany ze wszystkich kompanów. Wtedy mieliśmy pięćdziesięciu Wyspiarzy. Nikt tak nie nadawał się do łowów jak oni. Zabijanie mieli we krwi, polowanie i walka stanowiły ich życie. Krępi, o białej cerze, rogowych łuskach zamiast włosów, na krótkich nogach osadzonych w szerokich masywnych biodrach, o potężnych ramionach i dłoniach, w których bez trudu kruszyli małżowce - klan, który nigdy nie rozumiał pokoju.

Pamiętam doskonale... Ostatnie wyładowania gasły na niebie. Zza sinej mgły wyłaniały się fragmenty granatowego nieba. To był jeden z kraterów Gór Pumeksowych, tam dobiliśmy resztki gwardii Rodryga Ort de Saintre. On sam leżał ranny na noszach wleczonych za baktrianem, w pokrwawionej zakurzonej zbroi, bez broni, bez oznak władzy, samotny...

Pamiętam doskonale... Jego zdziwione - nie przerażone, ale właśnie zdziwione - oczy. Wiedział, że ściga go Escobar, że złowieszczy zwiastun śmierci przybył po jego głowę, że oto nadchodzi kres życia po jasnej stronie Eltenery; wiedział, lecz nie rozumiał dlaczego. Pytające spojrzenie utkwiał w mojej twarzy, jakby za skorupą zaschniętego brudu chciał znaleźć odpowiedź. Przecież w zamian za broń sprzedawał mi głowy. Jego Kongregacja Białego Oficjum chroniła mnie, moich ludzi i moich Skórników. Byłem goszczony na Zamku Purpurowego Rogu. Nie rozumiał, dlaczego teraz przyszedłem go zabić.

Pamiętam doskonale... Nie potrafiłem znaleźć słów. Kreatywne pozyskiwanie towaru? Strategiczny dla firmy Kwiat Pamięci? Życzenie Carla? Cena za spotkanie z Larommą? Nie, nie powiedziałem mu, dlaczego musi umrzeć. Nie pozwoliłem też, by zabił go ktokolwiek inny. Chciałem znać cenę przyszłości. Wspólnej przyszłości.

Pamiętam doskonale... Wtedy jeszcze wierzyłem Larommie. Wierzyłem w wielką miłość, która jak każda idea wymaga ofiar. Zabiłem go, wierząc w nią.

*Powiedziałeś mi najbardziej bolesną prawdę o mnie. Escobar, nie zostawiaj mnie, pomóż mi się z tym uporać. Zrobię wszystko, jesteś moim życiem. Ostatni raz... Jak nie sprostam, odejdziesz. Błagam, daj mi spróbować to zmienić, zmienić siebie, ale z Tobą. Ostatni raz, ostatnia szansa... Zaryzykuj ostatni raz. Ja nie chcę żyć bez Ciebie...*

*Lara.*

- Muszę zwołać żołnierzy. - Harper wreszcie podjął decyzję. - Zapytam, którzy będą chcieli z tobą pójść.

Byłem cierpliwy, ale nie aż tak. Ten Szeszel doprowadzał mnie do wrzenia.

- Lee, jeśli musisz pytać swoich ludzi o cokolwiek, strzel sobie w łeb od razu! Albo ja ci strzelę... Wybiorę Bojowników i nikt nikogo nie będzie pytał o zdanie! Zrozumiałeś?!

Mrugał tymi swoimi rybimi powiekami z prędkością, która świadczyła o najwyższym podnieceniu. Tylko czekałem, żeby zrobił choć jeden ruch... Kątem oka widziałem, że Melon też oparł dyskretnie palec na spuście phobosa. Harper łapał powietrze nerwowymi, płytkimi oddechami, po czym cały jego zryw skończył się równie szybko, jak zaczął. To był jedynie Szeszel, może wiele zmieniło się na Eltenerze, ale Szeszele pozostali tacy sami.

- Widzę, że nie jestem potrzebny - odwrócił się i odszedł w stronę, gdzie stały juczne baktriany.

Nie chciałem dodawać, że ma rację.

- Esco, pójdę z tobą. - Tobacco wyrwał się, jakby tylko czekał, aż Harper odejdzie. - Wiesz, że umiem walczyć.

- Właśnie dlatego, mały, chcę, żebyś poszedł z nim - ruchem głowy wskazałem oddalającą się postać. - Jeśli ten Szeszel będzie dowodził przeciwko armii Rodryga Ort de Saintre, to od razu możemy odtrąbić klęskę. Naszą! Masz przypilnować wszystkich przygotowań, dodać żołnierzom otuchy, zaplanować bitwę, znaleźć mądrych dowódców oddziałów i przydzielić im właściwe zadania, a przede wszystkim trzymać Harpera z dala od dowodzenia czy choćby decydowania o czymkolwiek. Jeśli będzie miał wątpliwości... Zabierz go w ustronne miejsce, tak żeby żaden z żołnierzy nie widział, i po prostu zastrzel. - Dostrzegłem zdziwioną minę Ptasznika. - Ja nie żartuję, Tobacco, zastrzel go, jeśli nie chcesz,

żebyśmy wszyscy zginęli w tej bitwie. Żołnierzom powiesz, że wzorem dawnych bohaterów złożył bogu ofiarę ze swojego życia, ofiara została przyjęta, a Pan Porządku Rzeczy przyrzekł Armii Sprzymierzonych wspaniałe zwycięstwo. To zawsze działało.

- Szkoda, że nie mogę iść z tobą. - Nie pytał więcej o Szeszela. Zrozumiał, zapamiętał, zaakceptował.

- Mały, ilu macie Wyspiarzy? Chciałbym wziąć wszystkich.

- Będzie z osiemdziesięciu - Tobacco odpowiedział z zastanowieniem - ale chyba wiesz, jak trudno utrzymać ich w ryzach... w walce żaden rozkaz do nich nie dociera.

- Poradzę sobie. A co z uzbrojeniem?

- Pełen zestaw broni ręcznej, zabijaki łokciowe, drassery, lance wibracyjne, miotacze, granatniki i jeszcze parę detali z lekkiego wyposażenia. - Ptasznik patrząc w niebo, przypominał sobie, czym dysponuje. - Z dalekiego zasięgu są kartacznice, plazmery, ładunki kompensacyjne, kilka mnemotycznych jaj, miotacze kumulacyjne. Poza tym mamy cztery kurtyny osłonowe, nawet jedną wężownicę.

- To będzie potrzebne wam - przerwałem mu. - A miny?

- Jakie tylko sobie zażyczysz, pełen asortyment - pochwalił się z dumą. - Tego akurat w twierdzy Uttu było pod dostatkiem.

- No to jesteśmy wyposażeni - uśmiechnąłem się do Melona, który z zadowoleniem słuchał listy. - Dobrze, Ptasznik, zbierz ludzi, chciałbym wybrać najlepszych... Aha, jeszcze jedna sprawa - zatrzymałem go na chwilę. - Mam prośbę.

- Tak?

- Jest z nami zdziczała Eolka - pokazałem na dziewczynę, która obserwowała nas z daleka. - Zabierzcie ją ze sobą, z nami raczej nie ma szans na przeżycie.

- I niech jej się żadna krzywda nie stanie! - w głosie Melona pojawiła się ukryta groźba. - Jeśli ktoś ją tknie... - zawiesił głos.

Podąłem dłoń Ptasznikowi.

- Mały... Dobrze było cię spotkać...

Odwzajemnił uścisk.

\*\*\*

Miasto Agbar - największe w krainie dorzecza Alcatés, siedziba namiestnika Etylen Mar - miało dzisiaj wielkie święto. Najpotężniejszy z decyzerów Białego Oficjum - Rodryg Ort de Saintre - razem ze swoją armią zatrzymał się tu na wypoczynek. Nigdy wcześniej nie goszczono w Agbarze tak znamienitego gościa, dlatego ulice były kolorowe od chorągwi i girland, wysypane grubą warstwą wonnych kwiatów, po których godnie mogli stąpać



Kongregardzi.

Z Wielkiego Placu Narad dobiegły melodyjne tony - to nutnicy trąbili na znak, że rozpoczyna się wspaniały turniej, który namiestnik Eutylen Mar przygotował na życzenie decyzerza.

Laromma właśnie pochylała się do Rodryga Ort de Saintre, który dał znak, że walka może się rozpocząć. Dwaj przeciwnicy ostrożnie ruszyli w swoim kierunku.

- Carlo, po co ten turniej? - Laromma patrzyła w oczy starca z gniewem. - Nie mamy większych zmartwień?...

- Wiesz, śliczna - decyzer uśmiechał się cynicznie - ty nigdy niczego się nie nauczysz... Gdybyś patrzyła trochę dalej, niż sięgają twoje rozchylone nogi, zrozumiałabyś, że to widowisko umacnia naszą władzę, jest wyrazem trwającej wciąż potęgi Białego Oficjum, zadaje kłam wszystkim plotkom wieszczącym rychły koniec Kongregardów...

- To tylko pusty idiotyczny teatr stworzony dla jednego aktora, Carla, człowieka, który zawsze uwielbiał grać główną rolę - wycodziła.

- I tak mieliśmy tu obozować przez noc - spojrzał na plac, na którym Mocarz okutymi przedramionami parował ciosy topora. - Rozejrzyj się, śliczna, kto z tego pospólstwa, patrząc na siłę naszych wojsk, zaryzykuje przyłączenie się do buntowników?

- Wiesz, wspaniały mądry decyzerze, co ja bym zrobiła na twoim miejscu?

- Mało mnie to obchodzi, ale jestem pewien, że i tak mi powiesz - patrzył w orzechowe oczy z wyraźną kpina.

- Zastanowiłabym się, co porabia Escobar... - mocno zaakcentowała imię.

Rodryg obserwował, jak Mocarz wrywa Dogonowi topór i trzymając go nad głową, siłą ramion łamie drewniane stylisko. Kiedy umilkł pełen podziwu okrzyk tłumu, decyzer odwrócił głowę w stronę Larommy.

- Escobar nie jest naszym problemem - odpowiedział już bez uśmiechu - nie ma o nim żadnych wieści. Mógł zginąć na Eltenerze, mógł wrócić na Garbusa. Mogło się z nim stać wiele rzeczy, ale jedno jest pewne... Nie on jest teraz zagrożeniem... Teraz musimy odzyskać Olimp. Nie bój się, śliczna, mimo wszystkich twoich grzechów kara z jego rąk jeszcze ci nie grozi...

- Wiesz, Carlo, myślę czasami, ile razy budzisz się w nocy z krzykiem. Ile razy nawiedza cię koszmar z życia prawdziwego Rodryga Ort de Saintre, ten, w którym Escobar go zabija...

Pergaminową skórę starca ubarwił rumieniec. Starając się odzyskać spokój, obserwował, jak Mocarz miażdży zebra Dogona.

- Mnie zastanawia co innego, śliczna - wycodził starzec przez zaciśnięte zęby. - Czy zdradzając go, z kim popadło, miałaś kiedyś wyrzuty sumienia... On na pewno o to zapyta, kiedy będzie zabijał ciebie...

- Zdziwisz się, ale ja naprawdę go kochałam... - Wspomnienia złagodziły jej rysy. - I może nawet dalej kocham...

- Przyznam, że w dosyć nietypowy sposób okazywałaś uczucia.

- Jestem, jaka jestem, nic na to nie poradzę...

- Nikt na to nic nie poradzi, bo jesteś chora - patrzył na nią wzrokiem, w którym nienawiść mieszała się z litością. - Wiesz, co czułem, kiedy gościliśmy Esco w moim domu? Żal mi było, że trafił na ciebie, z kimś innym mógłby być szczęśliwy...

- Taak... A mimo to, kiedy odleciał na Garbusa, tego samego wieczora fajnie się ze mną zabawiałeś. - Jej twarz znowu zmieniała się w maskę. - Na pewno z żalu nad biednym Escobarem.

- Pamiętaj, że to ty zawsze prosiłaś... Nawet błagałaś... - Uśmiechnął się szyderczo.

\*\*\*

*Kochany!*

*Pewnie już jesteś w drodze na Eltenerę. Nie umiem szybko zasypiać. Carlo po Twoim odjeździe jeszcze raz dziękował mi za przywieziony Kwiat Pamięci Rodryga Ort de Saintre. Kochany, daj mi swoją siłę, żebym mogła przetrwać tęsknotę...*

*Twoja Lara.*

\*\*\*

- Esco - Melon wyrwał mnie z zamyślenia - dojeżdżamy do twierdzy.

W dali z piasków pustyni wyrastały proste kamienne mury. To musiała być En-Endzam, pierwsza z fortyfikacji wyżyny Thornes. Odwróciłem się i zatrzymałem kolumnę buntowników.

- Niech przygotują broń - poleciłem Melonowi - ale najpierw wydaj im coś do jedzenia. Nie wyglądają najlepiej.

- Już trzeci dzień gonisz nas przez pustynię. - Zbawiciel zrobił urażoną minę. - Jak niby mają wyglądać?

Odpiąłem od phobosa lunetę. Pomiędzy czterema okrągłymi basztami rozpinały się mury zwieńczone palisadami. Do twierdzy wiodły dwie drogi - jedna kręta, wykorzystująca naturalne zbocze góry, i druga prosta, przewieszona długim mostem nad dwoma garbami pobliskich wzniesień. Wpatrywałem ruch, ale nie ujrzałem nikogo. To było dziwne - w środku dnia powinno być tam gwaro i tłoczno, zwłaszcza że nadchodziło święto Zagmuk, a z

nim czas wielkiego handlu. Ustawiłem maksymalne zbliżenie. Drewniane pale na szczycie murów miały nietypowy kształt. Most głównej bramy był opuszczony, a ściany wokół niego ziały szczerbami pokruszonych kamieni. Zauważyłem jeszcze bury opar dymu spływający po zboczu, który w ciężkim stojącym powietrzu poruszał się wolno niczym leniwa rzeka.

Przywołałem do siebie Iliego - dowódcę oddziału Eoli. Kiedy się zbliżył, zapytałem:

- Wasze ziemie graniczą z wyżyną Thornes?

- Tak, panie - odpowiedział, zwilżając językiem spieczone wargi.

- Czy oni - wskazałem głową twierdzą - przyłączyli się do buntu?

- Byli z Dwanem Deborah'em Keene'em od samego początku - głos z trudem przechodził mu przez zaschnięte gardło - ale w bitwie pod Elneswagen zginęli prawie wszyscy. Wpadli w zasadzkę Umberta elPassy. Potem już nikt z tego ludu do nas nie przybył.

Spojrzałem na twierdzą En-Endzam ponownie, chociaż wiedziałem już, że daremnie wypatruję ludzi.

- I co? - Melon pojawił się obok.

- Jesteśmy we właściwym miejscu - przytwierdziłem lunetę do phobosa. - Armia Rodryga Ort de Saintre przechodziła tędy nie dawniej jak wczoraj... Możesz pozwolić żołnierzom zużyć resztę wody, tam ją uzupełnimy - wskazałem widniejące w oddali mury.

- To nie nazbyt ryzykowne? Z dwustu ludźmi...

- Nawet z jednym, Melon, tam nie ma nikogo żywego - uspokoiłem jego obawy. - Białe Oficjum karze niepokornych... Chcesz popatrzeć? - wyciągnąłem w jego stronę phobosa.

- Daj spokój - machnął ręką - zaczynam cię traktować jak wyrocznię.

Uśmiechnąłem się. Zbawiciel Kotów miał minę niczym dziecko, któremu rodzice nie pozwalają się bawić ulubionymi zabawkami.

- Jak nastroje naszej małej armii? - zapytałem.

- Wszyscy zmęczeni, ale pewni zwycięstwa. - Bezradnie rozłożył ramiona. - Chyba wierzą w ciebie jeszcze bardziej niż ja. Cieszysz się tu wielką sławą.

Pomyślałem, że ten rodzaj uznania raczej nie jest powodem do dumy. Wróciłem pamięcią do dawnych czasów. Chciałem przypomnieć sobie chociaż jedną dobrą rzecz, którą zrobiłem w Rezerwacie... Daremnie.

- Pójdę pogadać z ludźmi - przypiąłem phobosa do uda - to ostatni taki spokojny dzień. Jutro dogonimy wojska Białego Oficjum.

- Będzie ciekawie... Dwustu ludzi przeciwko kilkunastu tysiącom doskonale uzbrojonych i wyszkolonych żołnierzy...

- Nie martw się, Melon, zginąć można tylko raz.

\*\*\*

Kurt von Ditlev siedział za biurkiem. Nerwowo przygryzane wargi, smukłe palce zaciśnięte w pięści, przymrużone oczy - to wszystko wskazywało, że Kap Don Ander nie jest w radosnym nastroju. Wiele mogła wyjaśnić jaśniejsza jeszcze na komunikatorze wiadomość z Ziemi. Ditlev co jakiś czas wędrował spojrzeniem w stronę monitora, jakby nie wierzył w treść przekazu.

Informacja była krótka i prosta. Przyjaciół ostrzegł, że Komisja Sprawiedliwości wysłała na Garbusa nowy kontyngent Wigilii, że Korporacja Handlu przestała istnieć i że lada moment zostaną przekazane rozkazy, aby do przybycia zmienników obecnie urzędujący Kap Don Ander został aresztowany. Władzę miał tymczasowo przejąć Aga Czong Mu Kwai.

Kurt nie mógł uwierzyć, że imperium Korporacji tak nagle zniknęło ze sceny - z zapleczem kupionych polityków, potężnej maszyny lobbingu, niewyobrażalnych pieniędzy - to się nie mieściło w głowie. A przecież poświęcił Korporacji całe życie. Teraz nie istniała droga odwrotu. Musiał ratować to, czego mu jeszcze nie odebrano - pieniądze i wolność.

Podniósł się z fotela i podszedł do wtopionego w ścianę sejfu. Wyciągnął z niego plik srebrnych kart płatniczych rejestrowanych na okaziciela. Każda z nich stanowiła małą fortunę. Pochwalił swoją niechęć do kont w bankach. Uśmiechnął się na myśl, że wszyscy inni w Korporacji mają pewnie teraz zablokowane rachunki. W duchu - pomimo całej nienawiści, jaką żywił do Escobar - podziękował mu za ten pomysł. Escobar i wszyscy jego przemytnicy właśnie tak lokowali pieniądze. Anonimowy człowiek, gotówka wpłacona do banku i w zamian - jej równowartość na srebrnej karcie. Bez zbędnych pytań, formalności, wypełniania ankiet personalnych. A strata kilku procent odsetek... Mógł przecież stracić wszystko.

Kilkanaście cienkich listków zmieściło się w kieszeni munduru. Ditlev pomyślał, że gdyby miał dźwigać ich równowartość w pieniądzu, pewnie nie dałby rady. Wyciągnął jeszcze ze skrytki czerwoną ognioodporną teczkę. To była przepustka do nowej tożsamości na Ziemi - skrzętnie zbierana przez lata dokumentacja. Paru bardzo wpływowych ludzi miało tu swoje dossier. I raczej za żadne skarby nie chcieliby, żeby te papiery ujrzały światło dzienne. Dlatego będą musieli mu pomóc - Ditlev nie miał żadnych wątpliwości, że w zamian za milczenie zrobią wszystko, czego sobie zażyczą. Cieszył się ze swojej przebiegłości. Kiedy pomyślał, z jaką wyniosłością traktowali go inni członkowie zarządu z Larommą na czele... Głupi sierżant, którego wynieśli na stanowisko Kap Don Andera... Nie taki głupi. Oni zostali bez pieniędzy, bez władzy, bez wolności, a on - Kurt von Ditlev - miał wszystko, i to na długie lata.

Podszedł do komunikatora i poprosił o połączenie z bazą promową Wigilii. Prawie natychmiast zgłosił się szef koordynacji lotów. W jego głosie brzmiał ten sam szacunek co zawsze. Zatem nie było jeszcze przecieków z Ziemi.

Kurt polecił przygotować swój ścigacz. Koordynator zadał tylko standardowe pytania o uzbrojenie i paliwo. Spokojnie wysłuchawszy odpowiedzi, poinformował, że statek będzie gotowy do lotu za godzinę. Ditlev mógł kazać przyspieszyć procedury, ale lepiej było nie budzić podejrzeń. Niech wszystko wygląda jak zawsze.

Do doków mógł się dostać w pół godziny. Usiadł z powrotem w fotelu. Zamyślonym spojrzeniem omiótł gabinet. Było mu trochę szkoda tej władzy, tego szacunku, a przede wszystkim - decydowania o życiu innych. Żałował też kilku nie załatwionych spraw. Najważniejszą z nich był Esco... Nienawidził tego skurwysyna, nienawidził tak mocno, że czasami musiał zażywać potężne dawki leków psychotropowych. Nikt nigdy nie poniżył go tak bardzo jak ten prosty Wigil, który urósł do rangi legendy, w czasie gdy on - Kurt - mozolnie zdobywał pozycję, płaszcząc się przed tyloma nadętymi głupkami. Zabić Escobara było największym marzeniem Ditleva, patrzeć, jak kona, jak prosi o litość, jak miota się z bólu, jak zebrze o łaskę... Dać mu chwilę na strach, na wspomnienia, na uświadomienie sobie nadchodzącego końca... A potem strzelić mu w czoło... Między te brązowe wiecznie kpiące oczy... I usłyszeć ostatnie tchnienie ulatujące z ust, które tyle razy rzucały obelgi... To było marzenie... Kurt wiedział, że będzie go prześladowało do końca życia. Twarz Esco - twarda, o ostro zarysowanych policzkach, ciemnych dużych oczach, twardym podbródku i łagodnie złożonych ustach oraz bliźnie przecinającej policzek, bliźnie, która nie szpeciła, a dodawała charakteru całej twarzy. Sylwetka Esco - prosta, muskularna, ale zachowująca grację i zwinność, o silnych ramionach, mocnej klatce piersiowej, harmonijnie umięśnionych nogach...

Nienawidził Escobara... Nienawidził za własną słabość... Próbował z nią walczyć, lecz im dłużej się szarpał, im bardziej się starał być dla niego okrutny, im więcej czasu poświęcał na zniszczenie tego mężczyzny, tym bardziej go pragnął. To było straszne... Jak choroba, na którą nie ma lekarstwa. Dlatego tak bardzo żałował, że nie udało mu się zabić Esco. Może wtedy znalazłby spokój. Może wtedy znikłyby senne rojenia...

Ditlev poczuł, jak jego ciało przebiega dreszcz podniecenia. Zacisnął kurczowo smukłe palce, aż do bólu wbijając paznokcie w dłonie. Sondorra... Właśnie wtedy, pierwszy i ostatni raz, powiedział Escobarowi, co do niego czuje. Wzdrygnął się na samo wspomnienie tamtej chwili. Nigdy nie zapomni tych słów... Ani towarzyszącego im ironicznego śmiechu...

Kurt pomyślał, że gdy już dotrze na Ziemię, wynajmie płatnego zabójcę. Było go na to

stać, mógł zapłacić każdą sumę. Nie spodziewał się, że będzie tak samo, jakby zabił Escobara własnoręcznie, ale może nareszcie odzyska choćby pozory spokoju. Uśmiechnął się. To był dobry pomysł.

Przed wyruszeniem do doków jeszcze raz spojrzął na gabinet, dłonią delikatnie przejechał po blacie biurka. To już przeszłość. Teraz trzeba było pomyśleć o przyszłości.

Transportowiec czekał jak zwykle. Bycie dowódcą Wigilii miało swoje dobre strony. Będzie mu ich brakowało.

W drodze do doków przypomniał sobie, że zostawił w osobistej szafce w gabinecie ręcznie zdobiony unikalny drasser. Przez chwilę zastanawiał się, czy po niego nie wrócić, ale powrót to zawsze zła wróżba... w miejscu, gdzie droga wchodziła między dwa skalne zbocza, tylko ostre hamowanie uchroniło go przed wpadnięciem na tarasujące przejazd kamienie. Cudem zdołał zatrzymać się tuż przed nimi. Pomyślał ze złością, że patrol od dawna się skarżyły na spadające głazy. Już jakiś czas temu miał wydać rozkaz wybudowania objazdu. Ale cała ta sytuacja z Korporacją, zmartwychwstaniem Esco, wstrzymaniem przerzutów z Eltenery całkiem oderwała go od bieżących spraw Wigilii.

Wysiadł z transportowca. Na szczęście kamienie nie były na tyle duże, żeby musiał wzywać pomoc. Gdzieś z tyłu, na platformie ładunkowej, powinny być siłowniki. Ruszył w kierunku bocznej klapy towarowej. Było bardzo ciepło. Przez sekundę miał ochotę zdjąć z szyi fular i rozpiąć mundur.

Nie wiedzieć czemu nagle, na zupełnie równej drodze, potknął się i omal nie upadł. Spojrzał pod nogi, ale nie zauważył niczego. Poczul, że strasznie się poci, koszula zaczęła mu się lepić do piersi. Niespodziewanie zrobiło mu się słabo... Szorując plecami po stalowym pancerzu transportowca, usiadł na ziemi. Pochylił głowę, żeby zobaczyć, dlaczego mundur jest taki mokry. W pierwszej chwili nie zrozumiał, czemu marynarka i koszula mają czerwony kolor... Dotknął palcami piersi. Czul, jak kleją się do szorstkiego materiału.

Zza leżącego kilkanaście metrów dalej głazu wyszła jakaś postać. Kurt chciał się podnieść, ale nogi odmówiły posłuszeństwa. Wciąż nie rozumiał, co się z nim dzieje. Patrzył na zbliżającego się utykającego człowieka. Obraz był dziwnie nieostry. Dopiero gdy mężczyzna stanął tuż nad nim, poznał kto to... Sanchez... Latynoski rekrut, zdrajca, śmieć, jakich pełno na Garbusie. Dobrze... Każe mu usunąć blokujące drogę kamienie i podwieźć się do doków. Wydał rozkaz. Z ust zamiast słów wydostały się tylko pęcherzyki czerwonej piany. Dopiero teraz zauważył, że Sanchez trzyma drasser. Nie rozumiał, dlaczego ten gnojek jest uzbrojony.

- Witaj, sierżancie Ditlev. - Pamiętał ten akcent zmiękczający sylaby. Chciał

przypomnieć durnemu rekrutowi, że teraz należy go tytułować Kap Don Ander, ale zamiast ostrej reprimendy zaniósł się kaszlem. - Umierasz, sierżancie... Tak jak kiedyś ci obiecywałem... Umierasz, a ja patrzę... - w słowach Sancheza czaiła się radość, przebijały chrapliwe nuty rozkoszy.

Kurt uśmiechnął się w duchu. To nie mogła być prawda, głupi gnojek chce go zastraszyć, zrobić wrażenie. Wiedział przecież, że śmierć jest bolesna, a jemu było dobrze... Może trochę za ciepło w piersiach, ale przecież Ti-Dejanira grzała tak mocno.

- Opowiem ci bajkę o umieraniu. - Sanchez starał się naśladować sposób mówienia Kurta. - Chcesz? Na pewno jesteś na nią przygotowany?

Ditlev pomyślał, że ta gnida chce się zemścić za dawne lata. Skoro mu tak zależy, niech gada. Zaraz powinien zjawić się jakiś oddział Wigilii. Z trudem pokiwał głową.

- Wiesz, jak boli kopanie po jajach? Skąd miałbyś wiedzieć. Nie wszyscy mają jaja... - Każdy wyraz sprawiał Sanchezowi osobną radość. - Twoje umieranie, Kurt, zaczęło się, kiedy strzeliłem do ciebie zza tamtego głazu - wskazał za siebie. - Dostałeś w klatkę piersiową. Dlatego krew ma jasnoczerwony kolor, dlatego nie możesz powiedzieć ani słowa. Rana jest śmiertelna, ale nie skonasz od razu. To by było za łatwe... Wystarczy czasu, żebyś przypomniał sobie całe plugawe życie. Już teraz powinno ci być zimno w nogi... Jest?... - Ditlev pomyślał, że ten chłód w stopach to zwykły objaw, często go czuł, kiedy zbyt długo się nie ruszał. - Tak, Kurt, zimno ci w nogi, bo one pierwsze dostają mniej krwi. Twoja krew ucieka... Wiedziałeś, że płuca to jedno z najbardziej ukrwionych miejsc organizmu? Straciłeś już jej sporo. Wiesz, jak boli kopanie po jajach? Skąd miałbyś wiedzieć. Nie wszyscy mają jaja.

Ditlev był zły na siebie. Trzeba było zabić tę małą latynoską gnidę dawno temu, wtedy gdy pierwszy raz się sprzeciwiła. Wspomnienie strachu Sancheza sprawiło mu radość. Chciał to powiedzieć, ale znowu zamiast słów z ust popłynęła tylko krwawa piana.

- Próbujesz przemówić? - Sanchez uśmiechał się złośliwie. - Prosić? Grozić? A może wytłumaczyć, dlaczego przez całe życie byłeś takim chorym skurwysynem? Za późno. Teraz możesz tylko wysłuchać mojej bajki do końca. Możesz się dowiedzieć, jak boli kopanie po jajach, nawet jeśli ich nie masz. Pewnie ci się wydawało, Kurt, że jestem po waszej stronie... Wtedy, pod Sondorrą, i później, kiedy wystawiłem ci Betholda. Umierasz, zatem należy ci się prawda. Nigdy nie byłem po waszej stronie! Wiedziałeś, że ci z Rezerwatu to ludzie? Wiedziałeś, że kiedyś wyrzucono ich z Ziemi jak zarażone zwierzęta? Wiedziałeś? Zabijając ich, wiedziałeś o tym?... Ja poznałem tę prawdę przed Sondorrą. Dlatego chciałem, żeby Escobar zginął, żeby zginęli wszyscy jego pomocnicy. Potem chciałem sam się zabić, ale Pan

Porządku Rzeczy wyznaczył mi inne zadanie. To dlatego teraz umierasz, Kurt. To dlatego któregoś dnia stanę tak samo nad Esco i opowiem mu bajkę...

Ironia losu. Ten zawszony gnojek zaoszczędzi mu pieniędzy.

Ditlev czuł ogarniającą go euforię. Sanchez zabije Escobara za darmo. Zabawne... Przestał czuć zimno w nogach. Ti-Dejanira grzała tak mocno... Próbował unieść rękę, żeby otrzeć pot, ale było mu tak dobrze, że mięśnie nie chciały nawet drgnąć.

- Umierasz, Kurt. Jeśli wierzysz w cokolwiek, to powinieneś właśnie teraz zrobić rachunek sumienia. - Ledwo widział twarz Sancheza, rozpływała się jakby we mgle. - Nie zostało ci już wiele krwi... Ciężko łapiesz powietrze... Serce bije coraz gwałtowniej... Nie ma już czego pompować... Pocisz się... Zaczyna się agonía, Kurt...

Dobrze, że nie dał się nabrać temu zasańcowi. Teraz tylko musi chwilę odpocząć... A potem dostać się do doków. Krótki sen wzmocni jego siły. Nie trzeba walczyć z tą ciemnością. Ona jest dobra...

- Kurt... Właśnie umarłeś... - usłyszał jeszcze, zanim słońce eksplodowało mu w głowie.

\*\*\*

Wchodziliśmy do En-Endżam. Pomimo przekonania, że w twierdzy nie znajdę nikogo żywego, wysłałem patrol. Właśnie wrócił. Knuut, dowódca Wyspiarzy, krótko potwierdził moje przypuszczenia.

- Wszyscy mieszkańcy wymordowani - mówił gardłowo, ucinając ostatnie zgłoski. - Część domów spalona, magazyny z żywnością puste. Musieli przechodzić niedawno. Zgliszczą jeszcze się żarzą.

Nie byłem zdziwiony. Kara i taktyka. Kara za nieposłuszeństwo, na tyle straszna, żeby była przestrogą dla innych... I taktyka - nie zostawiać na tyłach swoich wojsk żywych wrogów czy choćby tylko nieprzyjaciół. Rodryg Ort de Saintre porządnie odrabiał swoją wojenną lekcję. Wiedziałem, że nie wolno go lekceważyć - lekceważenie wroga to cecha głupców.

Kroczący obok mnie Melon z zaintrygowaniem wpatrywał się w zwieńczenia murów, gdzie na ostrych palach w dziwnych pozycjach wisiały ciała nielicznej załogi En-Endżam. Skazańcy byli nabici na zaostrome pnie brzuchami, a ich związane razem ręce i nogi zwieszały się bezwładnie.

- Esco, to tutaj normalne czy jest w tym jakiś sens? - wskazał ciała.

- Tortura siły - powiedziałem, wracając pamięcią do dnia, w którym wiele lat temu rozpoczął się miesiąc płaskórki...

- Tortura siły i co? - Melon nie pozwolił mi się zagrzebać we wspomnieniach.



- Związują skazańcowi nogi razem z rękami - tłumaczyłem jak prostą techniczną operację. - Potem wieszają cię brzuchem nad ostrym palem... Teraz już wszystko zależy od ciebie... - Uśmiechnąłem się na myśl, ile tak naprawdę zależy. - Jak długo zdołasz utrzymać ciężar ciała, obejmując stopami i dłońmi gładki pień, tak długo żyjesz... Tortura siły...

- Nie powiem, pomysłowa sztuczka... - Melon w zamyśleniu patrzył na wiszące na murach ciała. - Udało się komuś?

Przywołałem Ilięgo, dowódcę Eoli.

- Czy słyszałeś, by ktoś przeżył torturę siły? - zapytałem go.

Popatrzył na mnie w dziwny sposób, jakbym pytał, czy kiedy świeci Ti-Dejanira, jest jasno.

- Nigdy żaden skazaniec nie wyszedł z niej żywy - obwieścił dobitnie. - Poza tobą, Escobarze...

Melon spojrział na mnie z niedowierzaniem. Najwyraźniej odpowiedź zupełnie go zaskoczyła. Jeszcze raz popatrzył na przekłute ciała i ich powiązane ręce i nogi. Pomyślałem, że też bym nie uwierzył. Tortura wykluczała właściwie pytanie: czy... Pozostawało jedynie: ile czasu...

- Esco, wiem, że to twoja sprawa - nie chciał nachalną ciekawością spłoszyć odpowiedzi - ale jak ci się udało?

Popatrzyłem w jego wylupiaste oczy pełne oczekiwania na cudowną metodę.

- Oszukiwałem... - odparłem, pozostawiając go z jeszcze bardziej zdumioną miną.

Za bramą - tak jak powiedział Knuut - trafiliśmy na niemal doszczętnie spalone domostwa. Wewnętrzny zamek namiestnika En-Endżam był tylko gołymi osmalonymi ścianami. Tuż przed nim, na dziedzińcu rozdzielającym zabudowę miejską od pałacowej, znaleźliśmy mieszkańców twierdzy. Zdali się na łaskę zdobywców. Pozwolili, by zapędzono ich w to miejsce, miejsce egzekucji... Dobrze przynajmniej, że Rodryg Ort de Saintre nie miał zbyt wiele czasu. Nie było indywidualnych tortur, wymyślnych cierpień, okrutnych przedstawień. To musiał być miotacz tantronowy. Zginęli wszyscy w jednej chwili, bez zbędnego bólu. Ich popalone ciała zaścięły dziedziniec niczym powalony burzą łąn płaskórki.

Twarz dowódcy Eoli była maską nienawiści. Na skroniach pulsowały mu niebieskie żyły; kurczowo zaciskając szczęki, ledwie panował nad krzykiem, który wzbierał w krtani.

- Tak zginęła cała moja rodzina... - wydusił. - Cała osada... Nie bronili się, uwierzyli zapewnieniom, że wszyscy pozostaną przy życiu.

Kolejny już raz pomyślałem, że każdy dźwiga swój własny krzyż. Ale zamiast

przebaczenia na końcu jest nienawiść. Zemsta to potężny motor napędowy. Sprawia, że własna śmierć staje się mało istotna, że odwaga przychodzi łatwo, bo graniczy z szaleństwem.

- Ili, sprawdź, czy studnie nie są zatrute, i uzupełnij zapasy wody - starałem się mówić normalnie, jak gdyby odór spalonych ciał do mnie nie docierał. - Zobaczcie też, czy ocalała jakaś żywność. Ale najpierw chciałbym przemówić do żołnierzy.

Pokiwał głową, że rozumie. Zadowolony, że ma coś do zrobienia i nie musi patrzeć na mieszkańców En-Endzam.

Melon też patrzył na truchła mężczyzn, kobiet, dzieci. Miał taką minę jak wtedy u Maxa, kiedy stanął naprzeciwko Narkowitza.

- Nie znam tego Rodryga - tylko wprawne ucho wychwyciłoby, że głos mu się lekko łamie - ale już za nim nie przepadam. Mam nadzieję, Escobarze, że nawet gdybyśmy mieli zginąć, wykombinujesz, jak zabrać go ze sobą.

- Nie martw się, Zbawicielu, o niczym innym nie myślę.

- Oddział czeka, Escobarze. - Ili skłonił się w zapraszającym geście.

Stałem naprzeciwko Eoli, Yeomenów, Wyspiarzy. Patrzyli na mnie z rezygnacją, jakby widok spalonej twierdzy i pomordowanych mieszkańców odebrał im nadzieję. Nie wierzyli, że garstka buntowników może cokolwiek zmienić, ale jednocześnie tliło się w nich coś, co przed chwilą z taką siłą wybuchło w Ilim - nienawiść. Wiedziałem, że trzeba jej dać pożywkę, a zapłonie oślepiająco.

Rozpocząłem spokojnym głosem:

- Jeżeli ktoś chce odejść z naszego oddziału, to droga wolna, może wracać do domu - pokazałem na bramę twierdzy. - Nikogo nie będę zatrzymywał. - Ich zdumione twarze były jedyną odpowiedzią. - Może z tymi, którzy nas opuszczą, jeszcze się kiedyś spotkamy, może przyjdziemy do ich rodzinnej osady, a oni będą leżeli tak jak mieszkańcy En-Endzam - wskazałem za siebie - spaleni razem z rodzinami, z dziećmi... A może jednak uda im się pożyć dłużej, będą czujni, w każdej sekundzie sprawdzając, czy zza wzgórz nie wynurza się oddział Kongregardów, by zdążyli na czas uciec do bezpiecznej kryjówki. Może strach pozwoli im żyć przez wiele cykli... - Widziałem, że ci, którzy niezdecydowanie oglądali się na bramę, teraz z uwagą słuchają moich słów. - Ale Bojownikom, którzy będą walczyć ze mną, przyrzekam! - Zawiesiłem głos. - Będą zabijać Kongregardów! Będą postrachem Białego Oficjum! Pokażą Rodrygowi Ort de Saintre, że nie jest bogiem! Będzie trząsał się na dźwięk ich imion i budził w nocy nasłuchując, czy nie atakują! Ja, Escobar, obiecuję wam, że rozlejemy morze krwi Kongregardów! Złamiemy pychę Białego Oficjum! By wasze matki, żony i dzieci już nigdy nie musiały obawiać się losu, jaki spotkał mieszkańców En-Endzam!

Ochrypli wrzask, który wzbił się w niebo, był odpowiedzią, jakiej oczekiwałem. Przekroczyli granicę, za którą nieistotna staje się troska o własny los. Zrozumieli, że ich śmierć nie jest ważna, ważne jest, ilu wrogów zdołają zabić. Szalony wspólny krzyk zamieniał pojedynczych żołnierzy w maszynę wojenną.

- Umiesz przemawiać. - Zbawiciel pokiwał głową. - Sam miałem ochotę pokrzyczeć. Naprawdę sądzisz, że z dwustu żołnierzami możesz porwać się na całe wojsko Kongregardów?

- Na pewno nie w bezpośrednim starciu - uspokoiłem go. - Poza tym wystarczy mi, że będą się wali... Wtedy pod Olimpem rzeczywiście może stać się niemożliwe...

- Amen - uśmiechnął się.

Żołnierze uzupełnili zapasy wody i przygotowali się do wymarszu. Nie znaleźli żadnej żywności, ale wciąż jeszcze mieliśmy zapasy na kilka dni. Przed opuszczeniem twierdzy kazałem Knuutowi zatruć studnie. Jeśli Rodryg będzie tędy wracał, a widocznie liczył na to, skoro zostawił wodę czystą, to dwustu ludziom łatwiej ugasić pragnienie niż dwunastu tysiącom.

Za bramą En-Endzam natknęliśmy się na handlarza ostrorogami. Właśnie prowadził zwierzęta do twierdzy, by sprzedać je w święto Zagnuk. To był szczęśliwy traf. Nie pierwszy ostatnimi czasy. Rozmyślanie nad przyczynami tylu pomyślnych zbiegów okoliczności zostawiłem sobie na później. Dość, że mieliśmy wspaniałe zwierzęta - mocne, szybkie, wytrwałe i doskonale zachowujące się podczas bitwy.

\*\*\*

Niepozorny korpulentny mężczyzna święcił dziś swój wielki triumf... Udało mu się dokonać przewrotu, którego jeszcze kilka miesięcy temu nikt nie oczekiwał nawet w najśmielszych przypuszczeniach. Zmiana na stanowisku marszałka Areopagu Starych Kontynentów - tym bardziej niezwykła, że łaskę marszałkowską otrzymał senior Izby Reprezentantów, dotychczasowy wróg przewodniczącego - i przyznanie Komisji Sprawiedliwości uprawnień czyniących z niej instytucję niemal wszechmocną... A wszystko to przy niemal powszechnej zgodzie członków zgromadzenia.

- Dziękuję wam wszystkim - mówił przewodniczący, a komunikatory wzmacniały jego głos. - Dzisiaj wykazaliście się prawdziwie obywatelską odpowiedzialnością, społeczeństwo Zjednoczenia Starych Kontynentów powinno być dumne, że wybrało właśnie was. Wspólnie przerwaliśmy groźny korupcyjny układ, który zagrażał naszej demokracji... - Słuchali go w milczeniu, choć raczej niewiele głów było dumnie uniesionych. - Korporacja Handlu przestała istnieć. Nie muszę chyba przypominać, czym mogły się skończyć chore ambicje jej zarządu.

Osobiście ubolewam, że korupcja dotknęła przedstawiciela najwyższej władzy, prezydenta Nathaniela Loyda, ale Areopag pokazał, że potrafi skutecznie bronić naszego systemu! - Podniósł głos i zrobił lekką pauzę, oczekując na brawa, ale tylko echo okrzyku wróciło odbite od ścian. - Teraz przed nami wiele pracy, dlatego cieszę się, że stanowisko marszałka objął Jeff Sorenson, dotychczasowy senior Izby Reprezentantów. Panie i panowie, brawa!

Tym razem było to wyraźne polecenie, a wzrok przewodniczącego bardzo uważnie błędził po sali. Gromkie oklaski powitały wchodzącego na podwyższenie seniora.

- Przede wszystkim pragnę wyrazić wdzięczność za okazane mi zaufanie. - Jeff Sorenson aż promieniał z radości. - Spada na moje barki wielka odpowiedzialność. Wierzę jednak, że nie zawiodę oczekiwań. Wszystkie swoje siły poświęcę dla dobra obywateli Zjednoczenia Starych Kontynentów! Wspólnie uczynimy świat lepszym! Dziękuję i życzę wszystkim udanego wieczoru - zakończył i zszedł z podestu, by zbliżyć się do przewodniczącego. Tamten jowialnie objął go za ramię.

- Panie Marszałku, gratuluję przemówienia. Chcę też powiedzieć, że w naszym wspólnym dziele mamy już pierwsze sukcesy...

Sorenson spojrzał nań z lekkim zdziwieniem. Nie był pewien, czy przewodniczący ciągnie jeszcze wątek przemówienia czy też mówi już o ich sprawach.

- Cóż takiego ma pan na myśli?

Rozmówca odciągnął go na bok.

- Kurt von Ditlev został zastrzelony na Garbusie - poinformował głosem ściszym do szeptu. - Cóż za nie... szczęśliwy wypadek.

- To znaczy, że nie musimy go stawiać w stan oskarżenia, przesłuchiwać, oddać do dyspozycji Trybunału Uczciwości? - Marszałek uśmiechał się zgryźliwie.

- Trybunał Uczciwości... - Przewodniczący przygryzł dolną wargę. - Musimy się nad tym zastanowić... To nie powinna być aż tak niezależna instytucja. Przecież i sędziowie mogą się mylić. Albo ktoś może ich skorumpować... - zrobił oburzoną minę. - Ale zostawmy to na później, na razie musimy godnie uczcić pamięć Kap Don Andera Kurta von Ditleva. Wigilia straciła w jego osobie jednego z najlepszych dowódców. Trwał na posterunku do ostatniej chwili...

- Rozumiem i zgadzam się - potwierdził nowo mianowany marszałek. - Pogrzeb z honorami i żadnych pytań.

\*\*\*

W oddali, zza wzniesienia niewysokim garbem rozlewającego się po równinie, wyłaniało się czoło armii Kongregardów. Na czele szły ciężkozbrojne oddziały

Aryzejczyków. Uformowane półkuliście za błękitnym polem osłony, sięgały bocznymi skrzydłami nieomal po granice horyzontu. Za nimi postępowała Żelazna Brygada i Mocarze - rozdzieleni formacjami dzirynników. Dalej wozy bojowe ciągnęły ciężką artylerię ustawioną w sześć klinów.

W otoczeniu Hufca Herbowego szły zastępy Tęczowej Buławy Rodryga Ort de Saintre, oddziały zbrojnych, okutych w irydowe pancerze Dogonów, Gedytów zza wielkiej pustyni Sar-deh-Endżam, Igrów z dorzecza Mar-del-Platta, Strażników Ingrid Marie, dzikich pasterzy obszaru za Wielkim Rowem Tektonicznym, wojowników Stref Mirażu, jednostek Przełomów Bramos.

- Cholera, dużo ich... - Melon patrzył z niedowierzaniem na niekończące się szeregi.

- Źdźbeł trawy na łące też jest dużo - powiedziałem, odrywając lunetę od oka - a zjada ją kilka muflonów. Jest tak, jak myślałem, lekkie marszowe osłony na bokach i błękitna zaporowa na przedzie. Nie wytrzyma uderzenia pocisków kompensacyjnych. Będą musieli przestawić boczne osłony na front. Tabory z zapasami żywności, wody, ubiorów, namiotów i całego wyposażenia ciągną na końcu armii... Ili - spojrzałem na dowódcę Eoli - zaraz wyruszasz ze swoimi ludźmi. Powtórz jeszcze raz dokładnie, co masz zrobić. - Wołałem mieć pewność, że zrozumiał plan. Nie byłem pewien zdolności bojowych jego podwładnych, nie widziałem ich dotąd w walce.

- Zajmujemy miejsce na tamtych wzniesieniach - dłonią pozbawioną paznokci wskazał piętrzące się w oddali pagórki - na wprost maszerującej armii Białego Oficjum. Ustawiam na każdym wzniesieniu kilkunastu Eoli, a miotacze pocisków kumulacyjnych i kartacznice z tyłu, schowane za pochyłością...

- Pamiętaj - wtrąciłem - żeby każda grupa była zorganizowana tak, jakby to dowódca oddziału z setnikami stał na pagórku, a za nim było ukryte jego wojsko. To ważne, mają stać nieruchomo, jakby obserwowali ruchy Kongregardów i planowali mającą się rozegrać bitwę.

- Na pagórki wyjeżdżamy na chwilę przed odpaleniem ciągłego automatycznego ognia miotaczy kumulacyjnych i kartacznic - ciągnął Eol spokojnie. - Kiedy Kongregardzi przesuną boczne osłony na czoło wojsk, odwracamy się i powoli, jakbyśmy wracali do ukrytych za wzgórzami oddziałów, chowamy się za wzniesieniami. Kiedy już nie będziemy widoczni dla armii Białego Oficjum, zostawiamy miotacze i kartacznice, które cały czas prowadzą automatyczny ostrzał, i uciekamy z maksymalną prędkością akcelarów.

Byłem zadowolony.

- Dobrze. Potem spotykamy się wszyscy przy Skałach Krzywych Mnichów. I pamiętaj, Ili, macie udawać awangardę wojska, które chce uderzyć na Kongregardów. Od tego, czy się

nabiorą, bardzo dużo zależy.

- Rozumiem, Escobarze. Choć wolałbym razem z tobą stanąć do prawdziwej walki.

- Jeszcze zdążysz zabić tylu wrogów, że stracisz rachubę - uspokoiłem go. - I żadnej zwłoki w odwrocie! Jak tylko zaczną przestawiać osłony, znikacie! Powodzenia.

Ili nie tracił czasu nawet na zdawkowe pożegnanie. Poprowadził Eoli w kotlinę, która ciągnęła się aż poza wzniesienia, gdzie mieli zająć pozycje. Po chwili byli już tylko małymi punkcikami w zagłębieniu żlebu. Przeniosłem spojrzenie na Melona.

- Teraz twoja kolej - rzuciłem. - I pamiętaj, że nie tylko dowodzisz, ale też odpowiadasz za Yeomenów...

- Wiem, wiem, beztrioskie życie Melona się skończyło - nie zdołał się ugryźć w język. - No dobra, więc jest tak... Kiedy Kongregardzi przestawią boczne osłony i zaczną walić w teoretyczne pozycje Eoli, ja z Yeomenami kładę zaporowy ogień pomiędzy ostatnie oddziały Kongregardów a tabory z zapasami żywności i wody. Prowadzimy ostrzał, dopóki ty z Wyspiarzami nie uderzysz w te tabory - recytowałem monotonię. - Potem robimy to samo co Eole, czyli spieprzamy i spotykamy się przy Krzywych Mnichach... Ja za cholere nie wiem, gdzie to jest, ale Yeomeni wiedzą - zakończył.

Z niego również byłem zadowolony. Co prawda dostał najprostsze zadanie, ale dotąd poza bójkami w barach nie brał udziału w żadnej bitwie.

Podszedłem do stojącego przy Wyspiarzach Knuuta.

- Kiedy ruszamy? - spytał, a w jego oczach zapłonęła dzika niecierpliwość. Chciał walczyć, pragnął zabijać, z trudem hamował się, by nie wskoczyć na ostroroga i nie pognać razem ze swoimi ludźmi na spotkanie armii Białego Oficjum.

Zamiast odpowiedzi wbiłem mu w brzuch łufę phobosa. Nim zdążył się zdziwić, zerwałem z jego czoła mieniącą się perłowo łuskę i przyłożywszy ją do ust, chuchnąłem. Knuut stał jak sparaliżowany. Przez sekundę w jego prawie białych oczach ujrzałem własną śmierć. Ale nie był dość szybki, spóźnił się...

- Ta oto łuska męstwa - mówiłem uroczyście, oddając mu z powrotem perłowy listek - należy teraz do mojego ducha. Jeśli zginę przed tobą, nigdy nie wejdiesz do Krainy Walczących Cieni. Jeśli zginiesz przede mną, mój duch zdecyduje, czy tam trafisz i kiedy to nastąpi... - w zdumieniu słuchał słów, które mieli prawo wypowiadać tylko Wielcy Pasterze. Był tak zaskoczony, że jego tęczęwki przybrały barwę zieleni. - Jeśli okażesz mi nieposłuszeństwo - twardo akcentowałem wyrazy, tak jak to czynili Wyspiarze - po śmierci trafisz do Jaskini Kobiet!

Straszniejszej kary dla członków jego klanu nie było. Sama myśl, że waleczny

mężczyzna trafi między traktowane gorzej niż zwierzęta istoty, sprawiła, że blada twarz Knuuta stała się prawie przezroczysta. Musiał podjąć decyzję. Nie zostawiłem mu wielkiego wyboru.

Upadł na klęczki.

- Czy jesteś Wielkim Pasterzem, Escobarze? - Jeszcze był zdezorientowany, ale już uwierzył.

- Nie twoja rzecz! - podniosłem głos, a ucinane ostatnie zgłoski miały okazać mój gniew. Wtedy się złamał.

- Bądź łaskaw dla mojego męstwa, twoja wola jest moim przeznaczeniem - wypowiedział rytualną formułę podporządkowania.

- Możesz wstać - pozwoliłem, nadając głosowi normalne brzmienie. - Przygotuj Wyspiarzy, za chwilę ruszamy na wyznaczone pozycje.

Cały czas pochyłony wycofał się tyłem. Teraz mogłem być pewien, że będzie wykonywał rozkazy.

Zanim wskoczyłem na ostroroga, położyłem dłoń na tępo ściętej czaszce i pozwoliłem się obwąchać. Dzięki temu mogłem liczyć, że jeśli spadnę z grzbietu, nie zadcpe mnie na śmierć. Wyspiarze stali już w szyku. Pomyślałem, że długo czekałem na tę chwilę. Los zatoczył pełny krąg, było jak kiedyś, ale teraz to ja ścigałem Larommę i Rodryga Ort de Saintre.

Ruszyliśmy ukryci za garbem wzniesienia. Ti-Dejanira stała w zenicie. Wiał lekki wiatr. Było gorąco. Sucha trawa kruszyła się pod kopytami zwierząt.

\*\*\*

*...Niebyt nie istniał wtedy ani byt nie istniał...*

*...Nie było też przestrzeni i nieba u góry...*

Ciemna strona. Czarne lody. Aż po krańce horyzontu. Opalizująca bezkresna masa zamarniętego oceanu. Czarna półkula Eltenery. Miejsce, z którego nie wrócił nikt. Strach. Wieczna zmarzlina, pod którą czała się przepastna głębia. Groza. Niewytłumaczalna. Przestrzeń zastygła w jednolity mrok. I jądro czerni spoczywające w otchłani wody. Gdzieś pod twardą powłoką lodu. Lęk. Oczekiwanie. Na mający nadejść ruch. Brzemienna noc szykująca się do narodzin. Przerazenie. Nieuchronność. Czarne lody kryjące byt. Jeszcze martwy. Otulony mrokiem. Milczący. Wrogii. Czekaający, aż głębia oceanu uwolni istnienie.

*...Śmierć nie istniała wówczas ani nieśmiertelność...*

*...Pomiędzy dniem a nocą nie było rozłamu.*

\*\*\*

Błękitną kurtynę zaporową rozpalały błyski uderzających w nią pocisków kumulacyjnych. Oślepiające ognie eksplodowały i gasły niczym błyskawice. Huk ostrzału było słycać bardzo wyraźnie. Boczne pola osłonowe wolno uniosły się i leniwie popłynęły na czoło wojsk Białego Oficjum. Lada chwila mogła pęknąć błękitna zapor.

Zaledwie zdążyłem pomyśleć: „teraz”, a kartacznice z pozycji Melona i Yeomenów rozpoczęły dzieło zniszczenia. Zaporowy ogień rozszarpał ziemię między ostatnimi oddziałami wojowników Stref Mirażu i jednostek zaopatrzenia. Widziałem, jak szeregi zamykające pochód Kongregardów panicznie starają się uformować szyk obronny, przegrupowując swoje formacje. Dowódcy na własną rękę próbowali przygotować się do odparcia uderzenia. Jednocześnie Rodryg Ort de Saintre konsolidował czoło armii w obronie przed mającym nastąpić atakiem. W ogromnej machinie wojennej powstało takie zamieszanie, że gdybym miał połowę tych wojsk co Białe Oficjum, już by było po bitwie.

Nikt nie myślał o taborach... Nikomu nie przyszło do głowy, że to one mogą być celem. Jak w każdej walce pozostawiono je własnemu losowi, by nie krępowały swobody ruchów regularnych oddziałów.

Machnąłem ręką na Wyspiarzy. Ostrorogi ruszyły powoli - rozpędzając cielska z każdym metrem. Kiedy zbliżaliśmy się do wzniesienia, które dotąd kryło nas przed wzrokiem Kongregardów, a za którym stały tabory z zaopatrzeniem, ziemia dudniła już pod kopytami zwierząt, a ja czułem, jak pęd powietrza wyciska mi łyżę z oczu.

Uderzyliśmy w niczego się nie spodziewający zewnętrzny lekki korpus zabezpieczający z siłą młota rozbijającego szklaną bańkę. Jednostki aprowizacyjne nie były przygotowane do bitwy, przysły na boki. Ani jeden z moich ludzi nie zsunął się z siodła, ani na ułamek sekundy nie zwolniliśmy biegu, ani przez chwilę przeciwnicy nie stawili skutecznego oporu. Widziałem tylko, jak pod naporem Wyspiarzy pierzchają na wszystkie strony, a ci, którym nie udało się uciec spod kopyt, giną, nie zdążywszy nawet użyć broni.

Droga do wozów - chronionych jedynie przez słabo uzbrojoną służbę - stała otworem. Wpadliśmy między zaprzęgi niczym wataha wilków w stado przerażonych owiec. Lance wibracyjne sięgały każdego, kto uniósł dłoń choćby w błagalnym geście.

- Granatniki zapalające! - krzyknąłem do Knuuta, rzucając jeden na wóz z żywnością.

Rozgorzało piekło. Ogień sodowych płomieni spopielał wszystko, czego sięgnął. Gdziekolwiek potężne eksplozje wyrzucały w niebo słupy ziemi wymieszanej z ogniem - najwyraźniej w taborach znajdowała się też część amunicji Kongregardów. Wyspiarze dostali szalu. Czarni od sadzy płonących wozów uwijali się między nimi niczym wysłannicy szatana. Wszędzie, gdzie kopyta dosiadanych przez nich ostrorogów dotknęły ziemi, zostawała tylko



śmierć. Odpalając kolejny granatnik, dostrzegłem, że niektórzy plądrują zaprzęgi z insygniami Rodryga Ort de Saintre.

Wśród dymu otaczającego płonące wozy poszukałem wzrokiem Knuuta. Ostrzem lancy wibracyjnej próbował przebić się przez Kongregardów broniących dostępu do ostatnich zapasów. Uderzyłem pięścią w kark ostroroga. Skoczył jak uwolniony od praw ciężenia. Rozbijając twardym łbem grupki biegnącej w panicznym popłochu służby, przebijał się tam, gdzie dowódca Wyspiarzy powoli zaczynał tracić siły. Kiedy dopadłem do walczących, Knuut zalany krwią z trudem powstrzymywał napierających wrogów. Uderzyłem najbliższego kolbą zabijaka i nim ciało upadło, odpaliłem trzy rozpalone ostrza w grupę Kongregardów.

Knuut zauważywszy mnie, z nową siłą ruszył do walki.

- Escobar! Escobar! - wołał uderzając wibrującym ostrzem.

Atak rozłamał zwartą grupę. Kongregardzi bronili się jeszcze, ale już tylko przed śmiercią. Część rzuciła broń i chowając się pod wozy, tam szukała ratunku. Na próżno. Granatniki zapalające zamieniały wszystko w gorejące głownie. Bezlitosne płomienie kończyły rozpoczęte przez nas dzieło zniszczenia.

- Zbierz ludzi i wynosimy się! - krzyknąłem do Knuuta, rzucając ostatnie ładunki.

Kiwnął głową, że rozumie. Zza pazuchy wyciągnął róg sygnalizacyjny i przyłożywszy do ust, dmuchnął potężnie. Nienawidziłem tego... Żaden słyszalny dźwięk nie wydobył się ze spiralnej tuby, ale poczułem się tak, jakby stalowa drzazga przejechała mi po kręgosłupie. Wyspiarze na sekundę zamarli, a potem jak pchnięci jedną myślą spięli ostrorogi i pognali w stronę wzgórza.

Zanim ruszyłem ich śladem, ostatnim spojrzeniem omiotłem jeszcze tabory... Obraz zniszczenia zaspokoił nawet moje oczekiwania. Nie było już wozów, nie było zaprzęgów, nie było służby odzianej w kolorowe stroje i oddziałów chroniących konwój. Płomienie obracały w popiół dobytek armii Białego Oficjum.

Na niebie zauważyłem nadlatujące pierwsze ładunki pocisków kumulacyjnych. Nie myliłem się, Rodryg Ort de Saintre postanowił poświęcić resztę swoich ludzi, żeby tylko zniszczyć przeciwnika. Nie wiedział, skąd nadejdzie prawdziwy atak ani co jest pozorowaną akcją, więc nie ruszył swoich oddziałów. Dał się złapać w grę iluzji, starał się pokonać nieistniejących przeciwników...

Nie czekałem, aż gwizdzące kule sięgną ziemi. Uderzony w kark ostroróg pognął do wzniesienia, za którym czekali już Wyspiarze. Za sobą słyszałem głucho uderzenia pocisków, a potem gwałtowny świst wciąganego powietrza. Ładunki osiągnąwszy masę krytyczną,

przyswajały potrzebny do eksplozji tlen.

Dogonił mnie huk, ale byłem już wystarczająco daleko. Rodryg Ort de Saintre zniszczył to, czego nam się nie udało dopaść. Poczulem satysfakcję na myśl, że dzisiaj będzie wymawiał moje imię z wściekłością i przerażeniem.

\*\*\*

*...Przez własną moc To Jedno bez tchu oddychało...*

*...I nic innego nigdzie poza nim nie było...*

Gasły słońca. Umierały planety. Czas wracał do punktu wyjścia. Pętla. Czarna moc, w której umierało światło. Przepastna. Zachłanna. Nienasycona. Zamknięta lodowym pancerzem. W oczekiwaniu na znak. Ten, który powoła ją do życia. Uwolni. By stało się nieuchronne. Jak wcześniej. Jak wiele razy dotąd. Moc w bezmiarze lodu. W niezgłębionej otchłani. Jeszcze zimna. Zastygła. Przyczajona. Stworzona z mroku. W oczekiwaniu na sygnał z czarnego kamienia. By kolejny ruch utonął w pustce bezruchu. Przestrzeń do zapelnienia kroplą życia.

*...Śmierć nie istniała wówczas ani nieśmiertelność...*

*...Pomiędzy dniem a nocą nie było rozłamu.*

\*\*\*

Dowódca Wyspiarzy stał przede mną skruszony. Pomiędzy skałami - mającymi wygląd zgiętych w modlitewnym pokłonie mnichów - leżały łupy wzięte przez jego ludzi. Trzech z nich przyplaciło je życiem. Nie byłem zadowolony, choć śmierć tak niewielu w zamian za pogrom, jaki urządziliśmy, naprawdę była niewysoką ceną.

- Twoi ludzie okazali nieposłuszeństwo - mówiłem, patrząc na skrzynie, kosztowności, drogie ubiory. - Czy łuska męstwa nic dla ciebie nie znaczy? Wolisz po śmierci Jaskinię Kobiet?

- Escobarze... - Jego wyblakłe oczy przybrały czerwoną barwę. - Zginie co dziesiąty mój wojownik! - Był tak wściekły, że przestał wymawiać ostatnie sylaby. - Sam dokonam egzekucji!

Spojrzałem w stronę obserwujących nas Eoli i Yeomenów. Oczekiwali najgorszego, znali opowieści o moim okrucieństwie, współczuli Wyspiarzom.

- Zrobisz inaczej - wołałem nie uszczuplać sił oddziału. - Jeśli coś takiego się powtórzy, zabronisz wszystkim swoim wojownikom wstępu na wyspę Ferro... - To była groźba straszniejsza nawet niż śmierć. Dla tych ludzi wygnanie z miejsca, które stanowiło raj za życia, znaczyło tyle co niesława i wieczna tułaczka.

- Wielka jest twoja łaska...

- Rozbijesz skrzynie własnoręcznie, pokażesz swoim żołnierzom, co było w środku, a później wszystko spalisz! - Odwróciłem się, stając twarzą do reszty oddziałów. - Odnieśliście dziś pierwsze zwycięstwo! - Chciałem, żeby byli zadowoleni, to rodziło w nich wiarę. - Rodryg Ort de Saintre już wie o waszym istnieniu! Możecie być dumni, bo on zaczął się was bać, tak jak kiedyś wy baliście się jego! Cały ogrom armii Białego Oficjum przestraszył się garstki buntowników! A to dopiero początek!

Okrzyk radości wyrwał się z setek gardeł. Teraz wszystko wydawało się łatwe, a zwycięstwo było tylko kwestią czasu. Nie chciałem wyprowadzać ich z błędu. Nadzieja sprawiała, iż zapominali, jak wielu będzie musiało zginąć... i że nie ma gwarancji zwycięstwa.

Podszedłem do Melona. On też przeszedł dzisiaj chrzest bojowy, ale nie wyglądał na usatysfakcjonowanego.

- Nie cieszysz się, Zbawicielu?

- Ty miałeś swoją zabawę, a ja tylko udawałem wodza... - Pomimo pretensji w głosie czułem, że rola przypadła mu do gustu.

- To pewnie uważasz, że nie ma okazji na ostatniego Egbertsza...

Nie zdążyłem jeszcze udać żalu, a Melon już zaczął buszować w plecakach.

- Najwyżej upiję się na smutno - stwierdził, wyciągając butelkę scotcha. - I chętnie wysłucham, jakie to dzisiaj zwycięstwo odnieśliśmy... - Podał mi flaszkę. - Jeśli nie liczyć poinformowania Rodryga i Larommy, że Escobar jest w pobliżu - dodał zgryźliwie.

Podszedł do nas dowódca Eoli.

- Czy oddziały mają być gotowe do marszu? - zapytał.

- Wyruszamy wieczorem, teraz możesz pozwolić ludziom wypocząć - czułem, jak żar Ti-Dejaniry stojącej w zenicie lepi mi bluzę do pleców. - I powiedz żołnierzom, że jestem z nich zadowolony.

Pod Skałami Krzywych Mnichów Knuut począł rozbijać skrzynie z dobytkiem Rodryga Ort de Saintre. Oddział Wyspiarzy otaczał dowódcę ciasnym kołem, a podniesione gardłowe okrzyki towarzyszyły każdej rzeczy wykładanej na kamienie.

Pociągnąłem solidny łyk scotcha, czując, jak wraz z nim splywa z gardła pył pustyni.

- Więc mówisz, Melon, że nie bardzo rozumiesz, na czym polega dzisiejsze zwycięstwo - spojrzałem w oczy uważnie śledzące, czy nie piję poza kolejką.

Pokiwał kudłatą głową. Uniosłem do góry dłoń ze szkłem. Promienie Ti-Dejaniry rozpraszały się w bursztynowym płynie. Było piekielnie gorąco. Naprawdę chciało się pić... Rozchyliłem palce...

Niesamowicie, Melon prawie zdążył złapać butelkę, zanim się roztrzaskała. Szybciej, niż

biegnie myśl, rozgrzana ziemia wchłonęła płyn i tylko potłuczone szkło zostało pośród kamieni.

Przez chwilę miałem wrażenie, że Zbawiciel Kotów rzuci się na mnie.

- Czujesz, Melon, pragnienie? - zapytałem z ironicznym uśmiechem. - Czujesz wściekłość? Szlag trafił scotcha. Ostatnia butelka poszła się pieprzyć. Czujesz, jak zasycha ci w gardle? - Patrzył na mnie z rosnącą złością. - Takie pragnienie już dzisiaj poczuje armia Białego Oficjum. Jutro będzie jeszcze gorzej. Nie mają zapasów wody, nie mają jedzenia. Na razie są wściekli, ale z każdą chwilą gniew będzie gasł zastępowany palącym pragnieniem. Za dwa dni zapomną o walce, o dumie, o czekającej bitwie. Będą chcieli tylko jednego... Ugasić pragnienie. Porzucą broń, bo niesienie jej wymaga wysiłku. Zdejmą rozgrzane zbroje, które pozbawiają ciało wilgoci. Przesną słuchać dowódców, którzy zamiast wody będą wydawali tylko rozkazy. Czy teraz już wiesz, Melon, na czym polegało nasze dzisiejsze zwycięstwo?

- Kurwa, Esco, nie mogłeś tego po prostu powiedzieć?! - Patrzył na potłuczoną butelkę z takim żalem, że ogarnęła mnie wesołość.

- Chciałem, żebyś poczuł to, co oni czują już jutro. - Zbawiciel podniósł denko flaszki, ale nawet kropla nie została na dnie. - Pójdziemy przodem, będziemy zatruwali każde źródło, każde bajoro, w każdej osadzie zniszczymy studnie, spalimy każdy zapas płaskórki, zabijemy każde zwierzę nadające się do jedzenia. Tak zrobimy, Melon, i jeśli będziemy sumienni, to Rodryg Ort de Saintre przegrał dziś nie tylko bitwę, do której dojdzie pod Olimpem. Dziś przegrał wojnę...

- A ja przez niego przegrałem flaszkę - zacisnął ze złością szczęki. - Nienawidzę gościa. Z radością uduszę go własnymi rękami.

Nie wytrzymałem, wybuchnąłem śmiechem.

- Okay, Melon, ty jesteś po właściwej stronie, ty masz co pić.

Spojrzał na mnie błagalnie, jakby prosząc, żeby to nie był kolejny żart.

- W pudle z zapalnikami trzymam zapas na wyjątkowe sytuacje - uspokoiłem jego obawy - dwa Egbertsy. Może tak będziesz łaskaw je przynieść.

- Kocham cię, Esco - myślałem, że zaraz ucałuje mnie z radości. - Szkoda, że nie jestem młodą laską... - Pognał do plecaka z bronią.

Z oddali dobiegły wzburzone głosy Wyspiarzy. Spojrzałem w tamtą stronę. Knuut w wyciągniętej dłoni trzymał okrągły przedmiot. Z tej odległości wyglądał na odciętą głowę... Podniosłem się z derki. W tej samej chwili Knuut prawie biegiem ruszył mi na spotkanie.

- Dwan Deborah Keene! Dwan! - Już z daleka słyszałem jego okrzyki. Kiedy zdyszany stanął przede mną, miał oczy koloru ziemi: szare, przygnębione i wystraszone. - To głowa

Dwana Deboraha Keene'a - wyszeptał, jakby bał się, że martwa twarz ożyje na dźwięk słów. - Znaleźliśmy ją w skrzyni z ziemią...

Patrzyłem na pooraną bruzdami zmarszczek twarz, którą śmierć zamieniła w groteskową maskę. Patrzyłem na tę głowę i przypominałem sobie wszystkie głowy, które ja zamieniłem w przedmioty, zwykłe rzeczy, w normalny towar, który określa tylko jego cena. Wiele głów... Nie, to nawet nie były głowy, to były opakowania towaru. Niepotrzebne opakowania wyrzucane na śmieci. Poczułem, jak te głowy spadają z nieba niczym krople deszczu. Głowy z otwartymi oczami, oczami pełnymi wyrzutu. Głowy z rozchyłonymi ustami powtarzającymi moje imię. Bardzo wiele głów. Nie znałem ich imion, nie wiedziałem, o czym marzyły, zanim śmierć zamieniła je w opakowania Kwiatów Pamięci...

To był szósty dzień od momentu, jak Ditlev z zadowolonym uśmiechem pożegnał nas w dokach Wigilii, szósty dzień od momentu, jak nasz scopter rozbił się na granicy Ingrid Marie i wyżyny Akenor. Trafiliśmy do małej osady, której nazwy nie pamiętam. Byliśmy śmiertelnie zmęczeni, kończyły się zapasy, mieliśmy dość targania ciężkiego uzbrojenia. Misja wydawała się niemożliwa do wykonania. Żaden z nas nie miał pojęcia, gdzie szukać handlarza bronią, który naruszył strefę Rezerwatu na Eltenerze. Myśleliśmy wyłącznie o tym, jak przeżyć i czy ten sukinsyn Ditlev przyśle po nas ekipę ratunkową. Żaden sprzęt namiarowy nie działał na tej pieprzonej planecie. Z jakichś cholernych powodów fale radiowe zdychały. Mogliśmy tylko wierzyć, że balony meteorologiczne wynoszą flary sygnalizacyjne wystarczająco wysoko, żeby ich sygnał dotarł na Garbusa. Choć raczej nikt z nas nie łudził się, że sierżant pośpieszy z pomocą... Byliśmy przecież jego ukochanymi dziećmi...

Nie pamiętam, kto pierwszy zaproponował, żeby spróbować wywaru, którym raczą się tubylcy. Wtedy jeszcze nie rozróżnialiśmy ras, wszyscy oni byli dla nas jakimś wybrykiem natury na tym zadupiu kosmosu. Wkurwialiśmy się, że musimy ich chronić przed cywilizacją jak jakichś pieprzonych Indian. Nie pamiętam, kto pierwszy to powiedział. Emerson? Skiddy Frank? Bert? Wiem, że na pewno nie był to Sanchez. Ten gnojek sprawiał same kłopoty, żarło go takie przerażenie, że gotów był kąsać ze strachu. Na każde tak mówił nie, na każde nie wrzeszczał tak. Na pewno nie Sanchez zaryzykował stwierdzenie, że warto by zobaczyć, co za odlot daje berbelucha pita przez autochtonów.

Wiem, że wszyscy patrzyli na mnie, byłem przecież dowódcą zwiadu. Po cichu chcieli też zadośćuczynienia za tę misję, to przeze mnie musieli teraz włóczyć się po Rezerwacie, nie mając wielkiej nadziei na ocalenie. Czekali na odmowę, która da im pretekst do kpin.

Leżeliśmy wokół ogniska, piekąc ostatnią, twardą jak podeszwa konserwę. Tubylcy stłoczeni nad kotłem z parującym wywarem rzucali nam ukradkowe spojrzenia. Widać było,

że boją się nas, ale nie znajdując żadnych oznak agresji, z uwagą przygotowują napój. Wolno dźwignąłem się z kamienia i podszedłem do nich. Jeszcze wtedy nie wiedziałem, że to Gedy. Patrzyłem na te karykaturalne postaci, zastanawiając się, jakim cudem w ogóle się poruszają.

Kiedy zauważyli, że idę w ich stronę, przerwali gardłowe gulgotanie i z przerażeniem w oczach pozbawionych powiek, zapaćkanych ropną wydzieliną, czekali na to, co zrobię. Nie rozumiałem ich, nawet nie wiedziałem, czy dźwięki, które wydają, są mową czy może tylko okazują w ten sposób emocje. Na migi pokazałem, że chcę spróbować parującego wywaru. Jeśli wykrzywione usta pozbawione warg miały symbolizować radość, to kurewsko się ucieszyli. Gardłowe okrzyki mężczyzny, wyglądającego na kogoś ważniejszego w osadzie, pogoniły kilku innych gdzieś poza niskie domy z kamienia spojonego mchem.

- Esco, jak tam, trzęsiesz portami? - Z tyłu usłyszałem śmiech Skiddy'ego Franka.

Obejrzałem się. Mieli niezły ubaw, ale jednocześnie nie zapomnieli o ostrożności. Odbezpieczona broń świadczyła, że są przygotowani na każdą ewentualność. Zrezygnowałem z kilku soczystych słów, jakie miałem na końcu języka.

Wrócili tubylcy. Na ramionach nieśli trupa, z którego jeszcze osypywała się ziemia. Zgłupiałem. Wyglądało na to, że właśnie rozkopali mogiłę i przynieśli mi umrzyka... Czyżbym aż tak marnie gestykulował? Kolejny wybuch śmiechu trochę podniósł mi ciśnienie. Jeszcze raz pokazałem na parujący kocioł. Gedyta, któremu głowa wyrastała bezpośrednio z ramion, skłonił się na znak zgody. Długimi sękatymi palcami dotykał odzienia nieboszczyka, wskazując na jakieś ozdoby, wznosząc oczy do nieba i szukając w moim wzroku zrozumienia. Za diabła nie wiedziałem, o co mu chodzi, a cała ta idiotyczna sytuacja zaczęła mnie już wkurwiać na tyle, że bawiłem się bezpiecznikiem drassera.

Zanim się spostrzegłem, tubylec odciął umrzykowi głowę. Usłyszałem tylko zgrzyt stali rozrywającej kręgi szyjne i pomarszczona martwa twarz znalazła się na wysokości moich oczu. To wtedy po raz pierwszy zobaczyłem opakowanie Kwiatu Pamięci. Głowę...

- Esco, kurwa, chyba chcą, żebyś go pocałował! - Emmerson zataczał się ze śmiechu. - Najpierw buzi, potem picciu...

Niemal bez mojej wiedzy kolba drassera uderzyła tubylca w brzuch, głuchy jęk bólu zlał się z przerażonym krzykiem pozostałych Gedytów. Upadli na ziemię i płaczkliwie zawodząc, bili pokłony. W tym powszechnym jęku była jakaś melodia, dziwna rytmika wznoszenia się i opadania, niepokojąca vibracja, której ton budził ukryty głęboko lęk.

Obejrzałem się...

Chłopaki też musieli to poczuć. Nie byli już roześmiani, a pełna gotowość

wycelowanych w tubylców drasserów i palce pobieleały od kurczowego uścisku kolb świadczyły, jak bardzo poruszyło ich płaczące zawodzenie. Wysiłkiem woli oderwałem palce od drassera i uniosłem rękę. Ten gest miał uspokoić moich ludzi. Zanim zaczną strzelać.

Miał też dać tubylcom szansę. Zanim zostaną zastrzeleni.

Wtedy po raz pierwszy zobaczyłem czarne wielkie pająki wygrzebujące się spod piasku... Za długo nas szkolono w odruchach podkorowych... Impuls szybszy niż myśl podrzucił drasser do oka, a palec zwalniał spust w tempie migawki lokalizującej kolejny cel. Ciała włochatych stawonogów rozbryzgiwały się czarnymi strzępami. Za sobą słyszałem kanonadę, która zlewała się w jeden ciągły huk. Pająki ginęły, nim do końca wywlekły swoje ciała z piasku. Palba drasserów zagłuszyła zawodzenie tubylców, zniknął wibrujący ton. Strzelałem do wszystkiego, co choćby cieniem łamało płaszczyznę piasku.

Przestałem dopiero wtedy, gdy kolba zaczęła parzyć ręce, a świadomość pozwoliła dostrzec, że kolejne pociski rozrywają już tylko strzepy pajaków.

- Kurwa, co to było? - Mały Tobacco Ptasznik rozglądał się wokół, jakby wierzył, że ktoś mu wytłumaczy to, co przed chwilą zobaczył.

Wytarłem usta wierzchem dłoni.

- Rozpierzdolmy ich wszystkich! - Skiddy wodził lufą po leżących bez ruchu tubylcach.

- Załatwmy te dziwolągi! - Sanchez po raz pierwszy zgodził się z którymś z nas. - Pieprzone pojebry! Na co czekamy?! - w jego oczach czaiło się szaleństwo, a głos wibrował na histerycznej nucie.

Z niepokojem obserwowałem, jak jego panika udziela się pozostałym członkom zwiadu. Niewiele brakowało, by pękła krucha tama rozsądku, a uwolniony strach zmusił ich do użycia broni. Opuściłem drasser i podszedłem do roztrzęsionego Sancheza.

- Esco, rozwalmy ich, zanim znowu zjawią się te cholerne pająki! - Dygotał, a z kącików ust ciekła mu ślina.

Wszyscy znowu patrzyli na mnie. Bezradnie rozłożyłem ręce, a potem bez uprzedzenia, bez zbędnych słów, bez cienia wahania czołem uderzyłem w twarz Sancheza. Usłyszałem trzask łamanego nosa, buchnęła krew. Trzytygodniowy rekrut Wigilii z mętniejącym wzrokiem osunął się na ziemię.

- Nikt nikogo nie będzie rozpierdalał - chropawy głos z trudem ulatywał zza zaciśniętych kurczowo szczęk - szukamy handlarza bronią, a nie tych pokrak. Żaden nie zrobił nic, co byłoby dla nas zagrożeniem. Na razie... A teraz, panowie, pozwolicie, że napiję się tego ich cholernego napoju... - Kompletnie zdurnieli. - Zaschło mi w gardle - dopowiedziałem, jakby ktoś oczekiwał ode mnie komentarza.

To wtedy się dowiedziałem, jak i z czego powstaje wywar, którym odurzali się tubylcy. Głowa, którą dla mnie przygotowali, była wyrazem szacunku, należała do kapłana osady, ukryli jego ciało przed innymi Muni, żeby kiedyś poznać smak życia posłannika Pana Porządku Rzeczy. Następne, co zapamiętałem, to miny kompanów z Wigilii, kiedy obudziłem się z transu.

- Esco, nic ci nie jest? - Przystając być kapłanem Muni i wracając na powrót we własne ciało, usłyszałem Berta.

Nie wiedziałem, czy nic mi nie jest. To było dziwne przeżycie, jakbym rzeczywiście był nim - z prawdziwymi wspomnieniami, prawdziwym bólem, prawdziwymi uczuciami... Dotykałem z niewiarą całego ciała, upewniając się, że ja to Esco. Dopiero po jakimś czasie zauważyłem, że rozumiem tubylców... Gedytów... Znałem wiele szczegółów z ich życia, wiele zwyczajów, rytualnych obrządków. Wiedziałem, czego się boją, jak zdobywają pożywienie, dlaczego modlą się do Pana Porządku Rzeczy, jak wiele dzieci rodzi się z błędem kodu genetycznego i jak bardzo starają się chronić te zdrowe przed Kongregacją Białego Oficjum. Gulgotanie nie było już zbiorem nieartykułowanych dźwięków, a stało się mową...

- Przybywamy stamtąd... - powiedziałem, wskazując jaśniejący krąg Garbusa.

- Esco, kurwa, ty bełkoczesz jak oni! - Tobacco przyglądał mi się z przerażeniem.

Tubylcy pochylili głowy z szacunkiem. Najstarszy z nich rozpoczął inkantację:

*...Te istoty potężne dosięgły nieba,*

*Gdzie żyją duchy wieczyste, bogowie...*

Wtedy jeszcze nie słuchałem wystarczająco uważnie, myślałem tylko o tym, jak wielkie możliwości dają Kwiaty Pamięci, ile można na nich zarobić... Właśnie wtedy zaczęło się to całe szaleństwo.

Ale czy teraz wiedziałem więcej? Czy nie byłem równie szalony?

- Escobarze, co mam...

- Niech twój szaman przygotuje wywar z Kwiatu Pamięci Dwana Deboraha Keene'a - przerwałem Knuutowi, zanim dokończył pytanie - i niech nikt nie waży się nawet tknąć go ustami!

Zgiął się w ukłonie i ruszył pośpiesznie w stronę czekających Wyspiarzy.

- Escobarze, a szkockiej też się napijesz? - Melon pochylił głowę, wyciągając butelkę w moją stronę. - Jedna twoja, jedna moja... - uśmiechnął się przebiegle - żebyś znowu nie chciał czegoś udowodnić.

\*\*\*

Stroiciel Efram wsparł głowę na skórzanym zagłówku. Spojrzenie skierował obok,



gdzie na energetycznym materacu spoczywało kruche i delikatne ciało Aidy. Przyglądał się czarnym włosom rozrzuconym na puchowym wezglowiu, zamkniętym powiekom ocienionym długimi rzęsami, różowym ustom, cudownemu złożeniu szyi i ramienia, gdzie tak lubił składać głowę.

Patrzył na Aidę, kobietę, która była spełnieniem jego marzeń, nagrodą od Pana Porządku Rzeczy, szczęściem tak niepojętym, że dotykał jej aksamitnej skóry, pragnąc upewnić się, że naprawdę istnieje. Delikatnie, samymi opuszkami przesunął po pięknym ramieniu, wypiętrzeniu uwolnionych spod jedwabnej materii piersi, lekko wyokrąglonym brzuchu...

Z podświadomości Eframa nadpłynął obraz... A wraz z nim dźwięk...

- To będzie syn - Aida łkała spazmatycznie, miotając się w szalonym tańcu ekstazy - dobrze, mój kochany, o tak... Mocniej, to będzie syn, mocniej, twój syn, o tak...

Łzy wdzięczności płynęły po jej twarzy - twarzy, którą uniesienie rozpaliło blaskiem nadnaturalnego piękna. Skóra lgnęła do skóry. Ciepło dotyku uspokajało myśli. Było dobrze... Jemu... Escobarowi... To jego ziarno przyjęła Aida, jego dziecko miało się stać Prawdziwym Człowiekiem... Efram poczuł tępy ból... Jak nadciąga falami i pulsuje pod splotem słonecznym... Jak zazdrość ścisną płuća, nie pozwalając zaczerpnąć pełnego oddechu...

Przeraził się, przestraszył samego siebie. Wysiłkiem woli zapanował nad obrazem, zmusił złe myśli do powrotu w mroczne czeluście podświadomości.

Pogładził ciemne włosy miękko spływające między poduszkami, rozkoszował się ich pieśczętą.

- Nie śpisz już, Eframie? - usłyszał ciepły głos.

- Nie, Aido, czuвам nad twoim spokojem - pochylił się i pocałował ją w czoło.

- Czy nie czas wydać wojsku wieczorny posiłek? - Uniosła się z posłania, okrywając ciało jedwabiem.

- Przyjaciół przygotowuje wszystko, możesz jeszcze poleżeć.

Niestety wiedział, że tam, za szybami, oczekują wojska zbuntowanej armii Białego Oficjum, wojska będące częścią boskiego planu Pana Porządku Rzeczy, jego zbrojnym ramieniem, które ma odwrócić bieg zdarzeń i sprawić, że na końcu drogi na tronie zasiądzie Prawdziwy Człowiek... I on, Efram, był częścią misternej układanki, elementem, któremu powierzono opiekę nad Aidą, matką przysłego władcy...

- Chodźmy, Eframie, czas nakarmić wojska Pana Porządku Rzeczy. Niech nasza troska będzie ich siłą i wiarą w zwycięstwo.

Ruszył za nią, choć wolałby zostać tu, gdzie przestrzeń zamknięta ścianami tworzyła

tylko ich świat.

\*\*\*

Krzyk najstarszego Muni wzbił się w przestworza i jeszcze przez chwilę wibrował między powietrzem a piaskiem - podobny do rozgrzanego ukropu falującego nad pustynią.

- Oto wola Pana Porządku Rzeczy - wyszeptał, a zgromadzeni wokół świątynnego ołtarza mnisi splekli dłonie na piersiach, w pokornym skłonie oczekując jego słów. - W każdej twierdzy kapłani będą otwierać wrota i wpuszczać do środka żołnierzy Armii Sprzymierzonych, na czele których stoi Wybrany. Imię tego, którego Pan Porządku Rzeczy wybrał na narzędzie swoje, brzmi... - zawiesił głos, a potem z całą mocą zakończył: - Escobar!

\*\*\*

Na horyzoncie zza pustynnego pyłu opadającego wraz z pierwszymi podmuchami wieczornego chłodu wyłaniały się niewyraźne zarysy Przełomów Bramos.

Jechałem na grzbiecie ostroroga, czując, jak wypity wywar z Kwiatu Pamięci Dwana Deboraha Keene'a powoli ogarnia mój umysł.

- Kiedy stracę przytomność - mówiłem do Melona - przywiążesz mnie do siodła. Nie wolno wam się zatrzymać, idziecie na twierdzę Ben-Zahar.

Ili pokiwał głową na znak zrozumienia.

- Nie wiem, jak długo potrwa wizja - tłumaczyłem im, obserwując, jak zmienia się kształt moich dłoni wspartych na łąku - ale w naszych planach niczego to nie zmienia. Macie zatruwać wodę, wybijać zwierzęta, palić żywność. Niech ani jedno ziarnko płaskórki nie zostanie na drodze wojsk Rodryga Ort de Saintre.

- A jeśli Ben-Zahar będzie się bronić? - Knuut z niepokojem wpatrywał się w moją twarz. - Co wtedy?

Martwił się, czy nie zginę przed nim - wciąż władałem jego łuską męstwa. Pokonując drewniejące mięśnie twarzy, uśmiechnąłem się.

- Wtedy pokażesz, czego naprawdę są warci twoi ludzie... Jeśli zatrzymają cię mury słabo uzbrojonego miasta, którego broni kilkudziesięciu żołnierzy, to niegodzien jesteś wkroczenia do Krainy Wiecznej Wojny.

Na ścianach Pankreatorium tańczył mój cień w rozchybotanych płomieniach świec...

- Dalej macie już tylko bezbronne osady - odrywając myśli od wizji, próbowałem skończyć zdanie. - Rozdzielajcie siły tak, żeby niszczyć wszystko szerokim pasem. Jeśli wojska Białego Oficjum zбочą z drogi do Olimpu, by znaleźć pożywienie i wodę, wy także musicie zmienić trasę. Wasza misja to być przed nimi, gdziekolwiek się zwróca.

Patrzyłem na swoje smukłe, nienawykłe do trudu innego niż pisanie palce... Bezbronne... Za ścianą Pankreatorium czekała Szara Świta. Musiałem wyjść i zmierzyć się z życiem innym niż dotąd. Wiedza nie czyniła mnie silniejszym. Byłem narzędziem, zbyt późno zrozumiałem, że zgłębienie tajemnicy Pragenezy, Wielkiego Przeistoczenia nie otwiera nowych bram, nie stawia mnie ponad tłumem, nie daje władzy... Poznałem sekret czasu przyszłego, ale tylko po to, by stać się trybem maszyny, którą obsługuje ktoś inny... Wiedziałem, jak działa mechanizm, znałem ruch, umiałem przewidzieć zmianę, ale wciąż obca mi była odpowiedź na pytanie: dlaczego...

- Esco, Esco... - Przez opar rodzącego się gniewu, gniewu na samego siebie, na świat poza Pankreatorium, który nie chce moich odkryć, przedarły się słowa Melona. - Widzący Wyspiarzy bredzi o nadejściu wiatru zimnych iskier... Esco, co mamy zrobić?... Esco, kurwa, ocknij się na chwilę! Wiatr zimnych iskier za dwa dni... Esco...

To było ważne... Te słowa były ważne. Chciałem unieść delikatną dłoń, żeby wbić w nią zęby. Była przywiązana. Była przywiązana do siodła. Sięgnąłem zębami do ramienia. Zacisnąłem szczęki na kawałku odsłoniętego ciała. Ból wyrwał z gardła krzyk, popłynęła krew.

Spojrzałem na Melona.

- Jezu, Esco, jesteś - wyszeptał, pochylając się w moją stronę.

- Mów szybko, co z wiatrem zimnych iskier? - Czułem, że świadomość Dwana Deboraha Keene'a wdziera się w mój umysł.

- Nasz Widzący przewiduje jego nadejście za dwa dni. - Knuut ubiegł Melona.

- Jest pewien? - Nie mogłem w to uwierzyć, wiatr zimnych iskier był zjawiskiem, którego pierwsze sygnały pojawiały się najwcześniej na kilka godzin przed jego nastaniem.

- On ma dar... To się zdarzało już wcześniej.

Wiedziałem, że szkoda teraz czasu na dyskusje. To mogła być wspaniała okazja.

- Dwa dni - w otumanionym umyśle szukałem miejsca. - Ili, dokąd dojdą wojska Kongregacji przez ten czas?

- Jeśli nie zmienią trasy pochodu, powinni być na płaskowyżu Bramos... - Dowódca Eoli tarł czoło w zamyśleniu.

Pamiętałem doskonale ten obszar. Mieliśmy szczęście. Był tam tylko jeden kanion mogący pomieścić armię Białego Oficjum, jedyne miejsce schowane poniżej ciągnącej się dookoła równiny.

- Zaminujcie cały kanion Aramo, użyjcie wszystkiego, co mamy, okopcie się dookoła i czekajcie.

- Na co, Esco, na co?

Przede mną stał wysłannik Szarej Świty. Skudłone włosy, niskie toporne czoło, oczy, w których była tylko bezmyślna pustka. Za plecami zostało Pankreatorium, Ti-Dejanira chowała się między lichymi dachami osady. Pierwsze języki zmroku coraz śmieiej wysuwały się spomiędzy niewielkich wzgórz.

- Twój umysł nie zburzy Porządku Rzeczy - padły słowa, które uderzyły mnie z siłą siarczystego policzka. - Wolą decyzerów Białego Oficjum masz odejść. Niech pamięć Dwana Deboraha Keene'a, Pierwszego Dekodera Przypadku, zginie wraz z nim.

- Na co? Esco, na co mamy czekać?!...

Podszedłem do płaskonosego. Stał wyprostowany, zapomniał już o kornym pokłonie, jaki był mi należny. Moje delikatne dłonie o długich smukłych palcach trwały na wysokości oczu. Obserwowałem je z taką uwagą, jakby właśnie w nich kryła się odpowiedź.

Szybciej niż atakujący ofiarę turton uderzyłem nimi w szyję wysłannika Szarej Świty. Palce wbiły się w krtań, zakrzywiły, szarpnęły. Płaskonosy z rozszarpaną szyją stał jeszcze chwilę, a ja spokojnie patrzyłem, jak powietrze pomieszane z krwią tańczy na rozerwanej tchawicy.

- Na co mamy czekać?

Nie wiedziałem, skąd dochodzi głos. Wysłannik Szarej Świty upadł na ziemię. Pochyliłem się nad nim, uchwyciłem skudloną głowę i ze wszystkich sił zacząłem bić nią o kamienisty grunt. Za wstyd, za lata strawione gorączką poszukiwań, za wnioski, które nie przyniosły odpowiedzi, za wiedzę nie dającą ukojenia. Uderzałem tak długo, aż w palcach zostały mi tylko włosy przyklejone do kawałków pogruhotanej czaszki.

Odszedłem. Za plecami zostało martwe ciało. Pierwsze. Jedno z bardzo wielu ciał, które będę musiał pozbawić życia, żeby Pan Porządku Rzeczy mógł zrealizować swój plan... Klarowna Reguła nie zostawiała żadnego marginesu, była bezwzględna w swojej prostocie - musiał wybuchnąć bunt. Cierpienie, ofiary, łzy, rozpacz, ból - tak długo, aż zjawi się Wybrany, aż chory projekt szaleńca dobiegnie kresu.

Uśmiechnąłem się ironicznie. Pan Porządku Rzeczy, Księga Ponizenia, przyszłość, którą bóg zaklął w kartkach papieru. Kamienny posąg mojego przeznaczenia. Kruszony wiatrami, chłostany deszczem, bity falami oceanu obelisk dobiegał kresu istnienia - niechętnie odsłaniał czarne wnętrza. Tutaj miały trafić Źrenice Kurlemu, ale nikt nie umiał przewidzieć, co zainicjują... Czerń, jej własny plan, projekt, którego nawet ja nie rozumiałem - mimo całej wiedzy zdobytej w Pankreatorium.

Spierzchniętymi wargami wyszeptałem swoje imię. Dwan Deborah Keene, Dwan

Deborah Keene, Dwan... Bałem się, bałem się niewiadomej, która ukryta pod warstwą czarnych lodów przemawiała do mnie za pośrednictwem mrocznego obelisku. Wiedziałem, że czas Wielkiego Przeistoczenia nieuchronnie się zbliża. Musiałem tylko wzniecić bunt... Zarzewie przyszłych zmian, które wyrosną na krwi tych, co uwierzą, że można pokonać Białe Oficjum.

Dudniły bębny śmierci. Gęste od dymu powietrze drżało pod uderzeniami rytmicznego werbla. Chciałem nie patrzeć na ułożone w równym szeregu ciała Yeomenów - mieszkańców osady, której zgłiszczą dogasały za naszymi plecami. Musiałem... Byłem odpowiedzialny za to, co się tu stało, za to, co działo się w wielu podobnych miejscach. Nazywałem się Dwan Deborah Keene, byłem przywódcą buntu na Eltenerze, zebrałem Armię Sprzymierzonych. Walczyliśmy z Kongregacją Białego Oficjum. Rozbudziłem nadzieję, która teraz zbierała żniwo. Owoce mojej wiedzy - leżące ciała pomordowanych bezbronnych mieszkańców osady, z której odeszli zdrowi mężczyźni, by walczyć przy moim boku. Ciała Yeomenów, tylko ciała, ciała bez głów... Chciałem nie patrzeć w oczy moich żołnierzy, chciałem nie widzieć malującej się w nich wiary, że nawet taka ofiara jest warta wolności, o którą walczymy. Ufali mi, ginęli za nadzieję rozbudzoną moimi słowami, nie znali prawdy innej niż moje obietnice. A ja... Chciałem nie patrzeć na leżące pozbawione głów kobiety, dzieci, starców. Ale musiałem. Bo były moją karą za realizację boskich planów... Klarowna Reguła, Rytuał Przeistoczenia, Teoria Pragenezy - tylko ja tak naprawdę wiedziałem, dlaczego jutro spotkamy osadę podobną do tej, dlaczego pochowamy kolejnych mieszkańców Rezerwatu, którzy ufnie oddali życie w ręce Dwana Deboraha Keene'a.

*...A jeśli kiedyś przyjdzie taka chwila, że będziesz musiał umrzeć?...*

*...A jeśli taka chwila naprawdę przyjdzie?...*

Boski plan szaleńca. Nienawiść. Czysta, klarowna, absurdalnie sensowna, doskonale logiczna, perfekcyjnie realizowana. A ja byłem trybem ząbionym z wieloma innymi, częścią maszyny, której nazwa brzmiała: zemsta... Ja, Dwan Deborah Keene, wypełniałem polecenia chorego psychicznie boga. Boga... Roześmiałem się gorzko.

- Dwan, przed nami oddział Umberta elPassy! - usłyszałem krzyk Ibir Sargona.

Umberto... Znałem go jeszcze na Ziemi, widywaliśmy się czasem przy okazji wielkich uroczystości charytatywnych, na pewno też spotykałem go raz w roku na Wielkim Placu Zgromadzeń - nigdy nie opuścił uroczystości „Mój Głos”, nigdy też jego zdania nie zawierały treści innej niż tylko bałwochwalcze uwielbienie dla samego siebie. Nazywał się Mark Stonton, dodawał sobie przydomek: Pierwszy, był właścicielem największego na starym kontynencie holdingu bankowego. On nie lubił nikogo, nikt nie lubił jego. Teraz mógł dać

upust swojej pogardzie dla innych, teraz w ciele Umberta elPassy bezkarnie zabijał i znajdował w zabijaniu radość.

*...Może istnieje cisza, z której wyrasta kamienny monument twojego przeznaczenia...*

*...A może ta cisza istnieje...*

\*\*\*

Rodryg Ort de Saintre czuł ogarniającą go wściekłość. Drobnymi nerwowymi kroczkami przechadzał się między ścianami namiotu, nie mogąc zapanować nad kurczowo zaciskanymi palcami, które przypominały szpony drapieżnego ptaka.

Na prostym żołnierskim stołku siedziała Laromma. Ubrana była w skórzane spodnie przylegające do jej kształtnych bioder i krótką kurtkę spiętą w talii szerokim pasem, do którego przytroczono misternie nabijaną srebrem kaburę z drasserem. Piękną twarz kaleczyły zmarszczki zmęczenia i złości.

- No to masz owoce swojej wielkoduszności! - Rodryg zatrzymał się przed Larommą. - Wiesz już, kim jesteś? Dziwką. - Próbował za tymi słowami ukryć własny strach.

- Kazałeś zabić Terminującego? - wycodziła, ale gdyby de Saintre nie był tak wzburzony, pewnie odnalazłby w jej głosie nuty hysterii.

- A co to ma za znaczenie?

- Nie chcesz chyba, żeby przerażony Donosiciel zaczął rozpowiadać wśród wojska o Wybranym, Escobarze, który włada Żrenicami Kurlemu? - uśmiechnęła się złośliwie.

Popatrzył na nią z zastanowieniem. Przez chwilę wahał się, czy powinien odpowiedzieć, ale widać uznał to za bezcelowe, bo tylko machnąwszy dłonią, odsłonił połę namiotu i wezwał Aryzejczyka stojącego na straży. Wydał polecenie, po czym nie czekając, odwrócił się i tym samym ostrym tonem przemówił do Larommy.

- Boisz się, co? Twój ukochany idzie po ciebie... - Spojrzenie wypłowiłych oczu utkwił w jej twarzy. - Nawet więcej, już tu jest. Myślisz, że Escobar poprosi o twoją rękę?

- O twoją nie poprosi, po prostu ci ją odetnie - odpowiedziała przez zaciśnięte zęby. - Carlo, jeszcze nie stoczyłeś bitwy, a już trzęsiesz się ze strachu.

- Niczego nie rozumiesz, śliczna, i ciągle zapominasz, że nie jesteś na Ziemi ani Garbusie. - Znowu zaczął się przechadzać między ścianami namiotu. - Nie będzie żadnej bitwy do czasu, aż dotrzemy pod Olimp. O ile w ogóle tam dotrzemy.

- Wiesz, czasami zastanawiam się, dlaczego wybrałam ciebie... - Jej palce bezwiednie głaskały klamrę pasa. - Esco przynajmniej miał jaja.

- Ale nie miał pieniędzy i władzy - poinformował ją - i raczej nigdy by nie zaakceptował twoich chorych fantazji...

- Prowadzisz ogromną armię - ciągnęła, nie komentując uwagi - niezwycięzoną, wspaniałą, gotową na rozkaz pójść na śmierć. A zachowujesz się, jakbyś już przegrał. Tak cię przeraził ten atak, tak lękasz się Escobara?

- Ty naprawdę niczego nie rozumiesz, prawda? - Zatrzymał się przed nią i z ironicznym uśmiechem patrzył w jej ciemne oczy.

- A co tu rozumieć? My mamy ogromną armię, a Escobar zaledwie garstkę buntowników. Straciliśmy tylko tabory, ale ani jednego żołnierza regularnych wojsk Białego Oficjum.

- Tylko tabory? Uważasz, że to nic? Nie czujesz pragnienia? Nie? Bo dostajesz ostatnie zapasy wody i jedzenia, reszta armii nie je i nie pije już od dwóch dni. A przed nami Escobar pali zapasy i zatruiwa wodę. Już niedługo poczujesz pragnienie, śliczna, poczujesz...

- A twierdze? Nie możemy tam uzupełnić zapasów?

- Jedyłą twierdzą na naszej drodze była Ben-Zahar, sama widziałaś, że otwarli przed Escobarem bramy bez jednego wystrzału, na jego rozkaz zatruli wodę i spalili żywność.

- Dlaczego nie możemy zejść z trasy na Olimp, z drogi, którą kroczy Escobar?

- On tylko na to czeka... - Rodryg mówił ze złośliwą satysfakcją, jakby czerpał radość ze swojej bezsilności i z rodzącego się strachu Larommy. - Ma lekki oddział, zawsze będzie przed nami, a my zaczniemy kręcić się jak pies za własnym ogonem, tracąc czas, coraz bardziej głodni i spragnieni. Kiedy żołnierze zaczną dezertować, każda zmarnotrawiona godzina wzmocni Escobara, a nas osłabi. Nie będziemy ani o metr bliżej Olimpu, a stracimy siły. Nie, śliczna, zejść z drogi równałoby się przegranej już teraz.

- Musi być jakiś sposób! Przecież mamy potężną armię! A gdyby posłać przodem lekkie oddziały po zaopatrzenie?

- Niepotrzebne marnowanie sił.

- Dlaczego?

- Na tyle lekkie, żeby były równie szybkie jak Escobar? - Rodryg zagryzł suche wargi. - Ma przewagę, wie, gdzie się skierują, będą dlań na tyle małe, że wytlucze je jak bezbronne zwierzęta. A jeśli nawet któremuś uda się wrócić, ile zapasów przywiezie bez taborów? Po kropli wody dla każdego żołnierza? Po ziarnku płaskórki? Nie, jedyną szansą jest maszerować całą armią, wierząc, że pod Olimp dotrze nas wystarczająco wielu, byśmy wygrali bitwę.

- A gdyby zawrócić do Zamku Purpurowego Rogu? Uzupełnić zapasy, połączyć się z oddziałami Umberta elPassy i jeszcze raz tu wrócić?

Rodryg Ort de Saintre stał ze zwieszonymi ramionami. Nigdy nie wyglądał tak staro. Sprawiał wrażenie kogoś, kto umarł już dawno, a tylko przyzwyczajenie pozwala mu jeszcze

udawać żywego. Ciche słowa umknęły uwadze Larommy.

- Za późno...

Dopiero po chwili zrozumiała.

- Co?! - zachłysnęła się własnym niedowierzaniem.

- Za późno - powtórzył głośniejszym głosem. - Przyszły wieści od Donosicieli. Juda z Rotterdamu ze zbuntowaną armią rozgromił Umberta elPassę. Teraz oblegają Zamek Purpurowego Rogu...

- To niemożliwe! - Twarz Larommy była kredowobiała.

- A jednak. Umberto nie żyje, jego głowę roztrzaskano na drobne kawałki, żeby już nigdy nie zmartwychwstał... Jedyne, co nam pozostało, to zdobyć Olimp. Inaczej spotka nas taki sam los.

Patrzyła na niego szeroko otwartymi oczami. Zniknęła duma i lekceważące skrzywienie ust, hardo wyprostowane plecy zgarbiły się przygniatane brzemieniem strachu.

- Carlo... - popatrzyła na niego niemal błagalnie. - Przecież rozgromiłeś Armię Sprzymierzonych. Dwan Deborah Keene nie żyje. Nie chcesz chyba powiedzieć, że jeden Escobar potrafi zniszczyć całą potęgę Kongregacji Białego Oficjum...

- Wiele się ostatnio zmieniło, śliczna - skrzywił się drwiąco. - Nie ma już Korporacji Handlu. Nie mamy komunikacji z Garbusem, nie możemy liczyć na Wigilię, straciliśmy kontrolę nad Olimpem, nie możemy nawet uciec z Eltenery, bo nie kontrolujemy już osłon wokół planety. Zostaliśmy odcięci od całego zaplecza, które stanowiło o naszej sile.

- Mamy jeszcze armię! - Zerwała się ze stołka. - Będziemy walczyli! Escobar nie może wygrać z taką potęgą! Nie jest przecież nadczołowiekiem, jakimś pieprzonym Wybranym!

- Kto wie... - Starzec się zamyślił. - Nie potrafiłaś zrozumieć, dlaczego tak pragnę Żrenic Kurlemu... Myślałaś, że zwariowałem, że wierzę w durną legendę.

- Proszę, Carlo, nie zrzucaj odpowiedzialności na jakąś idiotyczną przepowiednię! - Patrzyła na niego z coraz większym niedowierzaniem. - Nie ma żadnego Wielkiego Przeistoczenia! To tylko bajania Muni, wymysł ciemnych tubylców z Rezerwatu! Za chwilę powiesz, że wierzysz też w Boga Ojca, Jezusa Chrystusa i Ducha Świętego. Opamiętaj się!

- Zastanawiałaś się kiedyś, co tak naprawdę dzieje się na Eltenerze?...

- Nic, kurwa, co byłoby niezwykle! - Straciła cierpliwość. - Pięćdziesiąt lat temu na Ziemi wywalono ludzi obciążonych błędem kodu genetycznego. Jeden ze statków wylądował tutaj. Ta planeta ma tylko jedną niezwykłą cechę fizyczną sprawiającą, że czas na niej biegnie dziesięć razy szybciej! To wszystko. Resztę zrobiła ewolucja... Pięćset lat tutaj to prawie trzydzieści pokoleń powielenia błędu kodu genetycznego! Co w tym niezwykłego?!

- A Kwiaty Pamięci, Pan Porządku Rzeczy?



- Pan Porządku Rzeczy jest jak kawał mięsa zawinięty w skóry, posypany piórami i powieszony na drzewie. Jest wymyślonym fetyszem, do którego modlą się ciemni tubylcy! - Na pełnych wargach pojawiły się kropelki śliny. - Carlo, przestań bredzić!

- Trzeba było do końca wysłuchać Dwana Deboraha Keene'a... - Rodryg wyglądał, jakby za chwilę miał się rozplakać. - A teraz nawet jego głowa przepadła...

- Co? Ciągnąłeś ze sobą głowę Saszy? - Laromma patrzyła na niego z obrzydzeniem.

- Miałem nadzieję, że wreszcie poznam prawdę o tej przeklętej planecie. Cholerny Escó, teraz szlag trafił wszystko!

- Naprawdę wierzyłeś w te wszystkie brednie Saszy? O Klarownych Regułach, Wielkich Przeistoczeniach, kartach Księgi Poniżenia? - Dostała nerwowego tikę. - Ty masz chyba starczą demencję! Kurwa, my już przegraliśmy bitwę pod Olimpem! Carlo, umierasz, naprawdę umierasz...

- Razem z tobą, śliczna, nie zapominaj, że razem z tobą...

\*\*\*

Przyglądałem się, jak błękitne wody oceanu rozstępują się, tworząc drogę wiodącą do monstrualnego głazu na dnie. Za mną rozpadał się kamienny posąg, przede mną - wzdłuż duktę otoczonego ścianami wody - trwały inne posągi... Patrzyłem na dziwne figury: popękane, pokruszone, groteskowe resztki. Podobizny twórców tak różnych od posągu za moimi plecami. Spoglądałem na kamienne węzowe sploty pierwszego obelisku, nieforemny wielościan drugiego, obłe obręcze trzeciego. Dotykałem każdego po kolei, nie mogąc pojąć mnogości kształtów... Ciągnęły się nieprzerwanie aż do wielkiej bryły spoczywającej na końcu drogi otwartej w oceanie. Nazywałem się Dwan Deborah Keene, kiedyś byłem Pierwszym Dekoderem Przypadku Białego Oficjum. Zdobyłem wiedzę, której nie posiadał nikt inny. Wiedzę, która przerażała nawet mnie, Saszę Stiepanowa. Druga półkula Eltenery, czarne lody kryjące mroczną otchłań, martwa materia oczekująca kolejnej ofiary... Po co? Kierowała się czymś innym niż tylko trwaniem? Odtwarzaniem bez końca zakodowanego programu? Niepotrzebego... Zapomnianego... Wciąż jednak realizowanego. Z bezwzględną konsekwencją maszyny. Od zawsze...

*...Niebył nie istniał wtedy ani był nie istniał...*

*...Nie było też przestrzeni i nieba u góry...*

*...Śmierć nie istniała wówczas ani nieśmiertelność...*

*...Pomiędzy dniem a nocą nie było rozłamu.*

Szedłem drogą usypaną z kruszonych muszli perłopławów. W oddali zostały Góry Pumeksowe, gdzie ukryły się oddziały buntowników. Zostawiłem ich, by mogli leczyć rany

po ostatniej potyczce z Umbertem elPassą. Nie przegraliśmy, a to już można było nazwać zwycięstwem.

W oddali - za przesmykiem białych grzywaczy burzących się na rafach - osnuta woalem delikatnej mgły czekała wyspa Ferro. Jeszcze jedno pytanie i jeszcze jedna odpowiedź. Musiałem sprawdzić Teorię Pragenazy, przekonać się, że nie jest tylko tworem mojego umysłu.

Kiedy tępo ciosany dziób łodzi uderzył w brzeg wyspy Ferro, nie umiałem zachować spokoju. Wskoczyłem na plażę pierwszy. Nabrzeże wznosiło się łagodnym łukiem - żaden uskok, żadna zatoka, nic nie psuło idealnie geometrycznego kształtu. Dalej wznosiła się wysoka poszarpana góra przypominająca grzyb - góra, która dla Wyspiarzy była święta. Zamieszkiwał ją Wielki Pasterz.

*...Niebył nie istniał wtedy ani był nie istniał...*

*...Gdy wszystko było jednym bez cech oceanem...*

Wyspiarze opuszczali mnie w głąb Jaskini Kobiet. Zjeżdżając w koszu idealnie gładkim szybem, wyciągnąłem rękę i dotknąłem matowej powierzchni. Metalowej. Nie byłem zdziwiony, cholera, wydawało mi się to zupełnie normalne. Jakbym już dawno oswoił się z myślą, że Teoria Pragenazy musi być prawdziwa.

Dno kosza uderzyło o posadzkę. Tak jak ściany była metalowa. Wszystko wokoło było metalowe, nawet nikłe lampy ukryto w metalowych kloszach. Półokrągłe sklepienia przechodziły niemal niezauważalnym załamaniem w ściany, a te w podłogę. W kolistej jaskini znajdowały się cztery duże kwadratowe otwory. Za każdym z nich rozpoczynał się korytarz.

Z tuneli dobiegł hałas. Wzmagał się z każdą sekundą, aż wreszcie rozpoznałem odgłos uderzeń dziesiątek stóp. Kobiety Wyspiarzy...

Wbiegły. Stały zaskoczone. Straszne powyginane sylwetki; wyblakłe od wiecznego półmroku oczy; włosy skołtunione; ciała o sinym odcieniu - brudne, pokaleczone; twarze z grymasem przerażenia; czarne pokruszone zęby; dłonie zniszczone tak, że końce palców zamieniły się w gnijące rany. Kobiety... Traktowane gorzej niż stado orbanów, przez całe życie pracujące tu, z dala od blasku dnia, oczekujące tylko pożywienia i walczące o prawo urodzenia dziecka... Kiedy ginął mężczyzna, pojawiał się kosz... Ta, która wywalczyła sobie pazurami miejsce, miała szansę zobaczyć górę przez krótką chwilę, przez czas szybkiego zapłodnienia. A później powrót do jaskini, by kiedy nadejdzie czas porodu, oddać męskiego potomka światu na górze. Inne kobiety czekały na rozwiązanie... Czekwały, bo jeśli urodziła się dziewczynka, to zostawała na dole, a kosz pojawiał się powtórnie...

Teraz patrzyły na mnie i nie rozumiały, co się dzieje. Dlaczego to ja przybyłem w koszu. Widziałem, jak stoją w bezruchu, który w każdej chwili gotów był zamienić się w paniczną ucieczkę. Widziałem pośród nich przedstawicielki nieomal wszystkich ras zamieszkujących Eltenerę, zdobycz wojenną zwożoną z najdalszych zakątków Rezerwatu. Widziałem, które się tu urodziły, które są tu długo, które trafiły do jaskini niedawno... Dłonią przywołałem młodą dziewczynę - zdziczałą Eolkę. Podeszła ostrożnie, każdy ruch zdradzał gotowość do ucieczki, ale kiedy wskazałem kosz, weszła do środka bez chwili zastanowienia. Dołączyłem do niej. Lina szarpnięta dwa razy zaczęła wlec nas w górę, na spotkanie blasku Ti-Dejaniry.

*...Przez własną moc To Jedno bez tchu oddychało...*

*...I nic innego nigdzie poza nim nie było...*

Pod sklepieniem świątyni snuła się ponura pieśń. Uderzenia bębnów wprawiały w drżenie gęste powietrze, wibrował kurz widoczny w smugach światła wpadających przez wąskie szpary - migotał nad głowami klęczących płaskonosych.

Na kamienny ołtarz Pana Porządku Rzeczy wyszedł starszy kapłan Muni, powiernik boga, ten, którego ustami przemawia los.

- Powitajmy Dwana Deboraha Keene'a - przemówił uroczyście. - On to, nawrócony wolą Pana Porządku Rzeczy, opuścił Białe Oficjum i wkroczył na drogę, która wiedzie do Wielkiego Przeistoczenia. Teraz z ust jego usłyszycie wersety Księgi Poniżenia, a gdy ceremonia dobiegnie końca, ci z was, którzy potrafią władać orężem, dołączą do buntu.

Wziąłem z rąk kapłana oprawiony w skórę wolumin. Na okładce tłoczone litery układały się w jedno słowo: Morsej... Przez tyle lat studiowałem ten tekst, że kiedy ujrzałem prawdę, wydała się oczywista, wręcz banalna. Historia nienawiści. Pisana przez lata. Dzieło osoby opętanej tylko jedną myślą - zemstą... A teraz ja, Pierwszy Dekoder Przypadku, zrozumiałem, ku czemu zmierza opowieść i gdzie się zaczęła. Znałem znaczenie słowa: Morsej... Nie było w nim niczego niezwykłego, nie zawierało boskiego przesłania, nie ustanawiało nowych prawd, nie otwierało żadnych granic. Było zwykłym imieniem, imieniem kogoś, kto zatracił się w nienawiści, kto jej imieniem nazwał przeznaczenie...

- Łaski od bogów nie wyprosisz... - przeczytałem, a właściwie wyrecytowałem z pamięci motto Księgi.

Morsej... Jakaś kobieta wymawiała to imię, powtarzała je trwożliwym szeptem. Morsej... Mówiła do mnie? To ja miałem na imię Esco?

W małych pulchnych dłoniach trzymałem pluszowego misia. Między szczebelkami łóżka widziałem twarz kobiety. Płakała. Patrzyła na kawałek papieru oczami pełnymi łez, a w

kącikach jej ust błąkał się przywołany wspomnieniem uśmiech. Chciało mi się pić. Wiedziałem, że mogę zapłakać, ale nie chciałem spłoszyć tego spojrzenia jaśniejącego uwielbieniem. Obróciłem w dłoniach misia. Miał szklane oczy...

- Morsey... - dobiegł szept - obiecuję, że Esco zachowa pamięć o tobie. Na zawsze...

- Esco... - słyszałem głos, ale brzmiał dziwnie twardo, ochryple. - Esco, obudź się! - Głuche klaśnięcie i pieczenie policzka. - Reaguje, Knuut, widzisz, budzi się! - Poczulem uderzenie na drugim policzku.

Otworzyłem oczy. Na granatowym niebie ciągnęły wstęgi wiatru zimnych iskier. W polu mojego widzenia pojawiła się pokryta szpeciną twarz i wzniesiona otwarta dłoń.

- Kurwa, Melon - wykrztusiłem, z trudem rozrywając wargi - dotknij mnie jeszcze raz, a połamię ci ręce.

Radosny śmiech był jedyną odpowiedzią na moją groźbę. Dźwignięto mnie do pozycji siedzącej.

- Witaj w domu, Escobar! - Gęba Melona promieniała radością.

- Ja nie mam domu... - Spojrzałem w wylupiaste oczy. - Już nie...

\*\*\*

*Mój kochany, pojawiły się zupełnie nowe możliwości rozwoju naszej firmy. To mogą być niewyobrażalne pieniądze i władza. Porozmawiamy przy naszym kolejnym spotkaniu. Wiesz, że wciąż Cię...*

*Twoja Lara.*

\*\*\*

Siedzieliśmy w wygrzebanym w piasku i kamieniach okopie. Na horyzoncie rozplatały się szarfy wiatru zimnych iskier. Jasnoblękitna poświata niczym tiulowe woale pełgała po granatowym niebie, muskała szarą ziemię, a w każdym miejscu, gdzie zwiewna wstęga dotknęła równiny, zapalały się setki maleńkich płomyków. Nadciągał wschodni wiatr.

- Zaminowaliście kanion Aramo? - zapytałem klęczącego obok Iliego.

- Tak jak rozkazałeś - dowódca Eoli patrzył na mnie z uwielbieniem - ładunki zakopane w kanionie. Było tego kilkanaście sztuk.

- A wojska Białego Oficjum wlażyły do tego grobu! - Melon nie ukrywał radości. - Cholera, już nie mogę się doczekać... To będzie jatka...

Ostrożnie wychyliłem głowę poza krawędź okopu. Na dnie niecki o promieniu kilkuset metrów, stłoczona głowa przy głowie, stała armia Kongregacji Białego Oficjum. Niesamowity widok. To już nie było wspaniałe wojsko zgrupowane w karnych sztykach, butne i pewne siły, której na Eltenerze nikt nie mógł się przeciwstawić. Teraz wyglądało jak

tłum ściśnięty na placu zgromadzeń. Żołnierze nie wiedzieli o zagrożeniu innym niż tylko wiatr zimnych iskier, wydawało im się, że schronieni w rozpadlinie są bezpieczni - przynajmniej dopóki nie wychyną z kanionu Aramo.

Było mi żal zwykłych żołnierzy. Oto po raz kolejny stałem się bogiem decydującym o życiu i śmierci. Ale tam była również Laromma, to jej strachu i upokorzenia łaknąłem przez długie lata krystalicznego proszku. Nic nie mogło stłumić pragnienia zemsty. Zemsty? Nie byłem lepszy od Pana Porządku Rzeczy, lecz jak mogłem być?

W głębi duszy tliło się przekonanie, wręcz wiara, że żadna z min nie zabije Lary... To byłoby zbyt proste, zbyt nieodwracalne, zbyt... Gorzkie?

- Za ile nadciągnie wiatr? - spytałem Knuuta.

Popatrzył w niebo na coraz gwałtowniej falujące wstęgi pola.

- Nie więcej jak za kwadrę - stwierdził z przekonaniem.

- Melon - odwróciłem się do Zbawiciela - chwilę będę nieobecny. Gdybym się nie obudził do nadejścia wiatru, użyj wszystkiego, co możesz, żebym odzyskał świadomość. Okay?

- Jezu, Esco, znowu? - Miał minę obrazonego dziecka. - Nie możesz z tym poczekać?

Nie mogłem. Otrzymałem od Dwana Deboraha Keene'a wiedzę, z którą nie umiałem sobie poradzić. Nic nie było już oczywiste, choć nabrało straszliwej logiki. Nie potrafiłem zaakceptować tych reguł, każdą myśl przepełniał bunt przeciw biernej zgodzie na Wielkie Przeistoczenie.

Mózg Woorga czekał. Szare zwoje pulsowały w rytm muzyki... Muzyki? Kto grał? Rytm był szarpany, nerwowy, wkręcał się w świadomość powtarzaną wciąż frazą. Nie umiałem znaleźć spokoju potrzebnego do wsłuchania się w dźwięki.

Ujrzałem przeciskającego się przez szarą mgłę mężczyznę. Uśmiechniętego, z podniesioną w powitalnym geście dłonią. Poznałem. Sasza Stiepanow. Pierwszy Dekoder Przypadku. Przywódca buntu. Martwa głowa z Kwiatem Pamięci skrywającym przerażającą wiedzę... Dlatego byłem tu, w zwojach Woorga, pośród Łazarzy, których świadomości stały się własnością Eframa... Nie, nie jego. Własnością Pana Porządku Rzeczy.

- Jesteś gotowy?... - rozbrzmiały ciepłe ciche słowa.

Gdybym tylko wiedział... Gotowy... Wyglądało na to, że przez całe swoje zasrane życie byłem gotowy na chwilę, która miała już niedługo nastąpić, a dowiedziałem się o tym dopiero teraz...

- Nie, nie jestem - odpowiedziałem gniewnie.

W dużych spokojnych oczach Saszy ujrzałem smutek, ale też zrozumienie.

- Twój bunt niewiele zmieni, Esco - uśmiechnął się łagodnie - jesteś jak skrępowany Guliwer... Niby każdą nić Liliputów łatwo rozerwać, ale wszystkie razem... Są mocniejsze od stalowej liny... Piłeś przecież wywar z Kwiatu Pamięci Dwana Deboraha Keene'a, inaczej nie byłoby cię tutaj. Rozumiesz Klarowną Regułę. Wiesz, że Wielkie Przeistoczenie musi się dokonać. Dlaczego wciąż walczysz?

- Mój cel jest jasno określony! - Sam już nie wierzyłem we własne słowa.

- Laromma? Rodryg Ort de Saintre? To tylko elementy układanki.

- Nie zapominaj, że ja też jestem tylko elementem układanki! - Poczulem gniew. Nawet on nie miał prawa tknąć Larommy. Była moja, choćby tylko po to, bym mógł ją zabić...

- Esco, sam już nie wierzysz, że mógłbyś ją zabić - rzekł Sasza. - Twoja zemsta jest elementem zemsty Pana Porządku Rzeczy. Jesteś mu przypisany, sam wiesz dlaczego. Możesz się buntować, ale takie właśnie są fakty.

- Tym gorzej dla faktów! - Popatrzyłem mu w oczy. - Sasza, nie wróciłem, żebyś mi tłumaczył, co jest moją zemstą, a co nie jest! Chciałem zadać parę pytań i poprosić o przysługę.

- Jeśli chodzi o przysługi - smutno skrzywił usta - to tutaj mam raczej ograniczone możliwości.

- Twoja świadomość wróci do ciała na Ziemi - powiedziałem zdecydowanie. - Stroiciel Efram uwolni ją z mózgu Woorga, odzyskasz swoją dawną postać. Wiesz przecież, że z woli Pana Porządku Rzeczy ja tu teraz rządę...

- Wiem, jesteś Wybrany. - Sasza zatoczył ręką krąg. - A inni wyczekujący łaski?

- Nie jestem miłosierny... - Przypomniałem sobie wszystkich uwięzionych, ich twarze, ich myśli, ich przeszłość, ich nicość.

- O co chcesz zapytać? - w niskim głosie nie było wątpliwości.

- Ty wiesz i ja wiem. Czym jest czarny monument wewnątrz posągu? Co stało się z tymi, którzy byli tu przed nami? Dlaczego czas ma dwa różne obiegi? I ta Teoria Pragenez...  
Roześmiał się, ale jego oczy pozostały poważne.

- Zadałeś kilka pytań, choć właściwie to wciąż jedno pytanie. - Spojrzał w górę, ale tam nie było nieba, przelewała się tylko szara galareta zwojów Woorga. - Chciałbyś wiedzieć, czy Sasza Stiepanow ma własne przemyślenia.

- Chciałbym.

- Widzisz... - patrzył na mnie z zastanowieniem - to tylko moje niczym nie poparte bajania... Trudne do zrozumienia...

- Spróbuj - nie wiem dlaczego, ale przeczuwałem odpowiedź.

- Uważam, że Eltenera to pułapka... Gdybym chciał przyrównać ją do czegoś określonego... - Rozmyślał przez chwilę. - Powiedzmy, że jest łąka, na której są myszy, i jest ktoś, kto chce je wytepić. Powiedzmy, że ma zamiar coś uprawiać albo zbierać, a myszy są szkodnikami. Wymyśla więc pułapkę, powiedzmy taką dźwignię, na której końcu jest przymocowana przynęta, a ten koniec wisi nad wodą. Myszy czując smakowity kąsek, wdrapują się po pochylni, a kiedy przekroczą punkt podparcia dźwigni, ich ciężar sprawia, że pułapka przechyla się i myszy spadają do wody. Oczywiście uwolniona od ciężaru pochylnia wraca do poprzedniego położenia i kolejne myszy wchodzą, przeważają i toną... Przynęta jest wciąż nienaruszona... I tak aż do chwili, gdy wszystkie gryzonie zginą.

Doskonale wiedziałem, co chce przez to powiedzieć, nie musiał nawet kończyć, lecz on ciągnął, a ja mu nie przerywałem.

- Powiedzmy, że twórca pułapki zmienił plany, odszedł albo umarł, albo z dowolnych innych powodów zmienił zamiar korzystania z łąki. Tyle tylko że pułapka została... Niepotrzebne, zapomniane, ale wciąż sprawne urządzenie do zabijania gryzoni... Po jakimś czasie na pustą łąkę przywędrował następny gatunek zwierząt. Przynęta czekała, pułapka była sprawna... Później pojawił się następny gatunek i następny, i następny. A zapomniana pułapka wciąż działa... Planeta Eltenera.

Wiedziałem już prawie wszystko. Prawie... Bo wszystkiego nie wiedział nikt. Nie opuszczało mnie przeświadczenie, że zostałem wykorzystany. Wcale nie był to radosny wniosek. Nie tak miało być.

- Teraz prośba - patrzyłem na sylwetkę Saszy coraz bardziej rozkołysaną ruchem szarych zwojów. Spojrzenie czarnych oczu pytająco przyłgnęło do moich ust. - Kiedy twoja świadomość wróci do ciała na Ziemi - słowa padały jakby bez udziału woli - chciałbym, żebyś na placu zgromadzeń podczas widowiska „Mój Głos” wykupił i wrzucił do urny trzywyrazowe zdanie...

Wyglądał na zdziwionego. Chyba nie tego oczekiwał po Wybranym.

- Wyraźnie zaznaczysz, że zdanie wykupił Bethold, technik z dzielnicy biedoty. - Na chwilę wrócił obraz przemytnika ukryty w głowie płaskonosego. - Pieniądze w kartach płatniczych znajdziesz w Edington House w skrytce powierniczej o numerze trzysta. Kod jest prosty, pierwsze cztery nieparzyste liczby.

- Jestem bogaty, sam mogę zapłacić za to zdanie - uśmiechnął się, jakby pieniądze były tylko jakimś detalem.

- Nie! Zapłacisz pieniędzmi Betholda. Całe życie marzył, że będzie go stać na jego własny głos. Zabijał tubylców z Rezerwatu tylko po to... Teraz sam nie żyje, ale zarobił

wystarczająco dużo.

- Jakie to zdanie?

Powiedziałem mu. Wyglądał na tak zaskoczonego, że powtórzyłem jeszcze raz. Trzy wyrazy ułożone w zdanie. Ostatnia wola Betholda. Dla mnie te słowa stały się drogowskazem. Cholernie mądre i prawdziwe słowa... Obraz Saszy rozpływał się w szarej masie, ginął i blaknął.

Nadszedł czas uwolnienia świadomości Stiepanowa. Nadszedł czas rozmowy ze Stroicielem Eframem. Ważnej rozmowy. Pierwszy z kroków na mojej naprawdę drodze... Rozpędziłem się i z impetem wbiłem w galaretowate zwoje mózgu Woorga. Pomimo szarej mgły otulającej usta wyraźnie słyszałem własny krzyk.

- Efram! Pora uwolnić Saszę! Uwolnij go! Taka jest wola Escobara!

Zanurzałem się coraz głębiej, ginąłem gdzieś między górą i dołem, pośród żaru i lodu, koloru i braku barwy...

Rozpływałem się, choć krzyk nie milkł.

- Efram! Uwolnij Saszę! Musimy pogadać!

\*\*\*

Czong Mu Kwai siedział w gabinecie Kap Don Andera, w gabinecie, który jeszcze do niedawna zajmował Kurt von Ditlev. Teraz sprawował tu władzę - dopóki nie przybędzie nowy kontyngent Wigilii. Tymczasem marszałek Areopagu Zjednoczenia Starych Kontyentów wydał mu kilka rozkazów, które były co najmniej zastanawiające.

Dlaczego nikt nie miał prawa opuścić Garbusa? Dotąd była to wolna strefa. Takie polecenie w normalnych warunkach zakrawało na łamanie konstytucyjnego prawa do swobody przemieszczania się. Drugi rozkaz był jeszcze dziwniejszy. Wigilia miała wstrzymać wszelkie operacje na Eltenerze, niezależnie od wydarzeń rozgrywających się w Rezerwacie. W tym celu zmieniono nawet kody osłony wokół planety i po raz pierwszy, odkąd Mu Kwai pamiętał, nie udostępniono ich Wigilii... Wyglądało na to, że Areopag zdecydował o całkowitej izolacji nie tylko Eltenery, ale i Garbusa.

Zmieniano cały kontyngent na zupełnie nowych ludzi, nikogo nie interesowało doświadczenie Wigili, którzy służyli tu od lat. Dlaczego? Przecież Rezerwat był wyjątkowym miejscem - pełnym niespodzianek, tajemnic, pułapek. Żółtodzioby mogły zapłacić za niewiedzę przeraźliwie wysoką cenę... Co takiego się stało, że nikt nie mógł opuścić Garbusa?

Nagła myśl przyszła Czongowi do głowy. Czy Wigile mieli wrócić na Ziemię? Po co izolować mieszkańców Garbusa, ściągając z powrotem cały kontyngent żołnierzy?

Wrócił pamięcią do rozmowy z marszałkiem. Czy padły słowa o powrocie na Ziemię,



czy tylko o odwołaniu ze stanowiska na Garbusie? No właśnie... w tym świetle teoretycznie najmniej zastanawiające polecenie - zastrzelić Escobara, jak tylko pojawi się na Garbusie - nabierało zupełnie innego wymiaru...

Uruchomił wewnętrzną linię i przywołał dyżurnego Wigila - zaufanego Tazera, z którym służył od samego początku. Być może wszystko to było tylko grą wyobraźni Czonga, ale wolał nie zdawać się na łaskę polityków...

\*\*\*

- Uwolnij Saszę! - krzychałem do szklanej ściany słoja. - Nie zapominaj o naszej rozmowie, Eframie! Taka jest wola Escobara!

Niebieska zaokrąglona płaszczyzna zamieniała się w falujące wstęgi. Pełgały po niej miliardy drobnych ogników. Ti-Dejanira zmieniała barwę, jej purpurowy blask mieszał się z błękitnym lśnieniem wiatru zimnych iskier.

Zacząłem dygotać, targany gwałtownymi szarpnięciami nie potrafiłem skupić wzroku.

- Esco!... Kurwa!... Zaraz się zaczniesz! Wiatr! Zimnych! Iskier! Już jest!

Odzyskałem wzrok, choć dalej rejestrowałem na przemian niebo i ziemię. Dopiero po chwili dostrzegłem muskularne ręce szarpiące mnie za ramiona.

- Okay, jestem... - Słowa jeszcze przez moment dygotały razem z ciałem, ale wreszcie rzeczywistość wróciła na swoje miejsce.

Byłem w okopie na płaskowyżu Bramos. W oddali stały wojska Kongregacji Białego Oficjum, szczelnie wypełniając kanion Aramo. Naprzeciw mnie klęczał Melon, a po bokach leżeli Knuut i Ili. Dalej, w wydrążonej w ziemi niecce - pomiędzy spętanymi ostrorogami - schronił się cały buntowniczy oddział.

- Jak wygląda sytuacja? - zapytałem, strząsając z ramion łapy Zbawiciela.

- Wiatr zimnych iskier właśnie nadciągnął - dowódca Wyspiarzy cedził słowa z dziką satysfakcją - a oni siedzą na minach, które zaraz rozerwą ich na strzępy.

Odwróciłem wzrok od jego oczu, którym złośliwa radość nadała siną barwę. Płaskowyż Bramos okryty był woalem błękitnych płomieni. Obraz załamywał się i rozszczepiał, patrzyłem poprzez kurtynę zimnych iskier wiszącą nad naszymi głowami, szukając orszaku Rodryga Ort de Saintre... Zdawało mi się, że widzę w środku zbitej masy grupę w strojach świetniejszych niż inne, ale równie dobrze mógł to być wytwór mojej wyobraźni, przecież tak bardzo chciałem ujrzeć Larommę...

Na razie wśród wojsk Kongregardów panował spokój. Nie oczekiwali zagrożenia innego niż to, które niósł wiatr. Dopóki byli poniżej poziomu płaskowyżu Bramos, mogli czuć się bezpiecznie. U góry czekała śmierć, u góry każdego, kto by się wychylił z kryjówki,

zabiłyby ładunki zimnych iskier. Ale po co popełniać samobójstwo, skoro Aramo gwarantował przetrwanie. Wiatr odchodził równie nieoczekiwanie, jak się pojawiał, należało tylko spokojnie czekać...

- Esco - w głosie Melona wyczuwało się niecierpliwość - kiedy odpalisz ładunki?

- Spokojnie, Zbawicielu, czekałem na tę chwilę przez trzy lata... - Uśmiechałem się, choć w głębi czułem twardą obręcz ściskającą trzewia. - Trzy pieprzone lata krystalicznego proszku. Trzy gówniane lata bólu. Trzy cholerne lata wizji tylko o jednej osobie. Trzy kurewskie lata umierania... Spokojnie, Zbawicielu, chcę, żeby to było misterium...

Tam, w kanionie Aramo, była ona - Lara. Tam, w kanionie Aramo, był też jej kochanek - Carlo. Tam, w kanionie Aramo, było wszystko, czego oczekiwałem od życia - nagroda... Wiatr zimnych iskier przybierał na sile. Ogniki pełgały coraz wyżej, coraz cięższy stawał się błękitny woal. Pierwsze, drobne wyładowania rozcięły srebrnymi błyskawicami spokojny dotąd płaskowyż.

Sięgnąłem po detonatory. Dotykałem każdego z nich pieścizotliwie. Opuszkami wyczuwałem nierówność metalu, głaskając przyciski bezpieczników, czułem niemal rozkosz. Trzy lata... Teraz miało się spełnić marzenie o zemście. Dziwne... Nie czułem bólu, nie brakowało mi pieniędzy, które przepadły, nie żałowałem utraconej władzy ani nawet czasu krystalicznego proszku... Prześladowała mnie tylko jedna wizja... Laromma z Carlem... A potem z innymi...

Zęby zaciśnięte aż do bólu tłumiły krzyk. Wybrałem pierwszy detonator. Nie chciałem wiedzieć, gdzie umieszczona jest mina, która roztrzaska spokój wojsk Białego Oficjum. Niech będzie to niespodzianka.

Wdusiłem przycisk zapalnika. Eksplozja pierwszej miny wyrzuciła w niebo ziemię kanionu Aramo wymieszaną z ciałami Kongregardów. Potworny gejzer wykwitł ponad błękitnym woalem, zawisł na sekundę, a potem wolno zaczął opadać. Zanim sięgnął ziemi, dogoniły go srebrne błyskawice, spopielaając strzępy ciał Kongregardów.

- Esco - usłyszałem głos Melona - następne!

- Powoli, Zbawicielu - powiedziałem raczej do siebie niż do niego. - Niech całe wojsko zacznie drzeć ze strachu, gdzie wybuchnie następna mina... Niech wiedzą, że Escobar wrócił.

- Ale...

- Melon! - Rzuciłem mu gniewne spojrzenie. - Mówiłem ci już, ja decyduję, co robimy na Eltenerze! Miny, które mamy w Aramo, zabijają najwyżej co dziesiątego Kongregarda! Chcę, żeby się bali w oczekiwaniu na następny wybuch, chcę, żeby ze strachu postradali zmysły, chcę, żeby uciekali w panice z kanionu! Chcę, żeby zabijał ich wiatr zimnych iskier!

On jest naszą prawdziwą bronią!

Słyszałem ulatujący z ust Knuuta jęk rozkoszy. Słyszałem, jak Ili szepce zakłęcie Eoli. Słyszałem szmer radości wśród leżących w okopie buntowników. Sięgnąłem po następny detonator.

Armia Białego Oficjum nie była już spokojna... nerwowe dreszcze przebiegały organizm składający się z tysięcy Kongregardów, organizm, który kulił się trwożliwie w oczekiwaniu kolejnego ciosu - nie wiedząc, skąd nadciągnie i jak będzie silny...

Huk eksplozji dotarł do naszych uszu sekundę wcześniej niż krzyk ginących żołnierzy, dwie sekundy wcześniej niż paniczny wrzask tysięcy oczekujących na swoją kolej.

Ona... Laromma... Ciekawe, czy i jej krzyk był pośród tych, które do mnie dotarły. Bała się? Myślała o tym, że zginie, czy raczej - dlaczego zginie? Patrzyła na Carla? Dalej był jej możliwym protektorem i wyuzdanym kochankiem? Wciąż wierzyła, że potrafi zagwarantować bogactwo i nietykalność?

Umiała kłamać... Brązowe oczy, piękne oczy. Doskonale wykrojone usta szepczące kłamstwa...

Przez oddziały Kongregardów przebiegł dreszcz. Kiedy wybuch trzeciej miny rozerwał stłoczoną ciżbę, a gejzer krwi zginął w purpurowym blasku Ti-Dejaniry, na krańcu Aramo pierwsi żołnierze Białego Oficjum nie wytrzymali napięcia... Po skórzanych zbrojach poznałem Mocarzy, to oni zerwali okowy strachu. Ponad stu żołnierzy wybiegło na otwartą przestrzeń. To nie trwało długo, nie mogło długo trwać - pole energetyczne było tak przeładowane, że nie ubiegli nawet kilkudziesięciu metrów. Bezwzględne srebrne błyskawice przeskakiwały między pędzącymi sylwetkami, a kogo dotknęły, zamieniał się w popiół.

Dotyk detonatora przywrócił poczucie rzeczywistości. To było prawdziwe: miny, kanion, Kongregardzi, wiatr zimnych iskier... Nie słowa, a wybuchy, nie obietnice, a spełnienie, nie wymyślona miłość, a realna prawdziwa śmierć.

Czwarta eksplozja wygoniła z Aramo kilka kolejnych grup żołnierzy Białego Oficjum. Uciekali w panice, a wiatr zimnych iskier zabijał ich jak muchy. Ginęli na oczach innych, a jednak następni szli w ich ślady i ginęli równie szybko. Paniczny szal udzielił się też zwierzętom. Szarpały się i wrywały, tratując tych, którzy znaleźli się w zasięgu kopyt.

Nie czekałem, kolejny zapalnik i kolejny wybuch. Panika osiągnęła stan krytyczny. Miny siały nie tylko śmierć, ale i strach. W Aramo ktoś, kto jeszcze potrafił myśleć, zrozumiał oczywistą prawdę... Bezpieczne miejsca w kanionie to te, w których już nastąpiła eksplozja. Widziałem, jak grupa Aryzejczyków przebiła się przez ciżbę i zajęła miejsce w leju po ostatniej minie. Uśmiechnąłem się, wiedziałem, co teraz nastąpi. Było to tak oczywiste...

Do ładunków i wiatru zimnych iskier doszedł trzeci wróg - najgorszy. W kanionie każdy z Kongregardów stał się dla każdego wrogiem...

- Co oni tam robią?! - Melon obserwował zafascynowany. - Jezu, walczą ze sobą!

- Walczą, Zbawicielu - pokiwałem głową - walczą o przetrwanie jak zwierzęta, przestali myśleć... Nie ma już armii Białego Oficjum...

- Ale dlaczego?

- W kanionie zabijają ich miny, na zewnątrz wiatr zimnych iskier. Bezpiecznie jest tylko tam, gdzie już był wybuch. Dlatego walczą. Ci, którzy są w bezpiecznych miejscach, nie chcą z nich wyjść, a ci, którzy są poza nimi, za wszelką cenę chcą się do nich dostać. I będą bić się coraz zajadlej... Zobacz... - Znów odpaliłem minę.

Eksplozja dołała oliwy do ognia. Teraz w Aramo rozgorzała prawdziwa bitwa. Całe uzbrojenie zostało na zewnątrz, więc walczono na pięści, na zęby. W naszym okopie rozległy się szepty niedowierzania. Wspaniała armia Białego Oficjum, przed którą drżała cała Eltenera, potęga, jakiej nikt nie mógł się przeciwstawić, teraz była gromadą przerażonych zwierząt. Wiedziałem, że nic tak nie umocni morale buntowników jak ten obraz. Nigdy czegoś podobnego nie widzieli, nigdy tak naprawdę nie wierzyli, że garstka ludzi i kilkanaście min może dokonać takiego spustoszenia... Ale gdybym kazał im w tej chwili uderzyć na tysiącrotnie większe siły, zrobiliby to bez zastanowienia.

Ja wiedziałem, że to jeszcze nie koniec. Każdy z wybuchów zabijał nie więcej jak kilkudziesięciu Kongregardów, na zewnątrz kanionu zginęło ich kilkuset, wewnątrz - gdzie walczono tylko gołymi rękami - straty musiały być mniejsze. Kiedy wiatr zimnych iskier minie, armia Białego Oficjum wciąż będzie wystarczająco liczna.

Tylko że nie będzie już armią...

Zebrałem resztę detonatorów. Podzieliłem je między Ilię, Knuuta i Melona. Chciałem, żeby mieli w tym swój udział. A może chciałem stworzyć sobie furtkę... Gdyby Laromma zginęła w kanionie Aramo... Żebym mógł przekonać sam siebie, że to nie ja ją zabiłem...

Melon pierwszy odpalił jedną ze swoich min. Miał rozanieloną twarz, jakby wysyłał do raju kolejnego kota. Uśmiech rozpromienił twarde rysy, oczy z zachwytem obserwowały wybuch i spustoszenie, jakie uczynił na skraju Aramo. Tak, Zbawiciel był w swoim żywiole.

- Chciałbym trafić tego skurwiela Rodryga - wyszeptał, patrząc w moją stronę - mogę jeszcze raz?

Wzruszyłem ramionami. To były teraz jego zabawki, jego gra w zabijanie, teraz on, Ili i Knuut byli bogami, decydowali o życiu i śmierci. I nikt nie miał prawa pytać o powody, dla

których to robią.

Wiatr zanikał. Ogniki jeszcze rosły, nasycając pole dodatkową energią, ale takie właśnie były zwiastuny końca zjawiska. Knuut też to zauważył. Spojrzeli po sobie z dowódcą Eoli i ich palce na detonatorach ożyły.

W kanionie rozgorzała straszliwa walka. Każdy wybuch ją podsycił.

Ili, Knuut i Melon odpalali detonatory prawie na wyścigi. Wiatr zimnych iskier gasł, chcieli zdążyć, nim w Aramo ktoś zauważy, że lada chwila będzie można uciec z pułapki.

Błękitny woal stawał się coraz cieńszy, a spójna dotąd materia rozrywała się na strzępy. Ucichł huk eksplozji. Pękła energetyczna błona nad naszymi głowami. Kiwnięciem głowy odpowiedziałem na nieme pytanie Knuuta. Nie oglądając się już na kanion, zaczął zwoływać oddział buntowników. Pora ruszyć w dalszą drogę. Tu nie mogliśmy zrobić nic więcej. Ostatni raz spojrzałem na Aramo... Nie wiem dlaczego, ale zobaczyłem Larommę... Ubłoconą, we krwi innych Kongregardów, podrapaną, w poszarpanym ubraniu, przerażoną, lecz wciąż żywą... Czy dlatego, że chciałem to widzieć?

- Zaatakujemy ich? - O coś takiego mógł zapytać tylko Zbawiciel.

- Nie, Melon, wciąż jest ich pięćset razy więcej - odpowiedziałem - i nie mają już nic do stracenia. Nie atakuje się szczura przypartego do muru. Nigdy tego nie próbuj...

Pokiwał głową na znak zrozumienia. Sięgnąłem po leżącego na ziemi phobosa. Przede mną ostatnia wyprawa, na którą będę musiał ruszyć sam...

\*\*\*

Sasza Stiepanow uniósł powieki. Nad nim rozpościerał się namiot tlenowy. Z trudem odwrócił głowę. Obok - przy aparaturze monitorującej czynności fizjologiczne - siedziało dwóch lekarzy, których wynajął przed przeniesieniem na Eltenerę. Był z powrotem u siebie, na Ziemi.

Zajazgotały czujniki. Lekarze zerwali się z foteli i podbiegli do łóżka.

- Panie Stiepanow - słowa dobiegały z głośników zlokalizowanych przy jego głowie - wrócił pan do swojego prawdziwego ciała. Rozumie pan, co do pana mówię?

- Rozumiem.

- Niech pan spróbuje poruszyć palcami u rąk i nóg - padło polecenie. Spróbował. Udało się bez żadnego problemu. Uniósł głowę i spojrzał na swoje ciało. Zaskoczył go trochę ten widok, tak długo był Dwanem Deborah'em Keene'em, że teraz własna postać wydawała mu się obca.

Jeden z lekarzy rozsunął zamek przezroczystej czaszy. Stiepanow poczuł zapach powietrza przesycony jodłą kanadyjską. Tak, na pewno był u siebie, pamiętał, ile kosztowała

boazeria z tego drewna.

Spróbował dźwignąć się z łóżka. Lekarze pośpieszyli z pomocą. Musiał nauczyć się swojego ciała od nowa. Wciąż jeszcze głowę przepelniały myśli Pierwszego Dekodera Przypadku, przechowywał w pamięci trud ostatnich miesięcy w Rezerwacie. Wciąż jeszcze oczekiwał, że zaraz pojawi się Ibir Sargon, że trzeba będzie maszerować po piaskach pustyni Sar-deh-Endzam. Stopy niepewnie wsparte na puszystym dywanie nie mogły uwierzyć w tę miękkość - tak inną od podeszew twardych trepów.

- Na początku będzie miał pan uczucie, że to obce ciało. - Lekarz potwierdził prawdę, którą Sasza już zdążył poznać. - Bardzo długo pana nie było...

No właśnie, bardzo długo go nie było...

- Chciałbym dostać komunikator - rzekł głosem nawykłym do wydawania poleceń, głosem, którego tak dawno nie słyszał.

- Wszystko czeka - lekarz wskazał konsolę audiowizualną - ale najpierw powinniśmy zawiadomić Komisję Sprawiedliwości o pańskim powrocie.

- Nie rozumiem.

- Zarządzenie Areopagu. - Pod dociekliwym spojrzeniem Stiepanowa mężczyzna w białym kitlu stracił pewność siebie. - Każdy powrót z Rezerwatu ma być niezwłocznie zgłaszany Komisji Sprawiedliwości. Ponoć z powodu zarazy, która wybuchła w układzie planet bliźniaczych Garbusa i Eltenery, ogłoszono kwarantannę.

Stiepanow przypomniał sobie, że kilka kont ma otwarte na hasło. Pieniądze nadal były podstawowym kluczem do serc ludzi na stanowiskach.

- Kod otwarcia połączeń wciąż ten sam? - zapytał, siadając przy konsolecie.

- Nic nie zostało zmienione - padła usłużna odpowiedź.

\*\*\*

Przy pierwszych przełomach Bramos natknęliśmy się na dwóch Muni. Zatrzymałem oddział. Tu nasze drogi musiały się rozejść. Nie chciałem nawet pytać Iliego, czy stąd najlepiej ruszyć nad ocean. Obecność kapłanów Pana Porządku Rzeczy była tego widowym dowodem.

Klarowna Reguła działała. Uśmiechnąłem się w duchu. Gorzko. Przytłaczała mnie wiedza, którą posiadałem ostatnio, niepokoili nadchodzące dni - musiałem zmierzyć się z przeszłością, a każdy ruch miał warunkować przyszłość... I nawet umysł Dwana Deboraha Keene'a nie potrafił przewidzieć, jakie skutki to przyniesie.

Pieprzyć wszystkie lęki. Umrzeć można tylko raz, a ja już umarłem - trzy lata temu; trzydzieści, jeśli mierzyć czasem Eltenery. A chłopiec w łóżeczku, który bał się głośno

plakać... Wspomnienia nie zabijają, zabijają ludzie.

- Melon, musimy pogadać - powiedziałem, zsiadając z ostroroga.

Odeszliśmy na bok. Ili i Knuut obserwowali nas z uwagą.

- Tutaj musimy się rozstać... - ruchem ręki powstrzymałem pytanie Zbawiciela. - Chciałbym, żebyś poprowadził oddział do Olimpu...

- Ja?!

- Pomogą ci Knuut i Ili, ale ty będziesz dowódcą - mówiłem, patrząc w wylupiaste oczy - muszę wyruszyć nad ocean, tam gdzie z piasku plaży wyrasta kamienny posąg, monument mojego przeznaczenia...

- Czemu nie mogę pójść z tobą? Oni doskonale poradzą sobie beze mnie.

Przybrałem poważną minę.

- Widzisz, Melon, wyznaczyłem ci piekielnie istotne zadanie. Od tego, czy je wykonasz, zależy życie moje, twoje, wszystkich na Eltenerze i bardzo wielu na Ziemi.

Zbawiciel nie wyglądał na zadowolonego. O ile jeszcze ratowanie swojego i mojego życia uważał za coś normalnego, o tyle występowanie w roli dobroczyńcy całego Rezerwatu, a tym bardziej ludzi z Ziemi, traktował chyba jako kiepski żart. Niestety, tym razem musiał się zgodzić na niezwykłą rolę.

- A nie mógłby tego zrobić ktoś inny? - podjął ostatnią próbę, choć widać było, że już się zgodził.

- Nie, Zbawicielu, to musisz być ty. Z wielu powodów. Pierwszy jest taki, że nie jesteś tubylcem, władza Pana Porządku Rzeczy ciebie nie sięga... - tłumaczyłem cierpliwie. - Kiedy dotrzesz do Olimpu, spotkasz się ze Stroicielem Eframem. Uprzedziłem go, że się zjawisz, i wspólnie macie wykonać moje polecenia.

- Uprzedziłeś? Kiedy?

- Nieważne, powiedzmy, że przed masakrą w Aramo. - Pomyślałem ze smutkiem, jak trudno wytłumaczyć, kim naprawdę jestem. - Efram wpuści cię do statku, razem przygotujecie wszystko, a kiedy nadejdzie czas, po prostu wykonasz polecenie...

- A kiedy czas nadejdzie?

- Stroiciel będzie wiedział - miałem tylko nadzieję, że Eframa przekonały moje słowa, że uwierzył we wszystko, co mówiłem... Jego miłość do Aidy była tak wielka, jej miłość do nienarodzonego dziecka była tak mocna... Łącuszek przyczyn powinien być wystarczająco silny, żeby w ostatniej chwili nie zmienili zdania. Inaczej wszystko szlag trafi.

- Jakie polecenia mam wykonać? - Pogodził się już ze swoją rolą. Dobrze, że wtedy, u Maxa, stanął na mojej drodze.

- Melon, chcę, abys wiedział, że bez ciebie nigdy nie zaszedłbym tak daleko.

- Esco, co ty, chłopie... - widać było, że bardzo go ucieszyła pochwała - jesteś gościem, jakiego nigdy w życiu nie spotkałem, sam dałbyś radę, człowieku, to ja tobie powinienem dziękować, że wciąż żyjemy...

- Po wszystkim, jak wrócisz na Garbusa, a potem na Ziemię, będzie na ciebie czekała obiecana wielka kasa... - Pomyślałem, że ja już pieniędzy nie potrzebuję.

Oponował, ale zmusiłem go, żeby zapamiętał kod do skrytki. A potem długo i dokładnie tłumaczyłem, co ma zrobić na Olimpie. Gdy skończyłem, jeszcze raz powtórzyłem wszystko od początku, a później jeszcze raz. I kazałem jemu powtórzyć. Dopiero wtedy wróciliśmy do czekającego oddziału buntowników.

Wiedzieli, że coś się dzieje - obecność Muni była więcej niż wymowna, moja narada z Melonem też wyraźnie ich zaniepokoiła.

- Jestem z was dumny! - rozpocząłem pożegnanie. - Wasi ojcowie mogą być z was dumni, wasze matki i wasze dzieci mogą być dumne! Jesteście bohaterami, którzy złamali pychę Białego Oficjum! Zaledwie garstka buntowników przeciw niezmiernym siłom Kongregardów dokonała tak wiele, że już tylko krok dzieli was od zwycięstwa! I wygracie! Ja, Escobar, Wybrany Pana Porządku Rzeczy, doskonale o tym wiem! Zniszczycie Białe Oficjum! Pod Olimpem chwała będzie wasza!

Krzyk radości przemknął przez szeregi buntowników. Wyspiarze, Yeomeni, Eole, kilkunastu Bojowników - wszyscy dzikim wrzaskiem wyrażali swoją dumę, waleczność, chęć mordowania Kongregardów, odwetu za krzywdy. Mogłem być spokojny o bitewny zapał pod Olimpem.

- Dalej wasz oddział poprowadzi Zbawiciel Kotów razem z Ilim i Knuutem! - Po tych słowach nadeszła pora na gorzką pigułkę. - Ja muszę z kapłanami wyruszyć do świątyni Pana Porządku Rzeczy! Aby razem z nim czuwać nad waszym zwycięstwem!

Tym razem nawet szept nie uleciał z gardeł buntowników. Wyglądali na zaskoczonych, choć musieli przeczuwać to wcześniej... Dotąd ślepo wierzyli, że są niepokonani, wszak prowadził ich Wybrany, dotąd nie musieli nawet odpowiadać za siebie, bo to ja gwarantowałem zwycięstwo... Jak będzie teraz?...

- Wygracie! - słowami uspokajałem ich obawy. - Razem z Panem Porządku Rzeczy będę nad wami czuwał! A wojska Białego Oficjum to już tylko przerażone orbany! Drżą na myśl o spotkaniu pod Olimpem zjednoczonych sił buntowników! To będzie pogrom!

Znowu zabrzmiał krzyk, wróciła pewność siebie, odżył bojowy duch.

Ili zeskoczył z ostroga i podszedł do mnie lekko niepewnym krokiem. Widziałem w



jego oczach smutek. To było niepodobne do walecznego Eola.

- Escobarze... - wolno przeciągał sylaby. - Czy mogę twoją dłoń dotknąć mojego serca?

Zdziwiłem się. Ten zwyczaj nie obejmował osób spoza klanu Eoli, gest był bardzo rzadki, oznaczał wyjątkową przysięgę. Gdybym kiedykolwiek poprosił Iliego o życie, oddałby je bez chwili wahania, bez cienia wątpliwości, bez zastanowienia.

Podąłem mu dłoń, a on oparł ją na swojej piersi.

- Biorę twoje życie, Ili, na zawsze - wypowiedziałem zwyczajową formułę. - Przystajesz być jego panem.

- Dziękuję, Escobarze. - Twarz Eola promieniała radością.

- Ili, to ja dziękuję, twoje męstwo jest wielkie - położyłem mu dłonie na ramionach - udowodniłeś już wcześniej, że oddasz życie za słuszną sprawę. Chcę, żebyś po bitwie wrócił do swojego rife, znalazł godną kobietę, która spłodzi syna równie walecznego jak ty.

Naprawdę tego chciałem, sam nie wiem dlaczego... Właściwie ten tubylec był zaledwie trybikiem w wielkiej maszynie, zupełnie nie rozumiałem powodów, dla których żał mi było się z nim rozstawać. Cholera, gdzieś po drodze zgubiłem chłodny spokój...

Skinieniem przywołałem Knuuta. W spojrzeniu Wyspiarza dostrzegłem niemą prośbę. Wiedziałem, o co chodzi. Wyciągnąłem rękę i nieśpiesznie sięgnąłem po jego łuskę męstwa. Nawet nie drgnął. Zbliżyłem zrogowaciałą łuskę do ust i chuchnąłem.

- Zwracam ci oto drogę do Krainy Wiecznej Walki - przyłożyłem mu łuskę z powrotem do czoła. - Wielki Pasterz może cię teraz powitać z dumą, zasłużyłeś na miejsce wśród najwaleczniejszych wojowników.

- Jestem twoim sługą, Escobarze - uklęknął - jeśli kiedykolwiek usłyszę wezwanie... Moje ramię i ramiona Wyspiarzy zawsze wesprą cię w potrzebie.

Nie przypuszczałem, że jeszcze kiedyś będę potrzebował pomocy, ale doceniałem jego zapal.

- Życzeniem moim jest, żeby na miejscu dowodził wami Tobacco Ptasznik i nikt inny! - Pokiwali głowami na znak zgody. - Po bitwie Zbawiciel Kotów powie wam, co macie robić dalej...

Melon nie wyglądał na zbyt pewnego siebie. Jemu chyba też udzieliło się powszechne przekonanie, że jestem niezastąpiony.

- Cholera, nie została ci jakaś szkocka na pożegnanie? - zapytał płacząco.

Uśmiechnąłem się. Też bym nie pogardził, ale niestety.

- Następnym razem, Zbawicielu - poklepałem go po plecach - ja stawiam...

- Moja babcia mawiała: jutro będzie futro, a pojutrze po futrze - wystękał zawiedziony.

- Pamiętasz wszystko, co masz zrobić?

- Jezu, pamiętam, ja tylko tak głupio wyglądam - zachnął się - możesz być spokojny, będzie, jak kazałeś.

- Okay, Melon, czas się pożegnać - wyciągnąłem dłoń.

- Dobra, tylko bez smarkania w chusteczkę - uścisk miał tak mocny, że o mało nie połamał mi palców. - Załatw swoje i spieprzajmy stąd gdzieś, gdzie dają stronga... Tylko nie daj się zabić, bo ci, kurwa, łeb urwę.

Zbawiciel naprawdę potrafił mnie rozbawić. Śmiejąc się, pokiwałem głową, że rozumiem ostrzeżenie.

- Ruszajcie! - krzyknąłem do oddziału.

Z lekkim ociąganiem dosiedli ostrorogów. Krótkie, gardłowe komendy Knuuta i Iliego sformowały szyki. W każdym ruchu buntowników czuło się pewność siebie - jakże inaczej wyglądali jeszcze jakiś czas temu... Patrzyłem za nimi, gdy ruszali, gdy Bojownicy sprawnie wysuwali się na czoło, a Yeomeni ubezpieczali flanki kolumny marszowej. Sam nie pokierowałbym nimi lepiej. Przenikliwe gwizdki zmusiły zwierzęta do lekkiego biegu, jakim wytrwałe ostrorogi potrafiły pokonać ogromne odległości. Kurz wzbity kopytami przysłonił ich na tyle, że w blasku Garbusa wyglądali niczym zjawy płynące ponad płaskowyżem.

Po chwili rozplłynęli się w plamę cienia sunącą do Przełomów Bramos.

Podszedłem do kornie oczekujących Muni. Ich ogolone głowy zwieszane były na piersi, a dłonie splecione.

Kiedy poleciłem im wstać, dzwignęli się z ziemi, ale żaden nie spojrzał mi w twarz.

- Mówcie - zezwoliłem.

- Escobarze - popłynął cichy ciepły głos - Pan Porządku Rzeczy czeka twojego przybycia. Nad brzegiem oceanu, tam, gdzie z piasku wyrasta kamienny posąg, zebrali się już wszyscy starsi kapłani Muni. Nadchodzi chwila Wielkiego Przeistoczenia. Źrenice Kurlemu wrócą w puste oczodoły, by Wybrany mógł znaleźć drogę swojego przeznaczenia...

Dotknąłem kieszeni na piersiach. Palce wyczuły pod szorstkim materiałem dwa kryształy. Były ciepłe, jakby rozgrzewała je nadchodząca chwila, kiedy trafią tam, gdzie od niepamiętnych czasów zawsze wracały...

- Panie, zgromadzenie kapłanów nas wyznaczyło na twoich przewodników - pokłonili się nisko i zakrzepli w takiej postawie.

- Zatem prowadźcie - powiedziałem, sprawdzając, czy phobos dobrze leży w pochwie na udzie.

\*\*\*

Na ostatnim piętrze gmachu Areopagu trwało spotkanie najważniejszych przedstawicieli parlamentu. Dwaj mężczyźni rozmawiali, delektując się wyszukanymi daniami i popijając czerwone wino.

- Dostałem wiadomość z Garbusa - korpulentny mężczyzna dołożył sobie sałatki - że nowy kontyngent Wigilii właśnie wylądował.

- Były jakieś problemy?

- Żadnych. Aga Czong przekazał władzę nowemu dowódcy i podporządkował się jego rozkazom. Na razie jeszcze nie wie, że wysyłamy ich na odległy, zapomniany księżyc... - Uśmiechnął się, krojąc pieczeń.

- Kiedy nowi ludzie podejmą akcję przejęcia Olimpu?

- Musimy poczekać, dopóki stary kontyngent nie opuści Garbusa. Nie ma potrzeby ryzykować. Na razie zostaną podjęte tylko standardowe procedury zabezpieczające układ podwójnych planet. - Polał mięso gęstym sosem. - Jak podczas prawdziwej kwarantanny...

- Czyli wszystko pod kontrolą? - Siwy mężczyzna uśmiechał się z zadowoleniem.

- Prawie... - Przewodniczący Komisji Sprawiedliwości zawiesił głos.

- Jak to: prawie?... - Widelec w dłoni marszałka zatrzymał się między talerzem a ustami.

- Są dwie kwestie... Pierwsza dotyczy Esco... - Niski mężczyzna nie wyglądał na zmartwionego. - Dopóki jest na Eltenerze, a my nie rozpoczniemy handlu Kwiatami Pamięci, nie stanowi dla nas zagrożenia. Może jednak zapragnąć wrócić najpierw na Garbusa, a potem na Ziemię. Jego wiedza o wszystkim, co dzieje się w Rezerwacie, jest... powiedzmy, że nieco kłopotliwa.

- Słyszałem, że to bardzo groźny człowiek.

- Poczyniłem już odpowiednie kroki. Zarówno nowy, jak i stary kontyngent Wigilii ma zlikwidować go natychmiast, jak tylko postawi stopę na Garbusie. - Przewodniczący mówił z chłodnym spokojem. - Nie jest przecież nadczłowiekiem. Będzie to równoznaczne z wykonaniem wyroku Trybunału, który już dawno wyjął go spod prawa.

- Dobrze, a druga kwestia?

- Ta jest mniej oczywista... - Korpulentny mężczyzna przeplukał usta winem. - Dotyczy powrotu świadomości z Eltenery Saszy Stiepanowa, prezesa i właściciela spółki Badania i Rozwój, który właśnie został obudzony z letargu.

- Niemożliwe, przecież Stroiciel Efram zablokował Woorga! Świadomości Łazarzy są uwięzione na Olimpie.

- No właśnie. - Przewodniczący zamyślił się na chwilę. - Sprawdziłem wszystkich,

łącznie z odwołanym prezydentem. Leżą w trwałnikach. Wygląda na to, że tylko Saszy w jakiś sposób udało się wrócić...

- A jeśli to początek przeniesień?

- Nie sądzę, zresztą monitorujemy każdego, kto przeniósł świadomość do Rezerwatu.

- Każdego? - Marszałek Areopagu pozwolił sobie na lekko drwiący ton. - Prawdziwego właściciela Korporacji Handlu też?

Korpulentny mężczyzna gniewnie zmarszczył czoło. Widać było, że też o tym pomyślał.

- To jeszcze nie wszystko. Sasza Stiepanow zdążył się ulotnić, zanim dotarło powiadomienie i przybyły Służby Bezpieczeństwa.

- Co?! Jak to możliwe?

- Nie wiem, może przez przypadek, a może ktoś poinformował go o nowej sytuacji. Postawiłem w stan wzmożonej gotowości wszystkie punkty kontrolne, ale na razie bez rezultatów. Niełatwo będzie go znaleźć, jeżeli posługuje się inną tożsamością.

Marszałek odsunął wypełnione jedzeniem półmiski, serwetką wytarł usta. Całkiem stracił apetyt.

\*\*\*

Po czarnych pionowych ścianach skalnych płynęły strugi żółtej wody. Sine chmury nasycone parą z gejzerów spowijały szczyty okolicznych gór, leniwie falowały w rytm potoków ciężkiego deszczu.

Bezładna kolumna Kongregardów ciągnęła się na przestrzeni kilkuset metrów, a wyglądała niczym zbieranina włóczędzów. Kurz na dnie kanionu zamienił się w grząskie błoto, które oblepiało nogi i lgnęło do zbroi. Co chwilę któryś z żołnierzy padał, inni z trudem omijali go, zanim zdołał się dźwignąć z brunatnej mazi. Baktriany prowadzone za uzdy łamały sobie nogi - szlak między skałami znaczyły ich ciała, wciąż żywe, wciąż miotające się bezsilnie. Nikt już nie poznałby walecznych Aryzejczyków, którzy z pieśnią na ustach potrafili ginąć za Kongregację. Dogoni w irydowych pancerzach - cienie własnych cieni - lękali się każdego kroku, który wiódł ich na spotkanie ze zjednoczonymi buntowniczymi siłami. Żółty deszcz lepił pukle długich włosów wystających spod hełmów, grudki ziemi dostające się pod rzemienie kaleczyły łydki. Kroczyli przemieszani z Mocarzami, nie bacząc na reguły klanu zabraniające bratania się z obcymi. Zresztą trudno było ich odróżnić od siebie - ponure postaci idące w jednym kierunku, tak samo zmęczone, tak samo wystraszone, tak samo prące do przodu tylko dlatego, że nie istniała możliwość odwrotu.

Szli odbić Olimp, pokonać odrodzoną Armię Sprzymierzonych, jeszcze raz udowodnić,

że nikt na Eltenerze nie jest w stanie wygrać z Białym Oficjum, ale tak naprawdę tylko szli... Zniknęli gdzieś setnicy, nikt nie przypominał o celu, do którego dążyli, żadna komenda nie próbowała wprowadzić ładu w szeregi Kongregardów.

Z całą pewnością jednak wciąż żył najwspanialszy z decyzerów - Rodryg Ort de Saintre - wciąż też było to jego wojsko. Tyle że teraz niczym się nie różnił od prostych żołnierzy... Kroczył w środku kolumny wspierany przez kilku najwierniejszych towarzyszy. Podbity futrem płaszcz, misternie kute ozdoby - wszystko utonęło w rozmokniętej ziemi, by nie utrudniać mu marszu. Rozbiegane oczy straciły moc decydowania o życiu i śmierci mrugnięciem powiek, dłonie przestały przerażać skinieniem, popękane usta nie napawały lękiem. Dumny decyzer spadł z piedestału i jak każdy z tubylców walczył z błotem, deszczem, własnym ciałem i strachem. Wiedział już, co czuł Dwan Deborah Keene przed bitwą na Górze Czarownic. Teraz rozumiał go tak dobrze, jakby wypił wywar z jego Kwiatu Pamięci...

Trochę z tyłu, za grupką otaczającą Rodryga Ort de Saintre, samotnie szła Laromma. Nikt nie wspierał jej ramieniem, nikogo nie skusiła uroda kobiety ukryta pod grubą warstwą kleistej mazi. Porwana skórzana tunika odsłaniała posiniaczone ciało, posklejane włosy opadały na twarz, którą zmęczenie ubrało w siatkę głębokich zmarszczek. Gdzieś w innym świecie zostało bogactwo, uwielbienie, władza. Tutaj błoto i defolianty narzucały reguły, tutaj prawdziwy lęk o życie zmuszał mięśnie do trudu, o jakim kobieta dawno zapomniała. Dla Larommy było to gorsze od śmierci. Pamięć kułaków, które kaleczyły ciało w leju po wybuchu, wspomnienie, z jak dziką zjadłością broniła bezpiecznego miejsca, jak pazurami szarpała twarze napastników, jak gryzła dłonie próbujące ją wyciągnąć, jak zapierając się stopami, darła ziemię - to wszystko odebrało kobiecie złudzenia, w których dotąd żyła. Zrozumiała, że stała się zwierzęciem walczącym o przetrwanie. Może dlatego jej oczy wyrażały nie tylko strach, lecz również smutek...

W dalekiej perspektywie czarnych skał pojawiły się skrawki czystego nieba. Powoli słabł deszcz defoliantów.

Pierwsze promienie Ti-Dejaniry przeniknęły przez ciężkie chmury i rozbłysły tęczą. Zjawisko to w nikim nie obudziło nadziei, nie rozpałiło iskry otuchy, ani jedno radosne słowo nie zakwitło na spragnionych ustach, nie wyprostowały się dumnie plecy, ani jeden krok nie stał się szybszy... Wojsko Białego Oficjum straciło wiarę.

To nie było już nawet wojsko...

\*\*\*

Stałem nad brzegiem oceanu. Zaczynał się odpływ. Leniwie rozfalowane wody

niechętnie oddawały pole piaszczystej plaży. Granica błękitu i złota cofała się, choć pojedyncze bryzgi sięgały jeszcze do miejsca, które dotąd było w ich niepodzielnym władaniu.

*...Niebył nie istniał wtedy ani był nie istniał...*

*...Gdy wszystko było jednym bez cech oceanem...*

Za mną półkolem klęczeli starsi kapłani Muni. Kilkudziesięciu mężczyzn powtarzało chórem święte wersy rytuału Wielkiego Przeistoczenia. Słyszałem głuchy ton modlitwy, wznoszący się i opadający w rytm uderzeń fal. Powietrze wypełniały słowa. Oplatały mnie niczym niewidzialna sieć, miałem wrażenie, że unoszę się wraz z nimi, że płynę w przestrzeni uwolniony od praw ciężenia.

Wyciągnąłem z pochwy phobosa. Nie mogłem odmówić sobie tej ostatniej próby podważenia słów Dwana Deboraha Keene'a... Naprzeciw trwał kamienny monument. Pokruszony, popękany, coraz bardziej odsłaniający swoje czarne wnętrze. Jeszcze można było rozpoznać w zwietrzałych kształtach rysy Pana Porządku Rzeczy, jeszcze z kawałków skalnej rzeźby wyobraźnia rysowała sylwetkę człowieka... Ustawiłem maksymalną wiązkę niszczącą, potrzebowałem pewności...

Ton chóralnej modlitwy przybrał na sile, wzniósł się i poszybował w stronę postumentu, jakby pragnął samym brzmieniem osłonić go przed tym, co miało się za chwilę stać...

*...Śmierć nie istniała wówczas ani nieśmiertelność*

*...Pomiędzy dniem a nocą nie było rozłamu.*

Strzeliłem. Ładunek skoncentrowany w wiązce niszczącej uderzył w kamienną rzeźbę. Błysk przyćmił na chwilę blask Ti-Dejaniry, huk zagłuszył pieśń Muni, podmuch odepchnął od monumentu ocean, a skalne odłamki posągu poszybowały w niebo.

*...Niebył nie istniał wtedy ani był nie istniał*

*...Nie było też przestrzeni i nieba u góry.*

Umieściłem broń z powrotem na udzie. Teraz miałem pewność, teraz musiałem uwierzyć w Teorię Pragenezy. Nie było już kamiennej sylwetki Pana Porządku Rzeczy, zostało tylko jej czarne wnętrze - nietknięte. Dziwna, opalizująca bryła uformowana była z mroku tak doskonałego, że tonęły w nim promienie Ti-Dejaniry.

Poczułem, jak Żrenice Kurlemu, schowane w kieszeni na piersi, robią się gorące. Sięgnąłem po nie. Kryształ migotały milionami wewnętrznych błysków. Pojąłem, że budzą ruch. Ruch, który jest życiem... Tylko ruch... Klarowna Reguła. Życie to ruch...

Ocean cofnął się na tyle daleko, że wbita w piasek podstawa czarnej kolumny była

sucha. Nie istniało już żadne pytanie, które powstrzymałoby mnie przed spotkaniem przeznaczenia.

*...Czy zobaczysz senny krajobraz, gdzie krople płynnego światła gasną w lazurowym oceanie...*

*...Czy naprawdę go zobaczysz?*

Kiedy się zbliżyłem, uformowana z mroku platforma zatrzymała się u moich stóp...

Stałem na niej, a wtedy ruszyła w spokojną wędrówkę do szczytu kolumny. Z każdym metrem w górę zaciśnięte w dłoni kryształy robiły się coraz cieplejsze, miałem też wrażenie, że zaczynają drżeć... Tuż przed wierzchołkiem winda zatrzymała się miękko, a mój wzrok spoczął na idealnie obłej płaszczyźnie. Nie odnalazłem żadnego miejsca, gdzie mógłbym złożyć Źrenice Kurlemu, czułem jednak, że nieomal się wyrwywają spomiędzy palców. Wiedza Dwana nauczyła mnie cierpliwości. Sygnał naładowania komór phobosa niewiele mi pomógł. Czekałem. Widziałem ciemną stronę Eltenery, mroczną otchłań skutą lodem... Oderwałem wzrok od mrocznego monumentu i spojrzałem za siebie. Kapłani na plaży już nie klęczeli, teraz leżeli płasko na brzuchach z rozrzuconymi na boki ramionami i twarzami ukrytymi w piasku.

Kiedy wróciłem spojrzeniem do posągu, tam gdzie jeszcze przed chwilą była gładka płaszczyzna, czekały dwa wgłębienia...

Palce rozchyliły się same. Powoli wetknąłem kryształy w otwory. Czarna materia zamknęła się na nich jak powieki. W tej samej sekundzie Źrenice Kurlemu rozgorzały oślepiającym blaskiem, który rozpałił całą kolumnę. Mrok zaczął promieniować światłem. Przez moje ciało przebiegały fale żaru, które niosły... Nienawiść? Tak, wyraźnie odczuwałem nienawiść... Miałem wrażenie, że widzę całą historię Rezerwatu. Historię nienawiści. Ludzkiej nienawiści. Ja też tam byłem. Moja nienawiść wpisywała się w strumień okrucieństw.

Wiedziałem już, z czego uformowana jest kolumna... Jakim tworzywem jest idealna czerń... Jak pod kamienną powłoką posągu Pana Porządku Rzeczy wyrosło mroczne wnętrze...

Zrozumiałem, dlaczego monument jest niezniszczalny... I tak prawdziwy... Dwana Deborah Keene mylił się... Eltenera nie była zapomnianą pułapką... A przynajmniej nie tylko pułapką... Na szczycie kolumny pojąłem, co jest pożywką dla ruchu, ruchu, który był życiem... Czerń żyła...

*...Co miało się ku życiu? Gdzie? w czyjej opiece?*

*...Czym wody były? Otchłanie głębokie?*

Wciąż stałem na uformowanej dla mnie platformie. Widziałem, jak potworna energia uwolniona z czarnego monumentu iskrą rozpaloną przez Żrenice Kurlemu uderza w lody po mrocznej stronie Eltenery... Jak wylatują w powietrze lodowe bryły, kruszą się i pękają, jak falują coraz bardziej wzburzone wody czarnego oceanu... Wreszcie uwolnione... Wreszcie w ruchu...

*...Przez własną moc To Jedno bez tchu oddychało...*

*...I nic innego nigdzie poza nim nie było...*

Strumień energii nieprzerwanie płynął z kolumny. Zgromadzona w nim nienawiść uderzała w lodowe kry, miażdżyła je, wnikała coraz głębiej, wprawiała w stan wrzenia. Budziła ruch...

*...Zarodek bytu w pustkowiu zawarty*

*...Stał się Tym Jednym mocą swego żaru...*

Czułem, jak monument kurczy się i zapada w siebie... Czarna materia zamieniała się w siłę kruszącą lody... Platforma, na której stałem, nie drgnęła nawet, a mimo to byłem coraz niżej... Na plaży zabrakło mrocznej kolumny... Tam, gdzie stała, wały się tylko kamienne fragmenty posągu Pana Porządku Rzeczy. Opuściłem wzrok. Na piasku leżały Żrenice Kurlemu... Kryształy były pozbawione wewnętrznego blasku, idealnie oszlifowane powierzchnie martwo odbijały zewnętrzne światło. Dwa wielkie diamenty. Przez chwilę walczyłem z pokusą, żeby po nie sięgnąć, ale tylko przez chwilę. Wiedziałem, że muszą czekać na następnego, który je odnajdzie. Za kolejną wieczność czyjejs nienawiści.

Mnisi za moimi plecami znowu klęczeli, znowu ich modlitwy przesyływały się niczym ziarna w klepsydrze. Oderwałem wzrok od leżących na piasku kryształów. Na wprost w bezmiarze oceanu otwierała się droga... Pionowe ściany wody stworzyły szeroki dukt wiodący w głąb błękitnej, rozmigotanej otchłani. Po obu stronach leżały kamienne fragmenty posągów. Dopiero teraz zrozumiałem, czym były... Wspomnieniem. Były wspomnieniem nienawiści poprzednich gości Eltenery...

Ruszyłem wolno po suchym piasku. Na końcu drogi w oceanie czekała wielka, podobna do głazu bryła. Tam miałem spotkać Pana Porządku Rzeczy, tam czekała na mnie przeszłość... Kobieta z miłością wpatrzona w zdjęcie, chłopiec bezgłośnie płaczący w łódeczku, znaczenie imienia Morsey.

Nieśpiesznie kroczyłem obok resztek kamiennych posągów, znając już ich historię. Podobną zapisałem przed chwilą... Teraz musiałem tylko rozwiązać to, co ziemskie... Wiedza Dwana Deboraha Keene'a przygotowała mnie na spotkanie.

Doszedłem przed ogromną bryłą. Dotknąłem gładkiej powierzchni. Przypominała



atłasową materię czarnej kolumny. Nie musiałem długo czekać na zaproszenie od Boga... Obłą powierzchnia wyrzuciła się w gruby lej, którego koniec pękł z głuchym młaśnięciem, ukazując opalizujący perłowo tunel. Droga do nieba Eltenery została otwarta. Pan Porządku Rzeczy oczekiwał na Wybranego. Usta same ułożyły się w ironiczny uśmiech.

*...Może istnieje cisza, z której wyrasta kamienny monument twojego przeznaczenia...*

*...A może ta cisza istnieje?...*

Wkroczyłem do boskiego przybytku.

\*\*\*

Aga Czong otrzymał rozkaz opuszczenia Garbusa. Wraz z całym kontyngentem miał chronić kopalnie rud aluminium na zapomnianym przez boga i ludzi księżycu. Wigil był już pewien, że Areopag nie życzy sobie ich powrotu.

Zostały mu dwa dni na wprowadzenie w życie planu, który przygotował na taką właśnie ewentualność. Koniecznie musiał odwiedzić knajpę Maxa.

Podszedł do wbudowanej w ścianę szafy. Na wieszaku wisiało nieużywane od lat cywilne ubranie. Wypłowiła kurtka, połatane spodnie, stara, pamiętająca szkołę kadetów bejsbolówka. Nie zastanawiając się dłużej, zrzucił mundur i wciągnął cywilne łachy. Spojrzał w lustro. Szklana tafla powitała go obrazem, który już dawno zapomniał - nie Agi, lecz zwykłego Czong Mu Kwai...

\*\*\*

Podłoże w tunelu uginało się sprężysto pod moimi butami. Zmierzając na spotkanie z Panem Porządku Rzeczy, szukałem w myślach słów, od jakich powinienem rozpocząć rozmowę. Jednolita czarna powierzchnia po kilkunastu krokach zaczęła uciekać na boki, otwierając widok na ogromną salę.

Czegoś podobnego w życiu nie widziałem, mimo że żaden z elementów wyposażenia oddzielnie nie był czymś nowym ani niespotykanym. Wnętrze składało się z trzech części, które przenikały się nawzajem. Pierwszą część wypełniały szeregi monitorów i stanowiska nawigacji. Tak musiała wyglądać sterownia Arki Noego.

Cholera, pomimo całej swojej wiedzy na ten widok nie byłem przygotowany - tutaj, we wnętrzu bryły uformowanej z czarnej materii...

Druga część sali była jeszcze bardziej nie na miejscu. W jej lewej części stał... domek. O białych ścianach, czerwonej dachówce, z drewnianym tarasem. Dwukondygnacyjny dom miał okna z firankami, komin, z którego ulatywała wiotka smużka dymu, chodnik z polerowanego granitu prowadzący do drewnianych drzwi. Równy przycięty trawnik otoczony był żywopłotem. Kilka jałowców i świerków rosło wzdłuż wysypanych białym grysem alejek.

Obok wejścia wysoki skalniak wieńczyła fontanna. Wokół domu rosły drzewa owocowe.

Kurwa, widziałem dom mojego dzieciństwa...

Trzecia część pomieszczenia była najbardziej zwariowana. Przez chwilę myślałem, że zawodzą mnie zmysły. Wysoki, sięgający sklepienia stok narciarski... Z niedowierzaniem patrzyłem na wyciąg krzeselkowy, wbite w śnieg tyczki wyznaczające trasę zjazdową, budkę z piwem i hot dogami u podnóża... Myślałem, że w boskiej siedzibie nic mnie nie zdziwi, ale to, co miałem przed oczami, przekraczało wszystkie oczekiwania...

W części będącej kabiną nawigacyjną dostrzegłem ruch. Z fotela dowódcy podniósł się stary człowiek. Ubrany w kombinezon kosmiczny, którego świetność minęła już dawno - pewnie w czasach, kiedy zbudowano transportowiec. Ruszył w moją stronę, powłócząc nogami. Wtedy dostrzegłem jego oblicze... Tak, to była twarz Pana Porządku Rzeczy, w starczych rysach odnajdowałem podobieństwo do kamiennego posągu, który tyle razy pojawiał się w moich wizjach. Puste oczodoły patrzyły na mnie, tak, cholera, one patrzyły... Chuda dłoń o suchej skórze, pod którą wyraźnie odznaczała się siateczka żył, spoczęła na moim ramieniu. Pomarszczone wargi rozchylił grymas uśmiechu.

- Witaj, synu... - padły szeleszczące słowa. - Tak długo na ciebie czekałem...

Dwan Deborah Keene przygotował mnie na to powitanie, lecz gdy zostało wypowiedziane, mój spokój i opanowanie zniknęły. Z największym trudem wykrztusiłem:

- Cześć... Morsey... - nie udało mi się wykrztusić: tato.

- Widzę, że wywar Kwiatu Pamięci Dwana dał ci potrzebną wiedzę... - Nie cofał ręki z mojego ramienia. - To wiele upraszcza. - Przez moment miałem wrażenie, że chce mnie przytulić. Jednak musiał wyczuć, że odchyłam się w odruchu obronnym, ponieważ ze świszającym śmiechem dodał: - Niechętnie się godzisz z tym, że jestem twoim ojcem? Cóż, Esco, jesteś moim ukochanym synem, którego nigdy nie miałem okazji poznać.

Wróciłem pamięcią do wpatrzonej w zdjęcie matki, do łóżeczka, w którym obserwowałem ją przez szczebelki. Bałem się wtedy zapłakać, żeby nie spłoszyć ulotnej chwili wspomnień, momentu, w którym jej oczy szklily się łzami... Matka szeptała do zdjęcia, powtarzając imię Morsey. Kiedy obiecywała mu, że syn - Escobar - na zawsze zachowa pamięć ojca, jej głos był taki ciepły. Zachowałem w pamięci tylko historię. O ludziach, którzy po badaniach okazali się nosicielami błędu genetycznego. Ojciec był wśród nich, matka nie. Zanim wsadzono go na Arkę Noego, dowiedział się, że będzie miał syna. Poleciał jako dowódca, nie miał innej możliwości. Został na zawsze wygnany z Ziemi. Właściwie wraz z innymi skazany na śmierć w kosmosie. A teraz spotykałem go na Eltenerze... Był Bogiem... Nosił miano Pana Porządku Rzeczy... Władął planetą, decydując o losie innych ludzi. O

moim też...

Kurwa mać!

- Dziwisz się? - Puste oczodoły widziały więcej niż oczy. - Ciekawi cię, jak się tu znalazłem? - zatoczył ręką krąg. - Jak zostałem Panem Porządku Rzeczy? Jak to się stało, że poza czarną kopułą żyją już tylko dalecy potomkowie moich towarzyszy z Arki Noego? Dlaczego mój czas płynął tu tak jak na Ziemi, dziesięć razy wolniej niż wszystkich innych na Eltenerze? Dwan Deborah Keene poznał tylko część prawdy, a ty masz wiele pytań, prawda, synu?

Miałem. Jeszcze wiele mogłem zmienić. Cały plan... Dlatego chciałem poznać odpowiedzi, zanim podejmę ostateczną decyzję.

- Chodźmy do domu - wsparł się na moim ramieniu. - Pamiętasz go z dzieciństwa, to nasz ziemski dom. Ale nie spotkamy już w nim matki... - w jego głosie pojawił się nagły gniew. - Cholerni naukowcy, cholerni politycy, cholerni ludzie... - wyrzucił z siebie niemal jednym tchem. Przechodząc obok stoku narciarskiego, uśmiechnął się. - Nie dziwi cię ta góra?

- Od jakiegoś czasu nie dziwi mnie już nic - odpowiedziałem oschle. - Ale nie rozumiem tego wnętrza... Oczekiwałem czegoś innego.

- Ja też. - Jego śmiech był podobny do kaszlu. - Kiedy pierwszy raz dotarłem pod czarną kopułę, było to całkowicie puste wnętrze. Pomyślałem wtedy o domu na Ziemi... Wyobraziłem go sobie... A kiedy otwarłem oczy, dom już stał... Wtedy jeszcze miałem oczy...

- Ta sala kreuje twoje obrazy?

- Spróbuj, przecież jesteś boskim synem... - dosłyszałem lekką nutę ironii. - A niedługo mnie zastąpisz, zostaniesz nowym Panem Porządku Rzeczy...

Nie spodobały mi się te słowa. Poczulem gniew, głęboko w środku, zimne ukłucie rodzącej się złości.

- Właśnie dlatego to musisz być ty... - wyszeptał z satysfakcją. - Jesteś moim nieodrodnym synem, potrafisz nosić w sobie nienawiść tak jak ja, umiesz przywołać gniew i zrobić z niego użytek, możesz niszczyć tylko dlatego, że nie chcesz zapomnieć...

Miał rację. Strasznie zachciało mi się pić. Pomyślałem o oszronionej butelce scotcha jak o lekarstwie. Pomyślałem... Na wysokości moich oczu wisiała prawdziwa flaszka Egbertsa. Oszroniona...

Śmiech Morseya towarzyszył mojemu zdumieniu.

- Tak to działa - pokiwał siwą głową. - Wyobraziłeś sobie butelkę i proszę, unosi się przed tobą. Nie dziw się, tutaj nie działają żadne prawa fizyki, które znasz... Aha - sięgnął

obok - zapomniałeś o szklance, masz, wyobraziłem ją sobie dla ciebie - podał mi kryształowe naczynie.

Na razie nie chciałem się zastanawiać. Odkręciłem oszronioną butelkę, nalałem i wypilem jednym haustem. Krtań rozpalilo przyjemne ciepło. Zanim ruszyliśmy dalej, powtórzyłem kolejkę.

Na drewnianym tarasie czekały dwa fotele i niewielki stolik. Usiedliśmy. Postawiłem scotcha na mahoniowym blacie. Nad stokiem narciarskim świeciło słońce - ziemskie słońce... Jakby widząc moje zdziwienie, Pan Porządku Rzeczy wyjaśnił:

- Ta ośnieżona góra to wspomnienie moich młodzieńczych lat. Kiedyś jeździłem na nartach, uwielbiałem ten sport. Zabrano mi to... Kiedyś, kiedy jeszcze miałem dom, siedząc na tarasie, lubiłem patrzeć, jak twoja matka pracuje w ogródku. Zabrano mi i to... Nie pozwolono mi patrzeć, jak bawisz się na trawie. Wsadzono mnie do Arki Noego - ręką wskazał pomieszczenie nawigacyjne. - Ta sterownia ma mi przypominać, dlaczego straciłem wszystko, co kochałem... I dlaczego winni muszą zapłacić. Bóg jest mściwym, pamiętliwym sukinsynem... - Zaśmiał się, ale bez radości.

Usłyszałem w jego głosie nienawiść, tę, którą poznał Dwan Deborah Keene. Sięgała bardzo głęboko, poza słowa przepelnione goryczą, poza twarz spiętą grymasem wściekłości, poza drżące palce kurczowo wbite w podłokietniki.

- Jesteś głodny? - zapytał. - Przygotowałem na twoje przybycie pyszną zapiekankę, taką, jaką matka robiła w każdą niedzielę... Czeka w piekarniku.

Pamiętałem ten smak, ja też uwielbiałem ziemniaki w talarkach wymieszane ze smażonym boczkiem, cebulą i kawałkami mięsa, posypane grubo serem i zapieczone.

- Nie wyczarujesz jej bez wstawania z fotela?... - w odruchu obronnym przywołałem złośliwość.

- Nie - roześmiał się. - Co ja bym tu robił przez całą wieczność? To, co mogę, przygotowuję sam, nawet ogródek uprawiam, choć mógłbym jedną myślą zasypać to wnętrze warzywami. Bóg jest pracowity... - wyraźna kpina brzmiała w głosie Morseya - a poza tym wszystko to pozwala mi nie zapomnieć, co straciłem. - Zniknął we wnętrzu domu.

Słońce zawieszona nad ośnieżoną górą dawało przyjemne ciepło. Nalałem sobie scotcha. Już bez pośpiechu smakowałem Egbertsa, delektując się nim. Magia tej chwili, tego miejsca przenosiła mnie w czas dzieciństwa.

*...Może istnieje cisza, z której wyrasta kamienny monument mojego przeznaczenia...*

*...A może ta cisza istnieje?...*

Oczyrna wyobraźni widziałem matkę krzątającą się po ogrodzie, podwiązującą do

bambusowych tyczek pomidory. Przypomniałem sobie coś jeszcze... Słowa... Każde kierowane do ojca, każde przepełnione goryczą straty; każde winiło ludzi, każde niosło oskarżenie, każde znajdowało powód, żebyśmy nigdy nie zapomnieli i nigdy nie wybaczyli tym, którzy skazali go na śmierć... Codziennie, od świtu do zmierzchu, tak często, że młody chłopak, Escobar, oddychał nienawiścią. Świat stał się wrogiem. Od najmłodszych lat nie lubiłem ludzi...

Wrócił Pan Porządku Rzeczy. Przyniósł parującą zapiekankę. Uśmiechnąłem się, sytuacja była tak nierealna...

- Spróbuj - nałożył mi trochę - miałem całe wieki, żeby nauczyć się robić tak samo smaczną.

Rzeczywiście, nie przesadzał. Zapach potrawy był wspaniały. W okamgnieniu wróciło coś, o czym nie pamiętałem przez wiele lat. Ten dom, taras, ogród, aromat i smak obiadu... Cholera, podświadomie zacząłem nazywać w myślach Pana Porządku Rzeczy ojcem...

- Jedz, synu - starcza twarz promieniała dumą - długo czekałem na tę chwilę. Jedz, a ja opowiem ci o kilku ważnych sprawach. Pewnie we wspomnieniach Dwana odnalazłeś informację, czym jest Wielkie Przeistoczenie i że podczas rytuału nastąpi zmiana boga, że ustąpię miejsca tobie...

Nie przerywając jedzenia, potwierdziłem skinieniem głowy.

- Przez te pięćset lat stworzyłem tu, na Eltenerze, religię, której strażnikami są Muni - ciągnął. - Ich biblią jest Księga Poniżenia, z niej czerpią siłę i wiarę, którą krzewią. Czy wiesz, czym są jej strony?

- Wiem - odpowiedziałem, przetykając ostatni kęs - to twój pamiętnik, twoja nienawiść przelana na papier, twoja spowiedź z grzechów, które mają dopiero nadejść...

- Doskonale - potwierdził z nutą zdziwienia. - Nie przypuszczałem, że Keene będzie aż tak wnikliwym obserwatorem... Chyba go nie doceniłem. Miał zrozumieć tylko tyle, żebyś ty mógł i chciał tu dotrzeć. Ale to już nieistotne... Tak, Księga Poniżenia jest moją nienawiścią, według której Rezerwat żył przez minione wieki.

Patrzyłem na starego człowieka, którego nazywano bogiem, do którego modlono się, którego słowa były wyrocznią, którego ołtarze płonęły ogniem wiary. Patrzyłem na starego człowieka, który był moim ojcem, człowiekiem pełnym gniewu, kierowanym niepohamowaną chęcią odwetu, zajadłym dążeniem do celu. Musiałem zadać to pytanie, żeby zrozumieć siebie.

- Wiesz, że całe zło na Eltenerze jest twoją zasługą?

Puste oczodoły zbliżyły się do mojej twarzy. W ich cieniu nie potrafiłem odnaleźć

prawdy, ale gniewne słowa przyniosły gorzką odpowiedź.

- Escobarze, a czymże jest bóg? Jaki jest bóg, w którego kiedyś wierzyła twoja matka? Stworzył ludzi na swój obraz i podobieństwo, ale ludzie mordują, kradną, gwałcą, zdradzają, niszczą, łamią wszystkie dziesięć przykazań tak swobodnie, jakby pili poranną kawę. Skąd w nich tyle zła, skoro są nieodrodnymi dziećmi swojego boga? Jaki jest więc ten bóg? Czy jest miłosierny?... - w kącikach wykrzywionych ust pojawiła się biała gęsta ślina. - A ty, Escobarze, nie jesteś bogiem? Ilekroć zabijasz kogoś, jesteś dla niego właśnie bogiem, bo jak on odbierasz życie... Ilekroć ktoś zapłodni kobietę, staje się bogiem, bo daje życie. Kto to jest bóg? Bogami byli parlamentarzyści głosujący za ustawą, która wysłała na śmierć tysiące ludzi z błędem kodu genetycznego. Każdy może być bogiem, jeżeli jest wystarczająco okrutny. Tylko możliwości decydowania o życiu innych tworzą skalę boskości... Pytasz mnie, czy wiem, że zło na Eltenerze jest moją zasługą? Wiem! I czego to dowodzi? Że jestem gorszy niż inni? Że trzeba mnie potępić? Bo pragnę wrócić na Ziemię i stać się teraz bogiem dla tych, którzy kiedyś byli nim dla mnie? Tak, jestem mściwy!

Skończył mówić, lecz jeszcze przez chwilę świszczący przyśpieszony oddech świadczył o wściekłości żyjącej w starczym ciele. Zrozumiałem, dlaczego zostałem wybrańcem.

Zabolało... Jakkolwiek bym się starał, nie zdołałbym uciec od prawdy. Obaj żyliśmy tylko chęcią zemsty...

Nie chcąc o tym myśleć, zapytałem:

- Jaki jest ten twój plan?

Na starczych policzkach wykwitł rumieniec, jakby już sama myśl o przyszłości sprawiała, że krew płynęła mu szybciej w żyłach.

- Jeszcze na Ziemi, kiedy zatrzasnęły się za nami luki ładunkowe, zaczęło we mnie kiełkować ziarno nienawiści. Wtedy bezsilnej nienawiści... - Zamyślił się, wracając wspomnieniem do tamtych dni. - W hibernacji śniłem... Wiem... - uprzedził moje zdziwienie - to się nie zdarza, ale moja nienawiść rosła nawet w uśpieniu, w majakach potęgowała świadomość utraty wszystkiego, co kochałem. Bezpowrotnej. Wiedziałem, kto jest za to odpowiedzialny... Pamiętałem imię, Elizabeth... To ona razem z mężem wyizolowała błąd kodu genetycznego. Naukowcy... A potem politycy... A potem reszta ludzi... Wszyscy oni radośnie zgodzili się na to, by kosztem tysięcy osób obarczonych gównianym DNA inni byli zawsze zdrowi i szczęśliwi... - Gniew rozpałał jego głos. - Pamiętam sen, który nawiedzał mnie w hibernacji. Ogromne bagno. Pokłady mułu i szlamu: cuchnące, ohydne. W czarnym bagnie przewalały się tysiące brudnych, wynędzniałych postaci. Wszystkie jednakowo nijakie. Moczary, zgnilizna. Odór butwiejącej materii. Noc. Rozchyłały się złote wrota i na

wykładany marmurowymi płytami dukt wybiegały radośnie roześmiane postacie mężczyzny i kobiety... A wokół przelewało się bagno głów, rąk, nóg, ust wypełnionych szlamem. Na marmurowej drodze zjawiała się okryta mułem postać. Wiesz, kto nią był?! - Mówił jakby do własnego wspomnienia. - To byłem ja, Morsey... Szkielet okryty mułem czekał, ja czekałem... Czas nie istniał. Powstał dopiero w chwili, gdy zacisnąłem dłonie na szyi mężczyzny i zmiądzylem ją potwornym uściskiem. Jej mąż, jej ukochany, upadł na marmurowe płyty. Oczy Elizabeth ciemniały coraz bardziej, twarz traciła różowy odcień, skóra wiotczała, mięśnie zaczynały gnić. Piękne ciało przeistaczało się w cuchnący szlam... - Umilkł na chwilę, oddychając płytko. - Śniłem to bez przerwy, a zawsze kiedy ją dusiłem, czułem radość... Kiedy system obudził nas poza strefą powrotu, okazało się, że mamy dziwny sygnał naprowadzający... To była jedyna szansa, zdecydowaliśmy się zaryzykować. Dotarliśmy tu na rezerwach paliwa.

- Więc to nie był przypadek? - zapytałem zdziwiony, chociaż jeśli układanka miała być kompletna, było to logiczne rozwiązanie.

- Nie, to nie był przypadek, chociaż ja wtedy jeszcze nie wiedziałem, czemu zawdzięczamy ocalenie. - Wstał, szedł do ogródka i zerwał dorodne jabłko. - Chcesz jedno?

Wolałem scotcha. Potrzebowałem wypalić swoją wizję, która nawiedzała mnie nocami. Tak podobną, mimo że zamiast Elizabeth ginęła w niej Laromma...

Usiadł z powrotem na fotelu. Patrząc na niego, zastanawiałem się, jak powinienem o nim myśleć. Pan Porządku Rzeczy? Bóg? Ojciec? Przepelniony nienawiścią starzec? Nieszczęśliwy człowiek, któremu zabrano wszystko, co kochał?

- Czy wyspa Ferro?...

- Tak, wyspa Ferro to zatopiona Arka Noego - odpowiedział. - Zaczęliśmy żyć na Eltenerze, nauczyliśmy się rozumieć jej anomalie, większość ludzi była szczęśliwa ze znalezienia tak przyjaznego miejsca. Ja nie umiałem się cieszyć, nienawidziłem coraz bardziej. Śmierć na Arce miała być wybawieniem, ale nie przyszła. Żyłem wyłącznie myślą o zemście... - Obserwowałem, jak jego usta smakują to słowo. - Po trzech latach trafiłem tu, nad brzeg oceanu. Znalazłem pokruszone fragmenty posągu. Na piasku leżały dwa kryształy. Wziąłem je, a wtedy zapłonęły milionami wewnętrznych iskier. Otworzyła się droga w oceanie... Droga do czarnej kopuły.

- Wtedy zostałeś bogiem?

- Wtedy zostałem bogiem, chociaż dowiedziałem się o tym dużo później - pokiwał głową - dopiero gdy straciłem własne oczy, a zacząłem widzieć oczami Muni. Po kilku latach uwięzienia w kopule... Wtedy zobaczyłem, że na Eltenerze żyją już tylko dzieci moich

towarzyszy z Arki Noego, a ich dzieci dobiegają wieku dorosłego. Wtedy też zauważyłem pierwsze zmiany, które powodował błąd kodu genetycznego. Dopiero wtedy zostałem Panem Porządku Rzeczy.

- A zauważyłeś, że twoja nienawiść buduje ten świat?... - zapytałem wpatrzony w wiszące wciąż w tym samym miejscu słońce.

- Zauważyłem - uśmiechnął się zgryźliwie - i moja nienawiść znalazła cel. Miałem całą wieczność na przygotowanie zemsty. Tak jak ty, synu, przez lata krystalicznego proszku.

Przyglądałem się, jak obiera jabłko ze skórki, kroi na kawałki i wkłada do ust. Miałem wrażenie, że cały czas ironicznie się uśmiecha. Byłem jego synem, nosiłem tę samą nienawiść. Powinniśmy się doskonale rozumieć...

Kolejny łyk scotcha nie przyniósł ukojenia. Potrzebowałem jego słów, musiałem znaleźć chociaż jedną różnicę między nami.

- Jesteś starcem, jak chcesz przenieść swoją zemstę na Ziemię? - Wiedziałem, że będzie chciał się pochwalić, wreszcie miał okazję pokazać komuś swoją przebiegłość.

- To misternie budowany plan. Zaczęło się od Kwiatów Pamięci. Czy wiesz, że ziemia, która rodzi je w głowach zmarłych, nosi w sobie moją nienawiść? - Podejrzywałem, że nie tylko ziemia... - Dzięki nim zdobywałem częściową kontrolę nad każdym, kto wypił wywar... Na początku były tylko narzędziem do budowania świata na Eltenerze, ale już wtedy uważałem, że mogłyby mi pomóc w mojej zemście, gdyby trafiły na Ziemię. Czekałem cierpliwie, przygotowywałem Rezerwat na dzień, gdy trafią tu ludzie. Bo to była tylko kwestia czasu. I chwila ta w końcu nadeszła... Przyznam, że kiedy się pojawiłeś z pierwszym patrolem Wigilii na Eltenerze, byłem zaskoczony. Myślałem, że to szczęśliwy przypadek, wyjątkowo korzystny zbieg okoliczności, ale teraz już znam prawdę... To ta planeta, ta czarna kopuła, ona żyje moimi myślami. Pomaga mi, wykonuje polecenia, nawet te podświadome...

W duchu uśmiechnąłem się gorzko. Pan Porządku Rzeczy w swoim zaślepieniu nawet nie podejrzewał, czym tak naprawdę jest Eltenera, dlaczego potrzebuje jego nienawiści. Bóg wszechwiedzący dostrzegał tylko przynętę, obietnicę spełnienia jego najskrytszych marzeń, i zwabiony jej zapachem nie widział zagrożenia...

Jeśli Dwan Deborah Keene miał rację, to Morsey uruchomił mechanizm piekielnej pułapki.

- Wiesz, synu, czemu po raz pierwszy spróbowałeś wywaru z Kwiatu Pamięci i dlaczego przyniesiono ci martwego Muni? - Czekał, aż się odezwę, ale nie zaspokoilem jego próżności. - Wiedziałem już o tobie wystarczająco dużo, zdawałem sobie sprawę, jak wykorzystasz okazję - uśmiechnął się. - Potem pozostało tylko podsycać chciwość



Larommy...

Głęboko w trzewiach znowu poczułem zimny sople. Nie powinien był tego mówić... Nie powinien, jeśli chciał, żebym był po jego stronie.

- Pojawił się Woorg, a z nim Łazarze. Dopiero wtedy uzyskałem prawdziwe narzędzie. Dlatego Carlo został Rodrygiem Ort de Saintre, najważniejszym decyzerem Kongregacji Białego Oficjum. Bardzo mi w tym pomogłeś - poklepał mnie po ramieniu w przyjaznym geście. - Był mi potrzebny, chronilem go i wspierałem... Aż nadszedł czas...

- Carlo jest częścią mojej zemsty! - Ogarnęła mnie wściekłość. Nikt nie miał prawa zabierać mi przyjemności spojrzenia mu w twarz, zanim zginie!

- Za późno, Esco, Carlo nie żyje...

- Jak to? Już po bitwie?! - Byłem naprawdę wściekły.

- Nie... - Roześmiał się. - Tego bym cię nie pozbawił. Rodryg Ort de Saintre uciekł, nie wytrzymał napięcia i strachu. Już pora, żebyś zakosztował boskich przywilejów. Chcesz zobaczyć jego śmierć?

- Chcę! - odpowiedziałem krótko, ale widocznie w tym jednym słowie kryło się tyle nienawiści, że usta Pana Porządku Rzeczy rozciągnęły się w uśmiechu satysfakcji.

- Krąg Muni czeka na plaży. Przywołaj pamięć Carla i każ im odnaleźć jego śmierć. Jesteś teraz Bogiem...

Poprawiłem się w fotelu, pociągnąłem solidny haust scotcha.

Byłem gotów.

Najpierw ujrzałem mnichów klęczących na piasku. Kiedy się zbliżyłem, ich szatami targnął nagły podmuch wiatru, a zanim myśl przełożyłem na słowa, rozpoczęli gorączkową modlitwę, przy której chude ciała dygotały jak rozpalone gorączką.

Zobaczyłem małą osadę, zaledwie kilkanaście rife wokół niedużej chaty Muni. Znałem ten widok, to było Rinon, stąd pochodził Bojownik Azur, tu jego dziecko dostało zabawkę od Umberta... Na głównym placu kręciło się parunastu mieszkańców osady - dzieci, starcy, kobiety. Wszyscy obciążeni błędem kodu genetycznego, powykrzywiani, poruszający się z najwyższym trudem, przerażająco nierealni. Nikt, kto znał Bojowników pochodzących z tego plemienia - plemienia Wysokich - nie dałby wiary, że to są ich rodziny.

Między pierwszymi rife pojawiła się zgarbiona postać. W pokrytej zaschniętym błotem sylwetce trudno było rozpoznać świetnego i potężnego decyzerza Białego Oficjum. Włókł się noga za nogą, jako laski używając lancy wibracyjnej. Zapadnięte oczy z przerażeniem lustrowały osadę, ale kiedy rozbiegany wzrok nie napotkał żadnego mężczyzny, a tylko bezbronych starców, dzieci i kobiety, oblicze Rodryga Ort de Saintre uspokoiło się. Grymas

strachu ustąpił miejsca dawnej dumie i pewności siebie.

- Wody! - chciały wykrzyzczyć spierzchnięte usta, ale zamiast władczygo tonu uleciała z nich tylko skrzekliwa skarga.

Tubylcy na placu zastygli w bezruchu. Z trwogą patrzyli na kuśtykającą w ich stronę postać - gotowi w każdej chwili uciec.

- Jestem waszym panem! - Tym razem jego głos był wyraźniejszy. - Niech ktoś przyniesie wody!

Zgarbiona kobieta sprawiająca wrażenie, jakby potworny ciężar przygniatał jej ramię - żona bojownika Azura - ruszyła w stronę studni. Kamiennym naczyniem zaczerpnęła wody i przyniosła ją Kongregardowi.

- Proszę, panie, czysta i zimna. - Rodryg upuścił lancę i drżącymi rękami sięgnął po misę. - Niech ugasi twoje pragnienie...

Pił łapczywie, woda ściekała mu po brodzie, przy każdym łyku grdyka poruszała pergaminową skórą szyi. Opróżnił naczynie i przetarł twarz. Spojrzenie nabrało mocy, a w głosie pojawiła się siła.

- Jestem Rodryg Ort de Saintre, władca tej ziemi - obwieścił - przygotujecie mi jedzenie, dacie przewodników i zwierzęta pod siodło. Kto tu jest Starszym?

Mieszkańcy Rinon patrzyli na niego, jakby nie rozumieli, co mówi. Na niektórych zdeformowanych ustach błąkał się uśmiech. Żona Bojownika Azura też się uśmiechała.

Decyzer chwycił się za brzuch, grymas bólu wykrzywił jego twarz. Padł na kolana. Cierpienie mieszało się z niedowierzaniem, jakby Rodryg nie chciał zrozumieć, że oto nadchodzi jego koniec... Nie w boju, nie w nadziei na kolejne wcielenie, nie w przepysznych komnatach na puchowym łożu... Nie... Tutaj, w zapomnianej osadzie, o której nigdy nawet nie słyszał, pod cichym spojrzeniem obciążonych błędem kodu genetycznego tubylców, z trójpalczastej dłoni kobiety podającej wodę...

Przyglądałem się, jak Carlo tarza się po ziemi, wymiotując białą pianą. Uśmiechałem się... Tak długo czekałem na ten widok - sam bym chyba nie wymyślił lepszej śmierci dla tego sukinsyna. W jego umieraniu nie było nic wzniosłego, ginął poniżony - a przede wszystkim powoli... Trucizna, którą oddział Melona zatrul studnię - którą my zatruliśmy wodę - niosła bardzo długą i bardzo bolesną śmierć. Tak, Rodryg miał czas na wspomnienia... Dumny decyzer wił się w pyle, wymiocinach i własnych odchodach. Ciekaw byłem, czy teraz myśli o Larommie, czy wie, dlaczego tak naprawdę umiera... Co, Carlo, sądziłeś, że jesteś taki wspaniały, bogaty, nietykalny? Śmiałeś się z mojej obietnicy złożonej ponad trzy lata temu? Nawet w najgorszych koszmarach nie wierzyłeś, że kiedyś wrócę? A jednak wróciłem!

Gdzie jest teraz twoja potęga? Gdzie bogactwo? Gdzie wpływy i układy? Gdzie się, kurwa, podziela cała twoja boskość?! Cierp, sukinsynu, ja umierałem przez trzy lata, bolało jeszcze bardziej...

Dzieci trzymające się dotąd z dala od konającego Rodryga, dzieci z błędem kodu genetycznego - chore, chrome, zniekształcone - podeszły bliżej i otoczyły wijącą się na ziemi postać... Kobiety zaczęły nucić rytmiczną pieśń... Małe istoty powykrzywiane tak, że z trudem się ruszały, rozpoczęły taniec wokół umierającego Carla. Krąg dzieci wolno kręcił się w rytm melodii, na drobnych twarzach kwitł uśmiech... Jęk decyzerza budził coraz większą radość, dzieci zaczęły klaskać w takt piosenki nuconej przez kobiety, gięły się w tańcu, próbując utrzymać rytm. Rodryg charczał, wymiotował krwią, kurcze szarpały jego ciałem, zakrzywione jak szpony palce darły ziemię... A taneczny krąg dzieci coraz radośniej obracał się wokół niego...

*Aż przyszła ta chwila...*

*...A kiedy przyjdzie taka chwila, że będziesz musiał umrzeć?...*

*...A kiedy taka chwila przyjdzie?...*

Przerażony Carlo zobaczył śmierć. Ostatnie wyprężenie, ostatni bolesny jęk, ostatni oddech i... Już... Martwe ciało leżące w kurzu, nieruchome jak kukła, jak śmieć...

Do moich uszu - poprzez opar dzikiego zadowolenia - dotarł śmiech.

- I jak, synu, czy twoja nienawiść choć w części została nasycona? - Pan Porządku Rzeczy siedział w fotelu z błogim wyrazem twarzy. - Widzisz, ile radości można czerpać z dokonanej zemsty?

Jeszcze przez chwilę patrzyłem na ośnieżoną górę, taras, zwyczajny ogród z drzewkami owocowymi, trawnikiem i grządkami warzywnymi, nie mogąc pozbyć się sprzed oczu obrazu martwego Carla pośród roztańczonych dzieci. Sięgnąłem po butelkę. Łyk Egbertsa był jak haust świeżego powietrza.

- Dobrze być bogiem - Morsey dźwignął się na nogi - można tak wiele zniszczyć... Nawet nie ruszając się z miejsca.

Pomyślałem, że ma rację. Że dobrze być bogiem. Ale zaraz uświadomiłem sobie, że Rodryg nie zginął z mojej ręki, że nie patrzył na mnie w czasie agonii.

- Kto teraz dowodzi wojskiem Białego Oficjum? - Przypomniałem sobie, że Carlo to tylko mniej znaczący element zemsty.

- Twoja ulubienica - roześmiał się - Laromma... Dopiero dochodzą pod Olimp, mamy jeszcze trochę czasu do bitwy. Nie martw się, zaspokoisz swoją nienawiść. Chcę, żebyś teraz wysłuchał, jak pomożesz w mojej zemście... - Wskazał na prawie pustą butelkę. - Przynieść ci

czy... - znacząco zawiesił głos.

Użyłem mojej własnej boskości i wyczarowałem kolejnego scotcha. Cholera, pomyślałem, ta kopuła jest chyba jeszcze gorsza od doliny z krystalicznym proszkiem... Spojrzałem w puste oczodoły, starając się dostrzec choć ślad wieków, które spędził tu Morsey. Nie umiałem przebić się przez mrok.

- Nie mam oczu, ale widzę cię, synu... - Pan Porządku Rzeczy pokiwał głową. - Nie musisz odwracać wzroku. Te puste oczodoły są wspomnieniem mojego buntu...

Nie chciałem słuchać o jego buncie. Zignorowałem okazję do dygresji. Musiałem mu tylko pozwolić na dokończenie spowiedzi, na wyrzucenie z siebie grzechów, które dopiero miały nastąpić... Choć ta opowieść nie była już dla mnie tajemnicą. Dwan Deborah Keene przewidział słowa, które za chwilę miały paść. Powiniennem jednak udawać zdziwienie, aby zrealizować moją część planu.

- Wiesz, że masz syna? - spytał. - W swoim łonie nosi go Aida.

Wiedziałem, ale nie skomentowałem.

- To mój wnuk... krew z krwi, kość z kości - w słowach Pana Porządku Rzeczy nie usłyszałem nawet nuty miłości. - To również ten, na którego tak długo czekano... Prawdziwy Człowiek.

Stronice Księgi Ponizenia zawierały złowróżbną przepowiednię. A ja tylko przez mgnienie oka miałem nadzieję, że Dwan mylił się i słowa: „Pan Porządku Rzeczy nie widzi niczego innego poza własną zemstą. I niczego innego nie rozumie...” okażą się nieprawdą.

- Korporacja Handlu stworzyła Woorga - mówił do mnie, ale słowa kierował do siebie, jakby głośnie ich wypowiedzianie sprawiało mu przyjemność - a wraz z nim Łazarzy. Pozwalałem im wierzyć, że mogą zburzyć stary Porządek Rzeczy, rodzili się tu, na Eltenerze, na mojej ziemi, myśląc, że mogą kupić sobie nieśmiertelność. Bogactwo i władza na Ziemi miały im zagwarantować nietykalność w Rezerwacie, byli o tym święcie przekonani, w ich mniemaniu pieniądze rządziły światem, dlaczego miałyby być inaczej na Eltenerze. Nie mieli pojęcia, że tutaj rządzą ja! Nie dostrzegali, jak bezwiednie stają się moimi niewolnikami, uśpioną armią, która na znak dany przez Prawdziwego Człowieka powstanie do walki...

- Masz kontrolę nad Łazarzami?

Tej informacji nie odnalazłem we wspomnieniach Pierwszego Dekodera Przypadku. Przemyslenia Dwana kończyły się wnioskiem, co chce zrobić Pan Porządku Rzeczy, a nie jak zamierza to uczynić.

- Całkowitą! - w głosie Morseya brzmiała nieskrywana satysfakcja. - A byli wśród nich najbardziej wpływowi ludzie na Ziemi. Teraz spełnią wszystkie moje rozkazy, zrobią ze mnie

swojego boga, by mogła się dokonać zemsta. Ja, wygnany jak pies, zwykły pilot Morsey, śmieć obciążony błędem kodu genetycznego, będę rządził ich światem... Teraz ja powiem, kto ma umrzeć, a kto z mojej łaski może żyć dalej, dzieci Elizabeth odpokutują za grzechy matki, wnuki polityków, którzy tak ochoczo wysłali nas na śmierć, zobaczą, jak wygląda śmierć za życia... I ci wszyscy normalni ludzie, istniejący tylko dzięki temu, że ktoś mówi im, po co mają się budzić rano, oni też będą musieli zapłacić za swoją bierność, za brak własnej woli, za brak sumienia! - z podekscytowania aż pluł. - Całą wieczność marzyłem o tej chwili...

Nie wątpiłem. Do pewnego stopnia nawet rozumiałem jego pragnienie. Trzy lata krystalicznego proszku nauczyły mnie wszystkich odcieni nienawiści. Samotność ma niezwykłą moc kreowania rzeczywistości.

Tak, nie wątpiłem, że Pan Porządku Rzeczy całą wieczność marzył o zemście, nie wątpiłem, że potrafi jej dokonać, że tak naprawdę zemsta już się dokonała w jego wyobraźni...

- Woorg jest w moim władaniu - kontynuował - z jego pomocą otrzymam nowe ciało. Stanę się Łazarzem, ale innym niż wszyscy dotąd... Wiesz - uśmiechnął się nagle poruszony jakąś myślą - opowieść o Trójcy Świętej, jednej osobie w trzech postaciach, nie jest tak nieprawdopodobna, jak by się wydawało... To, co chcę zrobić, nie będzie się chyba wiele różniło...

Cholera, nie potrafiłem odmówić mu racji. Szalone skojarzenie jeszcze bardziej utwierdziło Morseya w przekonaniu, że jest kimś więcej niż zwykłym pilotem, którego wyrzucono z Ziemi.

- Aida jest moim tworem - wywodził - powstała jako matka dla Prawdziwego Człowieka... A teraz ja, Pan Porządku Rzeczy, przeniosę swoją świadomość w nienarodzone jeszcze ciało dziecka... Stanę się bogiem ojcem i zarazem synem swoim... - Uśmiechnął się radośniej. - No, może wnukiem swoim, ale przyznasz, Esco, że nie sposób nie dostrzec analogii.

- Chcesz wrócić na Ziemię jako Prawdziwy Człowiek? - Pytałem, choć znałem odpowiedź. - Urodzić się tam i zacząć swoją krucjatę?

- Taki jest mój plan. - Uśmiech zniknął z jego ust.

Różnica pomiędzy ojcem i synem, ta różnica, której tak bardzo potrzebowałem, stała się oczywista...

Pan Porządku Rzeczy był chorym szaleńcem tworzącym z zemsty wartość wyższą. Bóg Eltenery był zakłamanym sukinsynem.

- A jaką ja mam w tym odegrać rolę, ojcze?... - Po raz pierwszy użyłem tego słowa.

- Nareszcie, synu... - Wyraźnie oczekiwał na to słowo, było kluczem do jego planu. - Teraz naprawdę jesteś ze mną. Teraz naprawdę możemy stać się nieśmiertelni i rządzić Ziemią i Eltenerą. To będą nasze światy na zawsze...

- Zatem?

- Zostaniesz Panem Porządku Rzeczy na Eltenerze, potrzebuję cię tutaj, żebyśmy mogli odradzać się na nowo podczas każdego Wielkiego Przeistoczenia - dłońmi nerwowo stukał w stół. - To takie proste... Ja spłodzę na Ziemi syna dla ciebie, a potem wrócę tutaj, ty spłodzisz kolejnego syna... I tak będzie powtarzał się cykl Wielkiego Przeistoczenia. Przez całą wieczność. Czyż to nie doskonały plan?...

Plan był rzeczywiście świetny. Dwan Deborah Keene przewidział go niemal bezbłędnie. Nie mogłem zawiść oczekiwań ojca, kochającego ojca...

- Niesamowite... - udałem pełne podziwu westchnięcie. - Mam tylko jedną wątpliwość... Czy ta kopuła, ta planeta, to coś będzie nam pomagało przez całą wieczność?

- Oczywiście! - Nie miał cienia wątpliwości. - Po co inaczej stworzyłyby mi takie możliwości...

- A rozumiesz znaczenie wiersza - wpadłem mu w słowo - który powtarza każdy tubylec? Znasz jego słowa?... „Przez własną moc To Jedno bez tchu oddychało i nic innego nigdzie poza nim nie było. Zarodek bytu w pustkowiu zawarty stał się Tym Jednym mocą swego żaru”...

- Zwykle bajania. Kiedy budowałem religię Pana Porządku Rzeczy, zapomniałem o ludowym zamięłowaniu do tworzenia własnych interpretacji - machnął lekceważąco ręką. - Nie zwracaj sobie tym głowy.

- Jeszcze tylko jedno pytanie - starałem się, żeby mój głos brzmiał przyjaźnie. - Czy wiesz, czym jest Eltenera? Ta kopuła? Źrenice Kurlemu? Czemu to wszystko służy?

- Synu, cokolwiek jest, służy mnie - obwieścił z pychą - a już wkrótce będzie służyło tobie. O, wojska Białego Oficjum właśnie podeszły pod Olimp. Pora, żebyś stał się bogiem, dokonał swojego pierwszego objawienia.

Nie próbowałem pytać o nic więcej.

Dwan miał rację. Pan Porządku Rzeczy nie widzi niczego poza własną zemstą... I niczego innego nie rozumie.

Jeszcze widziałem zarys twarzy ojca, w tle ogródek z zielonymi drzewkami, jeszcze widziałem wewnątrz kopuły, a już zaczynały majaczyć kontury urwistych skał otaczających dolinę wśród Przełomów Bramos. Tam, gdzie kończył się szlak do Złotego Miasta, na grani pomiędzy dwoma wzniesieniami, zasłaniając nieomal cały stok łagodnie opadający w stronę

lśniącego srebrem Olimpu, stała armia Białego Oficjum. Tego, że to regularne oddziały, można było się domyślić tylko po szyku klina uformowanego do ataku.

Żołnierze Kongregacji tłoczyli się jak przerażona ciżba. Przemieszani Aryzejczycy z Korpusu Rodryga Ort de Saintre z ciężkobrajnymi Gedytami, Igrami z dorzecza Mar-del-Platta, Strażnikami Ingrid Marie, wojownikami Stref Mirażu - wyglądali nie jak żołnierze, lecz jak bezładna zbieranina.

Na baktrianie okrytym szmatą, która od dawna nie przypominała zdobnej derki, przed czołem formacji Kongregardów stała Laromma. Jakże inaczej wyglądała... Pozlepiane włosy, brudna twarz, zapadnięte, podkrążone oczy, strój w strzępach odsłaniający posiniaczone ciało, które już w nikim nie budziło pożądania. Starła się przemawiać do wojska, wzbudzić zapał bojowy, obiecywała zwycięstwo, a z nim wodę, jedzenie, bogactwo i zaszczyty. Była nawet przekonująca, zawsze umiała kłamać.

Ale tutaj, naprzeciwko osłon, szeregów kartacznic, wspaniale sformowanych szyków - naprzeciwko doskonale zorganizowanej, uzbrojonej i pewnej swojej siły Armii Sprzymierzonych - tutaj nikt nie słuchał słów Larommy. Kongregardzi widzieli tylko śmierć czekającą na nich pod Olimpem. Żadne słowa nie potrafiły ich przekonać, że mają choć cień szansy.

- Zaraz cię ujrzą - usłyszałem gdzieś za plecami głos Pana Porządku Rzeczy. - Objawi im się twoje oblicze.

Zauważyłem ruch w szeregach Białego Oficjum. Wycieńczone twarze zwróciły się ku górze... Usłyszałem szmer niedowierzania powtarzany przez spierzchnięte usta...

- Escobar, Escobar, Escobar... - Coraz głośniejszy, z coraz większym strachem, z rosnącym niedowierzaniem. To imię przypominało im zniszczenie taborów, pragnienie, głód, przerażające chwile w Aramo... Wybrany Pana Porządku Rzeczy...

Przypomniałem sobie, na kogo skierowana jest moja nienawiść, dlaczego nie mogłem być zwykłym Esco budzącym się obok ukochanej kobiety. Teraz miałem cel... Twarz, na którą patrzyli, musiała wyglądać strasznie... moja twarz... A ja patrzyłem tylko na Larommę.

- Możesz przemówić - podpowiadał mi szept ojca - do kogo chcesz, każdy, kto wypił wywar z Kwiatu Pamięci, usłyszy w głowie twoje myśli...

Długo się zastanawiałem, od jakich słów zacząć rozmowę z Larommą - całe trzy lata... Myślałem o najróżniejszych początkach mojego wywodu, szukałem wyrazów tchnących wystarczającą nienawiścią, zwrotów tak mocnych, że powinny zetrzeć ją w pył, złamać, rzucić na kolana... Ile razy już w przeszłości rozpoczynałem tę rozmowę... A teraz po prostu zapytałem:

- I co, dziwko, nie lepiej było mnie zabić?

Jakby uderzył w nią piorun, nieświadomie spięła baktiana i tylko ostro ściągnięte wodze uratowały ją od upadku.

Laromma... Ona nigdy się nie poddawała, zawsze uważała, że każdego mężczyznę można omotać, otumanić tak, by stał się niewolnikiem. Wierzyła - wciąż jeszcze wierzyła - w potęgę swego ciała.

Delikatny bezbronny uśmiech pojawił się na kształtnych ustach. Potrafiła udawać, cholera, jak ona potrafiła udawać... Gdybym przez te trzy lata nie utopił swoich myśli w ślepej nienawiści, gdybym nie żarł tak długo krystalicznego proszku - każdego dnia zamieniając serce w martwy kryształ - gdybym nie wiedział tego wszystkiego, co wiedziałem... Pewnie mógłbym uwierzyć w jej słabość...

- Escobar, wierzyłam, że wrócisz... - w spojrzeniu pojawiło się ciepło, które pamiętałem z czasu przed śmiercią, z czasu, kiedy leżeliśmy przytuleni w łóżku. Byłem pod wrażeniem, potrafiła w jednej chwili spojrzenie pełne strachu zamienić na wypełnione miłością. Niech to szlag, kogo widziała Laromma, patrząc w lustro?

- Spełniłem twoje oczekiwania - układałem myśli w słowa. - Wróciłem, żebyś mogła powiedzieć, jak bardzo mnie kochasz... - Uśmiechałem się, choć zaciśnięte szczęki bolały.

- Zawsze cię kochałam, Escobar, wiem, że może to inaczej wyglądało, błędziłam, byli inni, ale w każdym z nich widziałam ciebie... - szukała nici porozumienia, drobnej szpary, przez którą mogłaby się wśliznąć do umysłu i zrobić to, co umiała najlepiej: z kłamstwa uczynić prawdę.

- W Carlu też widziałas mnie? - Głos w głowie aż syczał z wściekłości. - Wiesz, śliczna, Carlo już nie żyje. Zdechł jak pies otruty przez tubylców. Jego śmierć była parszywa, tak jak parszywe było jego życie. Teraz przyszła twoja kolej...

Powoli zaczynała rozumieć. Czekałem, kiedy zmieni ton. Zawsze gdy brakowało jej argumentów, potrafiła przerzucić winę na mnie, a ja nabierałem się, szukając słów usprawiedliwienia... Kurwa, dopiero teraz tak naprawdę poznałem tę kobietę...

- Pamiętasz, proponowałam ci przyłączenie się do Korporacji Handlu! - rozpoczęła atak, a ja ze zgryźliwym uśmiechem pomyślałem, że wcale nie trzeba być bogiem, żeby wiedzieć, co zrobią inni. - Wtedy, pod Sondorrą, mogłam kazać cię zabić, tak chciał Carlo, tego chcieli członkowie zarządu, Trybunał Sprawiedliwości... Właściwie wszyscy chcieli twojej śmierci, ale ja cię ocaliłam, ukryłam w samotni na Garbusie, sprawiłam, że świat zapomniał, jak bardzo chce cię zatłuc - w jej myślach czułem coraz większą pewność, uwierzyła w swoje argumenty.



- I to był twój błąd, śliczna, za który teraz zapłacisz! - roześmiałem się. Nie chciałem zostawić Larommi więcej niż kilka chwil na rozliczenie się z przeszłością, rachunek sumienia i paniczne przerażenie przed nieuchronnie nadchodzącą śmiercią.

Dla tego przerażenia przemierzyłem tak długą drogę...

Spojrzałem na wymizerowane oddziały Białego Oficjum. Żołnierze czekali na wyrok, wiedzieli już, że zapadł, teraz tylko chcieli go usłyszeć. Ale nie przybyłem tu z zamiarem zabicia wszystkich.

- Żołnierze Kongregacji - dotarłem do ich myśli z prostym przesłaniem - jam jest Escobar, Wybrany Pana Porządku Rzeczy, mój gniew jest jego gniewem, moja siła jest jego siłą, moja łaska jest jego łaską. Ofiarowuję wam łaskę! Porzućcie broń, padnijcie na kolana, a będzie wam darowane życie! Tam czeka Armia Sprzymierzonych, spójrzcie na jej potęgę, przed nią uciekł już Rodryg Ort de Saintre, za kogo chcecie zginąć? Za tę kobietę, która nigdy nie należała do waszego świata, która kradła wasze głowy, która sama teraz drży z przerażenia, chcąc dzięki waszej śmierci oszukać własną?! Padnijcie na kolana! Zanim moja wściekłość was zabije!

- Świetnie, synu... - usłyszałem radosny głos Morseya. - Właśnie tak powinien przemawiać bóg...

W armii Białego Oficjum zapanowało poruszenie. Pierwsi zaczęli rzucać broń Aryzejczycy. Każdy, kto upuścił śmiercionośne żelastwo, padał na kolana i ze wzrokiem błagalnie wbitym w moje oblicze oczekiwał wyroku. To trwało zaledwie chwilę, a już tysiące Kongregardów klęczało naprzeciw buntowniczych wojsk otaczających Olimp.

Widziałem, jak tęczowa osłona pęka, jak na ostrorogach pojawia się oddział Eoli i Wyspiarzy, mój oddział, jak Melon jedzie na czele z miną prawdziwego wodza... Pamiętał moje słowa, doskonale wiedział, co ma zrobić...

Wróciłem spojrzeniem do Larommi. Była blada, wiedziała, że nadeszła ostatnia chwila, że nic nie stoi już pomiędzy nią a moim pragnieniem zemsty... Po raz pierwszy zobaczyłem w jej oczach rezygnację, bierną zgodę na to, co nieuchronnie musiało nadejść.

- Czy masz jeszcze coś do powiedzenia? - smakowałem rozkosz zemsty.

- Nic, Escobar - była złamana, poddała się... - Może tylko... Przepraszam...

Zaskoczyła mnie. Nie tego się spodziewałem. Na moment zapomniałem o gniewie. Dobrze, że wcześniej wydałem Melonowi polecenia. Nie mogłem się już wycofać.

- Będziesz żyła, śliczna - przekazywałem jej słowa, które przygotowałem sobie wcześniej, ale brakowało już w nich pasji. - Trafisz na wyspę Ferro, do Jaskini Kobiet, gdzie pod ziemią spędzisz resztę swoich dni... Jak będziesz miała szczęście, trafisz na parę chwil na

górze, na czas potrzebny, żeby zapłodnił cię jakiś Wyspiarz. Zostaniesz na Eltenerze, twój czas będzie płynął dziesięć razy szybciej niż mój, za rok będziesz o dziesięć lat starsza niż ja, za dwa o dwadzieścia. Może będę cię odwiedzał, by popatrzeć, jak się starzejesz, jak z braku światła ślepniesz, jak wypadają ci włosy, jak próchnieją zęby, jak walczysz o resztki jedzenia, jak umierasz... Tak jak ty miłosiernie ofiarowałaś mi długie umieranie, tak teraz ja jestem miłosierny...

Nie odpowiedziała. Kiedy razem z kilkoma Wyspiarzami podjechał do niej Knuut, nie broniła się... Ściągnął ją za włosy z baktriana i przerzucił przez grzbiet swojego ostroroga.

Poczułem pustkę. Jakby dokonanie zemsty zabiło wszystkie uczucia. Zniknął gniew, nienawiść straciła kolory, złość rozpuściła się w gorzkim uśmiechu. Odchodziło moje życie. Poza nim niczego innego nie znałem.

Jeszcze widziałem wiwatujące oddziały buntownicze, a już pojawił się taras, stolik i butelka scotcha. Na szczęście zawsze był ten ruch - nalać, przechylić, przełknąć... Ostre pieczenie w żołądku tworzyło pozory powrotu do rzeczywistości.

- Wspaniale, synu, przemawiasz jak bóg, zachowujesz się jak bóg, nienawidzisz jak bóg  
- Morsey radośnie zacierał pomarszczone dłonie - właściwie już jesteś bogiem, Panem Porządku Rzeczy, moim następcą, pozostaje tylko mała formalność...

- Jaka?

- Chcę, żebyś mnie zabił... - odpowiedział, poważniejąc.

- Co? - zachłysnąłem się.

- Żeby uwolnić swoją świadomość, muszę umrzeć - tłumaczył - dopiero wtedy dotrzesz do Woorga, a on przeniesie ją w nienarodzone dziecko twoje i Aidy...

- Ale dlaczego to ja mam cię zabić? - Pomyślałem, że chyba nigdy nie skończy się moja droga wypełniona śmiercią.

- Bo ja sam nie mogę tego zrobić... Próbowałem już wszystkiego, ale ta kopuła nie pozwala. Każdy przedmiot, który wykreowałem, żeby się zabić, zniknął w chwili, gdy miałem użyć go przeciwko sobie... - Na chwilę zatopił się we wspomnieniach. - A chciałem umrzeć już dawno temu, tak bardzo chciałem, że użyłem własnych rąk... Wtedy straciłem oczy... Ale nie udało mi się stracić życia...

*...A kiedy przyjdzie taka chwila, że będziesz musiał umrzeć?*

*...A kiedy taka chwila przyjdzie?...*

Skoro tak miało się stać, niech się stanie.

- Dobrze, ojcze.

\*\*\*

Na czarnej półkuli Eltenery pękały lody, kruszyła się skorupa broniąca dostępu do otchłani. Mroczne wody wrzały, potężne wiry kręciły oceanem, wywołując spienione gejzery.

*...Co miało się ku życiu? Gdzie? w czyjej opiece?*

*...Czym wody były? Otchłanie głębokie?*

Pośród wzburzonych fal, między pokruszonymi lodami a zimną płaszczyzną dna rodziło się coś, co zamieniało chaotyczne drganie w skryzalizowaną całość.

*...Przez własną moc To Jedno bez tchu oddychało...*

*...I nic innego nigdzie poza nim nie było...*

Na rozedrganym dnie zaczynały rosnać fosforyzujące zielono słupy. Niczym z rzuconych w ziemię ziaren kiełkowały monstrualne kolumny, pnąc się ku powierzchni czarnego oceanu. Masy wody wokół nich pulsowały w jednym rytmie - mroczna otchłań zaczynała świecić.

*...Zarodek bytu w pustkowiu ukryty...*

*...Stał się Tym Jednym mocą swego żaru.*

\*\*\*

Nie było już domku z tarasem. Nie było stoku narciarskiego. Nie było sterowni Arki Noego. Nie było niczego poza ołtarzem ofiarnym, na którym leżał Pan Porządku Rzeczy - starzec o pustych oczodołach, mój ojciec. Miałem go zabić, bo taki był rytuał Wielkiego Przeistoczenia. Nie rozumiałem, dlaczego to takie ważne, dlaczego musiałem przejść przez chory scenariusz śmierci starego boga...

- Nie mógłbym tego zrobić prościej? - zapytałem, patrząc na chude ciało rozciągnięte na kamiennym blacie.

- Nie, synu, Chrystus też nie musiał umierać na krzyżu - uśmiechał się, odsłaniając żółte zęby - ale gdyby nie było tego krzyża, kto by pamiętał o jego śmierci? Religia wymaga symboli. Dlatego Wielkie Przeistoczenie musi odbyć się tak, jak zaplanowałem, jak oczekują tego wierni.

Najstraszniejsze w jego szalonym dziele było właśnie to, że wszystko okazywało się tak piekielnie logiczne i tak cholernie prawdziwe...

*...Tę ofiarę bogowie złożyli w ołtarzach...*

*...To były pierwsze spośród świętych praw...*

Przygotowałem phobosa - ustawiłem cienką wiązkę laserową, która miała posłużyć za skalpel. Nigdy wcześniej nie zabijałem w ten sposób, nigdy ze śmierci nie robiłem misterium, a teraz czekała mnie pokuta... Za wszystkich, którzy umierając, nie mogli mi spojrzeć w oczy. Gdybym miał możliwość wycofania się, zrobiłbym to, ale było za późno, zdecydowanie za

późno... Plan Morseya nierozzerwalnie wiązał się z moim, dlatego czułem smutek.

*...Z tej ofiary wszechwielkiej...*

*...Zebrano uczuć zakrzepłą masę.*

*...Z niej to powstały zwierzęta...*

*...Co w przestworzu i na ziemi żyją.*

Puste wnętrze czarnej kopuły czekało. Czekali kapłani Muni klęczący nad brzegiem oceanu. Czekał Pan Porządku Rzeczy. Ująłem phobosa w obie dłonie i uniosłem jak nóż ofiarny. Rytuał musiał się rozpocząć, nie mogłem już dłużej zwlekać...

*...Z tej ofiary wszechwielkiej...*

*...Narodziły się hymny i śpiewy...*

*...Z nich święte pieśni prawdy...*

*...Z nich zaklęcia ofiarne.*

Uderzyłem laserową wiązką najpierw w stopy, odcinając je tuż poniżej kostek. Oczekiwałem przerażającego krzyku, ale z ust Morseya uleciało tylko westchnienie, w którym brzmiały ulotne nuty radości... Krew z kikutów rozlewała się po kamiennym ołtarzu. Widziałem, jak czerwone krople wsiąkają w czarną materię posadzki, nie zostawiając żadnych śladów.

*...Kiedy rozłożyli Człowieka...*

*...Na ile podzielili go części?*

*...Jak nazwano jego usta, jak ramiona...*

*...Jak nazwano jego uda, jak stopy?*

Jak nazwano jego stopy? Leżały na ofiarnym blacie niczym przedmioty. Jego stopy, stopy Pana Porządku Rzeczy, stały się wędrowcem strudzonym? Ciąłem uda; wysuszone, okryte skórą ścięgnię; mięśnie; kruche kości.

*...Uda stały się tym, co ziemię uprawia*

*...Stopy wędrowcem strudzonym.*

Zawodzenia Morseya brzmiały jak jęki rozkoszy. Kiedy jego ciało rozstało się z ramionami, zobaczyłem twarze mnichów uniesione w ekstazie. Czerń kopuły wchłaniała kapiącą z ołtarza krew, przestrzeń drżała w rytm gwałtownych spazmów Pana Porządku Rzeczy. Wciąż żył, wciąż oddychał, wciąż widział świat pustymi oczodołami...

*...Jego gardło było mnichem...*

*...Z ramion powstał wojownik.*

Świecące ostrze dotknęło zapadniętego brzucha. Rozpalona drzazga wbiła się poniżej mostka i wędrując w dół, otwierała ciało. Mój ojciec... Jego oddech rwał się, zbliżał się do

granicy, za którą jest tylko cisza... Kiedy laserowa klinga przesunęła się do bioder, cisza nadeszła. Pan Porządku Rzeczy wydał ostatnie tchnienie.

Wielkie Przeistoczenie dało nowy początek. Jego ofiara stworzyła świat dla kolejnego boga...

Poczułem, jak nienawiść opuszcza kopułę. Jednocześnie we mnie, zagrzebana w myślach, przyczajona w sercu, zagnieździła się czerń. Czuję jej lodowatą obecność, mrok, który ścinał krew... Wiedziałem, że teraz ja zostałem Panem Porządku Rzeczy - Wybranym. Wiedziałem, że to nie tylko wybór mojego ojca...

Powstał nowy bóg. Narodziła się nowa nienawiść. Escobar został Panem Porządku Rzeczy... Tylko że ja nie chciałem być bogiem... Popatrzyłem na martwe ciało starca leżące na kamiennym ołtarzu. Niepotrzebna ofiara, syn nie pójdzie w ślady ojca, nie będzie siedział po prawicy, nie obejmie wspólnego królestwa.

Zablokowałem phobosa i wolno ruszyłem do ściany kopuły. Na moment zatrzymałem się przy jednolitej płaszczyźnie, czekając, aż pozwoli mi wyjść.

- Kurwa! Nazywam się Escobar! Nie jestem twoim bogiem! Nie czuję już nienawiści! - wykrzyczałem w czarną materię.

Jak na nawróconego grzesznika w moim głosie było zbyt wiele gniewu... Wściekłość wybiła dziurę w ścianie kopuły. Ruszyłem, choć czułem, jak kielkuje we mnie czarne ziarno...

- Nie chcę być bogiem! - Mój wrzask otworzył drogę w oceanie.

Idąc wśród pokruszonych kamiennych figur, myślałem, jak bardzo oddaliłem się od chłopca, który patrzył na matkę przez szczeble łóżeczka, jak inaczej spełniłem jej marzenie o synu i ojcu...

Na plaży minąłem bijących czołami o piasek Muni. Tuż za ich plecami stał kamienny posąg - nowy... Spojrzałem na granitowe rysy... To była moja twarz.

Wyrwałem phobosa i wiązką niszczącą strzeliłem w postument. Rozprysnął się jak szkło, ale czarne wewnątrz pozostało - mała, niepozorna kropla mroku podobna do kielkującego we mnie ziarna...

Ruszyłem dalej. Po kilkudziesięciu metrach odwróciłem głowę. Kamienny posąg, mój kamienny posąg, znów stał na plaży, jakby nigdy nie tknął go niszczący ładunek. Fale oceanu łagodnie lizały jego stopy.

\*\*\*

Aga Czong patrzył na dowódcę nowego kontyngentu Wigilii. Na pewnym sobie obliczu młodego mężczyzny malowało się przeświadczenie o własnej nieomyślności. A osłona broniąca dostępu do Eltenery przed chwilą przestała istnieć... Mu Kwai nie uważał, żeby jego

obowiązkiem było poinformowanie o tym przełożonego. Przecież został odsunięty, przekazywał placówkę nowym Wigilom, czekając na rozkaz opuszczenia Garbusa.

- Zgłosił się do nas człowiek, który doskonale zna Esco. - Nowy Kap Don Ander mówił z nonszalancją właściwą ludziom urodzonym w zamożnej rodzinie. - Twierdzi, że ten ścigany przez Trybunał przestępca będzie chciał wrócić na Garbusa. Jakie statki są teraz na Eltenerze? - zapytał, nie patrząc nawet na Czonga.

- Z dużych jednostek jest Silvana Korporacji Handlu - Aga starał się panować nad głosem - ale wątpię, żeby Esco jej użył. Raczej skorzysta ze swojego scoptera, łatwiej się nim precyzyjnie przelatywać przez strefę gradientów Graffa. Chyba że czegoś nie wiem... - zawiesił głos.

- To samo mówi nasz człowiek! - Nowy komendant uśmiechnął się, jakby skrzywienie jego ust miało być dla Agi nagrodą za właściwą odpowiedź. - To będzie akcja nowego kontyngentu Wigilii - obwieścił. - Wasza służba tutaj już się skończyła.

Kiwnięciem głowy Czong potwierdził, że rozumie rozkaz. Był mu nawet na rękę - i tak nie miał zamiaru narażać własnych ludzi. Uśmiechał się tylko w duchu na wspomnienie rozmowy z Maxem. Jeśli Esco rzeczywiście wróci... Współczuł świeżym rekrutom, ale przecież już nie on tu dowodził. Teraz tylko musiał uważnie śledzić bieg wypadków - żeby Max dostał wiadomość we właściwym czasie...

\*\*\*

Potężny słup ognia wykwitł ponad linią horyzontu, tam gdzie za Przełomami Bramos otwierał się szlak do Złotego Miasta. Przystanąłem, obserwując, jak w dali rośnie grzyb wznieconego wybuchem pyłu. Po dłuższej chwili nadciągnął huk eksplozji.

Melon wykonał swoje zadanie - Olimp przestał istnieć... Szlag trafił Woorga, a razem z nim wszystkich nienarodzonych Łazarzy. Byłem zbyt zmęczony, żeby ucieszyć się z wygranej. Zginęła świadomość starego Pana Porządku Rzeczy, Morsej nie istniał już definitywnie. Nie narodzi się Prawdziwy Człowiek, który w ciele mojego syna wróci na Ziemię... Skończyło się. Mój ojciec nie żyje, nie ma też jego świadomości. Został pogrzebany raz na zawsze - jak we wspomnieniach matki, gdy wyruszył na Arce Noego. Jego duch nie będzie już nikogo straszył. To było dla niego ostatnie Wielkie Przeistoczenie... Skończyła się droga nienawiści przekazywanej z pokolenia na pokolenie...

Miałem nadzieję, że Efram z Aidą dołączyli do Melona i wrócą na Garbusa, a potem na Ziemię. Wierzyłem, że Stroiciel zapamiętał moje słowa i ukryją się z dzieckiem tak, żebym nigdy nie mógł ich odnaleźć. Gdyby kiedyś miało się okazać, że czarne ziarno we mnie urosło na tyle, by wypełnić mroczną treścią kamienny posąg nad brzegiem oceanu... Nie chciałem powtórzyć losu Morseya. Nie byłem bogiem. Tak jak i on nigdy nim nie był. Skoro każdy

może być bogiem, to tak naprawdę nikt nim nie jest. Są tylko ci, którym się wydaje...

Zmęczenie odebrało mi wiarę. Nie umiałem się cieszyć ze zwycięstwa. Satysfakcja ze śmierci Carla zniknęła jak dym na wietrze. Wysłanie Larommy do Jaskini Kobiet miało być jej pokutą, radością na długie lata, dlaczego zatem stałem na skraju pustyni Sar-deh-Endzam z uczuciem pustki? Odszedł Pan Porządku Rzeczy - nawet to nie wyrwało mnie z odrętwienia. Czy tak czuł się Dwan Deborah Keene, kiedy z brzemieniem prawdy musiał opuścić Pankreatorium?

Na niebie, gdzie Ti-Dejanira roztopiała się w gorącym powietrzu wibrującym nad pustynią, trwało zjawisko, którego nigdy wcześniej na Eltenerze nie obserwowałem: miliardy ogników rozszczepiały promienie światła, tkając z nich wielobarwne, poruszone delikatnym ruchem wstęgi. Cały horyzont był feerią barw i fantastycznych wzorów. Pomyślałem, że oto pułapka na myszy zaczyna się przechylać... Cholerny Morsey swoją nienawiścią wprowadził w ruch coś, czego już nie sposób było zatrzymać. Ziemia pod moimi stopami zaczynała drżeć...

Pomimo zmęczenia, pomimo przemożnej chęci, żeby położyć się tu, na piasku, zmusiłem się do marszu. Nie chciałem zostać na Eltenerze, pamiętałem kamienny posąg nad brzegiem oceanu - posąg mający moje oblicze i duszę zaklętą w kamiennym monumencie...

Nawet gdybym miał umrzeć z wycieńczenia, musiałem dotrzeć do ukrytego scoptera. Czekala mnie długa droga.

\*\*\*

Tobacco Ptasznik obserwował Melona, jakby oczekując od niego zgody.

- Takie było polecenie Esco, mały, nie musisz się nią przejmować. - Zbawiciel patrzył obojętnie na lufę zabijaka przyłożoną do skroni Larommy. - No, suko, masz dwa wyjścia - Tobacco przemówił nieubłaganym tonem - albo każesz swojemu psu otworzyć wąż Silwany - ruchem głowy wskazał statek - albo Wyspiarze nie będą mieli już nigdy okazji skorzystać z twojego ciała...

Laromma nie uniosła nawet głowy.

- Naczelnik klanu Kali nie otworzy nikomu poza mną... - Ostatnim wysiłkiem spróbowała targów, ale w jej głosie nie słychać było przekonania. - Muszę lecieć z wami.

- Wiesz, co zrobię? - Ptasznik nie stracił opanowania. - Zawlokę cię przed Silvanę i zastrzelę na jego oczach... A potem wsadzimy pod statek wszystkie miny, jakie nam zostały, i złożymy Mustafie propozycję... Ciekaw jestem, czy będzie chciał pójść w twoje ślady.

Poddała się. Właściwie zrobiła to już pod Olimpem, kiedy wojska Białego Oficjum bez jednego wystrzału przeszły na stronę buntowników, kiedy Esco obwieścił jej wyrok, a Knuut brutalnie zabrał się do jego wykonania. Nie umiała ponownie stanąć do walki... Chciała tylko

zachować życie.

- Dobrze - zgodziła się - i niech was piekło pochłonie!

- Trzymaj tam dla nas miejsce - roześmiał się Tobacco. - Pójdiesz z nią, Melon. Masz - podał mu zabijak - uważaj na tę sukę, jest bardziej niebezpieczna od jadowitego turtona.

- Wiem - odparł Zbawiciel - szkoda, że się zgodziła... - Popatrzył na Laromme wylupiastymi oczami, w których bez trudu można było odczytać, z jaką radością by ją zabił.

Ptasznik odwrócił się do pozostałych. Gestem kazał schować się Wyspiarzom, a także Eframowi i Aidzie.

Melon objął Laromme, pozornie przyjacielski uścisk ukrył zabijak. Ruszyli do Silwany. Kiedy znaleźli się w zasięgu kamer, stanęli, a kobieta uniosła dłoń w geście powitania.

Zewnętrzne poszycie rozchyliło się i na ziemię spłynęła pochylnia, po której zszedł niski gruby mężczyzna. Jego nerwowe ruchy zdradzały strach. Kiedy Melon wbił mu w tłusty brzuch lufę zabijaka, pulchne ciało zamarło. Ptasznik wstał z ukrycia. Za nim zrobili to Wyspiarze, Aida z Eframem, dzika kobieta. Wzrok Mustafy z przerażeniem śledził zbliżającą się grupę. Gdy znaleźli się przy pochylni, Tobacco rzucił do naczelnika:

- Pozdrowienia od Esco, grubasie! - i nim słowa przebrzmiały, uderzył go kolbą drassera w skroń. Tłuscioch zwiotczał i osunął się z głuchym plaśnięciem. - Wnieście go do środka, może nam być jeszcze potrzebny - polecił najbliższym Wyspiarzom.

Knuut wyciągnął dłoń.

- Pora się pożegnać...

- No, chłopie, niech ten jakiś tam Wielki Pastuch będzie z tobą - Melon nie bawił się w ceremonialne uściski. Poklepał Wyspiarza po plecach tak, że ten ledwo mógł ustać na nogach - jeszcze tu wrócimy... I zaopiekuj się nią odpowiednio - pchnął w jego stronę Laromme - może w Jaskini Kobiet powspomina sobie Escobara...

Na skinienie Knuuta dwóch ludzi złapało kobietę i przywiązało do siodła ostroroga. Nie powiedziała ani słowa, nie wykonała żadnego gestu sprzeciwu.

- Bywaj - Tobacco objął Wyspiarza - twoja łuska męstwa zasługuje na Krainę Wiecznej Walki.

Niebo nad nizina płonęło tęczą niezwykłych barw, zaczynała drzeć ziemia...

\*\*\*

Sasza Stiepanow wyłożył przed urzędnikiem bankowym stos srebrnych kart płatniczych. Stanowiły równowartość fortuny, której człowiek zza biurka nigdy wcześniej nie widział w formie tak materialnej.

- I chce pan wpłacić je na fundusz ceremonii „Mój Głos”? - upewnił się jeszcze raz.



- Już mówiłem - Sasza był lekko zniecierpliwiony - chcę wykupić trzywyrazowe zdanie, które wrzucę do urny za dwa dni... Czy to aż tak trudne do zrozumienia?

- Nie, oczywiście wszystko jest jasne, jak najbardziej... - Urzędnik był spocony z wrażeń. - Tylko pierwszy raz mam do czynienia z taką kwotą wpłacaną w kartach płatniczych. Proszę jeszcze o chwilę cierpliwości, już kończę sprawdzanie.

- Niech się pan pośpieszy. - Stiepanow nawet nie podniósł głowy.

Po chwili urzędnik wyjął z czytnika ostatnią srebrną blaszkę.

- Wszystko w porządku, karty mają pokrycie - uśmiechnął się z ulgą. - Jeszcze tylko muszę wpisać dane osoby kupującej zdanie... Wie pan - zastrzegł się natychmiast - procedury, lektor widowiska musi wymienić osobę oddającą swój głos, a fundacja potrzebuje personaliów, żeby wykluczyć jakiś błąd...

- Proszę wpisać Bethold... - polecił Sasza.

- Bethold... - Urzędnik zawiesił głos w oczekiwaniu reszty danych.

- Tylko Bethold. Może pan jeszcze dopisać: technik z dzielnicy biedoty.

- Ależ...

- Nie ma żadnego „ależ” - zimny głos Stiepanowa wyraźnie dał do zrozumienia, kto tu jest bogaty i kto dyktuje warunki - znam właściciela waszego banku, mam się z nim skontaktować?

Urzędnik pobladał.

- Nie, to nie będzie konieczne, zazwyczaj podajemy pełne dane, ale w tym wypadku... - plątał się - oczywiście to wystarczy, chyba nikt inny nie wykupi zdania pod podobnym pseudonimem... - wyjął potwierdzenie wpłaty. - Proszę bardzo, jesteśmy zaszczytni, że zechciał pan skorzystać z usług naszego banku - nerwowo odklepał formułkę.

Sasza wziął podany papier i nie poświęciwszy urzędnikowi jednego spojrzenia, ruszył do wyjścia.

\*\*\*

Scopter powoli opuszczał się na płytę lądowiska. Automaty działały bez zarzutu, maszyna schodziła w stronę Zal-den-Nori.

Był jasny dzień, a ja czułem, że mrok spowija moje myśli. Wracały wspomnienia - jakby ktoś otwierał ciemny pokój i rozświetlał go na ułamek sekundy, w okamgnieniu przywołując jakieś zdarzenie. A potem kolejne wnętrza i kolejny przeblysł przeszłości. Któregoś dnia... Któregoś dnia po raz pierwszy pochyliłem się nad martwym tubylcem z Rezerwatu. Jego ciało gniło od wielu dni, głębokie cuchnące wżery odsłaniały fragmenty szkieletu, w oczodołach kłębiły się tłuste larwy skrzydlaków. Kiedyś mężczyzna, teraz

pokarm dla robali. Co kogo obchodzi, jak żył? Co kogo obchodzi, o czym myślał? Co czuł? Co kogo obchodzi, że kochał albo nienawidził? Pożerające go larwy nie chciały znać odpowiedzi na te pytania, podobnie jak ja... Wiedziałem jedno - że też będę kiedyś leżał jak ten tubylec, też stanę się pożywką dla robaków. Sprawdziłem broń. Byłem na Garbusie, nie miałem wątpliwości, że Wigile pamiętają nasze poprzednie spotkania. Tak, jeśli chodzi o robienie sobie z ludzi wrogów, byłem mistrzem - ciekawe, czy jest miejsce, gdzie ich nie mam. Ilu ucieszyłby mój pogrzeb? Bardzo wielu. Dlatego pieczołowicie przygotowałem phobosa, zabrałem z kabiny okulary naprowadzające i sprzęgnąłem z nimi zewnętrzne miotacze scoptera. Z pewnym zdziwieniem odnotowałem fakt, że nie było żadnych pytań ze stacji kontrolnej - ani o jednostkę, ani o cel - nie było nawet polecenia, w którym kwadracie mam przyziemić... Należało oczekiwać niespodzianki...

Lekki wstrząs zasygnalizował, że łapy scoptera dotknęły betonowej płyty lądowiska. Uważnie obserwowałem otoczenie. Hangar w pobliżu wyglądał na całkowicie opuszczony, kawałek dalej stał wrak patrolowca, który musiał tu rdzewieć od wielu lat, z lewej stopy pustych metalowych beczek po olejach - wszystko ciche i spokojne... Nawet dobry człowiek, który poprzednio tak ochoczo mnie witał, tym razem nie raczył się pojawić. Jak na mój gust, było zdecydowanie za cicho i za spokojnie...

Czekałem długą chwilę, ale nawet wiatr nie poruszył gęstego powietrza. Pomyślałem, że dłużej siedzieć w środku nie ma sensu - albo komitet powitalny jest bardzo cierpliwy, albo go tam po prostu nie ma. Coś musiało się zmienić na Garbusie podczas mojej nieobecności.

Zszedłem na płytę lądowiska. Było cholernie duszno, a może to tylko świadomość zagrożenia sprawiała, że z trudem łąpałem powietrze. Powoli odmierzane kroki niosły mnie przez rozgrzany beton do przejścia między hangarem a wrakiem patrolowca.

Jeśli coś miało się stać, powinno stać się teraz... Idealne miejsce na zasadzkę, ja przynajmniej nie widziałem lepszego. Dalej rozciągał się jeszcze pas pustej przestrzeni lądowiska, a za nim pierwsze zabudowania Zal-den-Nori. Przystanąłem. Kilka głębokich oddechów miało uspokoić walenie serca. Ścisnąłem gotowego do strzału phobosa.

Czekałem. Teraz już nigdzie mi się nie śpieszyło. Mijały sekundy. Nic... Trzy razy nic uspokoiło mnie na tyle, że ruszyłem dalej...

Nie byłem dość przezorny...

Wokół mnie zamknęła się czasza pułapki energetycznej. Cholerne pole, nowy wynalazek, jakiego wcześniej nie było na Garbusie. Zmieniło się tu, i to bardzo.

Obszedłem przezroczystą klatkę - była szczelna i wystarczająco wytrzymała, żebym nie próbował jej rozwalić strzałem z phobosa. Na razie jeszcze nie chciałem popełnić

samobójstwa, wiedziałem, jak działają podobne osłony. Ciekawiło mnie, skąd Wigilia wytrzasnęła tak małe pole - a znałem wszystkie odmiany broni i osłon, kupowałem przecież za nie głowy w Rezerwacie.

Postanowiłem nie tracić sił. Usiadłem na betonie, odkładając niepotrzebny już phobosa. Pozostawało mi tylko czekać na Wigili.

*Bulimia od dzieciństwa. Prochy. Zajebana, na speedzie... Na zejściu dorzucając w kiblu. Postaw mnie przy ścianie. Jak skłamię, spytaj jeszcze raz. Błagam, wytrzymaj... Ja wiem, Escobar, byłeś drugą połówką, ja to rozumiem... Zaczniemy jeszcze raz... Od tego pierwszego spotkania nad morzem... Kocha się raz. Walka. Mam problem z nimfomanią, bulimią, konfabulacją, prochami, alkoholem. Dopalam się z małymi przerwami... Albo mam co dzień kaca. Tabsy poprawiam seksem. Wierzę w swoje kłamstwa. Kiedyś Ci opowiem. Każdy facet, o którym mówię dłużej niż trzy minuty, spał ze mną. I jeszcze wódka. Nie zasypiam inaczej. Z Tobą umiałam panować nad ciałem. Myślałam, że mi się uda, że nam się uda. Poszło w cholerę po wiadomości od Ciebie... Że już mnie nie chcesz...*

*Zawsze Twoja Lara.*

*...A kiedy przyjdzie taka chwila, że będziesz musiał umrzeć?*

*...A kiedy taka chwila przyjdzie?*

W głębi duszy jakiś głos pytał, czy to już koniec... Tym razem nawet nie miałem siły się bronić. Byłem cholernie zmęczony, byłem pusty i wypalony. Zużyłem całą siłę na dokonanie zemsty, teraz nie miałem nic więcej do zrobienia. Dlatego siedziałem na betonie i obojętnie patrzyłem na wiroplaty Wigilii nadlatujące od Zal-den-Nori.

Stalowe ważki lądowały wokół czaszy energetycznej; zanim płozy dotknęły ziemi, z odwłoków wysypali się Wigile. Patrząc na uzbrojenie i pośpiech, z jakim zajmowali stanowiska, można było przypuszczać, że szykują się do bitwy. Pomyślałem, że oficer dowodzący nie grzeszy wyobraźnią, skoro każe im leżeć na betonie, wierząc, że niewielkie tarcze osłaniające głowy są wystarczającym zabezpieczeniem. Może ufał pułapce, w której tkwiłem. W ruchach ludzi dostrzegałem wyćwiczoną dokładność, jakby żołnierze trafili tu prosto z poligonu.

Kiedy wszyscy byli już tam, gdzie powinni, jak w dobrej sztuce na scenę wyszedł główny aktor... w pierwszej chwili zgłupiałem, kiedy zamiast Kurta von Ditleva z wiroplatu wyskoczył przystojny młodzieniec w mundurze z insygniami Kap Don Andera. Rzeczywiście, pozmieniało się na Garbusie...

- A więc to jest osławiony Escobar! - uśmiechnął się z zadowoleniem, jakby upolował rzadkie zwierzę. - Twoja legenda jest chyba przesadzona, szczura trudniej złapać niż ciebie...

- Odwrócił się i krzyknął: - Możesz już do nas dołączyć!

Zza pustych beczek kuśtykając wyszedł Sanchez... Najwyraźniej to on uruchomił pułapkę. Z satysfakcją zauważyłem, że chodzenie od czasu naszego ostatniego spotkania sprawia mu wiele bólu.

Siedziałem, rozmyślając, jak oto kolejni ludzie mają szansę stać się bogami. Dla mnie... Jeśli odbiorą mi życie... Kurwa, każdy dla każdego może być bogiem, jakie to proste, wystarczy nacisnąć spust... Dlatego ze spokojem patrzyłem na odbezpieczaną broń.

Żal. Co za pieprzone słowo. Ból w splocie słonecznym, gówniany smutek, nieokreślone poczucie przegranej... Skąd się wzięło? Powstało wtedy, kiedy myślałem, że mam wszystko: miłość, pieniądze, przyszłość? Czy kiedy pierwszy raz patrzyłem w oczy zabitego przez siebie człowieka? A może jedno powstało z drugiego? Żal... Pierdolone słowo.

- Escobarze, jestem nowym Kap don Anderem na Garbusie! - Był na tyle blisko, że nie musiał nawet podnosić głosu. - Wyrokiem Trybunału zostałeś skazany, a ja mam zamiar wykonać wyrok. Jestem jednak człowiekiem honoru, dlatego zapytam: jakie masz ostatnie życzenie?!

Mimo zmęczenia, mimo świadomości, że chwila śmierci jest bliska, poczułem, jak czarne ziarno w głębi duszy zaczyna pęcznieć rozsadzane sokiem wściekłości. Uśmiechnąłem się. Moja reakcja wywołała gniew mężczyzny.

- Nie będę czekał wiecznie!

Nie zrozumiał, że uśmiech nie jest przeznaczony dla niego. Śmiałem się sam z siebie, z cholernego, pieprzonego przeświadczenia, że mogę zmienić swoją naturę. Nie, cholera, nigdy nie nauczę się pokory, nigdy spokojnie nie dam się zabić, nigdy nie będę wolny od nienawiści. Czarne wnętrze posągu znało mnie lepiej niż ja sam...

- A ja nie jestem człowiekiem honoru! - wrzasnąłem. Znowu nie zrozumiał. Podniosłem wzrok na ognistą tarczę Ti-Dejaniry, a potem z kieszeni na piersiach wyjąłem okulary. Kap don Ander był tak pewny siebie, tak przeświadczony o doskonałym domknięciu pułapki, tak naiwny w respektowaniu granicy pomiędzy białym i czarnym, że kiedy seria sprzężonych działek scoptera - kierowana moim wzrokiem - przecięła go na pół, w jego gasnących źrenicach wciąż gościła pewność siebie.

Zaczęło się. Wigile otworzyli ogień. Skuliłem się w oczekiwaniu bólu rozrywanego ciała, ale nie nadszedł. Uniosłem powieki. Zmasowany ogień zatrzymywał się na energetycznej czaszy. Moja pułapka zamieniła się w azyl. Wiedziałem, że nie potrwa to długo, za chwilę ktoś połączy się z bazą i każe zdjąć pole.

Spojrzałem na wiropłaty. Ledwie krzyż celowniczy dotknął jednej z maszyn,

mrugnąłem, a działka scoptera rozpruły stalową ważkę. Druga dostała serię zaraz potem. Ze zdziwieniem zauważyłem, że trzeci z wiropłatów eksploduje już bez mojego udziału. Nie traciłem czasu na zastanawianie się, dlaczego tak się dzieje. Przesunąłem wzrok na płytę lądowiska, gdzie Wigile próbowali wcisnąć się w beton, szukając osłony za tarczami. Kątem oka spostrzegłem uciekającą w stronę baraku sylwetkę. Nie musiałem się śpieszyć, trudno jest szybko biec z przetrąconym kolaniem. Sanchez. Rekrut. Ten, który miał dość zabijania. Nawrócony grzesznik. Teraz chciał czynić dobro. Dla odkupienia winy. Może nawet pragnął tego szczerze...

Powoli, bez pośpiechu, naprowadziłem na niego celownik. Nie strzela się w plecy... To niehonorowo... Mrugnąłem powiekami i działka przecięła Sancheza na pół. Nie jestem honorowy.

Czułem, jak czarna kurtyna opada mi na oczy. Strzelałem do wijących się po betonie Wigili, nie pozwalając im ani przez sekundę zastanowić się, skąd nadciąga śmierć. Rosło czarne wnętrze kamiennego posągu, rosło we mnie ziarno mroku. Czułem, że ja cały staję się kamiennym posągiem. Zimno sięgało coraz wyżej...

*...Może istnieje cisza, z której wyrasta kamienny monument twojego przeznaczenia...*

*...Może ta cisza istnieje...*

Staralem się skupić wzrok. Nikt już nie strzelał, ja też nie... Spojrzenie zmęczonych, zamglonych oczu wychwyciło mężczyznę. Miał uniesione dłonie. To był Aga Czong... Błyskawicznie sięgnąłem po phobosa, ale dłoń obejmująca kolbę nie wykonała żadnego więcej ruchu. Żelazny uścisk na ramionach uniemożliwił mi nawet wzięcie głębszego oddechu.

Usłyszałem głos, znajomy, i to bardzo...

- Esco, wystarczy, on jest po naszej stronie.

Jeszcze nie wierzyłem. Skąd tutaj wziąłby się Melon? No skąd?

- Esco, już po wszystkim, odpuść... - Tym razem mówił Max. - Oni już nic nie zrobią.

Aga Czong stał z rękami nad głową, ale teraz widziałem też innych obok niego. Tobacco Ptasznik, Max, kilkunastu najemników rekrutowanych kiedyś na Garbusie... Z wysiłkiem, od którego zachrobotały kręgi, odwróciłem głowę. Melon klęczał obok - zamykając mnie w obezwładniającym uścisku. Dlatego nie mogłem unieść phobosa ani głębiej odetchnąć.

- Puść... - wycharczałem.

- Okay, ale nie będziesz już strzelał? - zapytał niepewnie.

- Nie.

Dźwignął mnie do pozycji stojącej i rozluźnił uchwyt. Ze zdziwieniem patrzyłem w wyłupiaste oczy w oczekiwaniu na wyjaśnienie.

- To był nowy kontyngent Wigilii, przejęli kontrolę na Garbusie.

- Co on tu robi? - wskazałem Agę.

- Czong jest z nami - głos Melona był coraz swobodniejszy - my jesteśmy z tobą... - Uśmiechnął się. - Chociaż niewiele zostało do zrobienia...

Odwróciłem się w stronę lądowiska. To był przerażający widok. Nawet dla mnie. Poszarpany beton, którego okruchy mieszały się ze strzępami ciała. Ilu Wigilii mogło być w wiropłatach? Trzydziestu, czterdziestu? Młodzi, niedoświadczeni gówniarze prosto z poligonu...

- To wszystko ja? - zapytałem, pokonując opór ściśniętego gardła.

- Kilku ostatnich musieliśmy załatwić, bo zdjęli ci osłonę - Tobacco poklepał mnie po ramieniu - ale reszta... w życiu nie widziałem takiej kaźni.

Ja też. Tylko dlatego, że stanęli na mojej drodze... Czułem, jak czarne ziarno wewnątrz mnie nabrzmiewa od nienawiści. Dzisiaj posąg nad brzegiem oceanu wypełnił się mrokiem... Stałem się podobny do ojca. Patrzyłem na zmasakrowane ciała, jakbym chciał tym widokiem ukarać samego siebie, wryć go w pamięć, żeby bolało. Umiałem tylko zabijać, nigdy nie udało mi się niczego zbudować, nie potrafiłem znaleźć okna, za którym ktoś by na mnie czekał. Powinienem umrzeć. Nie umiałem.

- Zatrzymasz mnie? - spytałem, patrząc na Agę.

Musiał dostrzec w moich oczach coś takiego, że tylko przecząco pokręcił głową. Odwróciłem się i ruszyłem w kierunku scoptera.

- Esco, a ty gdzie?! - usłyszałem zdziwiony głos Melona.

- Jesteś bezpieczny, możesz zostać! - dołączył do niego Ptasznik.

Nie zwolniłem, nie obejrzałem się, nie wypowiedziałem już ani jednego słowa. Zmierzając w stronę scoptera, usłyszałem jeszcze tylko Maxa.

- Dajcie spokój, niech odejdzie...

\*\*\*

Granatowe niebo rozświetlała luna, mieniąc się wszystkimi kolorami tęczy. Eltenera wibrowała, barwne szarfy falowały wokół niej, jakby poruszał je wiatr...

Coraz mniej wyraźny stawał się obraz planety. Tonęła w feerii barw. Już tylko zielono opalizująca poświata dawała świadectwo jej istnienia... Z każdą chwilą stawała się bardziej przezroczysta, tak że blask gwiazd prześwitywał przez nią coraz śmieiej... Eltenera znikła z firmamentu żegnana niezwykłą grą barw i ruchu.

Pułapka działała. Kolejny koniec spośród nieskończonej liczby końców...

*...Niebył nie istniał wtedy ani byt nie istniał...*

*...Nie było też przestrzeni i nieba u góry...*

\*\*\*

Posadziłem scopter w pobliżu osmalonego kontenera mieszkalnego. Zanim przestały się kołysać wahacze, sięgnąłem po przytroczonego z boku fotela phobosa. Tym razem miał spełnić inne zadanie - tym razem zamiast zabijać, posłuży do ocalenia.

Pochylony nad pulpitem nawigacji i zarządzania silnikami sprawdzałem, w których miejscach niszczą systemy silnikowe, nie zniszczę urządzeń potrzebnych mi do życia tutaj. To miał być mój dom, więc żeby mógł spełniać taką funkcję, musiałem zachować ostrożność...

Wkrótce otrzymałem komplet informacji. Mogłem wreszcie coś rozwalić, miałem nadzieję, że po raz ostatni... Ograniczoną wiązką spaliłem wszystkie elementy, dzięki którym mógłbym uruchomić maszynę i odlecieć... Znalazłem swoje miejsce. Nareszcie.

Z butelką scotcha wyszedłem z kabiny. Nawet dolina nosiła piętno mojej nienawiści. Z drzew zostały tylko spalone kikuty. Popiół i kurz osiadał na kombinezonie, dłoniach, twarzy. Solidnym łykiem Egbertsa przepłukałem gardło. Spojrzenie na pionową ścianę skalną zamykającą drogę do świata przypomniało mi, że jeszcze niedawno wisiałem na niej, pnąc się po zemstę. Zamknęło się koło, byłem w tym samym punkcie, ale teraz nie miałem nawet celu, jaki towarzyszył mi wtedy. Teraz nie miałem nic.

Skończyło się. Nie było już Larommy, nie było pragnienia odwetu, nie było chęci powrotu. Jeżeli kiedyś myślałem o dolinie z krystalicznym proszkiem jak o umieraniu, to myliłem się, tak naprawdę dopiero w tej chwili byłem martwy. Pusty i wypalony jak to miejsce. Mogłem tylko się postarać, by już nikogo nie zabić, by czarne ziarno nienawiści uschło razem ze mną...

Kolejny łyk Egbertsa otworzył furtkę wspomnień... Nie chciałem tego, nie potrzebowałem, przeszłość była zamkniętym rozdziałem, który nie miał nic wspólnego z przyszłością. Żeby zagłuszyć myśli, zacząłem rozładowywać ze scoptera narzędzia. Może uda mi się odbudować kontener mieszkalny, potrzebowałem teraz jakiegokolwiek zajęcia, aby wysiłkiem zatłuc cholerne obrazy.

Kiedy skończyłem targać ciężkie skrzynie, pot lepił do pleców bluzę kombinezonu. Czułem zadowolenie, jak wtedy, gdy walcząc z krystalicznym proszkiem, odkrywałem błogosławieństwo fizycznego zmęczenia. Nie było to może jeszcze budowanie, ale na pewno nie było to już niszczenie. Spojrzałem na chylącą się ku zachodowi czerwoną Ti-Dejanirę.

Wyglądała inaczej niż zwykle, wyglądała na samotną... w miejscu, gdzie o tej porze powinna lśnić na niebie Eltenera, nie było nic... Stało się, pułapka rozpoczynała ostateczne dzieło, do którego ją stworzono...

Kiedy z kolejną flaszką w dłoniach zszedłem po trapie, w pierwszej chwili pomyślałem, że już jestem pijany. Obok skrzyń, pomiędzy kikutami spalonych drzew, stała dzika kobieta... Patrzyłem na dziewczynę, w której czujność mieszała się z dziecięcą ufnością. Jej oczy miały kolor oceanu. Padające promienie Ti-Dejaniry tańczyły w błękitnych tęczęwkach. W kącikach pełnych ust błąkał się spokojny uśmiech.

Podszedłem bliżej. Nie uciekła, nie przestraszyła jej też moja wyciągnięta dłoń. Dotknąłem gładkiego ciepłego ramienia. Było prawdziwe.

- Co tutaj robisz, maleństwo? - zapytałem, nie oczekując odpowiedzi.

Dziewczyna otarła się policzkiem o moją dłoń, a potem przykucnęła obok spalonego drzewa.

Patrzyłem, jak smukłymi palcami dotyka czarnego kikuta, a pod jej opuszkami pojawia się cienka zielona łodyga, jak nabrzmiewają pąki, jak uwalniają się z nich delikatne listki... Patrzyłem na martwe drzewo, które budzi do życia dotyk palców dziewczyny. Patrzyłem, jak z popiołu, kurzu, brudu wyrasta roślina...

Przykucnąłem obok dziewczyny. Uśmiechnęła się. Poczułem, że ja też zaczynam się uśmiechać...



## EPILOG

### Ziemia, plac Konstytucji

Na placu Konstytucji zgromadzone tłumy oczekiwały rozpoczęcia corocznego misterium „Mój Głos”. Rejestratory przekazywały holograficzny obraz do każdego zakątka Ziemi, a miliony ludzi śledziły go z zapartym tchem.

Właśnie zaczęli zjeżdżać ci, którym niewyobrażalne bogactwo dawało prawo wykupienia swojego zdania i przekazania go całemu światu. Elita. Bogowie. Z ociekających przepychem limuzyn wysiadali ludzie tak zamożni, że stojący na placu wstrzymali oddech.

Sasza Stiepanow patrzył na tę paradę przepychu ze smutnym uśmiechem. Sam czuł się kiedyś jak oni, nie zauważał tłumów opływających go jak powietrze. Teraz czuł wstyd, straszliwe uczucie pustki towarzyszące elicie idącej złożyć w urnie swoje zdanie, elicie, wśród której jeszcze niedawno było mu tak dobrze.

Stał w tłumie, nie mając ochoty podejść do urny. Zdanie Betholda już tam było, tak samo zresztą jak wszystkie pozostałe, tyle że ci, którzy dumnie maszerowali przed zgromadzonymi na placu Konstytucji, chcieli się jeszcze pokazać światu.

Pamięć Dwana Deboraha Keene’a ożywała w umyśle Saszy, jakby to widowisko budziło ją z letargu... Pod czarnym lodem na Eltenerze żyło już To Jedno... Widział, jak zbliża się nieuchronnie wielka, mroczna pułapka... Czuł się z nią spowinowacony, może nawet rozumiał, ku czemu zmierza...

Nonszalancko wyciągnięte dłonie wrzucały do kryształowego naczynia wygrawerowane na złotych blaszkach zdania. Każdy taki gest tłumy kwitowały głośnym westchnięciem podziwu.

Gdzieś na drodze promieni słońca, w odległości nie większej niż Księżyc, z pustki zaczynał kształtować się owal... Jeszcze wyglądał na nierealny miraż, jakąś ułudę zrodzoną z nagrzanego powietrza, dziwne zjawisko, którego poza Saszą nie zauważył dotąd nikt.

Przewodniczący Komisji Sprawiedliwości i marszałek Areopagu stali na podium niedaleko urny. Każdy z gości wrzucających swoje zdanie podchodził do nich i witał się wylewnie. Były uściski dłoni, braterskie klepanie po plecach. Nikt z tłumy nie miał wątpliwości - to była prawdziwa elita świata, ona decydowała o losach ludzi i nikt nawet nie wyobrażał sobie, że mogłoby być inaczej. Bogowie...

Sasza coraz wyraźniej widział wyłaniający się z nicości kształt Eltenery. Spojrzał

dookoła, ale niczyje oczy nie były skierowane w niebo, wszyscy z niezwykłą uwagą śledzili to, co działo się w centralnym punkcie placu...

Lektor podszedł do urny. Były tam już wszystkie zdania, a ich autorzy siedzieli na podium, czekając na odczytanie przesłań. Po przedstawieniu autora, po długiej liście jego stanu posiadania i zasług, głębokim, spokojnym głosem lektor przeczytał pierwsze zdanie... A potem drugie... I jeszcze jedno...

Sasza Stiepanow widział, jak Eltenera materializuje się, jak powoli zaczyna przysłaniać Słońce, a czarny cień wędruje w stronę placu, otulając Ziemię kurtyną mroku... Nadchodził ostatni rozdział pisany nienawiścią...

Lektor wyciągnął z urny kolejne przesłanie.

- A oto trzywyrazowe zdanie wykupione... - tu jakby trochę się zawahał, ale czytał dalej  
- przez Betholda, technika systemów teleenergetycznych mieszkającego w dzielnicy biedoty...  
- Cień rzucany przez Eltenere dotykał pierwszych domów wokół placu. - A zdanie to brzmi...  
**BOGOWIE SĄ ŚMIERTELNI.**